

ZESZYT SZEŚCDZIESIĄTY TRZECI

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1983

ZESZYT SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1983

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 369

ISBN 2-7168-0025-1

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Henryk JOZEWSKI

ZAMIAST PAMIĘTNIKA (ROSJA)

I. — „PAŁAC KULTURY”

Było to w Kijowie we wrześniu 1919 roku, po zajęciu Kijowa przez wojska gen. Bredowa. Dostałem z Naczelnego Dowództwa w Warszawie polecenie, abym się porozumiał w pewnej sprawie z sekretarzem ówczesnego denikinowskiego ministra spraw zagranicznych Sazonowa, znanego niegdyś ministra carskiego. O ile sobie przypominam, sekretarz ów nazywał się Jerszow.

Pewnego dnia zjawił się zapowiadziany wysłannik, młodzieniec obrotny, gładki, elegancki — sekretarz Sazonowa we własnej osobie. Polecenie Naczelnego Dowództwa nie zabrało wiele czasu. Nie były to sprawy ważne. Zapomniałem o nich wkrótce.

Po załatwieniu sprawy urzędowej wywiązała się rozmowa towarzyska. Jerszow skierował rozmowę na Polskę, Warszawę i w końcu poruszył sprawę soboru prawosławnego na Placu Saskim. Sekretarz Sazonowa wpadł w ferwor, oświadczył ni mniej ni więcej, że jeśli sobór, zgodnie z kursującą pogłoską, zostanie zburzony, Rosja tego nie zniesie... Polska pożałuje... Polska pożałuje, jeśli zostanie usunięta choć jedna cegła... Pożegnałem się z gościem grzecznie, lecz stanowczo.

Rozmowa ta zapadła mi na trwałe w pamięć, była dla stosunków polsko-rosyjskich niezwykle charakterystyczna i wymowna.

Oto szczur rosyjski z tonącego denikinowskiego okrętu szczyrzy zęby na Polskę... ma na to czas i energię.

Sobór na Placu Saskim służył *obrusieńju*. Warszawa miała się upodobnić do rosyjskich miast z soborem na reprezenta-

cyjnej *plaszczadi*. Ludność Warszawy była katolicka... mniejsza o to. Sobór musiał stanąć.

W zestawieniu z cytadelą zbudowaną swego czasu przez cara sobór był bardziej nie do przyjęcia.

Cytadeli trudno odmówić pewnych racji. Chodziło o możliwość skutecznego bombardowania Warszawy, jeżeli Polakom przyjdzie do głowy powstanie. Rosja musiała się zabezpieczyć przed polskim atakiem. Miało to swoiste „moralne usprawiedliwienie”.

Z soborem było inaczej. Miał on zmuszać Polaków do oddychania Rosją.

Cytadela stała się wspomnieniem. Nad brzegiem Wisły powstaje park. Soboru nie ma. Jest za to „Pałac Kultury”.

Zestawienie tych trzech pozycji naprasza się samo przez się, a zwłaszcza soboru i „Pałacu Kultury”. Sobór jest bardziej „prostolinijny”, naiwny — jest ciosem zadaniem Polsce w prostocie rosyjskiego ducha, jest agresją nie markowaną, agresją, która nie udaje czego innego. „Pałac Kultury” jest czymś o wiele gorszym, w cynizmie bezczelności *obrusieńja* dystansuje sobór.

W „Pałacu Kultury” uderza manifestacja innego typu. Oto Rosja sowiecka przychodzi Polsce z pomocą, jest dobrodziejem Polski, ofiarowuje jej cenny dar. „Pałac Kultury” dopomaga odbudowie polskości.

Taka jest oficjalna, ogólnie obowiązująca wersja. Tak daje o sobie znać Moskwa. Nad sylwetką Warszawy góruje ogromem obcy i natrętny akcent architektoniczny, widzialny na wiele kilometrów — symbol rosyjskiego panowania. Warszawa o tym wie. Skwer wokół „Pałacu Kultury” nazwano „laskiem katyńskim”.

Rosja carska w miastach rosyjskiego imperium budowała cerkwie i sobory. Rosja sowiecka buduje „Domy Kultury” i „Pałace Kultury”. Te „domy” i „pałace” propagują sowiecką myśl, sowieckie pojmowanie rzeczy zgodne z nauką Marksa-Lenina, a w istocie rzeczy zgodne z odwieczną rosyjską naturą i duchem właściwego Rosji niewolnictwa.

„Pałac Kultury” jest po to, by świat kultury polskiej zmienić się według schematu obowiązującego w Rosji sowieckiej.

„Pałace Kultury” mają stać się światłem w życiu podbitych przez Rosję narodów, wchodzących w skład imperium rosyjskiego — mają także promieniować poza granicami Rosji. Rosja gotowa jest budować „Pałace Kultury” w Paryżu, Rzymie, Londynie, Madrycie... na całym świecie. Chodzi jedynie o możliwości, które by na to pozwoliły.

Gdybyśmy się jednak dowiedzieli, że Rosja sowiecka buduje „Pałac Kultury” w Paryżu i że nad Paryżem ma zawisnąć iglica sowieckiego „Pałacu”, bylibyśmy zawstydzeni. Uniwersytet paryski XIII wiek (pierwszy uniwersytet rosyjski w Moskwie — wiek XVIII)... Świat kultury francuskiej poddany kierownictwu moskiewskiemu, „Pałacowi Kultury” panującemu nad Paryżem...

Myśli takie przychodzą mimowoli do głowy, gdy spoglądamy na warszawski „Pałac Kultury”. Przychodzi na myśl Uniwersytet Jagielloński, wiek XV i to wszystko, co składa się na kulturę polską spokrewnioną z kulturą Europy zachodniej, przesyconą jej promieniami.

W innych państwach nie ma produkcji „Pałaców Kultury” przeznaczonych na użytek wewnętrzny i na eksport. Jest to specjalność Rosji sowieckiej. Na całym świecie kultura istnieje bez tych instytucji.

Jak wspomniałem, „Pałac Kultury” w Warszawie nie cieszy się sympatią, budzi sprzeciw. Skala tego sprzeciwu jest miarą polskości każdego z nas. Znajdą się jednak zapewne i tacy, którzy wobec „Pałacu” zajmą stanowisko bardziej przychylnie. Nie zmienia to stanu rzeczy. Sprawa nie jest tak prosta. W rachunku ogólnym należy brać pod uwagę zagadnienie współpracy z okupantem, po dzień dzisiejszy w Polsce aktualne. Nie wyklucza to „sprzeciwu”, o którym mowa, nadaje jednak temu z czym mamy do czynienia akcent realności.

Należy także brać pod uwagę „elastyczność” polskich intelektualistów. Występują oni czasem niewinnie, czasem podejrzanie, a czasem bardzo obrzydliwie...

Cytadela zapadła się w przeszłość, Sobór zniknął bez śladu — „Pałac Kultury” wcześniej czy później podąży za nimi.

Oficjalna wersja o „Pałacu” znalazła swój wyraz w urzędowych aktach Rosji sowieckiej i Polski Ludowej, deklaracjach politycznych i społecznych, w prasie i publikacjach różnego rodzaju. Ale „Pałac” pojawiał się w sposób nieoczekiwany.

Miałem relację od ludzi, którym udało się wydobyć cudem z najbardziej zapadłych kątów syberyjskiej tajgi, zesłanych na najcięższe roboty w warunkach nie dających się opisać, skazanych w istocie rzeczy na śmierć w rosyjskiej mordowni. W czasie jednej z wizytacji obozu przez NKWD Polak, mój rozmówca, usłyszał z ust enkwadysty radosną wieść o „Pałacu Kultury” w Warszawie, dobrodziejstwie sowieckim. Urzędowa propaganda docierała wszędzie.

Jedna pani opowiadała mi o scenie w wagonie sprzed paru lat. W przedziale, w którym się znalazła, uderzyła ją „dekora-

cyjność” sukni sąsiadki. Powtarzającym się motywem deseniem był warszawski „Pałac Kultury”, ostatni krzyk mody i współczesności.

II. — PAMIĘTAM...

Gdy myślę o „Pałacu Kultury”, Rosja staje przede mną jak żywa, czuję jej wzrok, jej dotyk. Czuję jej wzrok i dotyk od pierwszych chwil mego życia. Nie będę opisywał wszystkiego, co widziałem, gdy szedłem z Rosją krok w krok, pod rękę przez życie i świat. Chcę zwrócić uwagę na niektóre fakty, które dadzą się wyłowić z tego, co się działo i dzieje pomiędzy Rosją a Polską.

Począwszy od „wybuchu Polski” czy „zmartwychwstania” jej do niepodległego bytu, rosyjski duch dawał o sobie znać w postaci bardziej lub mniej złowieszczej, bardziej lub mniej odrażającej, był obłądą, podstępem, ujarzmianiem, czymś przed czym Polska musiała się bronić, z czym walczyła i walczy.

Pamiętam rok 1920. Żołnierz polski nad Dnieprem i krasnoarmiejcy nad Wisłą, pogrom bolszewickiej armii idącej na Warszawę i na podbój Europy.

Pamiętam dwudziestolecie polskiej niepodległości, dźwiganie się państwa polskiego w warunkach niezwykle trudnych i nieustającą, zajadłą sowiecką dywersję, podstępną akcję podziemną z hasłami rewolucji socjalnej w okręgach Polski centralnej i rozpalaniem narodowej nienawiści na Ziemiach Wschodnich Rzeczypospolitej. Rosja robiła wszystko, by uniemożliwić albo opóźnić stawianie się Polski.

Pamiętam 23 sierpnia 1939 roku, pakt Ribbentrop-Mołotow, zawarty przez oba mocarstwa akt przekreślenia Polski raz na zawsze i wykreślenie jej ze świata Europy. Zobowiązano się współdziałać w dławieniu każdego odruchu niepodległościowego Polski, gdy się pojawił w granicach jednego z zaborów, tzn. w granicach Rosji albo Niemiec.

Pamiętam wkroczenie sowieckiej armii w granice Rzeczypospolitej 17 września 1939 roku — byłem wtedy w Stolinie na Polesiu. W krótkim czasie, na mocy umowy rosyjsko-niemieckiej, Rosjanie zajęli Ziemię Wschodnią Rzeczypospolitej, Wilno i Lwów, a wkrótce potem wywieźli około 1.800.000 polskiej ludności tych ziem na wschód, na przewidziane i planowane zatra-

enie. „Przewożenie” odbyło się w sposób najbardziej brutalny, towarzyszyły mu sceny mordu i znęcania się. Było męczeństwem.

Pamiętam straszliwą masakrę polskich więźniów wypełniających więzienia we Lwowie, Dubnie, Krzemieńcu, Łucku, masakrę dokonaną przez sowiecką władzę w chwili wycofywania się wojska pod naporem idących do ataku Niemców. Są to rzeczy znane i ogólnie wiadome. Widzę obraz masakry w więzieniu łuckim, gdzie zginęło około 4.000 Polaków. Jeden z nielicznych uratowanych opowiadał, jak się wszystko odbyło. Więzienie łuckie ma podwórze otoczone wysokim murem. W pewnej chwili spędzono tam wszystkich więźniów. Zamknięto bramy. Na murach ustawiono karabiny maszynowe. Parotysięczny tłum został zmasakrowany. Ludzie padali jeden na drugiego. Mój rozmówca uratował się, bo padł jeden z pierwszych — przykryła go drgająca w agonii masa ludzka. Swoje „zmartwychwstanie” zawdzięcza Niemcom, którzy się w Łucku pojawili i wydobyli go spod zwalów trupów.

Pamiętam proces Delegatury Rządu i gen. Okulickiego w Moskwie — proces nad najbardziej prawowitą i otoczoną nimbem bohaterstwa polską władzą. Wymowa procesu jest straszliwa, biorąc pod uwagę warunki, w jakich się odbywał i okoliczności, jakie doń doprowadziły.

Pamiętam dzieje wileńskiej dywizji Armii Krajowej wytraconej w obozie koncentracyjnym pod Kaługą, tępienie okrutne i podstępne oddziałów Armii Krajowej przez wojsko sowieckie w miarę posuwania się na zachód...

Pamiętam Katyń.

Pamiętam Powstanie Warszawskie.

Pamiętam „oswobodzenie” Polski przez sowieckie wojsko. Była to chwila straszna... Było tak, jakby Łazarz polski powstający z grobu zapadł się znowu w grób po raz drugi. Za czasów niemieckiej okupacji największe ofiary wydawały się do zniesienia wobec perspektywy wycofania się niemieckiego okupanta i odzyskania wolności. Byliśmy pewni, że Polska wolność odzyska i wolność swą wywalczy. „Oswobodzenie” Polski przez sowiecką Rosję wykazało nierealność tego rachunku.

Pamiętam rządy Bieruta i Ministerstwa Bezpieczeństwa — agentów Moskwy, tysiące katowanych na śmierć ludzi, krzyki w nocy w więzieniu Mokotowskim, pamiętam wiersz panegiryczny do Bieruta napisany przez Jarosława Iwaszkiewicza, obecnego prezesa Związku Literatów Polskich, i pamiętam rewelacje Światło...

Pamiętam „wybory”. Zaszła o nich mowa w czasie mojego

śledztwa w Mokotowie. Tzw. „śledź” — oficer śledczy, znany i wybitny w swym fachu, wspomniął o wyborach jako świadectwie wolności i demokratyczności obecnego polskiego życia. Odpowiedziałem, że brałem osobiście udział w wyborach i mogę najbardziej szczegółowo poinformować go o tym, jak było. „Śledź” zamilkł. O wyborach nie było już mowy.

Litanię podobnych „pamiętam” można by snuć długo. Litania ta wrosła w polskie życie, powtarzają ją polskie usta, powtarza polskie milczenie.

III. — UWAGI

Nie wszystko co dotyczy Polski i układu pomiędzy Rosją a Polską sprowadza się do zbrodni. Akcent zbrodni jest jednak niezwykle wymowny i w układzie polsko-rosyjskich stosunków zajmuje niemało miejsca. Przytoczone przed chwilą „pamiętam” i wiele podobnych, niewymienionych „pamiętam” weszło w moje życie. Mówię o nich na własny rachunek. Wszyscy mamy podobne „własne rachunki”.

Rosja to nie tylko rejestr nieprawości i zbrodni.

Nie zawsze oblicze Rosji wygląda jak twarz zbira czy Smierdiakowa, żandarma, czekisty, albo jak znane dziś całemu światu oblicze Nikity Chruszczowa czy „pełniących obowiązki Polaków” dygnitarzy w Polsce Ludowej.

Może jednak Rosja jest najbardziej odrażająca w twarzach polskich, którym rysy i charakter nadaje niewolnicza służba Rosji. Rosja staje się sobą przez „polskość”. Jest to wizerunek Rosji najbardziej nie do przyjęcia.

Różne są wcielenia Rosji.

Na przykład Bierut, Zawadzki albo Piotr Jaroszewicz, Radkiewicz, Różański, Berman... Imię ich legion. Teatralność i dekoracyjność tych postaci jest czasem bardzo osobliwa. Np. Cyraniewicz — krakowiak i, jak fama głosi, niepozabawiony domieszki krwi semickiej, dla Rosji figura egzotyczna, albo poczciwy z kośćciami Gomułka, albo np. Wycech — marszałek sejmu i prezes „Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej”, kiedyś ob. „Krzączek”, od którego w czasie okupacji niemieckiej odbierałem przysięgę organizacyjną, typowy, przeciętny nauczyciel ludowy, skromny i raczej o przyjemnym, Bogu ducha wyglądzie. Kultuwyje on

in partibus infidelium w doniczcze swego „Jestem” rosyjską roślinę — i obrasta w zaszczyty.

Takich „obrastających w zaszczyty” jest w Polsce Ludowej niemało. Kariery ich są czasem przedziwne. Np. Ignar, prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego, albo Kluczyński, prezes Stronnictwa Demokratycznego, albo Kazimierz Banach. Z ostatniej trójki jest to postać może najbardziej odrażająca.

Znalazłoby się niemało intelektualistów, niejeden profesor, literat, artysta. Wyliczenie tego rodzaju postaci zabrałoby wiele miejsca, byłoby to jednak ważne ze względu na studia nad naturą ludzką, a w danym razie nad naturą pewnej kategorii Polaków.

Nie mogę pominąć Bolesława Piaseckiego. Jest to agent rosyjski miary niepowседневnej, któremu zlecono nie byle jakie zadania. Są to rzeczy ogólnie wiadome. Przypominam sobie aresztowanie Piaseckiego przez gestapo i cudowne uwolnienie, które zawdzięcza Lucianie Gawrońskiej — Włoszce, żonie ambasadora polskiego w Wiedniu za czasów dwudziestolecia, osobie wpływowej, która dla uwolnienia Piaseckiego przyjechała z Włoch do Warszawy, spotkana kurtuazyjnie przez Niemców zamieszkała w przeznaczonym apartamencie w hotelu Europejskim... Misja Luciany się udała. Zaczęto mówić o współpracy Falangi z Gestapo...

W Warszawie wszyscy wiedzą, że Piasecki współpracuje z ambasadą sowiecką z pominięciem rządu Polski Ludowej. Jest to postać ponura, zgrywająca się w swej wielkości i wiernie służąca Rosji.

Skala ludzi na usługach Rosji jest niezwykle rozległa, od ordynarnych i fachowych agentów począwszy, kończąc na uprawiających „Ketman”, o którym tak pięknie pisze Miłosz.

Wyrazistość obrazu przesłania w wielu razach marksizm. Marksizm nie jest Rosją i za Rosję nie odpowiada. Okazało się jednak, że za naszych czasów stał się drogą, która prowadzi w rosyjskie objęcia — drogą dla ludzi często wzniośle myślących, godnych szacunku.

Marks na pewno się tego nie domyślał i nie spodziewał się takiego układu rzeczy — nie przypuszczał, że Moskwa na marksizmie zrobi tak wielki i oszałamiający interes. Tak się jednak stało. Narodził się marksizm-leninizm, Marks w masce rosyjskiej i Rosja w masce marksizmu. Rosja widziana przez okulary marksizmu i Marks widziany przez okulary Rosji. Tu Marks sam by siebie nie poznał.

Mgła marksizmu jednak ustępuje, opada, słońce Rosji świeci coraz bardziej po rosyjsku.

Rosja realizuje swoje zamiary nie tylko w Polsce. Poruszenie tego tematu w całej jego skali jest ponad siły. Dla jego zrozumienia zwracano uwagę na masakrę ukraińską, wzmagając się ukraińską niewolę i na niedawną masakrę Węgier.

W stopniu większym lub mniejszym dotyczy to wszystkich narodów i plemion, z którymi Rosja miała i ma do czynienia.

IV. — KIJÓW

Cofam się do lat mego dzieciństwa. Spotkałem się z Rosją nie u niej w domu a nad Dnieprem, na zagarniętej przez Rosję Ukrainie. Wszystko należało do Rosji. Znalazłem się w świecie rosyjskiego panowania i rosyjskiej obecności. Akcent rosyjski dawał o sobie znać na każdym kroku, stanowił o bieżącym życiu, był nim.

Kijów rozbrzmiewał rosyjską mową — na ulicach, w tramwajach, sklepach, urzędach. Uczyliśmy się, czytali, pisali po rosyjsku. Wersja rosyjska wpływała na obraz mego istnienia, stanowiła o nim.

Kijów był Rosją — stolicą *Jugozapadnowo Kraja*. Tak układało się to w mojej świadomości i świadomości ogółu, a jednocześnie się nie układało. Akcenty nierosyjskie stanowiły mój świat nie mniej realny niż rosyjski. Znalazłem się od chwili przyjscia na świat w rozdwojonej rzeczywistości. Urzędowa i obyczajowa, nawet twórcza obecność Rosji nie mogła zmienić tego stanu rzeczy, pomimo że usiłowała to uczynić.

Polskość czaiła się, rosła poza progami polskich domów, była sobą, u siebie, na swój własny użytek. Akcentem polskości widzianym na zewnątrz był kościół św. Aleksandra w niedalekim sąsiedztwie z „Włodzimierską Górką” i pomnikiem św. Włodzimierza, górującego z krzyżem w ręku nad przestworzami Dniepru. Potem wybudowano jeszcze kościół św. Mikołaja na ulicy Wasilkowskiej, powstał klub „Ogniwo”, „Polskie Towarzystwo Gimnastyczne”, polska pensja Peretjatkowiczowej. Były to główne pozycje polskości. Może najbardziej reprezentatywną pozycją był redagowany w Kijowie *Dziennik Kijowski*. Z biegiem późniejszych wydarzeń stan posiadania polskości w postaci różnych instytucji wzrastał. Nie zagrażało to jednak rosyjskości Kijowa i układowi rzeczy ustalonemu przez Rosję. Nie mniej rosyjskie od Kijowa były inne miasta, tak niedawno jeszcze zabarwione

rzucającą się w oczy polskością— Żytomierz, Berdyczów, Winnica...

Akcent ukraiński ograniczał się w Kijowie do ukraińskiego teatru na peryferii miasta. Mowa ukraińska rzadko dawała się słyszeć na ulicach Kijowa. Słyszano czasem mowę polską. Rosyjskość miasta wydawała się bezsporna. Z wsią było inaczej. Wieś nie była rosyjska. Nierosyjskość wsi świeciła w oczy jak słońce na ukraińskim niebie.

Było to osobliwością *Jugozapadnowo Kraja*. Miliony podanych rosyjskich w codziennym zbiorowym życiu nie mówiły po rosyjsku, zachowywały się i trwały po swojemu.

Uczęszczałem do Pierwszego Kijowskiego Gimnazjum. O gimnazjum nierosyjskim nie mogło być mowy. Był to rok 1901. Językiem wykładowym był rosyjski, podręczniki rosyjskie. Profesorowie Rosjanie byli w większości dobrzy i sympatyczni. W pierwszej klasie — w drugim jej oddziale — było nas około sześćdziesięciu uczniów, wszyscy Rosjanie z wyjątkiem paru Polaków i jednego-dwu Żydów. Polskość wychodziła na jaw przy nauczaniu religii.

Lekcja religii dla prawosławnych odbywała się w klasie. Grupa Polaków tzn. uczniowie z pierwszego i drugiego oddziału, zbierała się w niewielkim pokoju, gdzie stało parę ławek. Religii uczył ks. Olędzki, zażywny i pogodny, w starszym wieku, z charakterystycznymi przymkniętymi oczami. Znany był z tego, że za złe sprawowanie albo nieuważanie na lekcji delikwent dostawał tabakierką żelazną księdza „po łapie”. Przyjmowaliśmy to bez szemrania, należało to do rytuału nauki. Lubiliśmy ks. Olędzkiego.

Uczyliśmy się katechizmu w języku cerkiewno-słowiańskim. Pamiętam niewielką książkę w brudnoniebieskiej oprawie z wydrukowanym nazwiskiem autora — Zottman, oczywiście po rosyjsku. Tak się stało, że Niemiec napisał katechizm dla polskich dzieci w języku cerkiewno-słowiańskim, a władze szkolne wprowadziły go w życie.

Przypominam sobie wspaniały gmach gimnazjum, wielkie korytarze, klasy, salę rekreacyjną z portretem urzędowym cesarza i Tereszczenki, pierwszego fundatora gimnazjum.

Pewnego dnia — byłem wtedy w drugiej klasie — w czasie lekcji zapaliły się na korytarzu lampy łukowe, drzwi do klas otwarto, zapanowało uroczyste oczekiwanie. W pewnej chwili weszło do klasy grono osób wojskowych i cywilnych z generałem w stroju galowym na czele. Był to minister oświaty. Trwało

to parę minut, zamieniono parę słów i dostoyny gość wraz z orszakiem opuścił klasę.

Tych kilka szczegółów nie mówi o ucisku, gnębieniu, maltretowaniu, o jakimś specjalnym upokarzeniu Polaków. Nie spotykałem się z tym przez osiem lat mego pobytu w gimnazjum. Jednak pomiędzy mną a gimnazjum istniała jakaś nieprzenikniona przegroda, za którą czaił się sprzeciw. Do czego gimnazjum się dotknęło, stawało się obojętne i obce, przestawało interesować. Cała rzecz ograniczała się do umiejętności zdawania egzaminów i uzyskiwania potrzebnych stopni. Nie ułatwiało to pracy pedagogów.

Koleżeństwo z rosyjskimi kolegami zakwitało samo przez się. Bywałem w domach moich kolegów Rosjan, poznawałem ich rodziny, czułem się wśród nich dobrze, był to także, w swoim zakresie, „mój świat”.

Nieuniknione w pewnych razach były polsko-rosyjskie scysje, uczniowskie szykany i przycinki do Polaków-katolików. Nie były one specjalnie złośliwe, były za to pretekstem do bijatyki, tej wiecznej uczniowskiej atrakcji, w której się wyżywałem.

Pierwsze Kijowskie Gimnazjum to swego rodzaju idylla. Wspomnienie o nim ma kolor różowy, pomimo okoliczności towarzyszących polskiemu życiu w ramach państwowości rosyjskiej. Gdy piszę te słowa, dzieli mnie od ukończenia gimnazjum ściśle pięćdziesiąt lat i słowa te nie są martwe.

W klasach wyższych zaczęły się pojawiać nastroje polityczne. Rosyjski świat postępowo-rewolucyjny działał na wyobraźnię, stawał się bliski, proklamacja wzbudzała entuzjazm i wzruszenie, działo się coś, co poruszało do głębi, porywało.

Jeszcze mocniej i wyraźniej wystąpiło to na uniwersytecie. Koledzy studenci rosyjscy byli inaczej „swoi” niż koledzy uczniowie. Zarysowywał się wspólny czyn, walka ramię w ramię z caratem, walka o wyzwolenie człowieka, o ludzką godność, o lepszą przyszłość. „Chrzest” otrzymałem już w pierwszym roku mego pobytu w uniwersytecie. Był to rok 1909. W całej Rosji obchodzono „dnie tołstojowskie”. Odbываły się demonstracje, protesty i strajki. Demonstrowała młodzież uniwersytecka i młodzież innych uczelni. W demonstracjach kijowskich brałem czynny udział. Przeżyłem parę chwil i doświadczeń typowych.

Chodziło o rzucenie „bomby” wypełnionej merkaptanem do instalacji ogrzewania gmachu uniwersyteckiego, tzn. do jednego z luftów pieca. Lufty takie znajdowały się w aulach około dwóch metrów nad podłogą. Zgłosiłem się do studenckiego rewolucyj-

nego komitetu ofiarowując swoje usługi. Spotkano mnie entuzjastycznie. Nie było amatorów do wykonania „zamachu”...

Wieczorem przyniosłem do domu wręczoną mi paczkę owiniętą papierem. Śmierdziała niemiłosiernie. Przechowałem ją jakoś przez noc. Rano udałem się z nią do uniwersytetu na wykład fizyki w XV auli — największej na naszym wydziale. Byłem studentem wydziału fizyko-matematycznego. Z ukrytą skrętnie paczką siadłem w ostatnich rzędach wielkiej, amfiteatralnej sali. Unikałem kolegów ze względu na zapach „bomby”. Wykładał prof. de Metz. Lufty pieca były na ścianie koło tablicy. Musiałem więc podczas przerwy do nich dojść, wspiąć się na palce, wyciągnąć ręką i rzucić „bombę” do otworu. Nie było to łatwe. Trzeba było tego dokonać na oczach znajdujących się w auli studentów. Miałem palącą pewność, że wszystkie oczy patrzą na mnie. W końcu przemogłem się i manewr wykonałem.

Zgodnie z zapowiedzią miał niezwłocznie wybuchnąć pożar. Jak zapewniano, tak się stało w Irkucku. Wycofałem się na korytarz i czekałem na skutek mego manewru. Potem powróciłem do sali i wysłuchałem drugiej połowy wykładu. Czekałem. „Bomba” zginęła w wyznaczonych czeluściach i nie wybuchła. Za to „wybuchło” moje upokorzenie. Nieudany zamach... Tak wyglądał mój pierwszy wyczyn rewolucyjny.

Przeżyciem rewolucyjnym był także udział w studenckich demonstracjach ulicznych. Głowa moja oberwała parę guzów. Z mego nowego zimowego szynela studenckiego kozackie nahajki wypruły żałosne flaki z waty. Szynel był pocięty i nie do użycia. Kozacy zostawili jednak dobre o sobie wspomnienie.

Widzę jeszcze moje przerażenie na widok kozackiej szarży na demonstrujący tłum kursistek — na ulicy Włodzimierskiej, koło Pierwszego Gimnazjum. Kozacy przelecieli a raczej przedostali się przez tłum demonstrujących kursistek. Kursistki gęsto padały, śpiewały jakąś rewolucyjną pieśń. Potem podniosły się wszystkie. Nie było rannych. Razy nahajek kozackich nie zrobiły większej szkody. Kozackie koniki nauczyły się lawirować w tłumie i nie deptać ludzi.

Tak powstawała i rodziła się polsko-rosyjska wspólnota. Uniwersytet był także pozycją rosyjską, urzędową, była to jednak pozycja nieco „zbuntowana”. Stanowiła atrakcję i budziła inny klimat psychiczny. Uniwersytet był mniej obcy niż gimnazjum. Stosunek do nauki był inny — była to „moja” nauka.

Zarysował się charakterystyczny stan rzeczy. Z jednej strony dawała o sobie znać Rosja urzędowa — obca i wroga, z drugiej

patrzyła urzekającym wzrokiem Rosja „prywatna”, nieurzędowa. Ta niosła w sobie walory ogólnoludzkie, walczyła o lepszą przyszłość. Stosunki koleżeńskie, przyjaźń wierna, serdeczna. Akcent rosyjskości wplatał się w moje życie, promieniował...

Polska-rosyjska wspólnota nie przekraczała granicy, gdzie zaczynała się moja rozmowa z Polską w cztery oczy. Była to znana w socjologii „sfera prywatności”. Nasz stosunek do Rosji był także inny niż stosunek do Rosji naszych przyjaciół Rosjan. Tylko przez pewną część drogi szliśmy razem. Potem nie zawsze mogliśmy się porozumieć.

Obraz tego co się dzieje między Rosją a Polską jest dostatecznie skomplikowany, by dawać pretekst do wygłaszania efektownych zdań, „radikalnego” załatwiania sprawy, inteligentnych i nieinteligentnych uwag.

Należy zwrócić uwagę na parę elementów, które mogą przyczynić się do zrozumienia tego, co się pomiędzy Rosją a Polską dzieje.

Znanięcki w swej socjologii posiłkuje się terminem „jaźń odzwierciedlona”, uważając ją za jeden z podstawowych elementów w tworzeniu się osobowości społecznej człowieka. W procesie powstawania mojej osobowości za czasów kijowskich wpływ na nią, a raczej wkład w nią miała także Rosja — świat rosyjski, świat kultury rosyjskiej. Rosja „odzwierciedlała się” w postaci bardzo różnej. Akcenty rosyjskie weszły w tkaninę mojej osobowości i nie ma na to rady, zresztą nie ma powodu ani potrzeby dawania sobie z tym rady. Jestem taki, jaki jestem.

Należy także wziąć pod uwagę „sferę prywatności”. Jest to świat izolowany człowieka, wolny od penetracji i ingerencji z zewnątrz — ingerencji otaczającego nas ludzkiego świata. W warunkach zaboru rosyjskiego „sfera prywatności” obejmowała treść polskiego istnienia, polskie poczucie narodowe, narodowe polskie „Jestem”. Wyglądało to inaczej w środowisku polskim — tu akcent narodowy był akcentem istnienia wspólnym, wartością wspólną, źródłem twórczym polskiego „My”.

Tak się dzieje z każdym podbitym narodem. Schemat ten jest uniwersalny i ma zastosowanie nie tylko do polsko-rosyjskich stosunków. *Casus* polsko-rosyjski posiada właściwe sobie osobliwości, takie a nie inne. Granice „sfery prywatności” są uwarunkowane określonym układem rzeczy, charakterystycznym dla danej sytuacji.

Obecność „sfery prywatności” zarysowuje się różnie w odniesieniu do otaczającej „sfery” rzeczywistości. Obecność ta może otaczającą nas rzeczywistość atakować i może być bierna

— trwać biernie „nie wadząc nikomu”. Polska „sfera prywatności” w podbitym przez Rosję kraju może wywołać powstania i może nie wtrącać się do stwarzanego przez Rosję stanu rzeczy. „Sfera prywatności” podbitego narodu jest ośrodkiem dyspozytywnym w walce o wolność i ośrodkiem organizującym przetrwanie.

Za moich kijowskich czasów polska „sfera prywatności” w odniesieniu do otaczającego życia i ustalonego przez Rosję stanu rzeczy zachowywała się biernie — „nie wadziła nikomu”. Był to okres popowstaniowy. Społeczeństwo polskie pogodziło się z losem i tak trwało. „Sfera prywatności” stawała się pozycją potencjalną a nie kinetyczną. „Polska czaiła się za progami polskich domów”, nie przestając być Polską i trwając w swej polskości.

W „Opowieści o istnieniu” posługiwaliśmy się pojęciem „dominanty” zjawiska. Jest to akcent istnienia, który określa rodzaj danego zjawiska taki a nie inny. Każde zjawisko jest mniej lub bardziej skomplikowane, tzn. składa się z różnych akcentów istnienia, jest kompozycją tych akcentów. Jeden z nich staje się „dominantą” zjawiska. Może decyduje o tym kompozycja, a może jeszcze coś innego.

Dominantą polskiego istnienia jest polskość. Kompozycja Polaka może być bardzo skomplikowana, w jej skład mogą wchodzić najprzeróżniejsze elementy, nie wpływa to jednak na polskość Polaka, wręcz przeciwnie. Wiele przemawia za tym, że polskość jest tym bujniejsza, bogatsza i bardziej twórcza, im większe są różnorodność i różnorodność elementów wchodzących w skład Polaka. Chodzi o dominantę.

Z dominantą w pewnych razach bywa jednak różnie. Swego czasu zauważyliśmy, że dominanta może się przesuwać, zmieniać swą postać, a więc zjawisko zmienia charakter. Gdy mówimy, że Polak się wynarodowił, następuje „odpolszczenie” Polaka, dominanta polskości zanika, a na jej miejsce pojawia się akcent rosyjski albo inny. Taki jest obraz wynarodowienia.

Nie podejmujemy omówienia tego tematu, sygnalizujemy go tylko i przy sposobności zwracamy uwagę na warte podkreślenia zjawisko. Bywa tak, że Polak się wynaradawia, dominanta polskości ginie z oczu pod nawarstwieniami akcentów niepolskich, polskość, wydawałoby się, ginie bez reszty. Mamy przed sobą wyraźny i najbardziej realny fakt wynarodowienia. W pewnych jednak okolicznościach, po przeżyciu pewnego czasu, polskość nieoczekiwanie wybucha — zwycięska, czynna, twórcza, wspa- niale aktywna. Znałem takich Polaków.

Nie jest to zjawisko tylko polskie. W sytuacji podobnej spotykałem Ukraińców, zdawałoby się, zrussyfikowanych bez reszty. Spotykałem spolonizowanych Litwinów...

Wszystko to należy brać pod uwagę, gdy przystępujemy do rozważania, czym jest Rosja w stawaniu się Polski i czym była Rosja nad Dnieprem w końcu XIX i początku XX wieku.

Pomimo pewnych objawów russyfikacji i wchłaniania przez życie polskie wartości kultury rosyjskiej, polskość Polaków nad Dnieprem nie była mniejsza od polskości Polaków w Warszawie i Krakowie. Polskość tworzyła tu bogactwo swego istnienia w środowisku nie-polskim.

W moim okresie kijowskim pozycją ogromnej wagi stawała się rosyjska literatura, Szczedrin, Dostojewski, Tołstoj, Turgie-niew, Czechow. Dawała nieomylny i autentyczny obraz rosyjskiej natury, dawała wartości ogólnoludzkie pozostając do szpiku kości rosyjską. Literatura ta weszła w krąg świata ogólnoludzkiego i żyje po dziś dzień, zwłaszcza Dostojewski i Czechow.

Wielka literatura rosyjska może nie weszła we mnie „jak ktoś do domu wchodzący własnego”, ale jako gość, który się zadowił w moim polskim życiu i pozostał w nim na zawsze.

Nie mogło to nie zaważyć na moim stosunku do Rosji. Ale i muzyka rosyjska coś znaczy... A rosyjski teatr, balet, rosyjskie malarstwo i starocerkiewne malowidła, wreszcie rosyjska nauka, która w moich warunkach torowała drogę do wiedzy...

Rosja — to także jej wartości kulturalne powstałe w XIX i XX wieku.

Rosja jest jednak nieuchwytna jak wszystko. Ma cechy wznio-słe, przejmujące do głębi, i jednocześnie cechy odrażające, nie do zniesienia... Kto się z tym spotkał, temu uraz pozostanie na zawsze.

Przychodzi mi na myśl Puszkina — twórca „Jewgienija Onie-gina” i Puszkina — autor historycznego wiersza „Kłewietnikom Rossiji”, albo Tołstoj — wielki apostoł Jasnej Polany, twórca „Wojny i Pokoju”, „Anny Kareniny”, „Dietstwa i otroczestwa” i... autor proklamacji o „*polskom miatieźie*”, polskim powstaniu 1863 roku. Pisz o tym w swym dziele Kucharzewski.

Istnieje podziemny nurt, który łączy Rosję urzędową, krwawą i występłą, z Rosją „prywatną”, twórczą, dającą walory ogólnoludzkie.

Jednej od drugiej nie można oddzielić, jedna bez drugiej po-myśleć się nie da, stanowią one jedność. Jest to niepojęte, trud-ne do zniesienia. Obie te Rosje są razem, Rosja urzędowa jest pochodną Rosji „prywatnej” albo Rosja „prywatna” pochodną

Rosji urzędowej. A może taki stan rzeczy daje się zaobserwować wszędzie — u innych państw i narodów? Mimo woli przychodzą na myśl Niemcy — ich nauka, sztuka, literatura, a jednocześnie komory gazowe i bezmiar dokonanej zbrodni.

Rosja daje jednak widowisko wyjątkowe. Rosja nie ustępuje Niemcom a nawet je przewyższa.

Rosja urzędowa czuje do Polaków i Polski niechęć, pomiata Polską i boi się Polski. Między Rosją urzędową a Polską istnieje wyraźny dystans, obcość — przepaść nie do przebycia. I oto daje się zaobserwować, że „przepaść nie do przebycia”, a w każdym razie niechęć i obcość cechują też stosunek do Polski i polskości wielkiej rosyjskiej literatury.

Życie polskie dla literatury tej nie istniało, nie istniało to, co poruszało myśl i uczucia Europy zachodniej, nie mówiąc już o krajach Europy środkowej. Majestat istnienia rosyjskiego pannał bezapelacyjnie i przytłaczał wszystko co polskie.

Nie można mieć pretensji do wielkiej literatury francuskiej czy angielskiej, że nie znajdujemy w nich polskich tematów. Sytuacja literatury rosyjskiej jest inna. Polska przez półtora wieku wchodziła w skład imperium rosyjskiego. Życie rosyjskie przeplatało się z życiem polskim, rosyjskie oczy patrzyły na to, co się w Polsce działo i co się z Polską działo, polskie postacie pojawiały się w życiu rosyjskim, a postacie rosyjskie zalały szeroką falą życie polskie.

Jest rzeczą zmienną i charakterystyczną, że nie tylko motywy polskie nie pojawiają się w wielkiej literaturze rosyjskiej, ale jeżeli w dziełach wielkich rosyjskich autorów pojawiają się, zresztą niezwykle rzadko, przygodne polskie postacie, wszystkie z reguły są żałosne, antypatyczne, moralnie żenujące. Nawet wrażliwa, tuląca się z miłością do wszystkiego co ludzkie dusza Czechowa na widok przypadkowych polskich postaci nie zdobywa się na gest uczuciowej afirmacji, ale reaguje skurczem niechęci, wydrwiwa, ukazuje małość i nikczemność. Podobnie jest z Dostojewskim, Szczedrinem, *zapadnikom* Turgieniewem, bagatelizowanie Polski daje o sobie znać w „Wojnie i pokoju” Tołstoja...

Można by przytoczyć fakty mówiące o czymś innym. Np. Herzen, deklamacje rosyjskich rewolucjonistów... Nie zmienia to jednak ogólnego stanu rzeczy. Głos wielkiej literatury rosyjskiej jest najprawdziwszym głosem Rosji, jest jej sumieniem, jej duchem. Nie można tego tracić z oczu.

Z Rosją trudno sobie dać radę. Istnieją pewne fakty, które nie dają się ominąć i które, każdy w swoim zakresie, stanowią.

Niekiedy przeżywamy chwile wzniosłe i wzruszające, ale w każdej chwili grozi „odwrotna strona medalu”.

Piłsudski pisząc o 63 roku wspomina o rosyjskich oficerach, dla których powstanie było czymś więcej niż „*miatieżom*”. Oficerowie ci gotowi byli za powstanie polskie ginąć. Jak wspomnieliśmy, dla wielkiego Tołstoja — apostoła z Jasnej Polany, sumienia Rosji „prywatnej” i Rosji w ogóle — powstanie było „*miatieżom*”.

Zagadnieniem specjalnym jest Gogol — zruszczony Polak-Ukraińiec. Może ukraiński Conrad? Na pewno nie. Przygoda Gogola jest inna niż przygoda Conrada Korzeniowskiego. Nie o „przygodę” Gogola jednak chodzi, ale o dzieła Gogola stojące na poziomie wielkiej literatury świata, chodzi zwłaszcza o pewne poematy.

Gogol jest jednym z wielkich pisarzy rosyjskich, który Polskę „zauważył”, tzn. Polska i polskość stały się tematem jego twórczości. Mam na myśli „Tarasa Bulbę”. Polacy nie są tu jak u innych wielkich pisarzy rosyjskich figurami przygodnymi — mamy tu Polskę i polskość jako temat powieści. Walka z Polską wiernych Rosji kozaków prawosławnych jest centralnym wątkiem książki.

Widzimy scenę pełną najwyższego tragizmu i patosu, scenę własnoręcznego, świadomego a nawet natchnionego zabicia syna przez ojca za dokonaną przez syna zdradę kozaczyzny, prawosławia i zespolenia się Kozaków z Rosją. Miłość Andrija do polskiej córki kasztelańskiej doprowadziła Andrija do przebywania wśród Polaków w czasie toczącej się z Polakami walki. Taras Bulba urasta do symbolu, jego słowa przy wykonywaniu wyroku stają się objawieniem wielkiej ludzkiej moralnej prawdy. Tak chce autor i tak to inscenizuje.

„Taras Bulba” jest powieścią historyczną. Polska jest wrogiem kozaczyzny, prawosławia, Rosji. Taka jest sugestia powieści. Oczywiście „prawda” Gogola i Rosji zwycięża.

Tak Gogol „zauważył” Polskę. Że powieść tego rodzaju się ukazała, nie jest rzeczą dziwną. Mogła się ukazać. Ale istnieje pewna okoliczność, na którą należałoby zwrócić uwagę.

Gogol pisał o Rosji i życiu rosyjskim. Pisał genialnie. Wystarcza „Rewizor”, a są jeszcze nowele petersburskie, „Szynel”, „Martwe dusze”... Ale Gogol pisał także o świecie ukraińskim, o życiu ukraińskiej wsi i małego miasteczka na Ukrainie. Otóż Gogol „nie zauważył” tam Polski ani polskości, pomimo że dawały o sobie znać na każdym kroku, wrosły w życie obyczajowe i świeciły w oczy. Gogol „zauważył” za to akcent rosyjski,

tylko ten akcent. Element rosyjski — urzędniczy i małomiasteczkowy — był czymś obcym, musiał się z życiem miejscowym asymilować, zresztą bez większego powodzenia i z niemałym trudem, był intruzem wprowadzonym siłą przez Rosję.

Znam to życie z czasów lat mojej młodości i stąd moje uwagi i spostrzeżenia. Za czasów Gogola to, o czym mówię, występowało bardziej jaskrawo i oczy Gogola na to patrzyły. Gogol polskości nie widział, nie chciał widzieć, pomimo że biła w oczy. Obraz Gogola, artystycznie doskonały, jest obrazem fałszywym, nie odpowiada prawdzie, tylko rosyjskiej propagandzie. Gogol Polski „nie zauważył”. Stał się w ten sposób wierny wielkiej literaturze rosyjskiej — może najbardziej drastycznie.

Nabiera to jeszcze większej wymowy, jeżeli weźmiemy pod uwagę literaturę polską. Tu Rosja i rosyjskość zostały „zauważone”. Mickiewicz — wiersze o Rosji, „Do przyjaciół Moskali”, trzecia część „Dziadów”, „Pan Tadeusz”... major Płut, kapitan Rykow. Słowacki — poza sarkastycznymi i piętnującymi strofami w „Beniowskim” — postać majora w „Fantazym”. Wreszcie „Uroda życia” Żeromskiego — Tatiana. Przykładów można by przytoczyć więcej, ale to, o czym wspominam wystarcza dla zdania sobie sprawy z istniejącego stanu rzeczy, skomplikowanego i niepokojącego.

W Kijowie, w którym spotkałem się z Rosją, nie sposób mówić o Rosji nie mówiąc jednocześnie o Ukrainie. Rosja dana była w ukraińskiej oprawie, w przepychu ukraińskiej przyrody, w bliskości ukraińskiego życia.

Rosja nie mogła nie mówić o Ukrainie bez względu na stosunek Rosji do Ukrainy. Poprzez tendencje polityczno-światopoglądowe czy doraźnie polityczne *obrusieńja* przebija wiersz Puszkina: „*ticha ukraińska noc, prozrazno niebo...*” albo słowa Gogola: „*czudien Dniepr pri tichoj pogodzie...*”. Są to wyrazy najczystszej i najwspanialszej poezji, tej największej...

Także tą drogą Rosja stawała się we mnie obecna nie jak ktoś wrogi, obcy i odrażający, ale jak ktoś bliski — ktoś, kto by rozumiał Słowackiego: „*Boże, kto Ciebie widział w Ukrainy błękitnych stepach...*”.

Rosja towarzyszyła temu, co się działo w Kijowie w noc Wielkanocną, na Rezurekcji, na *wsienoszczną*. Była to noc ukraińska — kijowska, prawosławna. Nie podejmuję się opisu. Przeżywałem to corocznie. Była to uroczystość, święto w nocy albo święto nocy. Święto nocy wiosennej nad Dnieprem i Dniepromyimi przestworzami. Kijów grał dzwonami cerkwi i soborów.

Dzwony bliższe, dalsze i niknące w oddali dzwony Peczerskiej Ławry. Była to fuga istnienia...

Pamiętam cerkiew św. Andrzeja, której Włoch Rosstrelli nadał kształt wdzięczny i strojny, stojącą na cyplu dniewrowego urwiska, zapatrzoną w bezkresną, ginącą dniewrową dal, w nocne wiosenne przestrzenie. Tam słuchałem mowy dzwonów i czułem, co się działo. Dyskretne światło gwiazd. Pogwar ludzi sunących po ulicach Kijowa w nastroju radosnym, świątecznym, uroczystym, błogim — *Christos woskries*. Była to noc jedyna, natchniona.

Dziwię się, że mój młodszy kolega z Pierwszego Kijowskiego Gimnazjum — Paustowski, znany literat — w swej pięknej książce o Kijowie swej młodości pominął *wsienoszcznuju*. Może spał, nikt go nie obudził, nic nie słyszał? Teraz noc Wielkanocna Kijowa nie gra dzwonami, Dniepr toczy się w nocy bez tego akompaniamentu. Zresztą Paustowski pomija niejedno.

Kijowską osobliwością były „Kontrakty”. Kijów opanowywał szaf. Na Padole, na wielkim placu wyrastało morze straganów zbitych często z nieheblowanych desek, jakieś budki i architektura kształtu podejrzanego. Sprzedawano w nieograniczonej ilości słodycze — chałwę, chałwę i jeszcze raz chałwę, rachatlukum i inne specjały, podejrzanego jaskrawego cukierki, pierniki „wiazemskije” oraz wszelkie inne, najprzeróżniejszych kształtów, lukrowane i nielukrowane. Były budki z wafkami i innymi gorącymi i niegorącymi specjałami.

Były wreszcie w ogromnej ilości zabawki, wyroby ludowe, rosyjski *łubok*, cięte w drzewie malowane lalki w rosyjskich kokosznikach, konie, jakie konie! Czego tam nie było! Były pokazy magiczne, występy teatralne... Pamiętam przybytek skromnych rozmiarów z szyldem: *Bor'ba arabow s niegrami*. Wpuszczano za parę kopiejek za brudną firankę. Widza otaczał nieprzenikniony mrok. Rozlegał się tubalny głos *bor'ba arabow s niegrami, tiomnaja noc', niczewo nie widno...*, po czym widz wychodził z przedstawienia na światło dzienne. Nieodczownym rekwizytem „Kontraktów” był *umirajuszczij czort* — balonik w kształcie diabła z wymalowanymi rogami. Diabeł po nadęciu przybierał właściwe sobie rozmiary i kształt, po odjęciu ust od drewnianej rurki kurczył się i przenikliwie piszczał... Podobnie było z „językiem teściowej”. Jednak nad wszystkim górował *umirajuszczij czort* — chór „diabłów” przy akompaniamentie przeróżnych dziecinnych trąbek i innych instrumentów muzycznych o głosach nieznośnych, które tak podobały się dzieciom. Idąc na „Kontrakty”, już z dala słyszało się tę upajającą symfo-

nię, przerywającą monotonną melodię dni codziennych. Tłumy szły w podnieceniu, wrzaski sprzedających i kupujących — gwar ludzi radośnie podnieconych, szczęśliwych. Młodzież, tzn. uczniowie niższych klas, przeżywali coś w rodzaju szału dionizyjskiego. Wśród kontraktowego mrowiska wznosił się wielki, dwupiętrowy, samotny dom. Królował tam Wschód. Handlowali Chińczycy, Japończycy, Persowie, narody kaukaskie, Tatarzy... Egzotyka, naprawdę ładne dywany, wschodnie tkaniny, biżuteria... Japończycy sprzedawali między innymi żółte, wypchane, tylko co wyklute kaczęta patrzące swymi paciorkowatymi oczami. Kazańscy Tatarzy sprzedawali kazańskie mydło. Dom ten był także nielada atrakcją. Panował tam wesoły gwar, śmiech, krzyki. Dla nas, dzieci, „Kontrakty” były radosnym świętem, na które czekaliśmy cały rok.

Obok wspomnianych „Kontraktów” odbywały się kontrakty inne. Można by je porównać z amerykańską gorączką złota, która ściągała tłumy. Wzbogacano się i rujnowano... „Złotem” kijowskich „Kontraktów” były nasiona buraków cukrowych. Odbywały się transakcje i najprzeróżniejsze interesy. Zdobywano majątki i tracono majątki. Był to kadryl uśmiechów fortuny i dławiących niepowodzeń. Z całej Ukrainy zjeżdżało się ziemiaństwo, w ogromnej większości polskie. Odbywały się zabawy, bale, uroczystości... Było to żniwo dla hoteli, restauracji, przybytków lekkiej muzyki i, jak mówi Szczedrin, *prijutow słodkich otdochnowieńji*. „Château de fleurs” tętniło wzmożonym życiem — karnawał, panny, kawalerowie, posagi, mamusie, opiekunowie. *Dziennik Kijowski* ogłaszał, że na balu w „Ogniwie” będzie przygrywał Herszko z Płoskirowa, szczyt doskonałości...

Tak w paru słowach wyglądały kijowskie „Kontrakty”. Odbywały się one pod rosyjskim panowaniem w *Jugozapadnom Kraje*, ale nie były rosyjskie. „Kontrakty” wywodzą się z tradycji polskiej. Tradycja ta defilowała przed moimi oczami pod rękę z uśmiechniętą i zadowoloną władzą rosyjską, która na „Kontraktach” niejedną smaczny kęs zdobywała i konsumowała ku chwale cara i Rosji. Był to objaw rosyjskiego *dobroduszja*, które zasługuje na coś więcej niż uszczypliwe uwagi i spostrzeżenia — jest w nim urok.

Mówiąc o osobliwościach Kijowa, nie mogę nie wspomnieć o Cesarskim Ogrodzie i łączącym się z nim Ogrodzie Kupieckim, gdzie w lecie odbywały się symfoniczne koncerty pod batutą Bulerjana, a czasem innych znanych dyrygentów. Ogród Kupiecki mieścił się na wyniosłej górze nad Dnieprem, skąd roztaczała się perspektywa na ginące w dali horyzonty. Ogród Kupiecki

była to muzyka w objęciach wspaniałej, urokliwej przyrody, tajemniczego czaru nocy, pod kopułą usianą gwiazdami nieba. Człowiek był młody...

Ogród Cesarski stworzył przede mną świat, od niego się zaczęło. Pierwszym przebłyskiem świadomości, który pamiętam, jest żółty piasek w alei wprowadzającej do Cesarskiego Ogrodu i pomarszczona ręka mojej starej niani — sybiraczki. Piasek i stara pomarszczona ręka.

Potem, z biegiem czasu, poznałem ogród gruntowniej. Zalegał on dużą przestrzeń wyniosłego brzegu dniewowego, panował nad Dnieprem i wielką przestrzenią. Nie wiem, czy wiele jest miejsc na świecie podobnie urokliwych, o tak wzruszających walorach...

Zaczęło się od żółtego piasku alei i pomarszczonej ręki starej niani — było to mniej więcej w roku 1894, a skończyło w roku 1918. Na tej samej alei cesarskiego ogrodu leżały gołe trupy zabitych denikinowskich oficerów. Mogłem zaobserwować wyraźnie zarysowujące się sklepienia klatek piersiowych. W tym czasie rysowałem akty w pracowni mojej ciotki malarki.

Pamiętam galowe przedstawienie w kijowskiej operze. Przechodząc późnym wieczorem ulicą Funduklejewską znalazłem się w pobliżu opery. W operze odbywało się galowe przedstawienie. Zebrał się tłum i czekał na ukazanie się carskiego orszaku. Przystanąłem i ja. Operę otaczał kordon żołnierzy. Wokół gmachu opery ziała pustka placu. Lampy łukowe świeciły jaśniej niż zwykle, gmach pławił się w świetle. W pewnym momencie przez jedne z bocznych drzwi zaczęła wychodzić orkiestra. Muzycanci szli milcząc ze skrzypcami pod pachą. Po przejściu przez kordon żołnierzy znaleźli się w tłumie, zaczęto ich rozpytywać. Nie odpowiadali. Podążyłem za jakimiś skrzypcami. Gdyśmy się oddalili od tłumy, „skrzypce” zakomunikowały, że pierwszy skrzypek został ranny. Nic więcej nie mogłem wydusić. Wróciłem. Zobaczyłem zajeżdżającą przed operę karetkę pogotowia. Powstał nastrój nerwowy i paniczny. Wreszcie ujrzelśmy z daleka carską świtę, która zniknęła nam z oczu. Po pewnym czasie dowiedziałem się o zamachu na Stołypina. Strzelał Bagtow. Jak fama głosi, strzelał w chwili, gdy Stołypin był wpatrzony w znaną piękność, damę carskiego dworu, hr. Rzewuską.

Z obecnością Rosji związana była *Pałata Archangiela Michaiła* — sławetna i ogólnie znana rosyjska *Czornaja Sotnia*. Powstało to nagle, pod patronatem rządu i przewodem prawomyślnego, *istinno ruskowo* ducha. W Kijowie osobą eksponowaną stał się

Gołubiew — student za moich czasów uniwersyteckich. Stoi mi w oczach epileptyczna postać, błędny i mętny wzrok, chudy, dosyć wysoki, blondyn, młody... Było to tak charakterystyczne dla Rosji swoiste wcielenie rosyjskiego mistycyzmu, okaz choroby nerwowej. Gołubiew wzbudzał litość. Było w nim coś z *jurodiwowo* — zjawiska w Rosji znanego i Rosję uosabiającego. Przed zjawiskiem tym niejedna rosyjska głowa chyliła się w pokorze i modlitewnym wzruszeniu, głowa niejedna i nie byle jaka, a jednocześnie wokół tego zjawiska skupiały się najbardziej posępne i zbrodnicze instynkty rosyjskich szerokich mas, stały za nim postacie występne i podejrzane. Zdemoralizowani policjanci, ciemne rosyjskie duchowieństwo i szeregi „prawomyślnych Rosjan”, myślących „naprawdę po rosyjsku”.

Widziałem pochody uliczne na czele z Gołubiewym. Prasowym zapleczem był *Kijewlanin*, wydawany i redagowany przez Witalja Szulgina, *Ruskoje Znamia* i różne *listki*.

Wszystko było *istunno ruskie*, wyrażało prawowity i odwieczny *ruskiej duch* — mogło przytoczyć słowa z prologu do „Rusłana i Ludmiły”: „*tut ruskiej duch, tut Rusju pachniet*”. Był to skrajny rosyjski imperializm oparty o najgłębsze pokłady rosyjskiej ciemnoty, a może nie tylko ciemnoty... Była to nienawiść do wszystkiego co nierosyjskie, do świata Zachodu, „zgniętego Rzymu”, nienawiść do Polaków i wszystkiego co polskie, nienawiść do Żydów.

Jednym z rezultatów tej działalności, najbardziej może efektywnym, był pogrom żydowski w Kijowie. Pogrom ten wzbudził opinię, wywołał niekończącą się polemikę. Pogrom był objawem rosyjskiego *mrakobiesja*, które ma w rosyjskiej rzeczywistości odwieczne prawo obywatelstwa i może się zawsze pojawiać w chwili najbardziej nieoczekiwanej.

Ten rosyjski duch dał o sobie znać w Polsce w roku 1945 — po „wyzwoleniu” Polski z niewoli niemieckiej przez zwycięskie rosyjskie wojsko. Mam na myśli „pogrom” żydowski w Kielcach, zmontowany przez władzę Polski Ludowej — agentów Rosji — mający na celu zohydzenie Polski w oczach świata. Pisała o tym szczegółowo *Polska Niezawista* — ostatnie regularnie ukazujące się pismo Polski podziemnej.

W maju 1914 roku ukończyłem uniwersytet. Jeżeli wspomnienia o gimnazjum mają „kolor różowy”, jeszcze bardziej da się to powiedzieć o uniwersytecie. Pojawiła się tu nie tylko nowa pozycja kolegów — studentów, ale pozycja przyjaciół — profesorów. Tak było na różnych wydziałach. Moim przyjacielem, człowiekiem bliskim, był prof. Bukrajew, znany rosyjski matema-

tyk, który wychował niemało studenckich pokoleń. Twierdził on, że Polacy są do matematyki najzdolniejsi. Moim przyjacielem był także Polak, profesor Białobrzeski, świadek na moim ślubie w Kijowie w grudniu 1919 roku.

Miałem też przyjaciół wśród kolegów Rosjan. Studenci Polacy uniwersytetu św. Włodzimierza nie mogli narzekać na panujące w uniwersytecie stosunki albo twierdzić, że byli prześladowani z tytułu polskości. Oczywiście i na uniwersytecie była *Czornaja Sotnia*, ale na znaczniejsze wystąpienia się nie porywała. Na ogół panował nastrój liberalny, urozmaicany od czasu do czasu rewolucyjnymi demonstracjami młodzieży. Większość profesorów hołdowała poglądom zachowawczym.

Uniwersytet wprowadzał nas w świat nauki. Było to najważniejsze, stanowiło o naszym społecznym stanowisku, o autorytecie w społeczeństwie i we własnych oczach. Byli tacy, co poszli drogą naukową. Dziś jeszcze spotykam profesorów Polaków i uczonych polskich, niegdyś studentów uniwersytetu św. Włodzimierza i Kijowskiej Politechniki.

W Kijowie i całym *Jugozapadnym Kraju* Polacy na równi z Rosjanami korzystali z możliwości uprawiania wolnych zawodów, zajmowali wybitne stanowiska w przemyśle, świecie technicznym, handlu, nie mówiąc już o rolnictwie, które wiązało się tradycyjnie z polsnością i stanem polskiego posiadania na wsi ukraińskiej, uświęconym długoletnią tradycją. Wieś w pewnym stopniu była bazą polskości. Olbrzymie latyfundia, wielkie ziemiańskie majątki, majątki średnie i małe, otoczone tłumem dzierżawców i oficjalistów, stanowiły jakby odrębny polski świat wrośnięty w ukraińską ziemię i zrośnięty z rytmem życia. Dla rosyjskiej administracji było to zjawisko lokalne, mocno ugruntowane.

Wszystko dla Polaków stało otworem, poza światem urzędników państwowych. Poza tym Polacy byli wszędzie, dochodzili do stanowisk eksponowanych nie tylko z tytułu własności ziemskiej. Znałem dobrze Karola Jaroszyńskiego, który własną inicjatywą, talentem i pracą doszedł do olbrzymiego majątku. Był to najbogatszy człowiek na Ukrainie i jeden z najbogatszych w Rosji. W swoim czasie stał się finansowym doradcą rodziny carskiej.

Niejednym z Polaków stawał się „doradcą” i towarzyszem Rosji rewolucyjnej. Polska postawa rewolucyjno-postępowa wyrastała i była pod wpływem postępowości rosyjskiej. Polak lewicowiec stąd właśnie czerpał natchnienie i z pomocą rosyjską tworzył swój postępowy światopogląd. Było to nagminne.

Polacy byli wszędzie i znaczyli wiele. Prezesem Kijowskiej

Rady Adwokatów był Polak, Jordan Pereświat-Sołtan. Było to stanowisko ważne i eksponowane. Wiceprezesem, którego także dobrze znałem, był bardzo wartościowy Iwan Wasiljewicz Małutin.

Jeżeli chodzi o życie osobiste, Polacy nie mieli powodu do narzekania, nie byli przez Rosjan specjalnie prześladowani albo tępieni. Podkreślam to z całą świadomością i odpowiedzialnością za słowa.

Latem 1914 roku wybuchła pierwsza wojna światowa. Wojna objęła sobą rosyjskie życie jak Rosja długa i szeroka, objęła wszystkich rosyjskich poddanych bez względu na narodowość — stała się faktem, który dominował nad wszystkim.

Wojna wstrząsnęła społeczeństwem polskim w Kijowie. Polacy jako rosyjscy poddani brali w niej bezpośredni udział, tzn. walczyli za Rosję i ginęli za Rosję. Świat polski pogodził się z tym nie tylko pod zaborem rosyjskim. Podobnie było w Austrii i Niemczech.

Nie będę poruszał tego tematu. To, co się wtedy działo, charakteryzowało stan polskich umysłów. Jeden Piłsudski...

W Kijowie mogła być mowa o rosyjskim patriotyzmie, który objawiał się w ten lub inny sposób — trudno mówić o patriotyzmie rosyjskim wśród Polaków. W chwili wybuchu wojny nie było nienawiści czy specjalnej wrogości do Rosji. Wojna wywołała osobliwy nastrój polskiej „solidarności” z Rosją. W wojsku rosyjskim znalazło się wielu Polaków, żołnierzy i oficerów — synów, braci, ojców polskich rodzin. W pewnym znaczeniu wojsko było wojskiem „swoim”.

Nikt się nie spodziewał, że wojna rozpoczyna nową erę w życiu prywatnym człowieka, w życiu narodów i państw. Społeczeństwo polskie w Kijowie żyło „dawnym rozpędem”, nie wiedząc, że polskość nabiera innego wymiaru, tzn. nie tylko wymiaru prywatnego życia i obrzędowości polskiej w świecie domów rodzinnych. Życie prywatne będzie musiało zejść z drogi walce o Polskę. Na progu stała wolność.

V. — S A R A T Ó W

Druga połowa listopada 1915 roku. Zimno. Śnieg. Wiatr. Miasto okropne, pozbawione uroku. Bardzo brzydkie. Trochę murowanych budynków w powodzi drewnianych domów i dom-

ków. Sakramentalne gmachy urzędów. Fabryki. Muzeum im. Radiszczewa, *wolnodumca* i prekursora postępowej myśli rosyjskiej, zesłanego do Saratowa. Czasem przychodziło na myśl, że tak mogłoby wyglądać przedmieście, co prawda niemałe. Główna reprezentacyjna ulica z najbardziej reprezentacyjnymi sklepami nazywała się „Niemiecka”, zapewne na cześć osiadłych na ziemiach nadwołżańskich kolonistów — dzisiaj zruszczonych i mówiących niezrozumiałą niemiecką mową.

Saratów był sławny ze względu na swe wielkie olejarnie produkujące olej słonecznikowy. Sprawiało to niezwykle urodzajna ziemia — ziemia dziwna i na mój ukraiński gust niesłychana. Słonecznik siano rok w rok na tysiącach hektarów. Ziemia wytrzymuje. Słoneczniki rosną. Tłoczy się olej. Saratów stał się dużym ośrodkiem robotniczym.

Ludność Saratowa wydała mi się niesympatyczna, subiekci w sklepach ordynarni, życie zdziczałe, prymitywne, często nieobyčajne.

Wiały piekielne wiatry, co przy 20-25° mrozu doprowadzało człowieka do rozpacy. Właśnie w Saratowie odmroziłem sobie uszy. Wytłumaczono mi, że wiatry te wieją tak niesamowicie dlatego, że Saratowa nie chroni już Ural przed wiatrami Lodowatego Oceanu.

W Saratowie zetknąłem się z innym, nieznanym mi i obcym światem. Rosyjska kultura ukazała tu swój profil inny niż w Kijowie. Spotkała mnie niespodzianka. Nikt oczywiście po polsku nie umiał i po polsku nie rozumiał, nie miał z Polską nic wspólnego. A jednak Polska tam się znalazła. Ze zdumieniem zobaczyłem w sklepach i składach wyroby polskiego przemysłu, etykiety „Sosnowiec”, „Łódź”. Nie wierzyłem własnym oczom.

Nad saratowskim światem górowała Wołga — wspaniała, potężna, z niknącą na horyzoncie linią drugiego brzegu. Do Wołgi przypadło swoiste, intensywne życie. Wyładunek i załadunek towarów. Wspaniałe pasażerskie statki *tięptochody*, luksusowo urządzone, odbywające wzdłuż Wołgi tysiąckilometrowe rejsy. Daleko na Północy był Kazań, z kazańskimi Tatarami i mydłem tatarskim sprzedawanym w Kijowie na „Kontraktach”, na południu buchał żarem Astrachań, *rybnyj promysiel*, tysiące pudów eksportowanej ryby i fala południowych owoców bijąca w saratowski brzeg. Na wszystko to patrzył nieruchomym okiem wołżański sterlet, primadonna Wołgi. Robiono z niej cieszącą się ogólnym powodzeniem zupę rybną, *sierleżju uchu*.

Z biegiem czasu poznałem także saratowską wieś z dala od Wołgi. Była ponura i brudna. Zapuszczone, ciemne chaty i gos-

podarskie budynki czerniały pozbawione roślinności, ogołoczone z drzew i krzaków. Ordynarna rosyjska mowa przetkana przekleństwami. Życie pozbawione elegancji w zachowaniu i wyglądzie. Brudne *rubachi na wypusk*. Głowy i brody zmierzwiłone. Wsie nad Wołgą wyglądały lepiej.

Nawet w środowisku inteligencji sposób bycia raził prymitywizmem i ordynarnością obyczajów. Mieszkałem w domu doktora, a więc inteligenta. Stosunki miałem dobre. Byłem kiedyś zaproszony na obiad. Dania były niesmaczne, zrobione niedbale i prymitywnie, ochłapy mięsa. Przed każdym stał *grafinczyk* wódki, który znikał podczas obiadu. Obiad zażenował mnie wyrażnie. I jeszcze o jednej okoliczności uważam za stosowne wspomnieć. Gdy gasiłem światło w pokoju, rozpoczynał się ruch. Słyszałem szelest. Gdy światło zapalałem, ściany były pokryte mnóstwem prusaków. Było to jakieś tłumne zebranie. Trafiały się także tarakany. Nic sobie z tego nie robiono, uważano to za rzecz zwyczajną. Według panującej opinii insekty przynosiły szczęście i nie należało ich ruszać.

Życie w Saratowie było obce i nieprzyjemne. Do tego doszła wojna, która stworzyła sytuację wyjątkową i ciążyła nad życiem.

Oddziały wojskowe przechodziły przysposobienie przed wyruszeniem na front. Parę kilometrów za miastem powstał *wojennyj gorodok*. Było to rosnące miasto drewnianych baraków. Ilość żołnierzy była zmienna, czasem, jak mówiono, dochodziła do 100.000. Obecność *gorodka* odbijała się na saratowskim życiu. Na ulicach spotykało się oficerów i żołnierzy, maszerowały od czasu do czasu oddziały wojskowe, śpiewały znane żołnierskie piosenki. Oddziały junkrów zwracały uwagę swą postawą wojskową i sprężystością kroku — śpiewały: „*My umirat' pojdiom za Ruś rodnuju i kak odin pomriom za doroguju...*” albo: „*Spitie orły bojewyje*”...

O wojnie świadczyły także rzesze *bieżeńców*. W samym Saratowie było do 20.000 ewakuowanej ludności polskiej z Małopolski i Królestwa. Opiekował się nimi Tatjanowski Komitet, tzn. instytucja pod protektoratem wielkiej księżniczki Tatiany. Zarząd komitetu saratowskiego składał się z paru miejscowych Polaków i grupy przyjezdnej inteligencji polskiej — ewakuowanej.

Los polskich *bieżeńców* był nie do pozazdroszczenia. Ogromną ich większość stanowili chłopci i proletariat, ich liczne rodziny, starsi, dorośli, młodzież, dzieci. Wszystko to, poza niewielką grupą inteligencji, która zamieszkała w mieście w wynajętych

mieszkaniach, było stłoczone w barakach, bytowało w oparach nieustającego prania, zalegało pryce, złorzeczyło, kłóciło się, wymyślało, czasem śmiało się i ponuro milczało... Nie ustawał głos dzieci, wrzaski i płacze. Gdy pierwszy raz przekroczyłem próg baraku i buchnęła na mnie barakowa rzeczywistość, stanąłem bezradny.

Po paru dniach udało mi się nawiązać kontakt z tym światem i znaleźć możliwość zbliżenia się do barakowych postaci, wmieszać się w tłum zepchnięty na dno niepowodzenia, wyrwany ze swego świata i puszczonej w świat obcy, warunki przykry i surowe.

Ludzie nie ginęli z głodu. Komitet opiekował się nimi jak mógł, w miarę możliwości przychodził z pomocą w różnych ludzkich sprawach. Opieka lekarska działała dość sprawnie. Pewnego dnia zaprosił mnie dr Gloger, abym mu towarzyszył w wizytacji.

Różnie to wyglądało. W jednym z baraków zobaczyłem skleconą z desek przybudówkę — była to izba chorych przeznaczona dla dzieci. Na podłodze leżały opatulone w nędzny dobytek chore dzieci, senne i niemrawe. Dr Gloger każde z nich troskliwie oglądał, wydobywał ze szmat i chust nędzne, żółte ciała. Dzieci przeważnie były senne i miały przymknięte oczy, większość pacjentów milczała, twarze były poważne... Warunki Izby Chorych były dalekie od luksusu. Przez szparę na progu nawiało śniegu. Zima saratowska jest wietrzna i surowa. Dzisiaj jeszcze widzę nędzne, biedne dziecinne ciała z występującym stosem pacierzowym, jak nanizane na nitkę paciorki... Życie w barakach, pomimo że ludzie je jakoś znosili, było bardziej podobne do piekła niż do nieba. Albo polskie dziewczyny wyrwane z rodzinnego świata, ciśnięte na słomę pryce saratowskich baraków...

Za ścianami baraków świat obcy, niezrozumiały, brutalny... Mrowie włóczących się żołnierzy i saratowska publiczność.

Owczesny świat polski w Saratowie zasługuje na opis. Spośród nielicznej saratowskiej polonii, którą dosłownie można by zliczyć na palcach, nie sposób nie wymienić dyrektora gimnazjum, Dobrowolskiego, człowieka o gołęmbim sercu i wielkim autorytecie moralnym, reagującego zawsze na biedę ludzką. Albo obraz przyjezdnej inteligencji polskiej... Odkładam to do innej sposobności. Obecnie piszę o Rosji.

Z biegiem czasu wdroyłem się w rytm saratowskiego bytowania, przyzwyczałem do saratowskich dni. Ewakuowana polska inteligencja zasklepiła się w sobie i poza rzeczywistość komitetową nie wychodziła.

Z barakami zżywałem się coraz bardziej. Dały mi one możliwość zetknięcia się z saratowskim światem robotniczym i ze związanymi z tym światem czynnikami politycznymi. Natknąłem się na grupę SDKPiL. Poznałem Kubę Fenigsteina. Lubił cytować wzruszonym głosem wiersze Norwida. Kuba stał się jednym z ministrów w rządzie Marchlewskiego, który zbliżał się do Warszawy razem z armią Tuchaczewskiego, ale doszedł tylko do Białegostoku. Mignęła mi postać Winawera, o ile się zorientowałem towarzysza największej wagi w grupie saratowskiej. Poznałem tow. Bohdana, tzn. Wiktora Przedpeńskiego, który w Polsce niepodległej zajmował stanowisko generalnego dyrektora „Wspólnoty Interesów” — uosabiającego wielki kapitał przemysłowy Śląska. Poznałem rodzeństwo Bortnowskich — brata i siostrę, studentów. Bortnowski był wierny i oddany sprawie robotniczej, wrósł w nią i nią żył. Wszystko jej oddawał — swoje życie, żarliwość, wielki charakter i bezgraniczne poświęcenie. Siostra była jego towarzyszką w rewolucyjnej sprawie.

Z Bortnowskim bardzo się zaprzyjaźniłem. Widywaliśmy się co dzień. Po namyśle, ponaglany przez Bortnowskiego, zdecydowałem się podjąć pracę wśród robotników. Uchodziłem za pepesowca z Frakcji Rewolucyjnej. Legitymacja ta najbardziej mi odpowiadała. Przystąpiłem do opracowania kursu „teorii ewolucji” w kilku wykładach.

Pewnego wieczoru a raczej po fajrancie znalazłem się w hali fabrycznej, wśród maszyn. Otaczali mnie robotnicy, moi słuchacze. Tak rozpoczęły się moje wykłady o ewolucji wygłaszane w fabrycznych halach, w obecności tłumu robotników. Wykłady miały powodzenie. Stałem się osobistością znaną i życzliwie witaną przez robotników. Moi przyjaciele i znajomi partyjni — Polacy i Rosjanie — twierdzili, że robotnicy chętniej słuchają moich wykładów niż ich politycznych propagandowych przemówień.

Myślałem o tym nieraz w Saratowie i w wiele lat potem. Doszedłem do przekonania, że istnieją tematy dla danego środowiska „potrzebne”, jak konieczne i nie dające się niczym zastąpić „pożywienie”.

Dla świata robotniczego takim tematem jest ewolucja, i to tłumaczy moje saratowskie powodzenie. Z biegiem lat poznałem Uniwersytety Ludowe, które w życiu wsi polskiej odegrały tak wielką rolę. W świecie chłopskim temat ewolucji nie jest atrakcyjny, nie jest „potrzebny”. Przekonałem się o tym.

Poza światem polskich uchodźców, w którym tkwiłem, otwierał przede mną swe podwoje saratowski świat robotniczy. Zado-

mawiałem się w nim coraz bardziej, wchodziłem coraz głębiej, świat ten porywał mnie po swojemu.

Było to 17 marca 1917 roku. Siedzieliśmy z Bortnowskim w polskiej stołówce. Zjedliśmy obiad za 20 kopiejek. Było mało ludzi, zaledwie parę osób. W powietrzu zawisła monotonia dnia codziennego, cisza i nuda. Przyczynił się do tego zapewne obiad. Nie miał on nic z radości istnienia. Za oknami migali przechodnie. Junkrzy śpiewali: „*My umirat' pojdiom...*”. Było tak jak zawsze.

W pewnej chwili stało się coś nieoczekiwanego i bezsensownego. Zwróciłem się do Bortnowskiego ze słowami: „Słuchajcie — coś się dzieje”. Bortnowski spojrział na mnie jak na wariata. Nastawałem w dalszym ciągu. Wreszcie mój niepokój udzielił się i jemu. Zdecydowaliśmy się pójść do zecerów jedynej w Saratowie oficjalnej gazety. Redakcja, administracja i drukarnia mieściły się w jednym domu reprezentacyjnej części ulicy Niemieckiej. Poszliśmy. Ulica była beznadziejnie normalna, ta sama co zawsze, nic się nie działo.

Kiedy weszliśmy w podwórze drukarni, ujrzelśmy gromadę ludzi żywo o czymś rozprawiającą. W drukarni składano odezwę rządu rewolucyjnego 17 marca 1917 roku.

Tak się zaczęło. Wieczorem koło godziny 8-ej znaleźliśmy się w szczelnie wypełnionej sali — piwnicy gmachu Szkoły Rzemieśniczej na peryferiach miasta. Urzędował Saratowski Komitet Rewolucyjny. Doszliśmy do prezydium, spotkaliśmy tam Kubę Fenigsteina, paru znajomych i przyjaciół. Przewodniczył Milutin, późniejszy komisarz w rządzie Lenina, i Wasiljew.

Rosjanie lubią mówić i potrafią mówić. Rosyjska elokwencja nie da się powstrzymać. Ogarniał nas potok płomiennych i niekończących się rewolucyjnych przemówień. Tak mijały godziny. Sala stała. Ludzie się dusili. W pewnej chwili u drzwi wejściowych zrobił się ruch. Od drzwi przeciskała się przez zbity tłum jakaś postać. Był to ni mniej ni więcej tylko saratowski policmajster. Posuwał się wśród obelg i złorzeczeń — wreszcie stanął w obliczu prezydium Saratowskiego Komitetu Rewolucyjnego. Udzielono mu głosu. Wezwał do rozejścia się — tradycyjny policyjny zwrot. Ostrzegał, że wszystko się źle skończy, wzywał by go usłuchano, że przyszedł z dobroci serca by nas ostrzec i uniknąć nieszczęścia.

Prezydium nie przyjęło tych słów do wiadomości i wezwało policjanta do opuszczenia sali. Policmajster znowu przeciskał się przez lżący go tłum. Wreszcie znikł. Była to sytuacja charakte-

rystyczna dla ówczesnych czasów. Nikt go nie uderzył, nie spadł mu włos z głowy.

Po tym incydencie przemówienia zahuczały znowu. Patrzyłem na zdeterminowany rewolucyjny tłum, na podniecone, pobladłe ze zmęczenia twarze prezydium. Odniosłem wrażenie, że porwał nas potok i płyniemy skazani na łaskę losu. Zwróciłem się do Bortnowskiego. Powiedziałem, że sytuacja jest dość niemądra. Nie wiemy, co się dzieje w mieście. Rano może być przykre przebudzenie. Otoczy nas wojsko i zostaniemy aresztowani. Nastrój niepewności udzielił się innym, powstał samoczynnie. Dziwny to był Rewolucyjny Komitet i dziwne prezydium... W ogóle czas był dziwny. Niepokój narastał. Było po północy. Przemówienia nie ustawały. Nagle zapanowała cisza, otworzyły się drzwi i weszli żołnierze. Nie potrzebowali się przyciskać. Tłum się rozstał. Szli uroczyście, na bacność, z karabinami w rękę. Na czele szedł stary *untier* z siwymi wąsami, z *połnym bantom georgijskich krestow* na piersi. Po dojściu do prezydium żołnierze stanęli. Cisza oczekiwania wydawała się nie do zniesienia. Sala zamarła. *Untier* głosem uroczystym i podniesionym, wymawiając dobitnie każde słowo, jak czynił to przed władzą, zameldował: „*Takaja to rota w połnom sostawie pri orużi i amuniciji otdajotsia w rasporażenije rewolucjonnowo komitieta*”...

Po słowach tych wybuchnął szal. Mało podobnych chwil w życiu przeżyłem. Nad ranem przed gmachem Szkoły Rzemieślniczej stał pułk. Tak meldował się władzy rewolucyjnej *wojennyj gorodok*.

Rewolucyjne uniesienie opanowało wszystkich — całe miasto. Nie było oporu, kontrademonstracji, jakiegось zorganizowanego sprzeciwu. Miasto weszło w stan ekstazy, odbywało się powszechne święto. Wiece, przemówienia nie miały końca. Demonstracje, pochody...

Mam w oczach scenę przedziwną i wzruszającą. Widziałem na własne oczy na chodniku saratowskim uchodzącę ze Lwowa, znanego we Lwowie Naftułę Toepfera — właściciela handelku, który przytulał i karmił lwowski świat artystyczny. Naftułę wspominam z rozczuleniem. Otóż stary Naftuła stał na saratowskim chodniku i płakał. Patrzył na pochód rewolucyjny rozradowany, wzruszony, mówił, jakie to piękne, jak wielkie chwile dane mu jest przeżywać...

Widziałem płynący rynsztokiem ulicznym strumień wina, wódek, koniaków, likierów. Rewolucyjny Komitet w Saratowie zarządził zniszczenie spirytusu, wódek i napojów alkoholowych.

W jednej z bocznic ulicy Niemieckiej mieścił się skład tych napojów. Piramida wyrzuconych na chodnik potłuczonych i pustych butelek sięgała pierwszego piętra, a beczenny płyn, marzenie niejednego saratowianina, płynął ulicznym rynsztokiem i wsiąkał w brud ulicy. Wzdłuż rynsztoku co parę kroków stał żołnierz i pilnował, żeby strumień płynął bez przeszkód. Nieco dalej, gdzie kończyła się żołnierska warta a strumienia nie było już prawie widać, można było zaobserwować leżące na brzuchu rozpląszczone ludzkie postacie. Ludzie przelegali do ziemi i wysysali aromatyczne błoto. Nad wszystkim tym unosiło się w całym tego słowa znaczeniu upajające powietrze. Czasy były niezwykle, działy się dziwne, nie dające się pomyśleć rzeczy...

Widzę jeszcze tłum, który runął na więzienie — na *Saratowskuju Katorżnuju Tiurmu*. Chodziło o uwolnienie więźniów politycznych. Znalazłem się w pierwszych szeregach. Wtargnęliśmy do więzienia. Nikt nie stawiał oporu. Pierwszy raz w życiu przekraczałem próg więzienia, co prawda w okolicznościach niezwykłych. Stoi mi w oczach wspaniała głowa apostoła o rozwianych, siwych włosach — adwokata Miasojedowa, znanego rewolucyjnego działacza. Wyniesiono go na rękach. Tak posuwał się ponad głowami tłumu, w rozgwarze entuzjazmu, wśród triumfalnych okrzyków.

Szukałem politycznych więźniów-Polaków. Znalazłem dwóch i zabrałem z sobą. Poszliśmy do mego mieszkania. Byli to bojowcy PPS, przebywali w więzieniu ponad 10 lat. Chudzi, wynędzniali gruźlicy — ludzie niestarzy. Zrobiłem niespodziewane spostrzeżenie. Wzrok ich był nie do wytrzymania. Nie mogłem znieść wyrazu ich oczu, mimo woli spuszczałem powieki. Potem to przeszło. Rozmowa także była niezwykła. W stosunku człowieka do człowieka błysnęło coś nieoczekiwanego, bardzo ludzkiego. Sły od nich promienie jakiegoś wzruszenia, rozradowania, bezbronności ludzkiej...

Już w pierwszych chwilach rozmowy zawstydzeni i nieśmiali wyjawili swoją tajemnicę — marzenie czy prośbę — poprosili, żeby dać im brauningi. Ci dwaj półżywi ludzie, ledwo trzymający się na nogach, schowali nazajutrz swą ukochaną broń do kieszeni.

Zorganizowałem im pobyt i leczenie. Medycyna saratowska wysyłała gruźlików na kumys. Moi bojowcy wkrótce także na kumys wyjechali. Jeden umarł, drugi został. Był to chudy, ospowaty tow. Bohdan. Spotkałem się z nim w Warszawie w roku 1924. Zaprosiłem go. Mieszkałem wtedy na Królewskiej 23 naprzeciwko Ogrodu Saskiego. Kiedy tow. Bohdan przyszedł i

stanął w oknie mojej pracowni, raptem się ożywił... Opowiedział scenę zamachu na żandarma w roku 1905, zamach ten miał miejsce na wprost mojego okna, przy wejściu do Ogrodu Saskiego. Z tow. Bohdanem niedobrze się działo. Dostał jakąś emeryturę dającą możliwość utrzymania się przy życiu, ale „przydziału” w rzeczywistości polskiej nie uzyskał. Żył z dnia na dzień, wspominając dawne czasy.

Mówiąc o Saratowie i jego porywie rewolucyjnym należy wspomnieć o obchodzie pierwszomajowym w roku 1917. Tłum liczący dziesiątki tysięcy ludzi w uroczystym pochodzie ze sztandarami i transparentami zmierzał w stronę *wojennowo gorodka*. Rewolucja składała wizytę wojsku. Tak się stało, że z grupą polskich robotników znalazłem się na czele pochodu. Niesiono transparent w języku polskim i rosyjskim, tzn. pod napisem „*proletarii wsiech stran sojediniajties*” figurował napis polski „proletariusze wszystkich krajów łączcie się”. Przywiozłem nawet do Warszawy fotografię tej dość dziwnej sceny, kiedy na czoło pierwszomajowego pochodu w Saratowie wysunęły się polskie słowa.

Świeciło słońce. Świat witał nas uśmiechem i promiennym obliczem. Na rozległym polu nie dochodząc *gorodka* stało uszykowane wojsko. Kiedy czoło pochodu ukazało się przed wojskiem, z najbliższej stojącego pułku huzarów odłączył się w galopie jeździec. Koń zarył kopytami na krok przede mną. Pułkownik w pełnej gali zasalutował z konia i spytał, czy jesteśmy Polakami. Odpowiedziałem, że tak. Pułkownik oddał ukłon i ruszył z kopyta do swoich huzarów. Orkiestra wojskowa zagrała Warszawiankę. Melodia Warszawianki rozpoczęła pierwszomajową uroczystość w Saratowie w roku 1917. Słuchały jej tłumy robotników i żołnierzy, słuchała rosyjska rewolucja.

Były to czasy przejmujących do głębi wzruszeń, rewolucyjnego patosu, wiary w człowieka i człowieczeństwo, wyzwania z niewoli.

Wołga była daleko od frontu. Klimat tamtejszych wydarzeń na razie do Saratowa nie dochodził. Nad Wołgą świeciło słońce zwycięskiej, „bezkrwawej” rewolucji.

Byłem członkiem saratowskiego *Sowdepu*, tzn. *Sowieta Sołdatskich i Raboczich Dieputatow*. Byłem delegatem nadwożzańskich *towariszczej gruzczikow*. Było to wspaniałe wojsko, olbrzymie draby, prawie wyłącznie Persowie. Pamiętam ich wzorzyste, wschodnie pantofle, zazwyczaj znoszone, ich postacie żonglujące pakami na wąskich kładkach przerzuconych z okrętów na brzeg. Byłem także przewodniczącym grupy PPS - Frakcja Rewolucyjna, uznanej przez *Sowdep*. Miałem wiele obowiązków i czynności.

Często przemawiałem na wiecach, niekiedy na otwartym powietrzu. Zdobyłem sławę mówcy i straciłem głos. Pewnego dnia zaniemówiłem. Doktorzy powiedzieli, że to przejdzie. Po dwutygodniowej kuracji głos odzyskałem, ale wystrzegałem się już przemówień pod otwartym niebem.

Były to czasy Kiereńskiego. Przewodzili eserzy. Pochód rewolucji odbywał się pod ich sztandarem. Tylko towarzysze z SDKPiL związani z bolszewikami i towarzysze bolszewicy szeptali po kątach: „Wszystko to się skończy, przyjdzie Lenin i wtedy zobaczycie”. Zobaczyliśmy...

Czasy saratowskie kojarzą mi się z Wołgą. Wołga zawsze wspaniała. Na wiosnę linia drugiego brzegu oddala się od horyzontu. Bezkresna, radosna, wiosenna woda. Znikają wyspy, dość na Wołdze liczne. Tu i ówdzie bieleją małe wysepki o średnicy kilku czy kilkunastu metrów. Są to resztki zalanych wysp. Właśnie bieleją — wysepki są białe. Pokrywa je zwartym dywanem przepych wielkich kwitnących konwalii. Do wysepki takiej podjeżdżaliśmy łódką. Przy naszym ukazaniu się słyszeliśmy plusk, woda wokół wysepki drgała w rozpryskach. Coś uciekało z konwaliowego dywanu. Szczury. Po paru minutach wysepkę otaczał zwarty pierścień sterczących z wody szczurzych głów.

Leżeliśmy na kwietnym dywanie, oddychaliśmy zapachem konwalii. Świeciło słońce. Od wody szedł blask. Wokół nas przewalała się wiosenna woda z cichym, porozumiewawczym pluskiem — jakiś wszechogarniający, radosny żywioł. Nad nami było blade, zamglone azjatyckie niebo, uśmiechnięte wiosną. Tak leżeliśmy godzinami.

Kiedy opuszczaliśmy konwaliową wyspę, szczury wracały.

Wołga to Rosja. W Rosji tkwią możliwości, które są jak promień. Rosja to nie tylko dławiący istnienie mrok... Tam, nad jasną wielką Wołgą, dane mi było promień Rosji ujrzeć.

Z Saratowa wyjechałem w czerwcu 1917 roku. Na dworzec odprowadzał mnie tłum robotników ze sztandarami, przeważnie Polaków. Moi przyjaciele Rosjanie namawiali, bym został i jechał z nimi do Moskwy czy Petersburga — do Lenina, na którego czekali jak na Mesjasza. Wracałem jednak do Kijowa — do Polski, wzbogacony tym, co przeżyłem w Saratowie.

Dla ścisłości muszę dodać, że z rosyjskimi towarzyszami i przyjaciółmi Rosjanami w Saratowie i Kijowie o Polsce starałem się nie rozmawiać. Gdy w rozmowach pojawiał się temat Polski, czułem jakieś „ostrzeżenie” — nie można było mówić. To, o czym się mówiło, było ogólnikowe, zdawkowe... Oczywiście

wolność i niepodległość, rozwój... Jednak każda strona inaczej to sobie wyobrażała. Nawet rosyjski sentyment do Polski i mojej osoby sprawy nie zmienił.

Przypominam sobie pewną scenę jeszcze z moich czasów studenckich w Kijowie. Zebranie studenckie w mieszkaniu kolegi Rosjanina. Przeważnie esdecy, jeden bundowiec i ja. Mówiono z przekonaniem, z zapałem, byli specjaliści *naczołcziki*. W pewnym momencie ogólny gwar przekrzyczał głos bundowca: „*Wy goworitie, wy goworitie 'proletarii wsiech stran sojediniajties', i goworitie po ruski*”.

Słowa te kojarzą mi się ze wspomnianym ostrzeżeniem w rozmowach z przyjaciółmi Rosjanami, w rozmowach najbardziej wzruszających.

VI. — ZNOWU KIJÓW

W całej Rosji wszystko, pomimo że takie samo, stawało się niepodobne do siebie. I Kijów, po moim powrocie z Saratowa, stał się niepodobny do siebie. Stał się — pomimo że ulica mówiła po rosyjsku — ukraiński. Kiedy opuszczałem Kijów w listopadzie 1915 roku, najśmielsza wyobraźnia nie mogła przewidzieć tego, co się stało w roku 1917.

Mówiliśmy o wyzwoleniu Ukrainy, ale tego, że za półtora roku będziemy chodzili po ulicach Kijowa jak po ulicach ukraińskiej stolicy — ulicach ukraińskich a nie rosyjskich, że językiem urzędowym będzie język ukraiński a nie rosyjski, tego przewidzieć nie byliśmy w stanie, przekraczało to naszą wyobraźnię.

W miarę rozwoju wydarzeń miał się rozpocząć okres następny — okres powracania Rosji. Zarysowywały się wyraźnie dwie pozycje, bolszewicy i rosyjska kontrrewolucja. Na Ukrainie reprezentował ją Denikin. I bolszewicy i Denikin, pomimo że walczyli z sobą na śmierć i życie, zmierzali do tego samego — do powrotu na Ukrainę, do *Jugozapadnowo Kraja*. Jeżeli chodziło o Ukrainę, przez obu przemawiał ten sam *istinno* rosyjski duch, ta sama rosyjska postawa. Bolszewicy i denikinowcy strzelali do siebie i przegryzali sobie gardła, a jednocześnie i jedni i drudzy strzelali do petlurowców, do Ukraińców walczących o wolność Ukrainy.

Ukraina i sprawa ukraińska była czerwoną płachtą na rosyjskiego byka bez względu na to, czy byk był czarny czy czerwony. Już sprawa polska rodziła niepokój i wprowadzała w irytację

prawowierną rosyjską mentalność. Podrażnienie sprawą ukraińską przewyższało skurcz antypolski, tu Rosja dochodziła do szafu.

I bolszewicy i Denikin mieli wobec Ukrainy swoje metody postępowania. Bolszewicy byli bardziej przebiegli. Swój pełen nienawiści stosunek do wszystkiego co ukraińskie głęboko ukrywali. Na zewnątrz szermowali hasłami rewolucji socjalnej, wyzwolenia ukraińskiego świata pracy, walczyli o wolną i niepodległą Ukrainę... Denikinowcy byli mniej obłudni. Hołdowali Rosji carskiej i żyli dawną tradycją. Denikinowska epopeja była przemijającym fragmentem — nadeszła i minęła nie pozostawiając śladu.

Kiedy 7 września 1919 roku wkroczył do Kijowa na czele denikinowskich pułków gen. Maj-Majewski, na ulicach kijowskich znalazły się tysiące denikinowskich oficerów i żołnierzy. Byli wśród nich tacy, którzy się w Kijowie urodzili, chodzili do szkół, koledzy z gimnazjum, uniwersytetu, politechniki. Czym była denikinowska rzeczywistość, mogłem się dowiedzieć „z pierwszej ręki”.

Denikinowskie pułki defilujące ulicami Kijowa rwały oczy. Ekwipunek i uzbrojenie angielskie robiły olśniewające wrażenie.

Pamiętam rewię wojskową zaraz po wkroczeniu na Placu Sofijowskim przed pomnikiem Bohdana Chmielnickiego. Chmielnicki na wspiętym koniu wskazuje buławą na północ — na Moskwę. Na cokole wyryte słowa: „*Wolim pod caria moskowskowo prawostawnowo*”.

Ten sam Chmielnicki na wspiętym koniu, wskazujący buławą na Moskwę, przyjmował defiladę sowiecką w trzechsetną rocznicę przyłączenia Ukrainy do Rosji, obchodzoną w państwie sowieckim bardzo uroczyście. W obu tych uroczystościach serca rosyjskie były tym samym tętnem.

Świat denikinowski był skazany na zagładę. Nie poruszam tego tematu w całej jego skali. Chodzi o spostrzeżenia z pobytu wojsk denikinowskich w Kijowie. Wojska denikinowskie zajęły Kijów 1 września 1919 roku i opuściły go w połowie grudnia. W dniu zajęcia w samym Kijowie nastąpiło starcie oddziałów denikinowskich z wojskiem ukraińskim — *siczowykamy*, które weszły do Kijowa z innej strony. Starcie miało miejsce koło ratusza. Ukraińcy w popłochu wycofali się z Kijowa.

Jak już wspominałem, pierwsze wrażenie skłaniało do optymizmu. Wojska denikinowskie prezentowały się świetnie, imponowały jednolitością wspaniałego umundurowania i doskonałością ekwipunku.

Wrażenie to trwało krótko. Nastąpiła demoralizacja. Coraz

szersze koła zataczała zorganizowana grabież. Widywałem także grabież niezorganizowaną, ot, tak sobie... Chodnikiem posuwał się na koniu kozak, zatrzymywał przechodniów, nie zsiadając z konia żądał okazania portfelów, pieniądze wkładał do zawieszanej na ramieniu torby, zabierał papierosnice, pierścionki, zegarki... Działo się to w biały dzień, w południe.

Po paru tygodniach świetne oddziały denikinowskie nie były zdolne do walki. Używanie życia, beztroska, pewność siebie, a zarazem tchórzostwo... Widziałem oficerów zrywających epolety ze strachu przed zbliżającym się niebezpieczeństwem.

A przecie denikinowscy oficerowie, wojsko złożone z gimnazystów, studentów i rosyjskiej inteligencji, w walce z bolszewikami wykazywało nieraz godne podziwu męstwo.

Ten kapitał ludzki został zmarnowany przez dowództwo, zwłaszcza polityczno-ideowe. W czasach ogólnego wstrząsu i głębokich przeobrażeń na tragicznej i krwawej scenie wydarzeń nie liczyło się nic poza wiernością dla Rosji carskiej i tępieniem wszystkiego, co Rosją carską nie było. Tradycje Rządu Tymczasowego i rosyjskiego liberalizmu były w świecie rzeczywistości denikinowskiej martwą literą...

Polityka denikinowska była pozałowania godna, tak jak pozałowania godna była postawa mocarstw zachodnich — sojuszników denikinowskiego manewru. Naiwność zachodnich mężów stanu i co tu mówić głupota, zawstydzająca nieświadomość tego, co się dzieje i celowości przedsięwziętych manewrów i posunięć...

Akcja denikinowska zawisła w pustce. Z równą zaciekłością zwalczano bolszewizm i spontaniczny ruch rodzącej się wolnej Ukrainy. Za denikinowską rzeczywistością nie stała żadna myśl twórcza — Denikin był krótkotrwałym epizodem, który przeminął i ześliznął się z powierzchni życia bez śladu. Mignął tylko przed oczami znany aż do znudzenia profil Rosji.

Rzeczywistość bolszewicka epizodem nie była. Worała się krwawo w życie i łatwo usunąć się nie da.

Już od pierwszych chwil wyzwoleńczego ruchu Ukrainy zarysowywała się linia rosyjskiego ataku. Przybierało to różną postać, bardziej lub mniej zamaskowaną, aż w końcu obnażyło się ostatecznie. Rosja ukazała swe prawdziwe oblicze. W warunkach ówczesnych najbardziej autentycznym obliczem Rosji był bolszewizm. Patrzyły na świat krwawe oczy terroru, rosyjskie autokratyczne panowanie ubrane w szatę marksizmu skrojoną rosyjskimi rękami doszło do szczytu. Rosyjskie niewolnictwo i pohańbienie człowieka doszło do nieznaney jeszcze skali. Nienawiść ocukrzona uśmiechem udawanej życzliwości szczyrzyła zęby na

wszystko co ukraińskie. Niemało mógłby o tym powiedzieć Nikita Chruszczow.

Jednym z etapów rosyjskiego ataku było zajęcie przez bolszewików Kijowa w roku 1919. Poprzedziło je parotygodniowe bombardowanie artyleryjskie zza Dniepru, z Darnicy, gdzie znajdowały się wielkie artyleryjskie składy pozostawione przez armię rosyjską z czasów wojny światowej. Było z czego strzelać i było czym strzelać. Armią bolszewicką dowodził Murawjow na spółkę z politrukiem Owsiejenko-Antonowym.

Jak się okazało, w mieście przebywało do 20.000 dawnych rosyjskich oficerów. Towarzystwo to w ogromnej większości zachowywało się biernie i nie brało udziału w obronie Kijowa, nie meldowało się na froncie. Za to „meldowały się” ich trupy w Marjińskim Parku wokół cesarskiego pałacu. Po zajęciu Kijowa przez bolszewickie wojska prawie przez tydzień rozstrzelano oficerów. Łapano ich po całym mieście, aresztowano, pakowano do ciężarówek i zwożono do carskiego pałacu w Marjińskim Parku. W pałacu urzędował Komitet Rewolucyjny. Za oknami rozstrzeliwano oficerów. „Urzędowaniu” towarzyszyły nieustające salwy. Od Marjińskiego Parku przez szereg dni szła groza, ludzie bali się zbliżać, wokoło ziała pustka, przemykały się tylko bolszewickie wojskowe auta i ciężarówki naładowane aresztowanymi.

Te parę dni to było urzędowanie *extra*, potem zaczęło się urzędowanie „normalne”.

Rosja powracała nad Dniepr w triumfie bolszewickiej rewolucji. Fala bolszewickiej rewolucji zalała rosyjskie imperium jak Rosja długa i szeroka. Nikt i nic fali tej przeciwstawić się nie był w stanie. Żywiół bolszewicki stawał się podwaliną nieznaną jeszcze w dziejach Rosji potęgi. W żywiole bolszewickim potęga Rosji rosła jak na drożdżach. Bolszewizm stawał się najbardziej autentyczną rosyjską naturą.

Bolszewizm nie jest artykułem eksportowym. Jest to produkt wyłącznie rosyjski, przeznaczony na rynek wewnętrzny. Jeśli Rosja występuje w imieniu wszechświatowego komunizmu i usiłuje reprezentować wartość uniwersalną, jest to nieporozumienie. Bez akcentu rosyjskiego dzisiejszy świat oficjalnego komunizmu jest nie do pomyślenia. Nie może nas zmylić rosyjska wersja o „własnej drodze do socjalizmu” — wersja powstała z konieczności.

Kto tego nie rozumie, nie jest w stanie zrozumieć Rosji sowieckiej. Bez tego nie można ocenić tego, co się działo na Ukrainie w czasach, o których piszę. W warunkach ówczesnych Rosja musiała wygrać i panować jak chciała.

Rewolucja bolszewicka to nie była już *Wielikaja Bezkrownaja Rewolucja*. Gdy patrzę na to dziś, nie mogę opędzić się przeświadczeniu, że właśnie wtedy, w październiku, Rosja zademonstrowała inne strony swej natury — rosyjskie niewolnictwo, nie liczące się z niczym panowanie, zaborczość, przed którą stanęły nieogarnione perspektywy, krwawe rozprawy, miliony trupów, bezlitośnie pomiatające człowiekiem rządy, niezliczone więzienia...

To właśnie dało Leninowi siłę stanowienia o Rosji. Marks i Engels odegrali rolę w „podeksycytowaniu rosyjskiego mrowiska”, w pojawieniu się wzniosłych sloganów i haseł jak sprawiedliwość społeczna, walka o wyzwolenie robotniczego świata itd. Rola podeksycytowania i rola stanowienia o stanie rzeczy to nie to samo.

W tym, co uosabiał Lenin Rosja odnajdywała samą siebie. Było to *samodierżawje* w innym wydaniu — nowym, współczesnym, uwzględniającym marksizm i materializm dialektyczny, niemniej jednak prawdziwie rosyjskie. Geniusz Lenina polegał na wykorzystaniu tych pozycji dla utrwalenia rosyjskości, pewnych jej cech tradycyjnych.

W miarę czasu występuje to coraz bardziej na jaw. Poprzez zaśnony rewolucyjnego patosu i rewolucyjnego apostołstwa wyziera coraz wyraźniej Kreml.

Dzisiejszy świat komunistyczny zależy od tego, jakie elementy rzeczywistości rosyjskiej dojdą do głosu. O istnieniu akcentów niebolszewickich przypomniał mi „Doktor Żiwago” Borysa Pasternaka. Trudno prorokować bieg rzeczy. Dotychczasowe doświadczenia historyczne wskazują, że to, co w Rosji jest antysamodzierżawne, anty-despotyczne i walczące z niewolnictwem przegrywało. Tak przegrała *Wielikaja Bezkrownaja Rewolucja*. Nie znaczy to jednak, że to umarło...

„Rosja to nie tylko dławiący istnienie mrok”. O tym „nie tylko” powiedziały mi moje saratowskie dni. Po zetknięciu się z bolszewicką rzeczywistością w Kijowie pozostał jedynie „dławiący istnienie mrok”.

Miałem możność porównać panowanie carskie i panowanie bolszewickie. Odbywało się to, co prawda, w nieprawdopodobnie innych warunkach. Teraz do głosu doszły masy. Tak mówiono, proklamowano, tak się zachowywano. Refren ten górował nad kłębiącym się ludzkim światem. Świat ten wyszedł ze swych brzegów. Masy rządziły, a masami rządziła władza bolszewicka, tzn. najbardziej rosyjska Rosja. Rządziła przy akompaniamencie rewolucyjnych, demokratycznych i postępowych haseł, słów, deklamacji. Wszystko działo się w imię rewolucji, której

plomień miał objąć cały świat. O Rosji nie wspomiano, Rosja nie istniała... W samej jednak rzeczy Rosja stanowiła o wszystkim. W takich właśnie warunkach formował się instrument rosyjskiej władzy, wytwarzały się metody rządzenia i panowania.

Kolor czerwony miał w sobie rewolucyjną magię — rozpałał serca, zniewalał ludzi — tych najlepszych — i, co najważniejsze, z czego nie zdawano sobie sprawy, oddawał ludzki żywioł rewolucyjny do dyspozycji czerwonej Rosji, wiernej swemu rosyjskiemu duchowi.

Wiecznie trwać to nie mogło. Z biegiem czasu kolor czerwony zatracał coraz bardziej swoją uniwersalną rewolucyjność i stawał się coraz wyraźniej kolorem rosyjskim — kolorem panowania Rosji nad światem.

Można by to nazwać „przygodą czerwonego koloru”, odbywającą się w naszych oczach. Bierzymy w niej udział. Przygoda ta jest znamieniem naszych czasów. Czerwony kolor traci swoją rewolucyjną duszę... Jest to wspaniały temat. Dziwię się, że nie został jeszcze w całym swym majestacie podjęty.

Manewr rosyjski polegał na tym, że nie tępiono programowo innych, nierosyjskich narodowości, nie odmawiano im prawa do samostanowienia, zapewniano wolność i rozwój kulturalny — ba, walczone o to! Wszystko to jednak mogło mieć miejsce tylko w ramach rzeczywistości bolszewickiej, bolszewickiego światopoglądu, bolszewickiego reżymu — o wszystkim decydowało rosyjskie samodzierżawie występujące w emblematyce wartości ogólnoludzkich, wolności i powszechnej pomyślności. Manewr bolszewicki wchłaniał w bolszewickie szeregi ludzi narodowości nierosyjskiej. Widzimy Polaków, Ukraińców, Łotyszów, Białorusinów, Chińczyków, Gruzinów, Niemców, Włochów, wszystkie żyjące na świecie narody. Bolszewicy narodowości nierosyjskich odegrali w świecie bolszewickim niemałą rolę. Np. Polak — Feliks Dzierżyński, Gruzin — Dżugaszwili-Stalin i wielu innych, zajmujących w bolszewickiej hierarchii niemałe stanowiska.

Nawet najbardziej zaciekli i nieprzejednani wrogowie Rosji nie mogą nie uznać niezwykłości dokonanego przez Rosję dzieła.

Wszyscy bolszewicy podlegali jednemu dowództwu, wszyscy byli w służbie Rosji i wykonywali co Rosja każe, czego chce, ku czemu zmierza, wszyscy wyznawali jedną i tę samą czerwoną, rosyjską wiarę. Lokowali w niej swe własne, narodowe dążenia, nie mieli wątpliwości, że dążenia te dobrze na tym wychodzą.

Kiedy na Ukrainie obok sztandaru czerwonego ukazał się sztandar błękitno-żółty, nastąpiła kolizja... i wybuchła walka.

Walka ta toczyła się w gąszczu nieporozumień, zawzięłości wykołajonego życia, w żywiole szalejącej anarchii.

Narodowy instynkt ukraiński kazał się skupiać wokół sztandaru błękitno-żółtego. Nie ulegało wątpliwości, że tak jest i tak być powinno. Niejeden poszedł i niejeden za Ukrainę zginął.

Po raz pierwszy zetknąłem się wtedy ze zjawiskiem masowego terroru — już nie odruchu w roznamiętnieniu walki, ale stałej funkcji administracyjno-państwowej, stosowanej systematycznie z całą premedytacją i znajomością rzeczy.

W dwadzieścia lat potem spotkaliśmy się z tym w Niemczech hitlerowskich. Rosja bolszewicka była pierwsza — pierwsza uprawiała urzędowo zbrodnię masową na wielką skalę jako metodę rządzenia, mającą zapewnić ogólną szczęśliwość.

I to właśnie było *novum*.

Było to specjalnym rytmem bolszewickiej rzeczywistości. Groza odruchowego mordu — mordu w afekcie — musiała stać się na baczność przed Cze-Ka, skapitulować i pokornie usunąć się z drogi.

Zawołaniem rzeczywistości bolszewickiej było Cze-Ka. Był to herb na tarczy, z którą ruszono na podbój świata. Tak się zaczęło i tak trwa do dziś. Dzisiaj „instrument” ten został ulepszony. Istota rzeczy pozostaje ta sama.

Wydawało mi się, że znam Rosję, znam historię Rosji i dzieje polskiej martyrologii. Jednak nie wiedziałem, że Rosja jest aż taka... Nie mam zamiaru opisywać działalności *czerezwyczaiki*. Zrobili to inni i zrobią jeszcze. Istnieje bogata literatura o sowieckich więzieniach i „łagrach”, o milionach skazanych i skazywanych na śmierć ludzi. Obok hitlerowskich obozów koncentracyjnych i komór gazowych to niemniejsza osobliwość XX wieku. Jeżeli o tym wspominam, to dlatego, że z tym właśnie spotkałem się po raz pierwszy w roku 1918 nad Dnieprem.

Jakże niewspółmiernie „niewinna” wydała mi się wtedy Rosja carska. Świat rosyjski stanął przede mną o wiele bardziej intensywnie... Tutaj dopiero dane mi było przekonać się, do czego może dojść rosyjski „dławiący istnienie mrok”.

Obserwowałem Rosję w walce z budzącą się świadomością narodową ukraińską i ruchem wyzwolenicznym ukraińskim.

Rosyjską bronią w tej walce był nieznanый jeszcze nikomu terror — niekończąca się krwawa zbrodnia, która działała jak rozpalone do białości żelazo.

Ukrainę budowano bolszewickimi rękami. Budowano jednak po swojemu, jak każe bolszewicka władza. Bolszewicki schemat

obowiązywał. Inaczej być nie mogło. Było to dobrze znane za czasów carskich — „*priniat' k świedieńju i k rukowodztwu*”.

Mniej więcej wyglądało to tak, jak gdyby przebywającym w więzieniu więźniom w otaczających ich ze wszystkich stron murach więziennych dano wolność i możliwość realizowania ich narodowych marzeń. Oczywiście wszystko musiało być w zgodzie z więziennym regulaminem, stanowiskiem więziennej administracji i jej sposobem pojmowania rzeczy, w nędzy dni więziennych...

Tak właśnie wygląda manewr Rosji. Wolność może mieć miejsce tylko w więzieniu. Tylko tam mogą się rozlegać manifesty wolności. I to jest wolność prawdziwa, uosabiająca to, ku czemu człowiek dąży, co istnienie ludzkie wzbogaca... Wszyscy przebywający poza murami więzienia, tzn. poza efektywną władzą Politbiura są zbrodniarzami i wrogami ludzkości.

Ten wyraźny i nie wzbudzający wątpliwości schemat został w ostatnich czasach przysłonięty pomysłem „koegzystencji”. „Koegzystencja” stała się hasłem dnia bolszewickiego świata. Dostyć posłuchać Chruszczowa. Nie ma podstaw, by brać to bezkrytycznie i w dobrej wierze. Nie należy przechodzić do porządku nad schematem „więzienia”, który przez tyle lat był podstawą prosperowania bolszewickiej Rosji. Zresztą... nic nie wskazuje, że schemat ten nie jest dzisiaj aktualny...

W czasach, o których piszę, „instrument” rosyjskiego panowania działał sprawnie i z powodzeniem. Rosja zwyciężała i zwyciężyła — doprowadziła do stanu, który dzisiaj obserwujemy. Stan ten ma cechy stabilności. Czy jest to ostateczne załatwienie sprawy i ostateczne zwycięstwo Rosji? Na pewno nie. Ale w tym co się stało potęgą Rosji wystąpiła w największym blasku siły i stanowienia. Odniosła sukcesy niezwykle.

Walka Rosji z polskością była w tym czasie mniej godna uwagi. Był to fragment, sprawa marginesowa. Ludność polska na Ukrainie naddnieprzańskiej znosiła to, co znosili wszyscy. Rzecz oczywista, ziemiaństwo polskie, jako stan posiadania, przestało istnieć. Stało się to „samo przez się” w wirze tego, co się na Ukrainie działo.

Udział Polaków w świecie bolszewickim nie był imponujący. Od czasu do czasu pojawiały się pojedyncze postacie. Polacykatolicy nie byli atrakcyjni — zresztą „progi polskich domów” miały także coś do powiedzenia.

Po powrocie do Kijowa przez pewien czas otrzymywałem listy od moich saratowskich przyjaciół. Pisali, że pozostawiona przeze mnie „frakcja rewolucyjna PPS” trwała i była przez *Sowdep* respektowana. Z chwilą jednak gdy pojawiła się PPS-

Lewica, *Sowdep* umył ręce — lewica PPS zlikwidowała frakcję. Dowiedziałem się także o śmierci mojego przyjaciela Bortnowskiego, który jako SDKPiL-owiec od samego początku szedł razem z bolszewikami. Ostatnio był w Moskwie. Został zastrzelony przez czekistów.

Z Kijowa wyjechałem 12 grudnia 1919 roku. Jechałem do Polski. Wojska denikinowskie opuszczały Kijów. Wchodzili bolszewicy. Mój pobyt w Kijowie zakończył więc etap rosyjski. Rzeczywistość denikinowska była żalosna: tłumy zdenerwowanych oficerów w mieście, na dworcu, w pociągach... Koniec denikinowskiej epepei.

V. — W A R S Z A W A

Po przybyciu do Warszawy odniosłem wrażenie, że Rosja przestała istnieć, skryła się za horyzont. Opowiadania o bolszewickim piekle i straszliwych przejściach nie znajdowały echa. Myślę, że wszystko sprowadza się do doświadczenia. To decyduje. Chodzi o doświadczenie i możliwość doświadczenia. Jeżeli tego nie ma, jest jakieś bezkrwiste rozumienie rzeczy, które naprawdę człowieka nie obchodzi, nie każe przeżywać. Może tylko sztuka potrafi to sprawić...

Dlatego mówię, że „Rosja odeszła za horyzont”. Po pewnym jednak czasie uległo to zmianie. Rosja stała się obecna. Walka z Rosją i nasza zwycięska ofensywa na Kijów. Po pewnym czasie Rosja znalazła się pod Warszawą. Polska przeżywała ciężkie i tragiczne dni. Olbrzymia fala rosyjska sunęła w pochodzie na zachód. Polska miała być pierwszą ofiarą — Polska pozostawiona samej sobie...

Wspomniałem już, że z rozkazu Komendanta miałem przygotować walkę dywersyjną w Warszawie i objąć nad nią dowództwo na wypadek zajęcia Warszawy przez bolszewików. Pamiętam nigdy niezapomniany w moim życiu dzień. Wezwany przez Komendanta znalazłem się w Belwederze. Było to przed wyruszeniem Piłsudskiego na front. Miała się rozpocząć polska kontr ofensywa znad Wieprza. Wszedłem do małego gabinetu, w którym zazwyczaj rozmawiałem z Komendantem i czekałem. Wszedł Piłsudski, w milczeniu wpatrzył się we mnie przez pewien czas i wyszedł. Chciał się zapewne upewnić, czy zadanie wykonam.

Tuchaczewski został rozgromiony. Fala rosyjska cofnęła się. Polska całemu światu dała o sobie znać. Potem pokój Ryski.

Miałem brać udział w polskiej delegacji. Odmówiłem. Nie mogłem patrzeć na bolszewików, siedzieć z nimi przy jednym stole, nie mogłem podać im ręki po tym, co widziałem w Kijowie.

Życie toczyło się dalej. Rosja zaledwie majaczyła. Polska rzeczywistość nabierała coraz jaskrawszych barw.

W owym czasie poznałem w Warszawie dwóch wybitnych Rosjan walczących z bolszewikami. Byli to Borys Sawinkow i Dmitrij Fiłosofow.

Borys Sawinkow był znanym rosyjskim rewolucjonistą, jednym z eksponowanych terrorystów w wielkim stylu. Widywałem się z nim nie raz. Stał na czele *Sojuza Oswobodienija Rossii*, bojowej organizacji walczącej w Rosji. Kiedyś, zaproszony przez Sawinkowa, znalazłem się na posiedzeniu w numerze hotelu Rzymskiego, gdzie Sawinkow mieszkał. Przewodniczył Sawinkow. Oprócz mnie w pokoju znajdowało się paru rosyjskich chłopów — bardzo typowych i bardzo rosyjskich. Przeszli przez zieloną granicę z dalekiej Rosji i mieli do Rosji powracać. Byli to delegaci walczących w terenie oddziałów *Sojuza Oswobodienija Rossii*. Przyszli do Sawinkowa — do swego wodza. Wódz przemawiał, dawał instrukcje, wydawał rozkazy, umiał to robić. Chłopi słuchali wpatrzeni w Sawinkowa jak w ikonę.

Patrzyłem na nich ze wzruszeniem. Podniesieni na duchu, z wiarą w sercu, z wiarą w Rosję i Borysa Sawinkowa pójdą znowu przez zieloną granicę i znajdą się w bolszewickim piekle, by walczyć.

Borys Sawinkow był zjawiskiem bardzo rosyjskim. To, co zrobił, zrobili i inni wielcy Rosjanie, np. Bakunin. Bakunin kajał się przed carem Mikołajem — Sawinkow pojechał do Moskwy, by kajać się przed władzą bolszewicką.

Miałem wstrząsającą w swej wymowie odbitkę z jakiegoś pisma. Sawinkow stoi przed bolszewickimi komisarzami. Komisarze siedzą. Sądzą Borysa Sawinkowa. Postać Sawinkowa i wyraz jego twarzy robią wrażenie niesamowite. Jest to scena z Dostojewskiego, która nie została przez Dostojewskiego napisana. Dzieje się coś, z czym człowiek nie jest w stanie się pogodzić. Sawinkow przestał istnieć, a może właśnie istniał najbardziej. Pozostał trup.

Dmitrij Władimirowicz Fiłosofow był to *ruskiej barin* a zarazem demokrata, intelektualista, inteligent rosyjski w najlepszym znaczeniu tego słowa. Sławny Dima razem z Sawinkowem, a potem bez Sawinkowa, wydawał w Warszawie rosyjskie pismo *Za swobodu*. Był człowiekiem znanym i ogólnie szanowanym.

W owym czasie przewinęły się przede mną inne jeszcze ro-

syjskie postacie. Mam na myśli Rosję nie-bolszewicką. Pamiętam parę, która w życiu warszawskim ukazywała się tu i ówdzie — Mereżkowski i Zinaida Gippius. Na obiadach w Astorii na Nowym Świecie widywałem małą, szczupłą, siwą postać byłego carskiego ministra Sazonowa z przyklepionym do warg zdawkowym uśmiechem. Obecnie skromny starszy pan, a niegdyś potentat na firmamencie polityki zagranicznej rosyjskiego imperium i świata Europy.

Kiedyś całą noc spędziłem z Burcewym w towarzystwie Stanisława Stempowskiego i Andrzeja Struga. Burcew był wезwany do Warszawy przez pewne koła polskiej inteligencji dla przeprowadzenia rozmowy o Stanisławie Brzozowskim.

Jak się okazało, do rozmowy o Brzozowskim Burcew nie był przygotowany i nie miał zająć w tej sprawie wyraźnego stanowiska. Osobiście Brzozowskiego obciążał. W ogóle rozmowa była niezwykle interesująca. Burcew mówił o Rosji i rewolucji rosyjskiej.

Niezatarte wrażenie zrobiło na mnie opowiadanie o Bakaju. Burcew poświęcił szereg lat swego życia dla wyjaśnienia, czy Bakaj był prowokatorem. Zamieszkał z Bakajem w Paryżu w jednym pokoju. Stał się jego serdecznym przyjacielem i opiekunem. Czuwał nad świetną karierą Bakaja — inżyniera francuskiego, który po ukończeniu politechniki w Paryżu prowadził odpowiedzialną robotę na Madagaskarze, został odznaczony Legią Honorową itd. Przez cały czas „przyjaciel i opiekun” nie spuszczał z Bakaja wzroku, usiłując dojrzeć w nim coś z prowokatora. Tak szły lata. Była to sytuacja niesamowita, odrażająca. Jak Burcew mógł to wytrzymać, jak mógł powziąć podobny plan? Odpowiedź na to mógłby dać Dostojewski. Nie wiem, czy trafiłby Kafka.

Nie mogę zapomnieć ukazania się w tym czasie w Warszawie sławnego niegdyś poety, bożyszczą moskiewskiego mieszczaństwa, zwłaszcza pań — Igora Siewierianina. Przeczytałem w prasie, że Igor Siewierianin będzie recytował swe utwory w sali Towarzystwa Higienicznego na Powiślu, późniejszego teatru Jaracza.

Sylwetka Igora Siewierianina była w swoim czasie bardzo znana. Natchniona postać poety z rozwianym włosom. Kiedy ukazał się na estradzie Towarzystwa Higienicznego, ogarnęło mnie jakieś żałosne rozczulenie. Wyglądał jak wypierzony kaczor. Wspaniałą sylwetkę zdeformował czas. Był to człowiek mocno starszawy. Na czaszce błędziły pasma niegdyś rozwianych i bujnych włosów. Mistrz, jak zwykle, śpiewał swoje „poezy”. Śpiew był drżący. Jako ostatni akord koncertu zabrzmiały wykrzyki-

wane starczym głosem „Ananasy w szampanskom”, powtarzane niegdyś jak Rosja długa i szeroka jako triumfalny okrzyk Igora.

Akcenty rosyjskie w ówczesnej Warszawie nie były tylko przebrzmiałe, żalodne. Były także akcenty wzruszająco piękne, np. występ tancerki rosyjskiej Karsawiny w warszawskiej Filharmonii. Była to wielka sztuka, wspaniała, nieprzemijająca. Jeszcze większym przeżyciem był poranek w Filharmonii poświęcony Strawińskiemu. Dawano jego „Opowieść żołnierza”.

Rosję współczesną — bolszewicką — której Warszawa jeszcze nie знаła, a która pojawiła się na Krakowskim Przedmieściu w postaci niekończącego się tłumu bolszewickich jeńców, reprezentował ponury i tajemniczy gmach sowieckiej ambasady przy ulicy Poznańskiej. O gmachu tym krążyły ponure i straszne legendy.

Z ambasadorem sowieckim spotkałem się w roku 1930. Był nim znany już z bombardowania Kijowa Owsiejenko-Antonow. Ambasador sowiecki zgłosił mi swą oficjalną wizytę jako urzędującemu ministrowi spraw wewnętrznych. Pretekstem wizyty była interwencja w sprawie odezwy, jaka ukazała się w Warszawie w związku z „dniami papieskimi”. Ambasador oświadczył, że Związek Sowiecki czuje się dotknięty. W rzeczowej wymianie zdań pretensje ambasadora zostały rozwiane, a ja oświadczyłem, że nie widzę możliwości ani potrzeby usunięcia odezwy. Potem wywiązała się dłuższa rozmowa. Pod moim adresem z ust ambasadora wypłynął potok komplementów. Spotkanie było pełne kurtuazji, poruszaliśmy różne tematy. Okazało się, że pan ambasador jest znawcą *quattrocenta* włoskiego. Dość długo trwał dyskurs na ten temat. Przy końcu rozmowy znowu wypłynęły urzędowe sprawy. Zgodnie z historyczną tradycją Moskwy ambasador moskiewski poruszył sprawę *ugnietiennoy prawosławnoy cerkwi w Rzeczypospolitej Polskiej*. Tym razem sytuacja była osobiwa, inna od wszystkich historycznych warunków, w których podobne rozmowy między Moskwą a Polską się toczyły. Rozmowa ta miała miejsce w czasie, kiedy w Rosji rozpetano falę „bezbożnictwa”, tzn. brutalnego i bezkompromisowego niszczenia cerkwi i wiary prawosławnej, likwidowania prawosławnego duchowieństwa. Odwieczna tradycja rosyjskiej ingerencji w życie Polski pod pozorem opieki nad prawosławiem przeszła nad tym do porządku, nie cofnęła się przed bijącym w oczy bezsenssem. W końcu ambasador sowiecki w imieniu swego rządu zaprosił mnie do Moskwy i zapewnił, że będę wspaniale przyjęty. Nie pojechałem. Miałem wystarczające powody, by z tego zaproszenia nie skorzystać.

Z Rosją spotkałem się jeszcze w związku z regulowaniem spraw cerkwi prawosławnej w Polsce. Zostałem mianowany przewodniczącym delegacji rządowej, która miała sprawę tę przeprowadzić. Rozpoczęły się posiedzenia delegacji ze św. Synodem Kościoła Prawosławnego. W osobie ks. Metropolity Dyonizego spotkałem typową rosyjską postawę i sposób bycia, co nie ułatwiało sprawy. Duchowieństwo prawosławne w Polsce było rosyjskie, hołdujące tradycjom cerkwi w Rosji carskiej. A Polska rozpoczęła od orędzia Prezydenta Rzeczypospolitej o zwołanie prawosławnego Soboru Generalnego. Było to sprzeczne z duchem *sinodalno-konsysterskowo stroja* z czasów Pobiedonoscewa. Praca w tych warunkach nie była łatwa. Akcent rosyjskości kościoła prawosławnego nie układał się w rzeczywistości polskiej.

Obecność Rosji ciążyła nad stawianiem się Polski. Mimo że Polska musiała się z nią bardzo liczyć, nie była ona w ogromnej większości wypadków przez społeczeństwo polskie zauważana. Polska żyła własnym życiem i nie miała czasu na wychylanie się poza swój własny, polski świat. To, co stawało się pomiędzy Polską a Rosją należało do władzy, do rządu i odbywało się zazwyczaj poza świadomością przeciętnego obywatela.

Typowym tego przykładem było zagadnienie prawosławia i to, co się w sprawie tej dokonało. Podobnych spraw było wiele, może mniej zasadniczych i dla Polski doniosłych. Nie mówię o polityce zagranicznej, wymagającej bardziej wyczerpującego naświetlenia.

Dla szerokiego ogółu Rosja była jednym z byłych zaborców o ustalonej w Polsce opinii. Gdy Polska stała się państwem niepodległym, Rosja była państwem ościennym, z którym zawarto pokój Ryski. Panowały więc stosunki normalne, zgodne z obowiązującym w takich razach protokołem.

Rosja zajęta była swoimi sprawami. Do polskiej świadomości zagadnienie rosyjskie w całej swej potężnej skali nie docierało. Zajmowanie się Rosją w znaczeniu twórczym, aktualnym, wymagającym największego napięcia świadomości, nie było potrzebne. O Rosji mówiono „z przyzwyczajenia”, „z rozpędu”, posilkowano się ustalonymi i wyświechtanymi schematami.

Tymczasem rzecz miała się inaczej. Sprawa Rosji wymagała największej mobilizacji władz twórczych i umysłowych. Nie było chwili do stracenia. Rosja stanęła na drodze realizacji swej nieznannej jeszcze potęgi. Cień jej miał paść na cały świat, a my nie wychodziliśmy poza zdawkowe frazesy, reminiscencje historyczne, obrazy zbrodni dokonanych przez Rosję nad Polską, opowiadania Polaków o krwawym terrorze i bolszewickim bestialstwie.

Tymczasem bolszewicka Rosja nie ustawała ani na chwilę w działaniu. Dywersja i propaganda moskiewska przenikały polską rzeczywistość najprzeróżniejszymi drogami. Jak już wspomniałem na początku, dywersja ta przybierała postać rewolucyjnej propagandy w świecie robotniczym w centralnych i zachodnich okręgach Polski, np. województwo poznańskie uważane było za najbardziej skomunizowane. Na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej dywersja moskiewska była skierowana na wywoływanie nienawiści narodowościowej, inspirowanie nastrojów antypolskich wśród ludności ukraińskiej i białoruskiej, wreszcie organizowanie zbrojnej akcji partyzanckiej przy pomocy i udziale *krasných kursantów* z Charkowa. Charków był miejscem szkolenia takich „kursantów”.

VI. — WOŁYŃ

Z takim właśnie działaniem rosyjskim dane mi było spotkać się na Wołyniu już od pierwszych chwil mego urzędowania na stanowisku wojewody wołyńskiego, które objąłem w lecie 1927 roku.

W powiecie łuckim, w pobliżu granicy Małopolski Wschodniej leży wieś Żabcze. Wieś ta stała się sławna. Była to wieś mieszana, polsko-ukraińska. Kościół katolicki został swego czasu zamieniony przez władzę carską na cerkiew. Kiedy nastała Polska, cerkiew stała się kościołem niezgody pomiędzy ludnością polską a prawosławną. Polacy dążyli do rewindykacji kościoła, prawosławni bronili cerkwi. Wrzenie wzrastało. Doszło do tego, że ludność katolicka przemocą wdzieraa się do cerkwi, zajmowała ją, odbywały się nabożeństwa... Przy pierwszej jednak sposobności prawosławni zajmowali cerkiew znowu. Był to stan przybierający na sile walki religijnej. Sceny stawały się coraz bardziej burzliwe i drastyczne. Żabcze mogło się stać każdej chwili areną pożarowania godnych wypadków, rzucających cień na dobre imię Polski i budzących echa oburzenia na świecie.

Była zima. Parę dni bawiłem w sprawach służbowych w Warszawie. Dyrektor departamentu w ministerstwie W.R.iO.P. Franciszek Potocki zaalarmował mnie, że w Żabczu wybuchły ekscesy i stan jest groźny. Od paru dni tłum prawosławnych zajmował cerkiew siłą. Złamał kłódki zawieszane przez Polaków i zamknął się w cerkwi jak w fortecy. Pop Zahajdakowski zaprzysiągł wiernych, by cerkwi bronili i dali swe życie w ofierze

za wiarę prawosławną. Odbywały się nieustające modły. Tłum opanowała ekstaza. Mijały dni.

Wezwano wojsko i policję. Otoczono cerkiew jak bastion. Przerwano łączność zgromadzonych ludzi ze światem. Próby wejścia do cerkwi spełzyły na niczym. Cerkiew się broniła. Ilekroć policja usiłowała otworzyć drzwi, ręce policjantów krwawiły od uderzeń żelaznych łomów.

Bez użycia broni usunięcie tłumu z cerkwi było niemożliwe. Oblegający czekali na rozkaz natarcia.

Udałem się do Metropolity Dyonizego. Przedstawiłem sprawę, o której zresztą był już dokładnie poinformowany. Prosiłem, by wysłał swego pełnomocnika księdza, który uwolniłby zebranych w cerkwi od złożonej na ręce ks. Zahajdakowskiego przysięgi trwania w oporze i poniesienia śmierci męczeńskiej. Metropolita rozmawiał ze mną niechętnie i wręcz odmówił interwencji. Zarysowała się perspektywa aktu męczeństwa cerkwi prawosławnej w państwie polskim, aktu tak politycznie pożądanego przez tych, którzy od wieków przyzwyczaili się występować w charakterze obrońców ludności i cerkwi prawosławnej w Polsce i w ten sposób interweniować w życie Polski. Masowy grób w Żabczu poruszyłby opinię Europy i świata, wołałby o pomstę do nieba...

Wyjechałem do Łucka. Pociąg warszawski przychodzi wczesnym rankiem. O 8-ej byłem już w swoim gabinecie w Urzędzie Wojewódzkim. Złożono mi sprawozdanie o sytuacji. Czekano na moją decyzję. Jeszcze z Warszawy zażądałem usunięcia wojska. Policja trwała na posterunku wokół cerkwi.

Tłum wewnątrz cerkwi stanowili ludzie starsi, mężczyźni, kobiety i dzieci. Był siódmy dzień oblężenia. Zamknięci w cerkwi pozbawieni byli jedzenia i wody. Panował mróz. Ludzie zlizywali szron z okien. Mimo to nie chcieli pertraktować. Stawiają opór i nie wpuszczają nikogo. Może są już trupy, chorzy, są na pewno doszczętnie wyczerpani, gonią resztkami sił.

Groza sytuacji rosła z godziny na godzinę. Była to jedna z najtrudniejszych chwil w moim urzędowaniu. Ja odpowiadałem za wszystko. Do mnie należała inicjatywa. Czekano na moją decyzję. Przez pewien czas męczyłem się sam z sobą.

Doradcy moi podsuwali myśl użycia energicznych środków dla złamania oporu czającego się w zmarłej cerkwi. Należało użyć broni. Ilość ofiar byłaby mniejsza w porównaniu ze zwałami zamarzniętych w cerkwi trupów. Należało wybrać mniejsze zło.

Wreszcie w rozmowie z samym sobą decyzja zapadła. Poleciłem odwołać policję i pozostawić cerkiew samą. Policja odeszła z promienia widoczności ludzi zamkniętych w cerkwi.

Wezwałem starostę łuckiego i powiatowego lekarza. Poleciłem zmobilizować lokomotywę jako jedyny środek szybkiej komunikacji z Żabczem. Drogi zawiął śnieg. Starosta i lekarz mieli się udać do cerkwi, tzn. dojść do drzwi cerkiewnych i oświadczyć, że przyjechali z pomocą dla przebywających w cerkwi ludzi. Chodziło o jedzenie i wodę. Chodziło o pomoc lekarską. Zgodnie z opinią doktora w sytuacji jaka powstała należało dostarczyć w pierwszym rzędzie wody zmieszanej z odrobiną wina. Potem była mowa o rosole z kury. Słowem, zdecydowałem się nieść pomoc zebranim w cerkwi, nie licząc się z czasem. Niech siedzą, jedzą i piją. Nie stawiałem żadnych warunków. Niech robią co chcą.

Ludzie z cerkwi po przekonaniu się, że mają do czynienia tylko z dwiema osobami i że chodzi jedynie o pomoc lekarską, żywność i wodę, wpuścili moich „posłów” niosących wiadra z wodą. To, co ujrzeli było makabryczne. Dzieci i kobiety przeważnie leżały na podłodze, leżeli także ci, którym trudno już było podnosić się. Przed ołtarzem, tzn. przed „carskimi wrotami” stał pop Zahajdakowski z krzyżem w ręku, a koło niego parę postaci. Panowała cisza wyczekiwania. Kiedy „posłowie” stanęli przed ołtarzem, doktor zapytał, czy są chorzy i zapowiedział pomoc medyczną, zapowiedział także, że zacznie rozdawać wodę z winem. Wyciągnęły się ręce, pojawiły się kubki. Doktor nalewał, ludzie pili... w pewnym momencie rozległ się głos: „Nie wypijcie wszystkiego, niech i nam zostanie”. I to właśnie przerwało panujące napięcie, zaczęto mówić, pojawiły się słowa zwyczajne, ludzkie, stali się zwykłymi ludźmi. Większość ruszyła do wsi, do domu. Doktor zarządził gotowanie rosółu, zao piekował się chorymi. Zaczęły się normalne czynności. Wezwanie ks. Zahajdakowskiego do pozostania i wytrwania w ofierze nie odniosło skutku. Pozostałą garstkę opornych usunęła policja. Tak zakończył się incydent w Żabczu.

Incydent ten ujawnił uwagi godną okoliczność. Śledztwo wykazało, że wśród osobników stanowiących świątę ks. Zahajdakowskiego rozpoznano dwóch bolszewickich agentów. Żabcze to typowy przykład działania bolszewickiej dywersji. W danym wypadku dywersja ta wykorzystwała zaognienie stosunków religijnych dla rozpalenia nienawiści ludności ukraińskiej do polskiej. Żabcze bolszewikom się nie udało. Nie było trupów ludzi giną-

cych za wiarę prawosławną w katolickiej Polsce. A tak mało brakowało...

Na drugi dzień po pomyślnym zakończeniu sprawy Żabcza zjawił się w Łucku delegat Metropolity Dyonizego z misją interwencji, o którą osobiście metropolitę prosiłem w mojej z nim warszawskiej rozmowie. Podziękowałem delegatowi — był to pop — i zamiast do Żabcza wyprawiłem go nie zwlekając z powrotem do Warszawy.

Prokuratura wołyńska i władze bezpieczeństwa zajęte były bez przerwy walką z bolszewicką dywersją w postaci Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. Wołyń znany był z olbrzymich komunistycznych procesów, jakie się tu od czasu do czasu odbywały. To „urzędowanie” z komuną, konieczne i nieuniknione, nie interesowało mnie specjalnie. Uwaga moja była skierowana na inne sprawy i zagadnienia. „Urzędowanie” z KPZU załatwiała się automatycznie, biegło swoim ustalonym trybem.

Od czasu do czasu krążyły wersje o bestialskim zwalczaniu ruchu komunistycznego na Wołyniu, znalazło to kiedyś echo w wystąpieniach sejmowych. Nawet minister Pieracki grzmiał z sejmowej trybuny, że „zrobi porządek”. Rodziły się głosy oburzenia w pewnych inteligentkich kołach warszawskiego społeczeństwa.

O zbrodniach popełnianych przez władze wołyńskie opowiadali bolszewicy. Mówiła o tym i propagandowa literatura, propaganda mówiona i szepkana.

Pamiętam epizod z jakimś Buławką. W kursującej po Wołyniu bolszewickiej ulotce opisywano szczegółowo, jak wojewoda wołyński — tzn. ja — asystował przy egzekucji komunisty Buławki. Miało to się dziać nad brzegiem Styru. Związanego drutem kolczastym, skatowanego Buławkę utopiono w Styrze. Była nawet odbitka odrutowanych włosów Buławki.

Zwróciłem się do prokuratora okręgowego w Łucku o poinformowanie mnie, czy sprawa Buławki jest mu znana i zawiadomienie, co się z Buławką dzieje. Prokurator oświadczył, że Buławka na mocy wyroku sądowego odsiadyuje karę w więzieniu Łuckim. Poprosiłem o wiadomości o stanie zdrowia Buławki. Otrzymałem urzędowe oświadczenie więziennego lekarza o zadowolającym stanie zdrowia więźnia.

Nie chodziło mi o opinię ludzką ani o skutki polityczne. Chodziło mi o siebie samego, o wyjaśnienie sprawy dla siebie samego. Nie poprzestałem na opinii prokuratora i lekarza więziennego. Pojechałem do Warszawy. Byłem u ministra sprawiedliwości. Prosiłem ministra o wydanie zarządzenia, na mocy

którego mógłbym wysłać do więzienia dla obejrzenia i zbadania więźnia Buławki zaufanego i znanego mi doktora. Minister niełatwo dał się namówić — zdawał sobie sprawę z nietaktu wobec władzy prokuratorskiej i lekarza więziennego. Przedstawiłem mu stan rzeczy i obiegające pogłoski o torturowaniu uwięzionych komunistów. Minister poszedł mi na rękę i decyzję, o którą prosiłem, wydał.

Po powrocie do Łucka i porozumieniu się z władzami więziennymi wysłałem do więzienia dla zbadania Buławki dobrze mi znanego, godnego zaufania doktora, poważnego specjalistę chirurga, człowieka starszego i doświadczonego. Powiedziałem, o co mi chodzi, prosiłem o najszczególowsze badania na okoliczność tortur zadawanych aresztowanym podczas śledztwa i potem w więzieniu.

Doktor mój zbadał więźnia jak najsumienniej i wręczył mi napisany na paru stronicach maszynopisu wyczerpujący protokół oględzin. Protokół stwierdzał, że stan zdrowotny więźnia jest dobry, śladów tortur, znęcania się i uszkodzenia organizmu nie udało się skonstatować.

Informacja i propaganda w świecie politycznym jest tematem zasługującym na wyczerpujące opracowanie. Dziwię się, że temat ten uniknął uwagi pisarzy, literatury świata, teatru.

Bolszewicka propaganda polityczna była i jest tematem ponurym, jałowym. Nie obejmuje bogactwa naszych stanów psychicznych. Mamy tu nieustanne rozmijanie się z prawdą za pomocą najbardziej uproszczonego manewru, zawsze tego samego, odartego z pomysłu. Jest tak, jakby walono nas po głowie jednym i tym samym kijem niewybrednego kłamstwa. Do tego wszystko się sprowadza. Monotonia tego procederu jest nie do zniesienia i nic nie wskazuje, by miało się to zmienić. Wręcz przeciwnie. Rekordzistami w tej dziedzinie są Rosja Sowiecka i byłe Niemcy hitlerowskie. Inni także nie są bez grzechu, nie dorównują jednak „rekordzistom” w tępotcie prymitywnego kłamstwa. Moralne znieważenie człowieka jest jednak i u nich niemałe. Z prawdą rozmijają się bardziej „kulturalnie”.

Propaganda bolszewicka bije w oczy całemu światu. Każdy może zdać sobie sprawę, z czym ma do czynienia. Uświadomiłem to sobie jeszcze w Kijowie. Kiedy jednak spotkamy się z nią „na własnym podwórku”, tzn. kiedy sami stajemy się jej obiektem, robi specjalne wrażenie, staje się osobliwie wymowna. Tak było ze sprawą Buławki. Doświadczyłem tego niejednokrotnie.

W roku, o ile się nie myłę, 1929 Ministerstwo Spraw Zagra-

nicznych przysłało mi książkę wydaną przez „Agit-Proświet”. Nosiła ona tytuł „100 największych wrogów rewolucyjnego proletariatu Rosji Sowieckiej”. W przedmowie wskazano, że chodzi o to, żeby każdy walczący rewolucjonista Związku Sowieckiego wiedział, jak wyglądają jego najwięksi wrogowie i kim są.

Publikacja ta obejmowała wszystkie państwa. Personalna wrogów proletariatu podzielono na trzy rodzaje: 1. *Choziajewa* — właściciele, tzn. wielcy kapitaliści, 2. *prikazcziki* — służący im wiernie subiektci, czyli *socjałpriedatieli* — socjał-zdraycy, 3. *faszyci*, którzy z własnej i nieprzymuszonej woli walczą z rewolucyjnym światem. Każde państwo posiada te trzy rodzaje (poza niektórymi, pozbawionymi wielkich kapitalistów). Polska miała tylko *prikazczikow* i *faszystow*. Prikazczikami byli w Polsce socjał-zdrayca Daszyński i, o ile sobie przypominam, Witos. Faszystów w Polsce było trzech: Piłsudski, Sławek i Józewski.

Książkę zredagowano w ten sposób, że każda figurująca w niej postać posiadała swój artykuł — monografię poprzedzoną podobizną opisywanej osoby. Były to rysunki.

O Józewskim napisano stosunkowo wiele. Na początku dano jego wizerunek. Był to gruby generał o zawadiackiej minie w generalskim mundurze, wyorderowany, z szablą w ręku. Z tekstu dowiedziałem się, że Józewski posiada na Wołyniu wielkie majątki ziemskie, w których bestialsko katuje chłopów, robotników i służbę folwarczną. Kiedy pojawia się w swych majątkach, wszyscy drżą. Poza tym wyposażony jest we wszystkie atrybuty „krwiopijcy” i gnębiiciela ludu pracującego.

Józewski miał tę książkę w ręku, znalazł się w towarzystwie znanych całemu światu ludzi, wysokich szarż, postaci historycznych. Józewski jednak wiedział na pewno i wie po dzień dzisiejszy, że majątku ziemskiego na Wołyniu ani w innych stronach Rzeczypospolitej nie posiadał, miał natomiast dwunastohektarową żołnierską działkę osadniczą koło Wiśniowca. Poza tym nie był generałem, nie był nawet oficerem.

Na Wołyniu miałem do czynienia także z bolszewicką dywersją zbrojną. Najbardziej jaskrawym jej przejawem był dywersyjny oddział Piwnia. Działo się to za czasów ministra Pierackiego jako ministra spraw wewnętrznych.

Pewnego dnia zawiadomił mnie naczelnik wydziału bezpieczeństwa, że na Polesiu, na pograniczu Wołynia ukazał się oddział partyzancki Piwnia liczący około 300 ludzi. Piwień operował na Polesiu i Wołyniu. Był to teren nieprzebytych bagien, krzaków, lasów, pozbawiony dróg i nawet na stosunki polesko-

wołyńskie mało zaludniony, pusty i dziki. Znałem go dobrze z polowań na wilki.

Ministerstwo zawiadomiło, że dowództwo nad akcją zwalczania bandy Piwnia obejmuje wojewoda poleski Kostek-Biernacki. Wołyń ma mu pomagać i wykonywać jego dyspozycje w zakresie akcji likwidacyjnej Piwnia. Wydałem odnośnym czynnikom wojewódzkim zarządzenia i wyjechałem na miesięczny urlop do siebie, do Jaworza na Zielony Śląsk. Było lato. Po miesiącu, wracając z urlopu przez Warszawę, zameldowałem się u min. Pierackiego. Na zapytanie: „Cóż ty na to?” odpowiedziałem, że nie wiem, o co chodzi, W czasie urlopu nie czytuję gazet. Pieracki poinformował mnie, że administracja nie może sobie dać z Piwniem rady i zawiadomił, że teraz przychodzi wojsko, które pokaże...

Po powrocie do Łucka stałem się świadkiem działań wojskowych. Zaangażowano niemało sił, dowodził pułkownik Niezabytowski z sarneńskiego KOP-u. Miałem najgorsze przeczucia. Żałowałem wojska, które zostało narażone na niezwykle trudną i w moim przekonaniu beznadziejną sytuację. Walka jednostek regularnych z partyzantami w terenie nieprzebytych bagien i hasz czy była z góry przesądzona na niekorzyść wojska. Ekwipunek partyzantów, zwłaszcza łapcie, dawał atuty w manewrowaniu i walce — byli zresztą u siebie, poza tymi, którzy zjawili się spoza granicy Polski, a którzy, jak należy przypuszczać, warunki podobne znali bardzo dobrze i żyli się z nimi.

W ciągu dziesięciu dni wojsko nie osiągnęło sukcesu. Nie dochodziło do kontaktu z nieprzyjacielem, który zachowywał się jak stado wilków w terenie dla wilków wymarzonem. Obecność wojska działała na wyobraźnię ludności. Zaczęto przebąkiwać o wojnie. Wyobraźnię pobudzały zwłaszcza samoloty. Zdenerwowanie zaczęło zataczać coraz szersze kręgi.

Pojechałem do Warszawy. Stan rzeczy przedstawiłem ministrowi. Prosiłem o wycofanie wojska. Walkę z Piwniem zdecydowałem się prowadzić przy pomocy policji i administracji. Oświadczyłem, że biorę za wszystko odpowiedzialność. Minister westchnął z ulgą. Zarządzenie wycofania wojska zostało wydane niezwłocznie. Wróciłem do Łucka. Czekala mnie likwidacja Piwnia, sprawa, jak wykazało doświadczenie, niełatwa.

Po paru jednak tygodniach udało mi się wyrzucić Piwnia poza granice Polski. Sukces ten zawdzięczam w wielkim stopniu mojemu instynktowi myśliwskiemu i doświadczeniu w polowaniach na grubego zwierzka, zwłaszcza na wilki. Poza tym teren, na którym operował Piweń, był terenem moich wilczych polowań.

W tym względzie Piweń nie miał szczęścia. Teren znałem lepiej od niego.

Sprawa Piwnia wyplęta w całej okazałości w czasie mojego śledztwa na Mokotowie. Przedstawiłem, jak było. Nie miałem się czego wstydzić, nie widziałem potrzeby ukrywania i przemilczania. Mój manewr był wart, by go każdemu opowiedzieć. Piweń uległ w walce z bronią w rękę. Zwalczania go innymi metodami nie było.

Sprawa Piwnia, jak się potem okazało, była przez UB traktowana wyjątkowo. Na rozprawie sądowej prokurator w ostatnim słowie, by wykazać moją straszliwą przestępczość, rozpoczął swe przemówienie od sprawy Piwnia. Było to jednym z niekończących się objawów głupoty i pożałowania godnego stanu umysłu pana prokuratora. Słuchając go wstydziłem się za niego.

Piweń sukcesu politycznego nie osiągnął. Ludność miejscowa na terenie jego działań była zdana na jego łaskę i niełaskę. Mógł ją terroryzować i robić z nią co chciał. Posterunki policji rozsiane w tym dzikim pustkowiu nie mogły dać ludności opieki i bronić jej przed terrorem. Ludność ta nie stała się zapleczem dla akcji Piwnia. Mogła być tylko mowa o poszczególnych jednostkach. Nie skonstatowałem nastrojów antypolskich i wrogiego ustosunkowania się do polskich władz. Piweń nie wywołał pożaru... Ludność odetchnęła, kiedy Piweń znikł. Jest to bardzo wymowne i daje świadectwo temu, czym była Polska na swoich Ziemiach Wschodnich. Jest to argument do zastanowienia się dla panów polityków i ich dalekosiężnych i wszechwiedzących wizji historii.

Dla ścisłości i zresztą z potrzeby należy wspomnieć o momentach wzruszających — lirycznych. Rodziły się wiersze i piosenki o walce... Nie wiem, czy dane było komuś przeżyć to, co ja przeżyłem i doznać podobnego wzruszenia. Mam na myśli wiersze wyszyte starannym ścięciem na chuteczkach upiękuszonych ludowym ornamentem. Parę takich zbiedzonych, zmaltretowanych chusteczek z płótna samodiałowego miałem w rękę i nie mogę o nich zapomnieć. Niech się schowają wszystkie proklamacje... Wiersze były prymitywne, niedołęzne, wspaniałe. W jednym była mowa o zabitym pochowanym na łące wśród trawy, a może padłym w trawie. Pamiętam słowa „zapach trawianoj”, który go otaczał.

Były także reakcje pełne osobliwego wyrazu. W czasie trwania akcji polowałem na wilki w powiecie kowelskim — terenie manewru Piwnia. Byłem w okolicy Karasina. Jeden z poleszuków biorący stale udział w mojej łowieckiej świcie, chłop o

wyglądzie bandyty, wielki, rozczochrany, w baraniej rozwichrzonej czapie, przykucnął przy piecu, i wsadzał polana. Zapytałem go o Piwnia. Z początku nic nie mówił. Potem nie wytrzymał. Powiedział, że właśnie przez Zuzankę, w której się znajdowałem, przechodził wczoraj Piwień. Mój chłop-towarzysz widział go na własne oczy. Za głowę Piwnia wyznaczono 20.000 zł. Pytam, czy o tym wiedział. Odpowiedział, że tak, ale zaraz dodał, że Piwnia nikt nie wyda. Pytam, dlaczego. Bo „*proszu pana, ce takij czołownik szo takij czołownik*”. Pytam, jakiz to człowiek a on z ożywieniem odpowiada: „*Na niom wse kozane, szapka kozana, kurtka kozana i perepraszaju... sztańja kozany*”.

Słowa te jak ostatni akord zakończyły moje przeżycia związane z przygodą Piwnia.

Pod koniec mego urzędowania na Wołyniu spotkałem się ze zjawiskiem niepokojącym. Rosja sowiecka zainstalowała wzdłuż wschodniej granicy Polski radiowe stacje nadawcze. Po stronie polskiej audycje odbierano przez aparaty odbiorcze kryształkowe. Audycje te przeciwko Polsce odbywały się w języku ukraińskim.

Jak mówiłem, słuchawki odbiorników przyrosły do uszu wołyńskich chłopów. Rosja bolszewicka w ten między innymi sposób prowadziła swoją wrogą Polsce propagandę, nie przerywała jej ani na chwilę.

Obecność Rosji sowieckiej ciążyła nad Wołyniem, nad wszystkim co się działo. W drugim roku mego urzędowania, jak już wspominałem, miałem przemówienie w Równem na jakimś polskim zebraniu. Mówiłem między innymi o trójkącie: Warszawa-Kijów-Moskwa. Zwróciłem uwagę na pokrewieństwo pomiędzy światem polskim i ukraińskim i o obcości ukraińsko-rosyjskiej. Sprawozdanie z mego przemówienia ukazało się w *Przeglądzie Wołyńskim* wychodzącym w Łucku.

Zareagowała na ten artykuł skwapliwie prasa narodowo-demokratyczna. W *Gazecie Warszawskiej* ukazał się artykuł wstępny o moim przemówieniu rówieńskim. *Gazeta Warszawska* była oburzona, wołała, co powie na to Moskwa i jak Moskwa może znieść takiego wojewodę w graniczącym z nią województwie. Moskwa nie dała na siebie długo czekać. Moskwa *ex re* mego przemówienia wysłała do Polski notę. Stałem się sprawcą konfliktu między dwoma państwami. Endecy zapewne zacierali ręce.

Zostałem wezwany do Warszawy przez premiera Bartła. W rozmowie ze mną oświadczył, że stoi po mojej stronie. W Warszawie przesiedziałem około tygodnia. Miałem do czy-

nienia z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Ministra Zaleskiego w Warszawie nie było, zastępował go wiceminister Wysocki. Nie powiem, żebym w tej rozgrywce Ministerstwa z Sowietami nabrał dobrego o Ministerstwie mniemania. Toczyły się pertraktacje. Chodziło o wspólną formułę. Co dzień przynoszono mi z Ministerstwa do Prezydium Rady Ministrów proponowane teksty polskie, które odrzucałem jako niemożliwe do przyjęcia. Pewnego dnia przyniesiono tekst, na który się zgodziłem. Była to propozycja sowiecka... Incydent został wyczerpany i, zgodnie z wolą obu stron, załatwiony. W całej tej sprawie zastępowałem premiera i tym się tłumaczy, że jakiś wojewoda *in partibus infidelium* mógł narzucać swe pomysły Ministerstwu i Ministerstwo musiało się z nim liczyć.

Przytoczyłem parę epizodów, w których występowały zagadnienia rosyjskie. Zagadnienia te pojawiały się z zewnątrz. W życiu Wołynia rosyjskość, jako zjawisko lokalne, nie odgrywała żadnej roli. Wołyń zapomniał o Rosji.

Rosja przestała istnieć. Wśród mniejszości na Wołyniu takich jak Czesi i Niemcy Rosjanie byli grupą niewspółmiernie małą. W przedstawicielstwie sejmowym ich nie było. Istniało prywatne gimnazjum rosyjskie w Łucku. Rosyjskie tradycje nie wpływały na bieg rzeczy. Wołyń stał się polsko-ukraiński.

Element rosyjski rzucał się w oczy w Równem. W Równem w stopniu większym niż w innych miastach wołyńskich inteligentne i *quasi* inteligentne towarzystwo żydowskie mówiło po rosyjsku. Było to w dobrym tonie, było przyzwyczajeniem, z którym nie chciano się rozstać, było bliskie i potrzebne do dobrego samopoczucia.

Czasy rosyjskie i rzeczywistość rosyjską przeklinano, a jednocześnie dla niektórych były to dobre czasy... Kiedyś rozmawiałem w moim gabinecie wojewódzkim z żydowskim kupcem pochodzącym z Rosji i osiadłym obecnie na polskim Wołyniu. Zaczęło się od martyrologii Żydów w Rosji carskiej, potem była mowa o straszliwych przeżyciach rodziny za czasów wojny i rewolucji — o trupach, gwałtach, zbrodniach. W końcu jednak nadeszło westchnienie, zabłyśły oczy — w Rosji można było robić interesy, jakie interesy! Były to dobre czasy, była Rosja.

Wyeliminowanie rosyjskości z życia Wołynia stało się jakoś samo przez się. Gdy mówię o Rosji, mam zawsze na myśli akcent pojawiający się z zewnątrz, akcent, który, jak dzisiaj widzimy, wydaje się przybierać kształty apokaliptyczne.

VII.

W końcu kwietnia 1938 roku opuściłem Wołyń. Objąłem województwo łódzkie. W łódzkich warunkach z zagadnieniem rosyjskim nie spotkałem się. Dopiero 17 września 1939 roku, kiedy po ewakuacji Łodzi przebywałem w Stolinie w województwie Poleskim, Rosja zameldowała się w całej swej okazałości niezwykle efektownie. Wojska rosyjskie — sojusznik Niemiec hitlerowskich — przekroczyły granicę wschodnią Polski i w porozumieniu z Niemcami posuwać się zaczęły na zachód.

Z rosyjskim wojskiem spotkałem się osobiście w Siedlcach. Widziałem wkroczenie do miasta, w parę dni potem rozmawiałem z krasnoarmiejcami, którzy w jeden głos twierdzili, że *„tie pier budiet swoboda*”.

W tym także czasie słuchając sowieckich audycji radiowych usłyszałem bardzo niepochlebne słowa o mojej osobie. Reklamowano mnie jako wroga Sowietów i zapowiadano, że „zrobią ze mną porządek”.

Z Siedlec udałem się do Warszawy. W Warszawie stanąłem 2 października. Rozpoczęła się praca podziemna, walka z Niemcami. W walce tej nie spuszczałem wzroku z Rosji. Była ona w polskiej rzeczywistości jak najbardziej obecna. Rozwijał się straszliwy kalejdoskop rosyjskich wyczynów na zajętych przez nią — za zgodą Niemiec — ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej. O sprawach tych wspominałem na początku. Są one znane i wiadome wszystkim.

Rosja działała ręką w rękę z hitlerowskimi Niemcami. Prawiono sobie wzajemne komplementy i czułości. W czołowym piśmie hitlerowskiej propagandy *Das Reich*, redagowanym przez samego Goebbelsa, spotykałem entuzjazm i uznanie dla Rosji. Pamiętam zachwyt niemiecki nad polityką rosyjską wśród narodów Azji: opisywano jej sukcesy i wielkie wartości kulturalne. Jeden z artykułów omawiał z największym zachwytem koncert w Moskwie, gdzie dawano Haendla w wykonaniu nieznanych azjatyckich instrumentów.

Idylla trwała. Potem wszystko raptownie się zmieniło. Niemcy rzuciły się na Rosję i parły naprzód. Miliony wziętych do niewoli sowieckich żołnierzy ginęły za drutami z głodu. Wtedy doszło do porozumienia Moskwy z Zachodem — porozumienia, którego nie można było osiągnąć w przeddzień wojny.

Dwa totalizmy — Hitlera i Stalina — stanęły do walki na śmierć i życie. Z punktu widzenia interesów Niemiec i Rosji

stała się rzecz nieprzytomna. W ówczesnych warunkach symbioza niemiecko-rosyjska stanowiła potęgę niezwalczoną, górującą nad światem. Zresztą współpraca i przyjaźń niemiecko-rosyjska i rosyjsko-niemiecka posiadają swe historyczne tradycje. Tak zwany „okres petersburski” był okresem rosyjskiej pomysłowości. A jednak...

Wydawało się, że świat został zbawiony przez „kompleks Dżingis Chana”. Dżingis Chan może być tylko jeden. Dwóch Dżingis Chanów nie jest do pomyslenia. Dwóch panować nie może nawet wtedy, gdy pomagają sobie wzajemnie i wzajemnie się zasilają. Dżingis Chan nie dzieli się władzą z nikim, nawet z drugim Dżingis Chanem. Gdy dzisiaj o tym myślę, wydaje mi się, że moje rozumowanie nie jest pozbawione racji.

Co by się stało ze światem, gdyby Dżingis Chan niemiecki trwał w stałym sojuszu z Dżingis Chanem rosyjskim? Byłaby to potęga decydująca o wszystkim, o reszcie świata.

Niemiecki Dżingis Chan przegrał i przestał istnieć. Rosyjski, po różnych perypetiach, nie daje za wygraną.

W związku z niemiecką ofensywą na Rosję powstawały różne, warte zanotowania zjawiska i fakty.

Przychodzi mi na myśl Zygmunt Rumel — postać niezwykle ujmująca i wartościowa — student polonistyki, poeta, żołnierz, urodzony na Wołyniu w rodzinie osadniczej. Pracowaliśmy razem w pierwszych miesiącach okupacji. Za moją radą przeszedł jako wybitny działacz Wołyńskiego Związku Młodzieży Wiejskiej do utworzonego w owym czasie Stronnictwa Ludowego.

Z ramienia stronnictwa Rumel udał się na Wołyń w swoje strony rodzinne dla skonstatowania sytuacji, jaka powstała po wycofaniu się Rosji sowieckiej. W drodze powrotnej z Wołynia wstąpił do mnie i zdał sprawozdanie ze swej podróży. Sprawozdanie było wstrząsające. Rumel dał obraz bezprzykładnych sowieckich zbrodni podczas opuszczania Wołynia. Mówił o własnej rodzinie, o tym co się stało ze znanymi mu ludźmi. Trupy, kaleki, ciężko chorzy, nerwowo chorzy.

Poprosiłem go, aby po wykorzystaniu wiadomości przez prasę ludową dał mi swój referat do wykorzystania. Materiału nie dostałem. Otrzymałem odpowiedź, że nie jest to materiał nadający się do ogłaszania i prasy. Prasa ludowa z niego nie skorzystała. Względy wyższej polityki zabraniały pisać o sowieckich zbrodniach na Polakach. Była to dyrektywa Londynu, generała Sikorskiego.

Długi czas nie mogłem pozbyć się myśli o „nędzy polskiej”.

Polska krew męczeńska przelewana przez Niemców miała na giełdzie politycznej kurs zwykły, była artykułem poszukiwanym. Ta sama polska krew, nie mniej bestialsko przelewana przez Rosję sowiecką, nie mogła pokazać się na giełdzie politycznej. Ukazanie się jej miało świadczyć o braku polskiego patriotyzmu i narażaniu polskiej racji stanu. Jest to może jedna z najbardziej drastycznych konfrontacji racji moralnej z tak zwaną „racją polityczną” — konfrontacja, po której człowiek odchodzi przegrany, znieważony w swym człowieczeństwie.

VIII. — ZWYCIĘSKA ROSYJSKA KONTROFENSYWA I POWRÓT ROSJI DO POLSKI

W miarę rozwoju wydarzeń obecność Rosji w rzeczywistości polskiej rosła i potężniała. W Polsce pojawiła się rosyjska piąta kolumna organizowana przez agentów NKWD.

Było to w Polsce zjawisko marginesowe, czaiło się poza spontaniczną i żywiołową walką narodu, przebywało poza polską prawnitą władzą, jaką była Delegatura Rządu, poza Armią Krajową i wbrew niej. Miało za to za sobą Moskwę. Ona stanowiła gwarancję jego istnienia i wytyczała drogi przyszłości.

Pojawiła się Krajowa Rada Narodowa z Bierutem na czele — jawnym agentem NKWD. Tu i ówdzie zaczęły migać oddziały Armii Ludowej jako przeciwności AK.

Miliony ludzi w Polsce wiedzą o tym co było, co się działo i jak należy oceniać działanie sowieckiej piątej kolumny. Wiedzieli i wiedzą, że Polska to Delegatura Rządu i Armia Krajowa, a Rosja to Bierut i oddziały AL.

Sowiecka piąta kolumna była w tym co się wówczas w Polsce działo *quantité négligeable* — za to dla Moskwy, jako pozycja polska, była wszystkim. Moskwa forsowała ją wszystkimi siłami, a siły jej rosły z dnia na dzień. Na świat zaczynał padać cień Moskwy. W walce z prawnym polskim rządem i Armią Krajową Moskwa nie cofała się przed niczym, dublowała hitlerowskie Niemcy.

Tragizm sytuacji stawał się jeszcze bardziej nie do zniesienia, jeżeli zważymy, że w owych czasach ukazała się na scenie osoba generała Sikorskiego, reprezentująca Polskę w oczach świata. Mimo posiadanych zdolności i przypisywanych mu walorów Sikorski był postacią tragiczną — tragicznie niefortunną. Właśnie

jemu przypadła w udziale rozgrywka z Rosją — czynnikiem decydującym o Polsce. Tragizm Sikorskiego polegał na doskonałej niewiedzy i wszechogarniającym braku orientacji w zagadnieniu rosyjskim. Bystry wzrok Sikorskiego stawał się tu ślepy. Sikorski nic nie widział... Tym się tłumaczy podjęta osobiście przez Sikorskiego prostałiniowska propaganda w Ameryce. Wódz polski sławiący Stalina! Czy mogła być większa złośliwość losu? Sikorski sprawy sobie z tego nie zdawał, ale nasze oczy w kraju patrzyły na to jedyne w swoim rodzaju przedstawienie. O jakimś sensownym zachowaniu się wobec Rosji polskiego premiera nie mogło być mowy.

W tym stanie rzeczy, biorąc pod uwagę postawę naszych sojuszników — mocarstw zachodnich, Moskwa robiła z Polską co chciała, kształtowała polską rzeczywistość po swojemu. Ten stan rzeczy trwa po dziś dzień.

Zarysowałem obraz tego, co się działo i dzieje. Ilustrują to niezliczone fakty, spostrzeżenia, zjawiska, rozmyślenia. Temat ten jest wszechstronnie opracowany i opracowywany w dalszym ciągu.

Chcę zwrócić uwagę na pewne spostrzeżenie, które, jak się wydaje, uszło uwadze autorów piszących o Polsce i Rosji, opisujących nasze czasy.

Oto Rosja nie daje Polsce stać się sobą o własnych siłach. Mam na myśli stronę społeczno-gospodarczą polskiego życia.

Rosja carska Polskę ujarzmiła, z Polską walczyła, usiłowała zetrzeć ją z oblicza świata, a jednak właśnie car rosyjski przeprowadził w Polsce uwłaszczenie włościan, dokonał najbardziej podstawowej, wzbogacającej polskie życie reformy. Nie dał w ten sposób „zakwitnąć” Polsce samej sobą — Polsce, która do tego dojrzewała. Ekonomiczne i społeczne skutki carskiego *ukazu* były dla Polski zbawienne, ale uraz niedokonania się tego, co z siebie dokonać się miało i co stało już u progu stanął w polskim życiu jak złośliwy upiór.

Stalin manewr ten powtórzył. Nie Polska sama z siebie przeprowadziła potrzebną nieodzownie polskiemu życiu reformę rolną — dokonała tego wola sowieckiej Rosji.

Podobnie jest z demokratyzacją polskiego życia. W okresie niemieckiej okupacji i walki całego narodu z Niemcami demokratyzacja życia polskiego zrobiła olbrzymie postępy. Polska demokratyzowała się z własnej woli, sama z siebie, stawała się naprawdę sobą. Proces demokratyzacji Polski zdążył do uzyskania właściwego Polsce wyrazu. I tutaj także na scenie pojawiała

się Rosja i narzuciła Polsce model ustalony na Kremlu. Dzisiejsze reformy demokratyczne — reformy niekiedy najbardziej potrzebne i doniosłe — wiążą się z imieniem Rosji.

I znowu stanął wśród nas uraz „niedokonania” zatruwający polskie życie. Uraz przzerwania samoistnego procesu przez czynnik z zewnątrz i to czynnik przez przeciętnego Polaka znienawidzony.

Od czasów Stalina Sowiety rosły w oczach. Przeżyłem nieskończoną ilość epizodów i sytuacji, o których należałoby wspomnieć — ograniczę się do jednego z nich.

Było to w maju 1943 roku. Zostałem zaalarmowany przez wywiad akowski, że nadeszło z Moskwy do właściwej ekspozytury moskiewskiej w Polsce zarządzenie wykonania wyroku śmierci na mojej osobie.

Pewnego wieczoru, było to w końcu sierpnia albo w początkach września, zamach został dokonany. Byłem ciężko ranny. Granat defensywny padł o pół metra ode mnie. Przed tym oddano szereg strzałów z „dziewiątki”. Padłem na ziemię, straciłem przytomność. Zamachowcy byli przeświadczeni, że zostałem zabity. A jednak się podniosłem. Dalsze moje przygody były zawiłe i nie bardzo przyjemne. Powróciłem do pracy, pomimo że rana nie goiła się przez 5 lat. Dużo o tym mówić.

Za czasów ofensywy niemieckiej Rosja została odsunięta na wschód. Po Stalingradzie ruszyła fala powrotna, zalała całą Polskę i wzięła się w polską rzeczywistość jak żadna z „powrotnych” fal rosyjskich.

Nie jest to okupacja, nie jest niewola jak za czasów porozbiorowych, jest to co innego. Rosja usiłuje życie polskie zdekomponować, kształtować na własny, kremlowski model.

Nasi zachodni sojusznicy nie mają nic do powiedzenia. Teheran - Jafta. Obecność rosyjska w Polsce nie liczy się z nikim i niczym — jest taka jaka jest. Manewr rosyjski trwa, przybiera różne formy, zmieniają się aktorzy, inscenizacja, rekwizyty, ale istota rzeczy jest ta sama, te same są rosyjskie zamierzenia. Mówi się o zależności Polski od Rosji. Słowa te mówią wszystko i nic nie mówią.

Polska jednak pozostaje Polską i patrzy polskimi oczami. Nie chciałbym być w skórze czynników odpowiedzialnych za sowietyzację Polski. Dzieją się czasem rzeczy nieprawdopodobne i nieoczekiwane. Czy mógłby ktoś przypuścić, że w roku 1956 Polska usunie z Warszawy marszałka Rokossowskiego? Marszałek, jakby nigdy nic, znalazł się z powrotem w Moskwie.

Zwróciliśmy już uwagę, że Rosja nie występuje z otwartą przyłbicą. Mamy do czynienia z szyldem komunizmu. W jakiej mierze inscenizacja ta odpowiada temu, co jest naprawdę? Rzecz jest skomplikowana. Może właśnie Polska pozwoli zorientować się w sytuacji i może obecność rosyjska w Polsce powie, z czym mamy do czynienia.

Mamy tu wyraźnie do czynienia z rosyjskością sowieckiego świata. Rosyjskość nie tylko nie liczy się z komunizmem i jego nakazami, ale jawnie postępuje w imię racji *istunno* rosyjskich.

To, co zrobił Stalin, było marzeniem Rosji carskiej, marzeniem rosyjskiej *Czornoj Sotni*.

Faktem nie mniej charakterystycznym są dzisiejsze stosunki polsko-ukraińskie, stan rzeczy między Ukrainą a Polską.

Stan zupełnej izolacji pomiędzy tymi dwoma światami Rosja sowiecka uważa za jeden z podstawowych kanonów swej polityki.

I tu także mamy do czynienia z akcentem rosyjskości a nie z racją komunizmu. To samo należy powiedzieć o stosunkach polsko-węgierskich, a w pewnej mierze i o stosunkach Polski ze wszystkimi państwami ludowej demokracji i republikami sowieckimi.

A więc decyduje Rosja zgodnie ze swą historyczną, zaborczą tradycją. Tak mówi polskie doświadczenie.

Oczywiście, nie mówi się o *obrusieńju* ani o uzależnieniu Polski od Rosji, o podbiciu Polski przez Rosję, o obecności Rosji w Polsce. Mówi się o wszystkim, co temu zaprzecza, mówi się nieustannie, przy każdej sposobności i bez sposobności. Jest to wersja oficjalna, ogólnie obowiązująca. Ma to być prawdziwym obrazem rosyjskiej komunistycznej polityki. Mówi się o przyjaźni, życzliwości, bezinteresownej pomocy, braterstwie. Istnieje „Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej”. Towarzystwo to, pomimo nacisku i najprzeróżniejszych zabiegów, wegetuje anemicznie. Nawet przy najlepszej chęci trudno powołać się na historyczną i kulturalną wspólnotę polsko-rosyjską i rosyjsko-polską. To, co miało miejsce przez wieki nie jest podobne do wspólnoty, jest czymś innym. Dopiero teraz ma powstać braterstwo rosyjsko-polskie.

Od początku swego istnienia Rosja sowiecka występowała jako świat komunistyczny. Do tego wszystko się sprowadzało. Powstał słownik pozbawiony słowa — Rosja. Słownikiem tym posługuje się *pro foro externe* i na użytek wewnętrzny. Jest to

potrzebne dla budowania rosyjskiej potęgi i rosyjskiej racji. Daje to Rosji wymiar ogólnoświatowy i ogólnoludzki.

Dla zorientowania się w powstałej sytuacji należy możliwie wyczerpująco omówić układ: Rosja i marksizm.

Okazało się, że w miarę stawania się historii, o czym marksizm tak lubi mówić, najlepsze i w pewnym stopniu jedyne możliwości realizacyjne marksowska doktryna znalazła w ubogiej przemysłowo rzeczywistości rosyjskiej, w świecie rosyjskiego niewolnictwa, jedyne w swoim rodzaju. Powstał stan rzeczy przez Marksa nieprzewidywany, niezgodny z doktryną realizacyjną marksizmu.

Obserwując bieg wydarzeń mimowoli przychodzi na myśl, że bez niewolnictwa typu rosyjskiego, a może, jak dziś to wygląda, i chińskiego, socjalizm realizować się nie może, nie może dojść do władzy, nie może panować. Czy jest to *conditio sine qua non* realizacji marksowskiego socjalizmu?

Czy socjalizm jako realnie istniejąca rzeczywistość panująca w życiu i nad życiem jest w naszych czasach i dzisiejszych warunkach do pomyslenia bez współczynnika despotyzmu i niewolnictwa?

Co o tym można powiedzieć i jak będzie dalej, nie będziemy prorokowali. Możemy jedynie stwierdzić, że Rosja potrafiła wykorzystać socjalistyczną doktrynę dla zbudowania potęgi, o której nie śniło się nikomu i nie śniło się dawnej Rosji.

Nie można także z czystym sumieniem powiedzieć, że socjalizm i komunizm — twory świata kultury i cywilizacji zachodnioeuropejskiej — wyszły na rosyjskim eksperymencie dobrze. Wiele przemawia za tym, że eksperyment rosyjski skompromitował te idee i postawił pod znakiem zapytania ich przyszłość poza granicami sowieckiej Rosji i komunistycznych Chin.

Polska wydana na łaskę i niełaskę Rosji jest skazana na wpływy i jarzmo komunistycznego świata typu rosyjskiego i to określa naszą sytuację.

Historia ostatnich lat, tzn. od chwili ponownego wkroczenia wojsk rosyjskich w granice Polski w latach 1944-1945, dzieli się wyraźnie na dwa okresy: 1) okres panowania Bieruta i rządów Stalina i 2) okres Gomułki i władzy Chruszczowa.

Wkroczenie wojsk rosyjskich zasługuje na specjalną wzmiankę. Rosja-wyzwoliciel już od pierwszej chwili przybrała postać Rosji-okupanta. Świat sowiecki po przekroczeniu granic Polski znalazł się w jawnym konflikcie z tym, czym Polska żyła i czym była, w konflikcie z polską walką o wolność i niepodległość.

Widziałem Warszawę na drugi dzień po pojawieniu się na jej ulicach krasnoarmiejców. Widziałem świeże warszawskie ruiny. Warszawę startą na proch. Wpadł mi w oczy sowiecki afisz rozplakatowany po mieście. Był to bilet wizytowy Rosji przy wkraczaniu do Polski. Nie przypominam sobie tekstu, ale po dziś dzień afisz stoi w moich oczach jak żywy. Z jednej strony widniała wspaniała postać krasnoarmiejca — wyzwoliciela Polski, po drugiej stronie, w rogu, przykucnął mały i nikkzemny karzeł z napisem „AK”.

Afisz ten wyjaśniał sprawę bez reszty. Tak należało rzecz oceniać — *priniat' k swiedieńju i rukowodztwu*. Była to wersja urzędowa, ogólnie obowiązująca w wyzwolonej przez Rosję Polsce.

Z biegiem czasu ten niezwykle wyraźny obraz przysłonięto, aby nie rzucał się w oczy, nie wydawał się tak bardzo i jedynie prawdziwy. Pojawiły się różne inscenizacje, sceny nie przynoszące zaszczytu aktorom biorącym w nich udział. Pierwszym był Radosław-Mazurkiewicz, owiany legendą bohaterskiej „Starówki”. Z imieniem jego łączy się akcja ujawniania żołnierzy AK.

Po pewnym czasie przyszło aresztowanie Rzepeckiego w Łodzi, potem rozprawa sądowa. Ostatnie słowo Rzepeckiego — swego rodzaju kajanie się. Akt następny to ułaskawienie Rzepeckiego i towarzyszy przez Bieruta w związku z deklaracją złożoną przez Banacha i towarzyszy — wiernych wykonawców „władzy ludowej”. Potem Rzepecki „urządził się”, wstąpił na służbę, stał się powolnym narzędziem w ręku bierutowskiej władzy. I tu spotkali się z Radosławem w jednym szeregu. Mignął tragiczny płomień Malessy. Malessa nie mogła „urzędować”, nie mogła „się urządzić”, jak upiór stał przed nią zawsze aktualny afisz krasnoarmiejca i akowca. Malessa odebrała sobie życie.

Tak toczyły się ludzkie sprawy pewnych Polaków. Powstał ZBoWiD, a z nim pojawiło się nowe umundurowanie ideologiczne, w którym poniektórzy dobrze się poczuli. „Było im do twarzy”. Znaleźli się akowcy, którzy „jedli z ręki” i jedzą do dziś. W miarę czasu apetyt wzrasta. Pojawiać się zaczęły postacie różnego autoramentu, inteligencji, zdolności, kwalifikacji, postacie żałosne i na swój sposób obrzydliwe — Kirchmajer, Römmel, Mackiewicz, Berbecki, Kazimierz Banach albo Melchior Wańkowicz i wielu innych.

Tak wygląda emanacja obecności rosyjskiej w Polsce. Jest to zwycięstwo Moskwy i polskiej małości — zwycięstwo problematyczne i mało imponujące.

Afisz krasnoarmiejca jest nadal aktualny.

Okres panowania Bieruta i rządów Stalina

Były to czasy jawnej rosyjskiej ingerencji, zdawkowo maskowanego panowania. W wojsku roiło się od „popów” — Rosjan „pełniących obowiązki Polaków”. Byli to Rosjanie, oficerowie polscy, zazwyczaj wyższych szarż. Taki pan w rozmowie łamaną polszczyzną mówił: „*mai żatnierze*”.

Panował kult Stalina. Na uroczystościach widziano wielometrowe portrety władcy sowieckiej Rosji. W promieniach tej postaci ukazywały się sylwetki Bieruta i innych sowieckich agentów sprawujących w Polsce władzę.

Były to czasy oficjalnej dominacji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Ono nadawało ton. Setki tysięcy więźniów politycznych i masakry. Sowietyzacja Polski wzięła ostry kurs. Tworzono przemocą kolchozy — „spółdzielnie produkcyjne”. Świat robotniczy tresowano na modłę sowiecką. Pojawiać się zaczęli polscy stachanowcy. Naukę i sztukę przemałowywano na gust sowiecki. Nikt nic nie miał do gadania — rosyjskie, tak dobrze Polakom znane *mołczać, nie razsużdać!*

Pewnym nieporozumieniem był Mikołajczyk. Był to klasyczny przykład interwencji Zachodu — niesienia Polsce pomocy. Manewr ten w niczym nie przeszkodził urzeczywistnieniu rosyjskich zamiarów, wręcz przeciwnie, scena została odegrana w bardziej wymyślnych dekoracjach, z udziałem rekwizytów dostarczonych przez Zachód.

Były to czasy powojennego chaosu i dźwigania się z ruin. Bierut rządził jak chciał, a raczej jak chcieli jego moskiewscy mocodawcy. Władza była obca. Bierut był figurą w Polsce nieznaną, miał najwyżej poparcie sowieckiej piątej kolumny i to było jedynym wyznacznikiem bierutowskiej polskości. Osobę Bieruta otaczał nimb zagadkowości. Przez szereg lat nie ogłaszano życiorysu rządzącego w Polsce polskiego prezydenta. W końcu ukazała się szczupła i mało mówiąca relacja.

Postać Bieruta nie wzbudzała zaufania. Był to gość podejrzany. Na urzędowych i pojawiających się w prasie podobiznach nie patrzył w oczy — unikał wzroku ludzi, nie można było się po nim spodziewać niczego dobrego... Zapewne w celu wywołania bardziej korzystnego efektu sfotografowano Bieruta obejmującego za szyję sarenkę. Nie zdało się to jednak na nic. Koniec Bieruta był makabryczny, niedomówiony. Umarł w Moskwie, z której swego czasu wyruszył do Polski.

Nawet jak na niewesołe powojenne warunki okres Bieruta

był ponury i złowieszczy. Zostały po nim złe wspomnienia. Straszą one po dziś dzień. A przecie przez życie polskie płynęła fala reform społecznych, w wielu razach ważnych i podstawowych, dla życia polskiego potrzebnych. Kształtowała się polska rzeczywistość demokratyczna. Polska czuła się jednak w więzieniu, w obroży moskiewskiej tamującej oddech. Świadomości tego nikt i nic nie było w stanie zmienić. Czuło się, pomimo wszystko, fałsz, spętanie obcą wolą, rozmiłanie się urzędowego życia z Polską.

Za czasów bierutowskich zarysowały się główne linie sowiezacji i uzależnienia Polski od Rosji. Obowiązują one po dzień dzisiejszy i nic nie wskazuje, żeby coś się miało zmienić. Może być mowa jedynie o taktyce.

Czasy bierutowskie to obecność Rosji w nieznaney jeszcze postaci. Rosja zdecydowała brać czynny udział w życiu Polski nie „od zewnątrz”. Nie jest to Rosja zakazów, ograniczeń, tępienia polskości, choć i to ma miejsce. Jest to znana droga polskiej martyrologii. Padł na Polskę cień Sybiru, tylko większy i groźniejszy. Tysiące Polaków skazanych na mękę i zagładę trwa pomimo urzędowej akcji repatriacyjnej na dalekim rosyjskim wschodzie. Łagry, więzienia, Kołyma...

Dzisiejsza obecność Rosji wprowadza elementy jeszcze nieznanne. Rosja sięga w głąb polskiego życia. Nie jest to planowane z góry wynaradawianie. O wynaradawianiu można by niejedno powiedzieć. To, o czym mowa, wynaradawianiem *sensu stricto* nie jest. Są to sprawy trudne do określenia.

Chodzi o włączenie się w nurt polskiego istnienia, wśliznięcie się w polską myśl, uczucie, wolę — a dopiero tą drogą dojście do modelu polskości ustalonego przez Kreml. Chodzi o to, żeby Polacy stali się Polakami na modłę rosyjską i przeżywali to jako polskie „Jestem”. Mamy do czynienia z chwytem rosyjskiej zaborczości nie liczącej się z realnością rzeczy.

Mówiąc o obecności rosyjskiej w Polsce „wyzwolonej” przez Rosję niepodobna tracić tego z oczu. Jest to główny element tej obecności. O tym jednak się nie mówi, mówi się o czymś innym. Pokusa „rozsądnego” kompromisu zagłada w oczy. „Trzeźwe” umysły, ludzie „realnie myślący” mają pole do popisu i popisują się przy każdej okazji. Lansuje się hasło „inaczej być nie może”.

Nieocenionym sojusznikiem rosyjskiego manewru jest marksizm. Marksizm jest ponad rosyjskością, jest po swojemu wzniosły, toruje drogę przyszłości, poszerza światopogląd, jest synonimem postępu, „dobrą nowiną” ludzkości. Tak się jednak dzieje,

że stał się najbardziej przydatny do wtrącania Polski za mury rosyjskiego więzienia, rosyjskiej niewoli, rosyjskiej zbrodni.

Rządy Gomułki

Jest to jakby drugi tom powieści o panowaniu Rosji w Polsce. Poprzedził go „polski październik”. Więzienny reżym wprowadzony do Polski przez Rosję zelżał. Polska odetchnęła. Wszystko jednak tylko do pewnych granic. Istota rzeczy pozostała ta sama. Liberalizacja polskiego życia nie usuwa otaczających Polskę więziennych murów. Stąd niejedno rozczarowanie. Bardzo symptomatyczne są dzieje grupy *Po prostu*. Podobnych faktów, może nie tak jaskrawych i wyraźnych, jest więcej.

Proces ten wzmaga się w miarę czasu. Ostatnio jesteśmy świadkami wydarzeń potwierdzających nasze spostrzeżenia — wydarzeń w różnych dziedzinach życia. Jest to polityka *dawaj nazad*. Dzieje się to w zakresie spraw ekonomicznych, politycznych, społecznych, w świecie nauki i sztuki.

Jakże wymowna była warszawska wizyta Kudara. Swego czasu, w związku z masakrą dokonaną na Węgrach, Gomułka zdobył się na pewną, bardzo zresztą skromną demonstrację anty-kadarowską. Dzisiaj Gomułka pada Kadarowi w objęcia, staje bez zastrzeżeń przy nim, demonstruje jedność i całkowitą zgodność postawy — właśnie dzisiaj, kiedy na Węgrzech wieszają dzieci za udział w powstaniu węgierskim. Dzieci te czekają uwięzione do osiągnięcia 18 lat, a potem idą na szubienicę. Nawet w naszych oczekujących zbrodnią czasach to, co się dziś dzieje w komunistycznych Węgrzech przekracza wszystko, do czego się „przyzwyczajono” i puszczono w niepamięć.

Wzmaga się czujność i ruchliwość Bezpieki. Na naszych oczach buduje się w szybkim tempie rurociąg ropy naftowej z Rosji do Płocka. Z jednej strony jest to dla Polski dobrodziejstwem, ale staje się zarazem przykuciem życia gospodarczego Polski do Rosji, absolutnym uzależnieniem od niej.

W innej dziedzinie polskiej rzeczywistości jakże wymowny jest nowy statut PAN-u — Polskiej Akademii Nauk. Albo zarządzenie władz poprzedzone wystąpieniem rosyjskiego ambasadora Abrasimowa dotyczące bezwzględnego zwalczania wszelkiego rodzaju modernizmu w sztukach plastycznych. Znowu urzędowo położono nacisk na tzw. socrealizm. Zmusza się artystów do jego uprawiania, podobnie jak to miało miejsce za czasów

bierutowskich. Mamy także symptomatyczne zjawiska w świecie wydawniczym, prasowym, teatralnym.

Wszystko to dzieje się wbrew przyrodzonej postawie i tendencjom polskiego życia. Aby zrozumieć liberalny czy liberalizujący okres panowania Gomułki, należy brać to pod uwagę. Przychodzi na myśl leninowski NEP.

Zapewne nie jest rzeczą łatwą powrotne wpędzenie polskiego życia w zakreślone twardą i nie liczącą się z niczym ręką, ustalone od początku bierutowsko-stalinowskie „brzegi”. Taka jednak jest urzędowa tendencja, realizowana w każdej dziedzinie życia.

Okres gomułkowski to zmniejszenie dławiącego Polskę jarzma. Polska odetchnęła. Naród nabrał oddechu. Rozsypywały się spółdzielnie produkcyjne. Bezpiekę ograniczono, zlikwidowano Ministerstwo Bezpieczeństwa, tysiące więźniów politycznych powychodziło na wolność, posypały się procesy przeciwko znanym więziennym katom, ożyła wolność słowa, nauka i sztuka, odetchnęła literatura, zaczęło się lepiej dziać. Od pewnego czasu i w chwili, gdy piszę te słowa, dzieje się gorzej. Cofamy się do czasów bierutowskich.

Jak już pisaliśmy, o wszystkim decyduje obecność Rosji.

Przy zestawieniu: Gomułka - Bierut wszystko przemawia za Gomułką, związanym z „polskim październikiem”. Postać Gomułki sama w sobie prezentuje się lepiej niż postać Bieruta. Gomułka — przez pewien czas bierutowski więzień — miał chwile, kiedy zyskiwał sympatię i uznanie w szerokich kołach społeczeństwa. Były to jednak chwile przemijające. Jako narządzie Rosji Gomułka nie może liczyć na sympatię Polaków — wręcz przeciwnie, wzbudza niechęć i nienawiść. I to jest jego tragedia. A może tragedii takiej nie ma... może Gomułka rozdźwięku takiego nie przeżywa, może stanął poza tym? Myślę, że tak właśnie jest.

Gomułka nie jest intelektualistą. Powszechnie wiadomo, że nie lubi inteligencji, zresztą świadczą o tym jego przemówienia. Jest to „prostaczek”, który bez zastrzeżeń uwierzył całą siłą swego jestestwa w socjalizm i komunizm. Marksizm, który zrozumiał i opanował po swojemu, daje mu doskonałą pewność siebie i przeświadczenie, że cel uświęca środki. Stąd wywodzi się rejestr gomułkowskich grzechów i stąd wypływa jego uległość względem Rosji.

Dla Rosji sowieckiej Gomułka jest bardziej użyteczny niż

Bierut. W swoim czasie Bierut był dla sowieckiej Rosji niezastąpiony.

Nie wchodząc w głębszą analizę dzisiejszej sytuacji można by powiedzieć, że Gomułka i Chruszczow dobrali się, podobnie jak swego czasu dobrali się Bierut i Stalin. Chociaż w tym ostatnim wypadku słowo „dobrali się” nie wydaje się na miejscu. Raczej Stalin wybrał sobie Bieruta dla wykonywania swoich zamierzeń, i, jak widzimy, nie zawiódł się.

Na początku urzędowania Gomułki nie można było mieć pewności, że Chruszczow nie zawiedzie się na Gomułce. Dzisiaj wiele przemawia za tym, że może liczyć na Gomułkę i to decyduje o stabilizacji Gomułki. Nie przemawia to za Gomułką w oczach Polaków.

„Drugi tom powieści” o panowaniu rosyjskim w Polsce jest w całkowitej harmonii z „tomem pierwszym” — bierutowskim. W obu myśl przewodnia i tendencja realizacji życia są te same. Zmieniają się dekoracje i rekwizyty.

Czasy bierutowskie związane są z istnieniem Stalina. Gomułka nie jest do pomyślenia bez Chruszczowa. Chruszczow forsuje obraz Rosji sowieckiej bardziej strawny na Zachodzie i dla państw o ustroju niekomunistycznym.

Rosja sowiecka przestała być rewolucyjną grozą zawisłą nad światem jak za czasów Lenina i Stalina. Rosja sowiecka w propagandzie Chruszczowa stara się przypodobać, oświadcza, że jest taka jak inni i nie ma powodu, by pomimo różnicy światopoglądów wszyscy nie mieli paść sobie w objęcia. Ze swoistym „wdziękiem” i teatralnością demonstrowuje to Chruszczow w swoich zagranicznych wystąpieniach. Gruby łysy jegomość o mięsistej twarzy pławi się w uśmiechach, zachowuje się jak aktor komedii *dell' arte* grający rolę głupawego mędrka. Czasem tylko w wąziutkich szparach oczu zabłyśnie zwierzęco-ludzka chytryść. Czy można sobie wyobrazić w podobnej roli Stalina albo Lenina?

Teatralność swych wystąpień Chruszczow urozmaica jeszcze gronem — i to niemałym — swojej rodziny. Widzimy panią Chruszczow, synów, córki, zięciów... Biorą oni udział w galowych wystąpieniach Nikity Chruszczowa, wzbogacają przedstawienie. Mimo woli przychodzi na myśl, że dzieje się coś niezwykłego, jedyne w swoim rodzaju. Inne narody europejskie, azjatyckie, afrykańskie tego nie robią. Co najwyżej, i to nie zawsze, premierom towarzyszą małżonki.

Jak dalece Chruszczow personifikuje dzisiejszą Rosję, nie wiemy. Nie wyobrażamy sobie jednak, aby „przedstawienia”

inscenizowane przez Chruszczowa na forum międzynarodowym miały miejsce wbrew opinii świata sowieckiego.

Staje się oczywiste, że coraz wyraźniej występuje na plan pierwszy rosyjska racja stanu, imperializm rosyjski, z takim powodzeniem posługujący się komunizmem. Potwierdza to w sposób niezwykle wymowny to, co pisaliśmy o obecności Rosji sowieckiej w Polsce.

Chodzi o to, by zdawano sobie sprawę z obecnego stanu rzeczy na Wschodzie. „Pięte kolumny” komunistyczne, które poza granicami Rosji odgrywały jeszcze do niedawna wielką i realną rolę, przestają istnieć — zanikają. Zamiast nich urzęduje normalny aparat dywersyjno-szpiegowski.

IX. — UWAGI

Moje spostrzeżenia o Rosji i inne, które poczyniłem w różnych czasach i różnych warunkach mego życia, dają zarysy rosyjskiego świata, z którym ludzkość ma do czynienia.

Piszę to w dwa tygodnie po nieudanej „konferencji na szczycie”. Zbliżamy się do punktu kulminacyjnego i odpowiedzi na pytanie: czym stanie się Rosja w świecie ludzkim? Odnoszę wrażenie, że odpowiedź na to nastąpi niebawem. Obecność Rosji, która tak długo ciążyła nad Polską i dekomponowała polskie życie, zawiąła dziś nad całym światem ludzkim i usiłuje świat ten dekomponować.

W dźwiganie się potęgi rosyjskiej należy zwrócić uwagę na:

1. — przydatność marksizmu w wewnętrznym świecie rosyjskim. Mam na myśli dźwiganie się rosyjskiej władzy absolutnej tak znakomicie i z ogromną dla siebie korzyścią wykorzystującej marksizm. Mam na myśli usprawiedliwianie marksizmem tradycyjnej rosyjskiej zaborczości, gnębienia i ujarzmania innych ludów;

2. — przydatność marksizmu w rozbrajaniu antyrosyjskiej postawy pojawiającej się poza granicami Rosji.

Kto wie, czy kulminacji ciężenia Rosji nad światem ludzkim nie mamy już poza sobą?

Wydaje mi się, że bieg wydarzeń pomimo wszystko nie będzie dla Rosji pomyślny. Może się to przyczynić do duchowego odrodzenia Rosji, do pojawienia się w jej życiu prawdziwych ludzkich walorów.

O rosyjskich walorach grzmi bezustannie sowiecka propaganda z Nikitą Chruszczowem na czele. Może najbardziej wymowna jest ostatnia podróż Chruszczowa do Ameryki.

Rosja ukazała się amerykańskim oczom uśmiechnięta, dobrodusza, szczerza. Chruszczow czynił co mógł, by osiągnąć zamierzony efekt. Sam mówił o tym Amerykanom z charakterystyczną dla siebie dobroduszością i żartobliwością: „No, widzicie, przyjechali do was straszni Rosjanie-komuniści i przekonaliście się, że nie mają wcale diabelskich rogów, bo to tacy sami ludzie jak wy” (*Przekrój*, 17 kwietnia 1960, str. 3).

Rosyjska „dobroduszość”... Kto zna Rosję, ten spotkał się z nią na pewno w różnych okazjach i sytuacjach. Zacytuję fakt wzruszający.

Było to w Ostrogu, do którego na początku niemieckiej ofensywy dotoczyła się fala warszawskich uchodźców. Pograniczne miasto Ostróg, puste zazwyczaj i senne, zaczęło pulsować swoim życiem.

Z chwilą przekroczenia granicy przez wojska sowieckie Ostróg znalazł się pod panowaniem Rosji sowieckiej. Pierwsze dni jej panowania przebiegały w rozgardiaszu i ogólnym ożywieniu. Ostróg był miastem 19-go pułku ułanów wołyńskich. Garść ułanów, która w ogólnej zawierusze znalazła się w mieście, została przez władze sowieckie uwięziona. Zabudowania, w których przebywali aresztanci, zostały odizolowane od reszty miasta, pilnowali ich stojący na warcie krasnoarmiejcy.

Znajdujący się w mieście Polacy zorganizowali dożywianie uwięzionych ułanów. Płynęły wałówki. Władza sowiecka nie czyniła przeszkód i wszystko szło ustalonym trybem do chwili dostarczenia ułanom broni, co się wydało. Nastąpiły obostrzenia. Zostały podane ścisłe godziny widzeń i dostarczania żywności.

I oto we wrześniu 1939 roku można było być świadkiem następującej sceny. Do krasnoarmiejca-wartownika podchodzi kobieta z wałówką w rękę. Wartownik jej nie wpuszcza, zwraca uwagę, że ustalony dla widzeń czas już minął. Kobieta nie daje za wygraną. Wartownik nie ustępuje. Zwabieni wrzaskiem przechodnie przystają, robi się tłum. W pewnym momencie tłum zamarł. Rozwścieczona kobieta uderzyła wartownika w twarz. Spodziewano się i czekano na nieuchronne następstwa. Oczami wyobraźni widziano zastrzeloną kobietę leżącą u nóg wartownika. Tymczasem krasnoarmiejec roześmiał się od ucha do ucha i śmiejąc się powiedział: „Taką samą cholera zostawiłem u siebie w domu”. Na tym wszystko się skończyło.

Prostodusze krasnoarmiejca — wartownika w Ostrogu w

roku 1939 i *prostoduszje* demonstrowane przez Nikitę Chruszczowa w Ameryce w roku 1960...

W Ostrogu zakwitło urokliwe i wzruszające do głębi człowieczeństwo, które jak promień zagląda do duszy ludzkiej.

W Ameryce mieliśmy do czynienia z cynizmem, budzącą odrazę mistyfikacją, ordynarnym chwytem niewybrednej sowieckiej propagandy.

Jednak i tam i tu mamy do czynienia z prawdziwą Rosją — w wypadku pierwszym z rosyjskim *prostoduszem*, w wypadku drugim z właściwą rosyjskością mistyfikacją *prostoduszja* użytego jako przynęta.

Rosyjskie *prostoduszje* w sowieckim wydaniu urzędowym budzi sprzeciw i odrazę. Nie wiem, czy odczuwają je ci, którzy prowadzą pertraktacje z Rosją i kontynuują niekończące się, beznadziejne rozmowy na temat pokoju albo zbawiania ludzkości. Wiele przemawia za tym, że strona rosyjska sprawy sobie z tego nie zdaje i nie zrażając się niczym brnie w swojej propagandzie.

Mam wrażenie, że zachodzi tu analogia z postępowaniem Rosji w dziedzinie malarstwa. Rosja z żelaznym uporem forsuje socrealizm i zmusza do socrealizmu podległe sobie państwa. Byłem na rosyjskiej wystawie w salach Zachęty. To, co ujrzałem nie miało nic wspólnego ze sztuką. Nie można mieć wątpliwości, by mogło to budzić echo zrozumienia wśród ludzi na całym globie ziemskim — ludzi dzisiejszych.

Przeczytałem w prasie, że malarstwo swoje Rosja sowiecka pokazuje także w Londynie. Dlaczego i w imię czego Rosja świadomie i z własnej nieprzymuszonej woli tak się ośmiesza i kompromituje? Mimo woli przychodzi na myśl, że mamy do czynienia z kimś, kto nie zdaje sobie sprawy ze swego zachowania.

Doświadczenia z malarstwem nie należy bagatelizować. Jest to kliniczny obraz stanu rosyjskich umysłów, które dziś o Rosji decydują i Rosją rządzą. Ten stan umysłu wpływa na charakter Rosji sowieckiej. Malarstwo stwierdza w sposób jednoznaczny i nieomylny, że to, z czym Rosja idzie, nie jest dla ludzi do przyjęcia, jest zaprzeczeniem tego, co w nas jest.

Rzecz jasna, malarstwo nie wyczerpuje kompozycji istnienia Rosji, jest jednak jednym z jej elementów i w sposób sobie właściwy stanowi o całości.

To samo należy powiedzieć o wspomnianej przez nas propagandzie rosyjskiego *prostoduszja* uprawianej tak hałaśliwie przez Chruszczowa, o sowieckiej propagandzie pokoju albo forsowaniu haseł moralnych, wzniosłych, ogólnoludzkich.

Jakże pożałowania godne są inicjowane przez Rosję sowiecką sceny porozumienia, jedności, przyjaznych nastrojów, szczerości, wzajemnego zaufania, dobrej wiary!

Z westchnieniem ulgi dowiedziałem się o okolicznościach towarzyszących zerwaniu paryskiej „konferencji na szczycie”. Narzucony przez Rosję styl negocjacji będzie musiał ulec zmianie. Jest to niewątpliwym osiągnięciem nieudanej konferencji. W nowych warunkach teatralny styl Chruszczowa, jego mizdrzenie się, propaganda rosyjskiego *prostoduszja* nie będą miały takich szans jak przedtem.

Spostrzeżeń podobnego typu można by zrobić więcej. Jednak w toczącej się rozgrywce pomiędzy wolnym światem a Rosją istnieją także pozycje innego wymiaru — realne.

1. — Rosja powiększyła niepomniernie swą siłę militarną, może się pochwalić poważnymi zdobyczami w zakresie współczesnej broni.

2. — Z wielkim rozmachem i nieprzewidzianie wielkimi rezultatami Rosja rozbudowała swoje życie gospodarcze i potencjał przemysłowy i rozbudowuje go w dalszym ciągu.

3. — Społeczna przebudowa rosyjskiego życia dała niewątpliwie sukcesy.

Pozycje te wskazują na to, co się dzieje w Rosji, i stanowią w wielkiej mierze o rosyjskiej dzisiejszej rzeczywistości. Nad tym także nie można przechodzić do porządku.

Posiłkując się marksistowską metodą myślenia i marksistowskim słownictwem dochodzimy do zagadnienia „nadbudowy” w znaczeniu, jakie ustala marksizm.

I tu jest sedno sprawy. Chodzi o istnienie człowieka w Rosji sowieckiej, o kompozycję istnienia obejmującą wszystko. Z istnieniem tym nie możemy się pogodzić i nie pogodzimy się nigdy, pomimo niewątpliwych i olśniewających rosyjskich sukcesów.

Nie pogodzimy się ze względu na zaborczość Rosji i nieustanny wysiłek ujarzmiania własnych obywateli oraz innych narodów.

Nie pogodzimy się, ponieważ zagraża moralnej naturze człowieka, urodzie życia, temu, co nazywamy człowieczeństwem, co jest ludzką twórczością we wszystkich wymiarach, a w pierwszym rzędzie twórczością społeczną, stosunkiem człowieka do człowieka, miłością.

Nie pogodzimy się z rosyjskim niewolnictwem przenikającym

cym rosyjskie życie przez wieki. Niewolnictwo to w naszych czasach doszło do niespotykanej jeszcze w Rosji skali.

Sprawa nie ogranicza się do tego, że się nie „pogodzimy” z tym, co się dzieje w sowieckiej Rosji i co Rosja chce narzucić światu. Chodzi o walkę z rosyjską agresją.

Gdy na początku wspomnieliśmy o obecności Rosji, mieliśmy na myśli Polskę i z tej perspektywy usiłowaliśmy dać obraz rosyjskiej obecności.

Bieg wypadków zaszedł jednak tak daleko, że dzisiaj obecność Rosji ciąży nad całym światem ludzkim, olbrzymieje. Sprawa Rosji wysuwa się na pierwszy plan.

Świat jest zmuszony sprawę tę załatwić. Oczywiście tego bije w oczy. Świat musi Rosję przechorować i wyzdrowieć, albo stoczy się w mrok upadku, bez nadziei i wiary, że warto żyć.

Gdy zaczynaliśmy o Rosji pisać, nie można było przewidzieć, że zrobi ona tak zawrotną karierę.

Rosja wzbudza podziw. Instynkt sportowy podpowiada rewelacyjną skalę rosyjskiego wyczynu. Niewątpliwie jest to sukces samej Rosji, ale niemałą w tym rolę odegrały warunki — demoralizacja i chaos powstałe za czasów pierwszej i drugiej wojny światowej, procesy rozkładu w świecie kultury i cywilizacji zachodnioeuropejskiej.

Swój „sukces” Rosja zawdzięcza umiejętności budowania siły z procesów rozkładowych i ludzkiego upadku.

Wszystko to dziś jest jasne i bezsporne. Z podźwignięciem się człowieka i społeczeństw z nędzy automatycznie nastąpi zmierzch sowieckiej Rosji. Wtedy przed Rosją pojawią się perspektywy i możliwości odrodzenia, możliwości pojawienia się rosyjskich walorów wzbogacających istnienie człowieka w Rosji i poza jej granicami.

Henryk JÓZEWSKI

Juliusz SZYGOWSKI

KONFERENCJA PAŃSTW BAŁTYCKICH W BULDURI (RYGA) W ROKU 1920

W tym czasie, gdy byliśmy zaangażowani w walkach w obronie Warszawy i w przepędzaniu bolszewickich armii z granic polskich, odbywała się Konferencja Państw Bałtyckich w Bulduri, w pobliżu Rygi, od 6 sierpnia do 6 września 1920 roku. Konferencja ta została zwołana z inicjatywy Łotwy a wzięły w niej udział: Estonia, Finlandia, Litwa i Polska, a od 21 sierpnia również i Ukraina.

Państwa bałtyckie, które w roku 1918 wyzwoliły się spod panowania rosyjskiego i zdobyły swą niepodległość, zrozumiały bardzo prędko potrzebę regionalnego przymierza bałtyckiego mającego na celu wspólną obronę przed ewentualną agresją.

Konferencja w Bulduri nakreśliła szereg rezolucji w pierwszej linii czysto politycznych, a następnie gospodarczych, kulturalnych, finansowych i komunikacyjnych.

Uchwalony na tej Konferencji projekt przymierza bałtyckiego został przyjęty przez delegatów w dniu 31 sierpnia 1920 roku z tym że wejdzie w życie po ratyfikowaniu go przez państwa mające się sprzymierzyć. Niestety, ten dalekosiężny plan, którego realizacja mogłaby była zmienić w przyszłości losy Europy, nigdy nie został ratyfikowany z racji konfliktu pomiędzy Litwą a Polską w sprawie Wilna. W czasie konferencji w Bulduri Wilno było w rękach litewskich ale niedługo potem zostało w październiku 1920 roku zajęte przez „zbuntowane” wojska gen. L. Żeligowskiego i z Wileńszczyzny została stworzona Litwa Środkowa. W następstwie tego, Litwa zerwała stosunki dypl-

matyczne z Polską i nie chciała zasiąść z nią przy żadnym stole konferencyjnym.

Mimo to, pozostali uczestnicy Bałtyckiej Konferencji w Bulduri kontynuowali swoje wysiłki i 17 marca 1922 ministrowie spraw zagranicznych Estonii, Finlandii, Łotwy i Polski podpisali w Warszawie polityczne porozumienie, które w zasadzie było rozwodnioną wersją wspólnego przymierza obronnego nakreślonego w Bulduri. Tekst warszawskiego porozumienia bałtyckiego z 17. III. 1922 nie został oficjalnie opublikowany; parlament fiński nie ratyfikował porozumienia z 1922 roku a rząd polski niebawem się wycofał. Mimo to w rezultacie Konferencji Warszawskiej doszło do łotewsko-estońskiego przymierza obronnego, ratyfikowanego w lutym 1924. Łotewsko-estońskie przymierze obronne zawiodło w roku 1939 bo Polska została pokonana, a Łotwa, Estonia i Litwa nie mogły same wytrzymać presji niemieckiej ani też sowieckiej.

W czasie trwania Konferencji w Bulduri wojna domowa w Rosji była już ukończona po pokonaniu przez bolszewików armii Kołczaka i Denikina. Trzymał się jeszcze gen. Wrangel na Krymie, a bolszewicy mając już ręce rozluźnione, uderzyli na Polskę od północnego i południowego wschodu, znaleźli się u bram Warszawy skąd odgonieni zostali daleko na wschód.

Inicjatorem i *spiritus movens* Konferencji w Bulduri był łotewski minister spraw zagranicznych Zigfrids A. Meierowicz, któremu sekundował premier łotewskiego rządu, Karlis Ulmanis. Ideą Meierowicza było ustabilizowanie bezpieczeństwa na wybrzeżu bałtyckim.

Łotewskie Poselstwo w Waszyngtonie ogłosiło w roku 1960 oryginalny protokół z przebiegu Konferencji w Bulduri, jaki przypadkowo odnaleziony został w archiwum Poselstwa. („Minutes of the Baltic Conference held at Bulduri in Latvia in 1920”. Published by the Latvian Legation, Washington, D.C. 1960). Dokument ten zawiera protokoły dziesięciu sesji plenarnych w czasie pomiędzy 6 sierpnia a 6 września 1920 roku — oraz trzydzieści załączników odnoszących się do delegatów, organizacji, głównych obrad, reguł, różnych projektów oraz politycznych uzgodnień i kontrowersji. Większość tekstów jest w języku francuskim ale niektóre są w języku niemieckim, jaki większość delegatów dobrze знаła. Jeden tylko dokument, a mianowicie projekt odnośnie międzynarodowego prawa prywatnego, był napisany w języku rosyjskim a potem przetłumaczony został na język niemiecki.

Tekst traktatu politycznego jaki został przyjęty na sesji w

dniu 31 sierpnia 1920 roku nie został włączony do protokołu tej sesji, ponieważ postanowiono że tekst traktatu będzie ogłoszony dopiero po zatwierdzeniu go przez zainteresowane rządy.

Przechodząc teraz do przedstawienia przebiegu obrad, tak jak one zostały zamieszczone w oficjalnym protokole Konferencji Państw Bałtyckich, zaczniemy od składu personalnego poszczególnych delegacji.

Delegacja Finlandii:

Leonard Astrom, Directeur du Dépt Commerce-Polit. aux Affaires Etrangères — Président;

Erkki Reijonen, Délegué de Finlande en Esthonie;

Colonel Birger Helsingius, Attaché Militaire à Riga;

Berndt Gronblom, Conseiller de Mines.

Delegacja Polski:

Leon Wasilewski, Chargé d'Affaires à Reval — Président;

Witold Kamieniecki, Délegué du Gouvernement polonais auprès du Gouvernement de Latvia;

Colonel Mieczysław Pożerski, Attaché Militaire à Helsingfors;

Commandant Alexander Myszkowski, Attaché Militaire à Riga;

Cpt Jean Staniewicz, Délegué du Ministère de la Guerre;

Adam Tarnowski;

Wincenty Zwoliński.

Delegacja Litwy:

Dr Jurgis T. Saulys, Président;

Vladislovas J. Natkevicius;

Dr Dovas D. Zaunius, Chargé d'Affaires à Riga;

Adolfas Moravskis, Expert;

Vytautas Petrulis, Expert;

Antanas Macejauskas, Expert.

Delegacja Estonii:

Karl Pusta, Chargé d'Affaires à Paris, Président;

Rein Eliaser;

Karl Ipsberg;

Dr Alfred Mottus;

Colonel Paul Lill;

Karl Kirp, Secrétaire.

Delegacja Łotwy:

Karlis Ulmanis, Ministre-Président, Président;

Zigfrids A. Meierovics, Ministre des Affaires Etrangères;

Woldemars Samuels, Sénateur, Membre de la Constituente;

Janis Rainis-Pleekschans, Membre de la Constituente;

Lt Colonel Karlis W. Ramats.

Secrétaire Général:

Hermanis Albats, Sous-Secrétaire d'Etat aux Affaires Etrangères.

Secrétaires:

W. Schumans, Directeur du Dépt Général du Ministère des Affaires Etrangères;

J. Lasdins, Chef du Cabinet Privé du Ministre des Affaires Etrangères.

Secrétariat:

Anna Kenin — Austra Osolin-Krause — Etiënne-Marcel Segreste —
Wolf Osten-Sacken — André Fridenberg — Nicolas Lasdinsch —
Arved Kudsinsch.

Na sesji w dniu 7 sierpnia ukonstytuowały się następujące Komisje:

- 1) Komisja Ekonomiczna
- 2) Komisja Polityczna i Prawna
- 3) Komisja dla Spraw Kulturalnych, Socjalnych i Sanitarnych
- 4) Komisja Redakcyjna
- 5) Komisja dla Badania Pełnomocnictw
- 6) Komitet Dziekanów.

Na tej samej sesji uchwalono regulamin Konferencji składający się z 18-tu paragrafów.

Na bardzo pracowitej sesji czwartej w dniu 20 sierpnia wysłuchano referatów dotyczących kolejnictwa, ceł, listów wymiennych, czeków i trat; poczt i telegrafów; oraz banknotów wydawanych przez banki rosyjskie. Senator Samuels (Łotwa) przemawiał w sprawie obowiązkowego arbitrażu, a Komisja dla Spraw Kulturalnych, Socjalnych i Sanitarnych przedstawiła projekty konwencji artystycznej — zabezpieczenia praw literackich i artystycznych — projekt konwencji naukowej — sanitarnej oraz projekt zabezpieczenia interesów kulturalnych.

Przewodniczący sesji Z. A. Meierowicz podał do wiadomości, że rządy białoruski oraz ukraiński zgłosiły prośbę o udział w Konferencji Państw Bałtyckich. Kwestia udziału rządu białoruskiego została rozstrzygnięta odmownie przez Komitet Dziekanów i tę decyzję Izba zatwierdziła przez głosowanie. Przeciwko udziałowi rządu ukraińskiego w tej Konferencji zgłosiła swój sprzeciw delegacja litewska, ale inne delegacje głosowały za przyjęciem delegacji ukraińskiej.

Sprzeciw litewski (tekst francuski):

„Mając na uwadze, że 1) sytuacja prawna rządu ukraińskiego w Stanisławowie nie jest jasna, 2) że Konferencja w Rydze jest poświęcona wyłącznie sprawom Państw Bałtyckich, że 3) rząd litewski uważa dopuszczenie przedstawiciela Ukrainy do Konferencji w Rydze za wmieszanie się do spraw wewnętrznych Rosji, co może spowodować konflikt z Rosją, delegacja litewska znajduje, że udział reprezentantów rządu w Stanisławowie w Konferencji Ryskiej nie miałby dla Ukrainy żadnej korzyści, natomiast mogłby przynieść poważne następstwa dla Litwy.

W konsekwencji delegacja litewska wypowiada się przeciwko udziałowi delegatów ukraińskich w Konferencji Ryskiej, ale uważa za potrzebne oświadczyć równocześnie, iż nie opuści Konferencji, jeżeli większość państw biorących w niej udział opowie się za dopuszczeniem Ukrainy na Konferencję i że w takim wypadku ograniczy się do wstrzymania się od głosowania”.

— 19 sierpnia 1920 — (podp.) Dr J. Saulys.

Na V. sesji w dniu 21 sierpnia 1920 przewodniczący Meierowicz powitał delegatów ukraińskich w osobach: Kedrowski jako przewodniczący i delegaci: Salikowskyj, Dobrylowskyj, Frankfurt, Sadoroschny (Zadorożny).

Na tym samym posiedzeniu Karl Pusta, przewodniczący delegacji estońskiej, rozruszał Izbę składając następujące oświadczenie polityczne (tekst francuski):

„Minęły dwa tygodnie odkąd zebraliśmy się na wolnej ziemi Łotwy z mocnym postanowieniem współpracy nad rozwiązaniem problemów politycznych, ekonomicznych i kulturalnych wspólnych dla wszystkich naszych państw oraz aby wyrównać trudności, jakie wyłoniłyby się pomiędzy niektórymi państwami uczestniczącymi w Konferencji Bałtyckiej.

Okazuje się po dzisiaj podjętych decyzjach, że porozumienie co do zagadnień pierwszej kategorii zostało łatwo uzgodnione i że Komisje Ekonomiczna oraz Kulturalna dojdą za parę dni do końca swoich obrad.

Wiemy, że trzecia Konferencja Państw Bałtyckich miała na celu nie tylko uregulowanie kwestii Poczty i Telegrafów, Konwencji Sztuk Pięknych i Kolei, ale udowodnienie swoim narodom, przyjaciom a przede wszystkim nieprzyjaciołom, iż jesteśmy zjednoczeni w naszych poglądach politycznych jak też i na froncie dyplomatycznym oraz wojskowym, w razie wspólnego niebezpieczeństwa.

To niebezpieczeństwo, Panowie, ciągle jeszcze istnieje, a wypadki ostatnich dni wskazują na to, że knowania nieprzyjaciół naszej niepodległości przyjęły nowe formy tak na kontynencie europejskim jak i w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Jedność akcji dyplomatycznych w stosunku do zagranicy, śmiała polityka pokoju a równocześnie przymierze obronne naszych [bałtyckich] interesów oraz zagadnień, oto polecenia, które Rząd Estonii powierzył naszej delegacji.

Delegacja estońska wyraża życzenie, aby nie został tu zapomniany, pomiędzy różnymi sprawami, które będzie można rozwiązać na tej Konferencji, ten dogmat, że pomiędzy kwestiami życia praktycznego, celem zasadniczym, dla którego się tu zebraliśmy jest: porozumienie [*entente*] polityczne oraz przymierze [*alliance*] wojskowe.

Wydaje się nam, że przed ratyfikowaniem konwencji ekonomicznych, prawnych i kulturalnych powinny nasze rządu posiadać pewność, iż jesteśmy zjednoczeni, aby bronić naszego istnienia”. (Bilderlingshof, 21 sierpnia 1920).

Na szóstej sesji, która odbyła się w dniu 31 sierpnia 1920 roku, przewodniczący Z. A. Meierowicz, powołując się na oświadczenie delegacji estońskiej (K. Pusty) z 21. VIII oświadczył, iż w dniu 23. VIII otrzymał następującą deklarację delegacji polskiej (tekst francuski):

„Delegacja polska podtrzymuje w całej rozciągłości opinie wyrażone przez Pana Przewodniczącego delegacji estońskiej, wyrażone w jego deklaracji w dniu 21 sierpnia. Polska jest przekonana co do potrzeby Unii Bałtyckiej, którą uważa za gwarancję niepodległości wszystkich Państw Bał-

tyckich i zapewnienie pokoju w Europie Wschodniej. Jednakowoż Unia Bałtycka powinna przedstawiać potrzebną siłę do odparcia niebezpieczeństw, które zagrażają Państwom Bałtyckim. A więc delegacja polska musi zaznaczyć, że w obronie przeciwko niebezpieczeństwu bolszewickiemu Polska nie posiada po swojej stronie żadnego Państwa Bałtyckiego z wyjątkiem armii ukraińskiej, która bierze udział w walkach po naszej stronie. Również żadna pomoc materialna ani moralna nie była udzielona Polsce — przeciwnie, Państwa Bałtyckie oświadczyły publicznie, że dzięki sukcesom bolszewickim zostały zrealizowane ich ideały narodowe.

Chcąc kontynuować politykę zbliżenia Państw Bałtyckich, delegacja polska zwraca uwagę Komisji Politycznej na iminentne niebezpieczeństwo, jakie wyłania się ze wszystkich stron. Państwa Bałtyckie, które chcą obronić swe istnienie, winny zdecydować się na poniesienie koniecznych ofiar aby osiągnąć możliwe ogólne porozumienie. Polityka ślepego dżonizmu byłaby w tej chwili błędem nie do naprawienia przeciwko Unii Bałtyckiej. Delegacja polska spodziewa się, że Państwa Bałtyckie, wolne od szkodliwych wpływów zewnętrznych, będą z łatwością wiedziały jak urządzić wzajemne sprawy i w ten sposób znajdą rozwiązanie wszystkich istniejących zagadnień. Ze swej strony Delegacja Polska deklaruje gotowość do wszelkich kroków celem ułatwienia *entente cordiale* pomiędzy państwami biorącymi udział w tej Konferencji.

Gdyby jednak nadzieje te nie mogły zostać zrealizowane i egoistyczne partykularyzmy zatrumfowałyby nad ideą Unii Bałtyckiej, Polska rezerwuje sobie wolną rękę, aby zabezpieczyć swoje interesy w sposób jaki będzie uważała za stosowny”.

Konferencja przyjęła jednogłośnie do wiadomości tę deklarację, a przewodniczący Z. A. Meierowicz stwierdził, że stosunki polsko-litewskie utrudniają zawarcie defensywnego porozumienia wojskowego. W celu zaś znalezienia pomyślnego rozwiązania Komisja Polityczna przyjęła jednogłośnie w dniu 12 sierpnia następującą rezolucję (tekst niemiecki):

„Po wysłuchaniu referatów przedstawicieli polskich i litewskich na temat obopólnych stosunków, Komisja Polityczna Konferencji Państw Bałtyckich w Rydze uważa za pożądane w interesie tak Polaków jak Litwinów oraz innych konferujących państw, aby polsko-litewskie sprawy sporne zostały w Bulduri wyjaśnione i ewentualnie rozwiązane oraz jednogłośnie postanawia, aby przedstawiciele Polski i Litwy starali się zwrócić do swoich odpowiednich władz państwowych z propozycją skierowania spornych spraw pomiędzy tymi państwami na drogę rokowań”.

Konferencja przyjęła jednogłośnie do wiadomości tę rezolucję, a przewodniczący polecił odczytać z kolei następujące oświadczenie delegacji polskiej (tekst francuski):

„Odnosnie stosunków polsko-litewskich delegacja polska na Konferencji w Rydze stwierdza, że polityka polska kierowała się zawsze pragnieniem znalezienia przyjaznego rozwiązania wszystkich kwestii spornych pomiędzy Polską a Litwą. Delegacja polska wierzy, że podobne rozwiązanie jest jeszcze możliwe pod warunkiem, że rząd litewski oświadczy, iż nie jest związany

zadnym porozumieniem skierowanym przeciwko Polsce i że wyrzeka się prześladowania obywateli litewskich narodowości polskiej. Wedle wiadomości świeżo otrzymanych, specjalna delegacja rządu polskiego uda się w tych dniach do Kowna, aby rozpocząć tam rozmowy z rządem litewskim. W wypadku gdyby bezpośrednio negocjacje nie przyniosły definitywnych rezultatów, Polska będzie zmuszona uregulować sporne sprawy pomiędzy sobą a Litwą innymi pokojowymi sposobami, praktykowanymi przez narody cywilizowane XX wieku, bez uciekania się do broni”.

Po przyjęciu do wiadomości tego oświadczenia delegacja litewska złożyła następującą deklarację (w języku niemieckim):

„Delegacja litewska oświadcza, że Litwa pragnie oraz uważa za potrzebną Ententę wszystkich Państw Bałtyckich, oraz że dla obrony bytu państwowego tych państw, które już zawarły pokój z Rosją, uważa za możliwą i konieczną Obronną Konwencję Wojskową. Równocześnie delegacja litewska wyraża życzenie, aby do tej Konwencji dołączyła się Finlandia po zawarciu pokoju z Rosją, jak również Polska po pokojowym rozwiązaniu spraw spornych z Litwą i po zawarciu pokoju z Rosją.

Wychodząc z powyższego, delegacja litewska oświadcza, że Litwa gotowa jest wraz z państwami, które zawarły pokój z Rosją, wziąć udział w przygotowaniach do wspomnianej Konwencji Wojskowej”.

Konferencja zadecydowała jednogłośnie przyjąć do wiadomości tę deklarację oraz poleciła odczytać następujące zastrzeżenie [*Vorbehalt*] delegacji litewskiej odnośnie projektu traktatu, jaki mają zawrzeć państwa biorące udział w Konferencji (tekst niemiecki):

„Po naradzie nad projektem Konwencji Politycznej pomiędzy Finlandią, Estonią, Łotwą, Litwą, Polską i Ukrainą delegacja litewska powołuje się na dyskusję i głosowanie nad swoją deklaracją z 28 sierpnia i wyjaśnia, że:

- 1) polityczną *entente cordiale* pomiędzy państwami bałtyckimi — włączając Polskę — tak długo uważa się za niemożliwą, jak długo stosunki pomiędzy Litwą a Polską w zasadniczych sprawach nie będą uregulowane.
- 2) Odnośnie punktu 5) propozycji konwencji wojskowej, delegacja litewska wskazuje na swoją wyraźną deklarację z 28 sierpnia i na założenia w niej zawarte.

Delegacja litewska odsyła również w sprawie Ukrainy do swojej deklaracji na Plenarnym Zebraniu w dniu 20 sierpnia”.

Konferencja przyjęła jednogłośnie tę litewską deklarację do wiadomości i odczytała następującą deklarację delegacji polskiej (tekst francuski):

„Delegacja polska oświadcza, że z powodu stanowiska delegacji litewskiej porozumienie pomiędzy wszystkimi państwami reprezentowanymi na Konferencji w Rydze stało się niemożliwe i (wobec tego) Polska rezerwuje sobie wolną rękę w pertraktacjach z Litwą”.

I znowu Konferencja przyjęła jednogłośnie do wiadomości tę deklarację i poleciła odczytać następujące oświadczenie, złożone ustnie przez przewodniczącego delegacji litewskiej w dniu 24 sierpnia (tekst niemiecki):

„Powołując się na wczorajsze wyjaśnienia p. Kamienieckiego w imieniu polskiej delegacji na posiedzeniu Komisji Politycznej w sprawie zagadnienia litewskiego a zwłaszcza co do ustępu, w którym mówi się o rzekomej litewskiej polityce prześladowania Polaków — muszę w imieniu delegacji litewskiej założyć protest.

Jeśli w oświadczeniu Pana Przedstawiciela delegacji polskiej wymienione zostało rzekome aresztowanie Polaków na Litwie — to muszę podkreślić, że aresztowania zostały dokonane z powodu przygotowań do zbrojnego powstania przeciwko litewskiemu rządowi i że aresztowane osoby mogą to zawdzięczać tylko organom polskiego rządu, które chciały kierować tym powstaniem z Wilna”.

Konferencja przyjęła tę deklarację do wiadomości przy powstrzymaniu się delegacji polskiej od głosowania.

Po przemówieniu senatora łotewskiego Woldemarsa Samuelsa delegacja polska przedstawiła swoje oświadczenie (tekst francuski):

„Wobec klauzuli z zastrzeżeniami, włączonej przez Litwę do projektu traktatu, delegacja polska oświadczyła, że Polska uważa się za związaną przez stypulacje tego traktatu w stosunku do Litwy tylko w razie definitywnej jego akceptacji bez żadnych restrykcji przez Litwę”.

Przewodniczący delegacji fińskiej, uważając ogłoszenie traktatu w tej chwili za niepożądane, oświadczył (tekst niemiecki):

„Projekt układu pomiędzy konferującymi państwami nie powinien być opublikowany przed ustaleniem, jaki jest stosunek doń wszystkich państw konferujących i przed podaniem go do wiadomości innych państw”.

To oświadczenie delegacji fińskiej poparli reprezentanci Litwy i Ukrainy.

Po złożeniu wszystkich deklaracji przewodniczący Z. A. Meierowicz odczytał projekt traktatu paragraf po paragrafie i każdy paragraf został poddany pod głosowanie i jednogłośnie przyjęty, z wyjątkiem paragrafu 7-go, co do którego treści delegacja polska i ukraińska zgłosiły następujące zastrzeżenia.

Zastrzeżenie delegacji polskiej (tekst francuski):

„Delegacja polska zgadza się na brzmienie paragrafu 7-go z wyjątkiem słów *lub innego państwa*”.

Zastrzeżenie delegacji ukraińskiej (tekst francuski):

„Ukraińska Republika Demokratyczna uważa się za związaną stypulacją paragrafu 7-go odnoszącego się do tranzytu towarów przewożonych z Kraju nie reprezentowanego na tej Konferencji, z wyjątkiem tych państw kontraktujących, które podpiszą analogiczne zobowiązanie względem Ukraińskiej Republiki Demokratycznej”.

Całość projektu traktatu została postawiona pod głosowanie i przyjęta jednogłośnie. Podpisali ten projekt traktatu członkowie Komisji Wojskowej:

płk Helsingius (Finlandia), płk Pożerski, mjr Myszkowski i kpt. Stankiewicz (Polska), płk Lill (Estonia), płk Kedrowskyj i płk Witkowskyj (Ukraina), gen. Radsinsch i ppłk Ramats (Łotwa).

Delegacja litewska wstrzymała się z wysłaniem swoich reprezentantów do Komisji Wojskowej, mającej podpisać ten projekt.

Uchwalono, aby nazwisk członków Komisji Wojskowej nie podawać do publicznej wiadomości. Szóstą sesję odroczone o godzinie 2.30 po północy. Protokół z tej sesji był przeczytany i zatwierdzony przez Komitet Dziekanów w dniu 4 września 1920.

Ostatnia, dziesiąta sesja konferencyjna odbyła się w dniu 6 września 1920 roku, w czasie której podpisano (1) konwencję odnośnie pewnych spraw prawa międzynarodowego, (2) konwencję o obowiązkowym arbitrażu, (3) konwencję odnośnie ekstradycji zbrodniarzy oraz (4) uchwalono konwencję w sprawach narodowości, opcji i osiedlenia.

Przyjęto również następujący dezyderat (*novum* w prawie międzynarodowym):

„Obywatele każdego państwa zawierającego tę umowę, którzy mieszkają więcej niż 5 lat na terytorium drugiego państwa umawiającego się, będą korzystali z praw komunalnych w dziedzinie lokalnego samorządu [*self-government*] w takim samym stopniu jak miejscowi obywatele.

Będą mieli czynne prawo wyborcze oraz bierne prawo wybieralności w wyborach komunalnych oraz będą mogli być przyjmowani do pełnienia wszystkich funkcji w administracji instytucji publicznych i prywatnych lokalnego samorządu o ile takie organy lokalnego samorządu nie spełniają funkcji administracji centralnej i o ile wykonywanie pewnych funkcji nie zostało zastrzeżone przez prawa państw umawiających się dla swoich obywateli”.

Na ostatniej sesji przyjęto również propozycję stworzenia Rady Delegatów Pełnomocnych z tymczasową siedzibą w Rydze, złożonej z trzech delegatów każdego z państw, które wzięły udział w Konferencji Państw Bałtyckich w Bulduri.

Zadaniem Rady byłoby:

- a) ukończyć te przewidziane programem Konferencji w Bulduri prace, które nie zostały ukończone;
- b) przedsięwziąć kroki celem usunięcia trudności stojących na drodze do ratyfikacji decyzji Konferencji;
- c) zainicjowanie wykonywania decyzji po ratyfikacji umowy;
- d) przyspieszenie zorganizowania proponowanych biur oraz dostosowanie ich działalności do celów Konferencji;
- e) wydawanie opinii co do przygotowania następnej Konferencji oraz współpraca w takich poczynaniach na żądanie państwa zwołującego Konferencję.

Koszta utrzymania Rady Delegatów Pełnomocnych byłyby ponoszone przez państwa zawierające tę umowę.

Prace i rezultaty obrad Konferencji były olbrzymie. Każdy, kto obecnie myśli o zreorganizowaniu Europy środkowo-wschodniej, powinien zaznajomić się z opracowaniami i projektami Konferencji Państw Bałtyckich w Bulduri oraz zastanowić się, dlaczego projektowana Unia Państw Bałtyckich nie doszła do skutku.

Przewodniczący delegacji polskiej prof. Kamieniecki w przemówieniu pożegnalnym przy zakończeniu 10-tej sesji tak się wyraził (tekst francuski):

„Doszliśmy do końca pracy Konferencji Państw Bałtyckich w Rydze. Gdybym chciał zreasumować rezultaty tych prac, mógłbym powiedzieć bez przesadnego optymizmu, iż znaleźliśmy prawdziwą drogę, która w końcu doprowadzi nas do wytkniętego celu, jaki sobie postawiliśmy: do przymierza oraz ścisłej Unii Państw Bałtyckich.

Ten cel nie został jeszcze osiągnięty ale wynosimy stąd wszyscy niezatarte wspomnienie naszych wzajemnych związków oraz węzły przyjaźni, któreśmy tutaj zawiazali. Te wspomnienia wielce ułatwią nam nasze przyszłe zadania...”

Gospodarz Konferencji, Premier łotewski Karlis Ulmanis wyraził się w ten sposób w przemówieniu pożegnalnym (w języku francuskim):

„Ze szczerą radością zabieram głos ostatni, aby stwierdzić doskonale rezultaty, jakie przyniosła nam Konferencja. Pozostanie ona wielką datą w historii naszych państw, markującą początek nowej ery naszych wspólnych i wzajemnych stosunków. Nie wyliczając wszystkiego ważnego co zostało zadecydowane w różnych sprawach ekonomicznych, prawnych, kulturalnych, sanitarnych i socjalnych przedłożonych do naszego rozpatrzenia, kładę nacisk na znaczne dokonania na polu naszego zbliżenia politycznego. Pragnienie unii, które zrodziło tę konferencję, wyraziło się nie tylko w szlachetnych słowach i w naszej zgodności, ale zrealizowało się materialnie. To — moi Panowie — jest głównym dobrodziejstwem naszych deliberacji, które przewyższą wszystko inne. Odtąd każde z naszych państw będzie kon-

tynuować i rozwijać swą kulturę narodową na użytek nas wszystkich. Ale różnorodność nie wyklucza harmonii. Im bardziej czystym i im bardziej wytrzymałym będzie metal każdego ogniwa łańcucha, tym bardziej łańcuch zyska na solidności i sile! Bałtycka *Entente Cordiale* pomoże też walnie naszemu ogólnemu postępowi, który służyć będzie interesom partykularnym.

Pozwólcie mi, Panowie, abym Wam powiedział przed naszym rozejściem się, że zachowam miłą pamięć bardzo krótkiego spotkania z Wami — jednakowoż jestem przekonany, że godzina która wybiła nie jest godziną definitywnego rozstania, bo wkrótce znowu się zejdziemy, aby kontynuować wspólną pracę. A więc powiadam Wam: do widzenia!”.

Juliusz SZYGOWSKI

Dr Leonidas A. B. KLISZEWICZ

PLACÓWKA ŁĄCZNOŚCI W JUGOSŁAWII W JUGOSŁAWII W CZASIE OSTATNIEJ WOJNY

Kryptonimy: „Sława”, „Drawa”

ROK 1940

1. POWSTANIE PLACÓWKI I JEJ POCZĄTKOWA DZIAŁALNOŚĆ

Zorganizowanie placówki łączności w Jugosławii po raz pierwszy przewidziane było w projekcie ewakuacyjnym bazy „Romek” w marcu 1940 roku. Na początek miała być zainstalowana w Belgradzie radiostacja, a w wypadku konieczności opuszczenia Węgier miała tam się przenieść baza „Romek”.

Plan ten zostaje zatwierdzony przez Centralę i 18 kwietnia zawiadamia ona *attaché* wojskowego w Belgradzie, że z Bukaresztu zostanie przerzucona tam radiostacja o sile 75 watt, którą należy przygotować do gotowości korespondencji z Krajem, Centralą i innymi placówkami łączności wojskowej.

Centrala poleca następnie przewidzieć pomieszczenie dla baz „Bolek” i „Romek” na wypadek ich przymusowej ewakuacji, oraz opracować dalszą ich ewentualną ewakuację do Salonik, z tym, że w Belgradzie, Niszy i Skoplie mają pozostać zakonserwowane radiostacje.

Plan ten miał swoje realne uzasadnienie. Jugosławia była krajem, przez który szły szlaki kurierskie na zachód. To dawało

jej naturalne pierwszeństwo w ustawieniu tu ważnej placówki. Poza tym warunki w jakich w tym czasie była Jugosławia dawały możliwość stosunkowo swobodnej pracy. Niemniej jednak nie można było przewidzieć planów Niemców ani ich posunięć na Bałkanach, dlatego z góry trzeba było przewidzieć trudności w umieszczeniu bazy na tym terenie i w związku z tym planować przesunięcie się do następnego kraju, w którym praca byłaby możliwa.

Sytuacja polityczna na Węgrzech ulegała coraz większemu pogorszeniu i zmuszała niektórych ludzi do ucieczki z tego terenu.

W dniu 7 lipca komendant bazy „Romek” ppłk Z. Bezeg melduje Centrali, że przerzucono do Jugosławii szereg zagrożonych pracowników bazy oraz zainstalowano w Belgradzie radiostację, do uruchomienia której wysłał od siebie mechanika.

W następnej depeшы z 27 lipca ppłk Bezeg podaje, że w Belgradzie znajdują się: kpt. Władysław Guttry, pseudonim Grot, pchr. T. Redo, pseudonim Aleksandrowicz, kpt. Tadeusz Werner, pseudonim Ostoja, chor. Zygmunt Burghardt, pseudonim Lipczyński i jeden telegrafista.

W dniu 9 sierpnia Centrala zostaje poinformowana przez poselstwo w Belgradzie, że radiostacja została zainstalowana 29 czerwca i że od 4 lipca jest czynna.

31 lipca wyjeżdża z Węgier mjr Wiktor Zahorski, pseudonim Tramp, na objęcie placówki „Sława” w Belgradzie. Zanim jednak zdołał się on dobrze rozejrzeć w terenie, w dniu 20 sierpnia został aresztowany.

Sprawa nie wyglądała jednak bardzo poważnie, skoro 24 sierpnia „Romek” melduje Centrali, że mjr Zahorski ma być wkrótce zwolniony z więzienia i że będzie mógł prowadzić placówkę. W związku jednak z tym co zaszło, „Romek” poleca „Sławie” znaleźć melinę na radiostację i przygotować się do pracy konspiracyjnej.

We wrześniu odbywa się na terenie Belgradu odprawa komendantów baz z udziałem przedstawiciela z Centrali.

7 września Centrala zostaje poinformowana, że „Sława” nawiązała łączność radiową z Warszawą. Ze swej strony Centrala podaje 20 września, że prowadzi ze „Sławą” korespondencję tylko sporadyczną i wyłącznie dla kontroli łączności.

W związku z nową sytuacją jaka się wytworzyła na terenie Jugosławii, plany ewakuacyjne „Romka” musiały ulec zmianie, szczególnie, że do różnych innych kłopotów doszły trudności w uzyskiwaniu wiz jugosłowiańskich. Zmuszało to do korzystania z zielonej granicy, co też wiele osób robiło. Poza tym pobyt każdego w Jugosławii musiał być ze względów bezpieczeństwa

jak najkrótszy. Mimo tych piętrzących się przeszkód „Romek” zdołał przerzucić do Belgradu większość swego archiwum.

Nie posiadamy danych co do tego, jak długo przebywał w areszcie mjr Zahorski, ale depesza ze „Sławy” wysłana 19 listopada do Centrali nosi już jego podpis. W depeszy tej poruszane są sprawy odnoszące się do ppłk. dypl. A. Krajewskiego.

W następnej depeszy, wysłanej w cztery dni później, „Sława” prosi Centralę o wyznaczenie jej czasu na korespondencję z Warszawą.

25 listopada „Romek” wysłała do Centrali wykazy personelu. W składzie „Sławy” są wymienieni: mjr W. Zahorski, kpt. W. Guttry, chor. Z. Burghardt (radiotelegrafista) i Wołyniak¹.

Rozkazem z dnia 30 listopada „Sława” zostaje oddana pod rozkazy ppłk. A. Krajewskiego, kierownika placówki „Grzegorz” w Atenach.

Jak wszędzie indziej, tak i w Jugosławii „Sława” współpracowała z ekspozyturą Oddziału II-go „J”, której kierownikiem był Piasecki, członek ZWZ. Z chwilą jego odejścia na placówce został kpt. Maresz, nie będący członkiem ZWZ. W związku z tym mjr Zahorski wysłała 20 grudnia depeszę do Centrali, w której stawia wniosek, by ekspozytura „J” przejęła technikę ruchu przez granicę niemiecką i węgierską, by uzgadniała ze „Sławą” swoją pracę wywiadowczą na Kraj i by pomagała „Sławie” przez wykonywanie zadań stawianych przez jej kierownika.

Odpowiedź na ten wniosek przychodzi 2 stycznia 1941 roku. Szef Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza poleca kpt. Mareszowi udzielać „Sławie” wszelkiej pomocy, a Centrala wyjaśnia ponadto, że w zakresie wykonywanych prac Oddz. II-go kierownik „Sławy” nie ma do kpt. Maresza żadnych praw. Centrala poleca przyjąć kpt. Maresza do ZWZ, co też zostaje zrobione 15 stycznia 1941 roku. Kpt. Maresz otrzymuje pseudonim Czarny.

Tego samego dnia, to jest 20 grudnia, w innej depeszy mjr Zahorski melduje, że placówka jego jest zakonspirowana i że po zainstalowaniu zapasowej radiostacji będzie gotowa do wykonywania zadań w różnych warunkach. Następnie informuje, że przerzut ludzi między Jugosławią a Węgrami odbywał się do tej pory na szlakach ewakuacyjnych, ale od połowy stycznia będą do dyspozycji dwa nowe szlaki. Równocześnie rozpatrywana jest budowa szlaku z Jugosławii do Polski przez Niemcy.

1. Por. Artur Karkocha.

ROK 1941

2. PLACÓWKA POD KIEROWNICTWEM MJR. ZAHORSKIEGO I KPT. WŁ. GUTTRY

13 stycznia mjr Zahorski depezuje do Centrali, że tego dnia wyjeżdża do „Romka” Sawicki¹, a Antoni² wyjedzie 23-go.

W związku z otrzymywaną korespondencją mjr Zahorski prosi, by nie pisać na kopercie „Tramp”, bo to go dekonspiruje wobec urzędników poselstwa, ale aby adresować listy do Kwaśniewskiego, do którego też należy kierować wyjeżdżających do Belgradu kurierów.

Sześć dni później „Sława” wyjaśnia Centrali, że pocztę do „Romka” może przekazywać tylko raz w tygodniu przez kuriera Anglików. Powodem tego jest brak punktów odbiorczych na terenie „Romka”.

29 stycznia mjr Zahorski przesyła Centrali dłuższe wyjaśnienia odnośnie działalności Muszkietarów. Tego samego dnia melduje też przybycie i wyjazd ze „Sławy” emisariusza Antoniego.

Działalność placówki przez następnych kilka tygodni nie jest znana, ponieważ brak jakichkolwiek depezb w archiwach z tego okresu, z wyjątkiem depezy z 28 lutego, kiedy „Sława” melduje, że w Belgradzie jest rtm. Jan Billewicz, na co Centrala odpowiada następnego dnia poleceniem zaopatrzenia go w paszport i odesłania do dyspozycji bazy „Bey” w Stambule.

8 marca Centrala wysyła zarządzenie do baz, by w związku ze spodziewanym odcięciem dróg między Węgrami a Jugosławią, inne bazy pogłębiały i rozbudowywały szlaki kurierskie do „Sławy” od siebie.

Następnego dnia „Sława” melduje, że jej przygotowania na pracę konspiracyjną są na wykończeniu. Do tej pory działają jeszcze szlaki kurierskie na Węgry, ale zostaną przerwane z chwilą rozpoczęcia działań wojennych w Jugosławii. Jeżeli chodzi o łączność radiową, to „Sława” ma ją z wszystkimi z wyjątkiem Warszawy i „Romka”, który odbiera depesze, natomiast nie może nadawać. Z placówką „Grzegorz” jest tylko łączność radiowa przez poselstwo.

17 marca „Sława” potwierdza odbiór przesyłek z Centrali wraz z 120 tys. dolarów, które tego samego dnia wysłane zostały przez Anglików do „Romka”.

-
1. Płk Józef Soniński-Grad, pseudonim Mały Józef, Wiesław, emisariusz.
 2. Płk dypl. Kazimierz Iranek-Osmecki.

W drugiej depeszy mjr Zahorski mówi, że nastroje w Jugosławii są dobre i mobilizacja jest na ukończeniu. Na dniach „Sława” rozpocznie próby na zapasowych radiostacjach, z których jedna umieszczona jest na południu. Rozpracowywane są również szlaki na Grecję.

W jeszcze innej depeszy „Sława” melduje, że na Węgrzech są coraz większe represje. Na początku marca (7. 3.) aresztowano z Komitetu Obywatelskiego Seidlera, Gutowskiego i Salmona.

U „Romka” wszystko w porządku i następnego dnia ma on rozpocząć pracę radiową ze „Sławą”.

„Romek” przerzucił do Warszawy:

w grudniu 1940 r. 84 tys. dol.

w styczniu 1941 r. 86 tys. dol.

w lutym 1941 r. 46 tys. dol.

„Sława” ma u siebie do przekazania „Romkowi” dalszych 46 tys. dol.

W czasie przerzutu pieniędzy z Węgier do Polski na Słowacji wpadło 24 tys. dol.

25 marca „Sława” podaje sytuację polityczną w Jugosławii i melduje gotowość przejścia na całkowitą pracę konspiracyjną.

27 marca następuje w Jugosławii przewrót. Regent ustępuje, a władzę obejmuje król i wojsko. W kraju nastroje są antyniemieckie i antywłoskie.

Depesząc o tym następnego dnia do Centrali, „Sława” podaje równocześnie, że na wypadek wojny szlaki na Węgry przestaną pracować.

Centrala odpowiada w cztery dni później, polecając, by placówka i zakonspirowane meliny pozostały nawet gdyby musiały na pewien czas być nieczynne, ponieważ potrzebne one będą jako zapasowe punkty dla łączności radiowej.

4 kwietnia „Sława” melduje o przygotowaniach w Jugosławii do wojny.

Nastroje ludności są ciągle bardzo dobre. Niektóre urzędy są ewakuowane na południe, ale ewakuacja ludności cywilnej zabroniona. Wojska niemieckie maszerują na granicę jugosłowiańską.

15 kwietnia „Bey” melduje Centrali, że od 4 dni nie ma łączności ze „Sławą”.

3 maja Szef Wojskowego Gabinetu w rządzie jugosłowiańskim zawiadamia rząd R.P. w Londynie, że gen. Michajłowicz zawiadomił, że na terenie Homolja w garnizonach niemieckich znajduje się duży procent Polaków. Michajłowicz wydał rozkazy

przychodzenia z pomocą Polakom pragnącym przyłączyć się do jego oddziałów.

17 czerwca Centrala potwierdza otrzymanie kurierem poczty od „Sławy” z 29 kwietnia, 30 kwietnia (przez Antoniego) i 5 maja przez Stanisława³.

Wysyłając tę depezę Centrala nie wie jednak, co się ze „Sławą” dzieje i dlatego w dwa dni później poleca „Beyowi” szukać mjr. Zahorskiego i kpt. Władysława Guttrę („Grota”), używającego pseudonimu Jan Kwaśniewski, kontaktując się w tej sprawie z firmą ortopedyczną Różyckiego w Belgradzie, ul. Króla Milana 17.

„Bey” odpowiada dopiero 24 lipca. W liście pisany 17 lipca placówka polityczna w Jugosławii zawiadomiła go, że Zahorski i towarzysze zaginęli i nie wiadomo, co się z nimi stało. „Bey” będzie dalej robił starania, aby odnaleźć pracowników „Sławy”, ale jeżeli nic z tego nie wyjdzie, to zacznie montować nową placówkę w oparciu o placówkę polityczną.

Odpowiadając 29 lipca Centrala podkreśla, że wznowienie pracy placówki w Jugosławii jest konieczne.

Następuje trwająca kilka tygodni przerwa i dopiero 19 sierpnia „Romek” melduje Centrali, że mjr Zahorski jest zdrowy i że ma radiostację, która działa trzy razy w tygodniu.

5 września „Romek” wysyła następną wiadomość o „Sławie”.

Kwituje ona odbiór 500 dolarów i zawiadamia, że pracuje w pełnym składzie, a przy niej placówka polityczna. Warunki pracy są bardzo trudne z powodu rozłamu wśród ludności, donosów i terroru. „Sława” nie mogła do tej pory ruszyć szlaku do „Beya”. Radiostacja jej pracuje, ale nie łapie Centrali.

29 września „Romek” melduje Centrali, że u „Sławy” został aresztowany mjr Zahorski i Gniazdowski, natomiast działa łączność z kpt. Władysławem Guttry.

18 października kpt. Władysław Guttry wysyła długą depezę do „Romka”. Potwierdza odbiór poczty i 500 dolarów. Mówi o bardzo ciężkich warunkach pracy, szczególnie, że jest w Belgradzie wszystkim dobrze znany. Nie wie, jakimi sumami rozporządzał mjr Zahorski, ale te pieniądze należy uważać za przepadłe. On sam ma 750 dolarów, co powinno wystarczyć na 8 miesięcy pracy. Z sumy tej przeznaczają 50 dolarów miesięcznie na budowę szlaków do „Beya”. Od 1 maja do 1 sierpnia wypłacał pobory swoje i brata po 25 dolarów miesięcznie. Po tym

3. Nazwisko nieznanе.

terminie dla zamaskowania się musiał razem z bratem podjąć się pracy i dlatego są chwilowo samowystarczalni. Od maja wydał 170 dolarów na pracę placówki i pomoc dla mjr. Zahorskiego w postaci paczek żywnościowych.

Następnie Guttry podaje przebieg wypadków po wojnie jugosłowiańskiej.

Mjr Zahorski i Gniazdowski przebywali w Belgradzie, Guttry Władysław i inż. chor. Zygmunt Burghardt, pseudonim Lipczyński, w Jagodinie, a kpt. Guttry Kazimierz z radiotelegrafistą na południu.

W pierwszym dniu wojny bomba rozwaliła mieszkanie prywatne, na skutek czego Zahorski przeniósł się na melinę, a Guttry do miasta. Po drodze Guttry został aresztowany i oskarżony o szpiegostwo, ale udało mu się z tych opałów wykręcić. Burghardt został aresztowany i wywieziony w nieznanym kierunku. Co się stało z radiostacją, Guttry nie wie, bo po aresztowaniu Burghardta musiał z niej zrezygnować.

Guttry Kazimierz opuścił swoją melinę na skutek ewakuacji ludności. Radiotelegrafista, bojąc się pracować w nowych warunkach, opuścił go. Guttry po dwutygodniowej pieszej wędrówce dołączył do brata w Belgradzie.

Guttry nie może zrozumieć, kto wyspał Zahorskiego, ponieważ miał on dobre warunki pracy. Kontaktował się z nim w więzieniu, ale ostatnio przestano przyjmować dla niego paczki żywnościowe i Guttry przypuszcza, że został z Belgradu wywieziony.

Jeżeli chodzi o sytuację wewnętrzną Jugosławii, to Guttry mówi, że działa tu pięć odcieni politycznych i jest 5 rodzajów wojska. Wszyscy walczą między sobą na ulicach, a Niemcy z zadowoleniem patrzą jak Jugosłowianie wybijają się sami między sobą.

Guttry prosi o ostrzeżenie przychodzących do Jugosławii kurierów, by przez swoje niewłaściwe zachowanie nie dekonspirowali siebie i nie zagrażali bezpieczeństwu innych.

22 listopada Wł. Guttry wysłała do „Beya” dalsze wiadomości o sytuacji w Jugosławii. Zawiadamia, że Zahorski i Gniazdowski przeniesieni zostali do gorszego więzienia i że uwolnienie ich za pomocą przekupienia zawiodło. Grozi im pewna śmierć. Być może, że poddani torturom załamali się i przyznali do wszystkiego. Guttry ma zamiar przenieść się do Belgradu i korzystać z radiostacji Kowala⁴ z placówki politycznej.

Otrzymałszy tę wiadomość „Bey” 29 listopada depeszuje do

4. Właściwe nazwisko Tadeusz Trawiński.

„Romka”, by starał się ewentualnie zorganizować wykradzenie z więzienia Zahorskiego i Gniazdowskiego oraz by polecił Guttreemu nie wyjeżdżać do Belgradu, bo tam go znają i mają z pewnością dane ze śledztwa. Dlatego wyjazd jego równałby się wspanie.

1 listopada komendant „Romka” wysłał do Centrali wnioski na odznaczenia i awanse.

Idzie wniosek na awansowanie mjr Zahorskiego do stopnia podpułkownika, kpt. Guttrego Władysława i kpt. Guttrego Kazimierza do stopnia majora, a inż. chor. Zygmunta Burghardta na podporucznika.

24 listopada „Bey” otrzymuje ponownie wiadomość od W. Guttrego, który wraz z bratem tworzą placówkę w Jagodinie i posiadają radiostację.

Przez komendanta obozu w Jagodinie mjr Pfala placówka raz na dwa tygodnie ma łączność z „Romkiem”.

Według nowych informacji jakie kpt. W. Guttry otrzymał, mjr Zahorski został aresztowany za posiadanie broni, a o jego właściwej pracy Niemcy nic nie wiedzą. Radiostacji „Sławy” Niemcy nie znaleźli.

Są robione starania wykupienia Różyckiego, który z kolei dopomógłby wydobyć Zahorskiego. Guttry nadaje na fali 6808 i 6208.

28 listopada „Romek” wysłał depeszę do Centrali, w której podaje, że 28 października Zahorskiego wywieziono w nieznanym kierunku, oraz informuje, że kasa „Sławy” została uratowana, bo Zahorski przez Serba przekazał wiadomość, gdzie ją ukrył.

ROK 1942

3. PLANY CENTRALI W ODBUDOWIE PLACÓWKI

Wiadomości przekazane przez kpt. Władysława Guttrego w listopadzie 1941 roku były ostatnimi, jakie nadeszły z terenu Jugosławii od pracownika „Sławy”. Następuje długa przerwa, w czasie której tak „Romek” jak i „Bey” starają się uzyskać jakieś informacje o placówce w Jugosławii, ale wszystkie próby kończą się niepowodzeniem. Dopiero 28 lutego 1942 roku kierownik placówki politycznej w Stambule, Kurcusz, przekazuje „Beyowi” wiadomości, jakie otrzymał od kierownika placówki politycznej w Belgradzie, w których ten podaje, że kpt. Władysław

Guttry podejrzany o współpracę z komunistami miał być aresztowany przez policję serbską i dowiedziawszy się o tym zbiegł na Węgry. Brat jego Kazimierz na skutek donosu jakiegoś komunisty, że posiada fałszywe dokumenty, został aresztowany, ale Kowal przypuszcza, że do dwóch tygodni zostanie zwolniony z więzienia.

Przekazując tę wiadomość Centrali „Bey” sądzi, że wyspa nastąpiła na skutek współpracy placówki politycznej z komunistami i zapytuje Centralę, czy zakaz łączenia się z nimi został zniesiony.

Centrala w odpowiedzi nie widzi powodów do wyciągania wniosków, że placówka polityczna współpracuje z komunistami, ale gdyby „Bey” stwierdził, że tak jest, to ma natychmiast powiadomić o tym Centralę.

Z placówki politycznej wyszło też oskarżenie pod adresem mjr. Zahorskiego, że w więzieniu załamał się i że współpracuje z Niemcami. Zarzuty te omówione zostały w opracowaniu bazy „Bey”.

6 marca w jednej z depech do Centrali „Bey” podaje, że ambasador jugosłowiański w Turcji wysłał depezę do swego rządu w Kairze, w której prosi o pomoc w uwolnieniu mjr. Zahorskiego, ale są duże wątpliwości, czy coś z tego wyjdzie, ponieważ krążą pogłoski, że Michajłowicz współpracuje z Niemcami.

Przez następnych szereg miesięcy Jugosławia wydawała się utraconą pozycją, na której ani „Romek” ani „Bey” nie mógł wznowić działalności. Tymczasem kto inny zaczął robić poważne plany odnośnie tego kraju. Była to baza „Muł” w Kairze, której projektem było zrzuć na teren Jugosławii ludzi ze Środkowego Wschodu i ci w oparciu o gen. Michajłowicza mieliby rozpocząć działalność różniącą się nieco od pracy prowadzonej poprzednio przez „Sławę”.

„Muł” rozpoczyna poszukiwania nad znalezieniem odpowiedniego człowieka i 9 listopada melduje Centrali, że w sztabie gen. Kopańskiego znajduje się kpt. Korzeniowski Kazimierz, który pracował przed wojną w Jugosławii i zna język i stosunki w społeczeństwie i w wojsku, oraz zna prawdopodobnie osobiście gen. Michajłowicza. Zdaniem ppłk. Zimnala nadawałby się on do wykonania tego zadania. Jeżeli Centrala zgodzi się na niego, to należy spowodować przeniesienie go do 2-go rzutu.

Nie mniej zainteresowana i zaangażowana w planach była sama Centrala. Nie odpowiada ona na depezę „Muła”, ale 5 grudnia zawiadamia go, że tego dnia wylatuje z Londynu do Kairu rtm. Jerzy Szymański, pseudonim Boga, wyznaczony na

zastępcę kierownika bazy „Muł”, który wiezie ze sobą instrukcję określającą jego zadania w bazie oraz wytyczne, które przekaże komendantowi bazy ustnie.

Jakie były zadania Szymańskiego i jaki miał być jego stosunek do bazy?

W sprawach związanych z normalną pracą podlegał on jej komendantowi.

Wśród zadań, jakie mu Centrala zleciła wykonać, główne było zorientowanie się w możliwościach budowy szlaków łączności z Krajem przez Bałkany, ze szczególnym uwzględnieniem Jugosławii. W związku z tym miał też wy badać, jaką pomoc można uzyskać dla tej sprawy z różnych ośrodków dyspozycyjnych na Środkowym Wschodzie, a więc nie tylko polskich, ale też państw sprzymierzonych, w tym głównie Anglików i Amerykanów.

Drugim zadaniem było zorientowanie Centrali w przygotowaniach na Środkowym Wschodzie do akcji wojennej w Europie i o możliwościach wykorzystania tej akcji dla łączności oraz dla przrzucania broni i ludzi do Kraju.

Wreszcie trzecim zadaniem było zorientowanie Centrali w możliwościach wykorzystania istniejących i mających powstać ośrodków specjalnego szkolenia, dla potrzeb łączności z Krajem.

Rozmowy we wszystkich wymienionych sprawach z miarodajnymi czynnikami miał prowadzić kierownik bazy, lub na jego zlecenie Szymański, ale po uprzednim uzyskaniu na to zgody Centrali.

Raporty w powyższych sprawach i innych, wymagających zachowania ścisłej tajemnicy, Szymański ma przedstawić kierownikowi bazy i po uzyskaniu jego parafy osobiście zszyfrować je i wysyłać do Centrali.

Szymański przybywa do Kairu 23 grudnia i natychmiast zaczyna swoją działalność.

Jakkolwiek praca na terenie Jugosławii kierowana jest z Kairu, a później z Włoch, to stanowi ona osobny rozdział związany wyłącznie z tym terenem i jest jakoby przedłużeniem prac, chociaż o zmienionym częściowo charakterze, dawnej „Sławy”.

Po przeprowadzeniu dyskusji z Anglikami, 28 grudnia Szymański podaje Centrali wysunięte przez płk. Tamplina propozycje.

Polska placówka, kierowana przez „Muła”, ma powstać przy gen. Michajłowiczu w składzie 2 ludzi, ale bez własnej radiostacji. W następnej fazie placówka uzyska radiostację dla łączności z Krajem, Londynem i „Mułem”. Dla wykonania tego zadania

przeszkolony zostanie kpt. Korzeniowski, który w czasie od 4 do 14 stycznia przejdzie kurs spadochronowy, od 17 do 27-go kurs S.T.P., a w końcu przeszkolenie przez Szymańskiego. Zrzut na teren Jugosławii w połowie lutego. Równocześnie dla wyszukania drugiego człowieka należy wystać odpowiednie polecenie do gen. Andersa.

31 grudnia Centrala wyraża zgodę na propozycje Szymańskiego i tego samego dnia wysyła depezę do gen. Andersa w sprawie oddania do dyspozycji „Muła” potrzebnych mu ludzi.

ROK 1943

4. TRUDNOŚCI W ZNALEZIENIU LUDZI DO PRACY W JUGOSŁAWII

Na początku stycznia rtm. Szymański melduje Centrali, że łącznik angielski przy gen. Michajłowiczu doniósł, że generał nie ma pewnych adresów w dużych miastach, ale może dać w Timisoara i Jimbolea, skąd kurier byłby zabierany do dtwa Michajłowicza w Homolijskiej Planinie.

Następnie mówi o wyjeździe marszałka Teddera, na którego miejsce przychodzi marszałek Douglas. Obaj marszałkowie są bardzo zainteresowani sprawami polskimi.

Szymański informuje, że są możliwości stworzenia na Środkowym Wschodzie bazy transportowo-zaopatrzeniowej, o której szczegóły wysyła listem.

Centrala poleca „Mułowi” podać adresy i hasła w Timisoara i Jimbolea i zapytuje, czy jest potrzebna znajomość języka serbskiego.

W kilka dni później Centrala poleca „Romkowi” dostarczyć gen. Roweckiemu dwa węgierskie paszporty *in blanco*, przygotować przyjęcie od gen. Roweckiego ze Słowacji dwóch Węgrów i umieścić ich na swoim terenie, oraz przygotować przerzut 1-2 ludzi z Polski do Timisoara lub Jimbolea.

„Muł” w odpowiedzi 19 stycznia podaje, że gen. Michajłowicz dał dwa nazwiska w Timisoara i jedno w Jimbolea, ale brak jest adresów, hasła i opisów domów do których należy dotrzeć. Przybycie kuriera musi być awizowane u gen. Michajłowicza przynajmniej dwa tygodnie wcześniej.

Tymczasem plany związane z Korzeniowskim zaczynają się gmatwać.

Przyjeżdża on do Kairu dopiero 13 stycznia, a po przeprowadzeniu rozmowy z Szymańskim zmienia zdanie i odmawia wyjazdu do Jugosławii.

Po tym pierwszym niepowodzeniu rtm. Szymański wysuwa dwóch następnych kandydatów znających Jugosławię i język serbski, a mianowicie mjr. dypl. Michalika i por. Maciąga.

Szymański zwraca uwagę, że dużo szumu robi się z powodu rekrutacji ludzi do prac przygotowawczych Oddz. VI-go i dlatego należałoby podawać, że są oni powoływani tylko na jakieś kursy na terenie Egiptu.

Z liczby do tej pory zwerbowanych szereg ludzi odesłano z powrotem do oddziałów i pozostawiono tylko 44.

Jeszcze raz porusza sprawę dywizjonu transportowego i bazy zaopatrzeniowej, twierdząc, że sprawa ma duże szanse powodzenia i że w związku z tym konieczne byłoby spotkanie płk. Iżyckiego z jego szefem.

5. POR. MACIĄG MIANOWANY KIEROWNIKIEM PLACÓWKI „DRAWA”

Dopiero 3 lutego „Muł” zawiadamia Centralę, że jedynym kandydatem który wyraził zgodę na wyjazd do Jugosławii jest por. Maciąg. By można było go wysłać na kurs rozpoczynający się 10 lutego, należy natychmiast załatwić jego przeniesienie.

Już następnego dnia Szef Sztabu Nacz. Wodza wysłała depezę w tej sprawie do gen. Andersa i w rezultacie 8 lutego por. Maciąg jest już na kursie spadochronowym. Po odbyciu następnie kursu dywersyjnego 9 marca miał być gotowy do odlotu do Jugosławii.

Zawiadamiając o tym Centralę, „Muł” prosi by zgodnie z obietnicą rtm. Szymańskiego Maciąg po wylądowaniu w Jugosławii awansował do stopnia kapitana.

Tymczasem 6 lutego Szymański odlatuje do Anglii.

Maciąg był gotowy do odlotu w przewidzianym terminie, ale z powodu złej pogody i dysponowania przez Anglików tylko jednym samolotem, odlot jego w marcu był raczej wątpliwy. Czas wyczekiwania miał być wykorzystany dla głębszego zapoznania się z obecną sytuacją w Serbii, oraz na podleczenie nogi nadwyróżonej przy skoku.

24 marca Centrala zawiadamia „Muła”, że rtm. Szymański nie powróci już do bazy, lecz pozostanie w Centrali. Instrukcje

dla por. Maciąga przywiezie Szef Sztabu Nacz. Wodza, który też go odprawi. Przyjazdu Szefa Sztabu nie należy rozgłaszać.

Placówka w Jugosławii będzie miała nazwę „Drawa”, a budżet jej należy opracować w granicach 4 tys. dolarów rocznie. W instrukcji będzie podany wyłącznie do użytku „Drawy” kryptonim „Hassana¹” jako „Kostek”.

Zgodnie z rozkazem 24 marca Centrala otrzymuje od „Muła” projekt instrukcji dla por. Maciąga, który wygląda następująco:

I. *Ląduje* w mundurze amatorskiego (angielskiego) kapitana, z amatorską kartą identyczności na nazwisko Nash. Pod tym nazwiskiem będzie awizowany u szefa misji amatorskiej na terenie garbarzy (Jugosławii) i wejdzie w skład misji. Tylko szef misji i d-ca garbarzy — a w razie konieczności niektórzy członkowie ich sztabów — będą wiedzieli kim jest i jakie jest w zarysie jego zadanie. Dla otoczenia, a przede wszystkim dla przedstawicieli innych narodów, musi uchodzić za amatora. W życiu codziennym stosuje się do możliwości i zwyczajów misji. Podróże służbowe odbywa w ubraniu cywilnym, z legitymacją i przepustkami miejscowymi. Posiada własną oryginalną metrykę urodzenia się na terenie garbarzy.

II. *Zadania*

1. Zadanie zasadnicze:

a) zorganizowanie jednej lub dwóch melin na terenie garbarzy dla zakwaterowania jednego lub więcej ludzi przybyłych z Kraju podlegających dalszej ewakuacji.

b) Zorganizować odbiór i transport ludzi i poczty z punktu wskazanego przez (?) do meliny przygotowanej jak pod a).

c) Żądać od amatorów względnie garbarzy i współdziałać w zorganizowaniu szlaku z meliny jak pod a) do punktu wskazanego przez Paszę², gdzie nastąpi odbiór staraniem Paszy. W zadaniach poważnych posługiwać się ludźmi wskazanymi przez garbarzy lub amatorów, a w miarę możliwości i potrzeby stworzyć własny aparat.

2. Zadanie poboczne — do wykonania w miarę możliwości i bez ryzyka utrudnienia względnie narażenia wykonania zadania zasadniczego:

a) zorientowanie się, czy na terenie garbarzy znajdują się i gdzie — żołnierze polscy, których nie zdążono dawniej wyewa-

1. Placówka w Stambule.

2. Komendant bazy „Muł”.

kuować, żołnierze polscy dezertrzy z armii niemieckiej, uchodźcy polscy,

b) w wypadku pozytywnym starać się zorganizować ich z zachowaniem środków ostrożności i użyć do pracy pod pkt. 1), a ewentualnie do zadań jak niżej pod pkt. c),

c) w miarę możliwości brać udział w akcji bojowej, dywersyjnej lub sabotażowej organizowanej przez garbarzy lub amatorów.

III. Środki

a) Łączność z Centralą środkami będącymi w dyspozycji misji amatorów, ich szyfrem. Szyfr własny przewidziany na razie tylko do korespondencji pisemnej do Paszy (przy okazji ewakuacji własnego człowieka lub wysyłki człowieka amatorów) i od Paszy (przez zrzut).

b) Dotacja pieniężna obejmuje: pobory własne oraz kwotę na wykonanie zadania, to jest utrzymanie melin, ludzi (żywność, ubrania, dokumenty, koszta podróży itp.). Ewentualna pomoc materialna dla żołnierzy polskich zależnie od wyników ad pkt. II. 4. 2) — będzie określona osobno. Dotacja będzie w razie potrzeby uzupełniana przez zrzuty.

Wyjazd por. Maciąga ciągle jednak był odkładany, a w międzyczasie załatwiane były różne sprawy dotyczące przyszłej placówki.

20 kwietnia komendant „Muła” spotyka się z przebywającym w tym czasie w Egipcie Szefem Sztabu Nacz. Wodza i omawia z nim zagadnienia „Drawy”.

Odprawa por. Maciąga ma nastąpić w pierwszych dniach maja, a odlot między 10-tym a 20-tym. „Muł” prosi Centralę o przysłanie dotacji dla placówki oraz o adres u „Kostka”.

Centrala w depeszach wysłanych 26 kwietnia podaje, że uposażenie por. Maciąga wynosić będzie £ 30 miesięcznie, a innych pracowników on sam ustali po zorientowaniu się w miejscowych warunkach.

Adres „Kostka” dla „Drawy” jest następujący: Jankowicz, Stambuł, dzielnica Ayaspasza, obok szpitala wojskowego Kamorok 15, wejście Nr 2, parter, na prawo.

Centrala informuje też, że „Romek” otrzymał polecenie montowania dróg do Warszawy i do „Drawy”.

3 maja „Muł” melduje, że do normalnych poborów oficerskich por. Maciąg otrzyma dodatek funkcyjny kierownika placówki w wysokości 60 dolarów miesięcznie. Pieniądze na pracę będzie pobierał od Anglików na miejscu.

Propozycje te Centrala akceptuje.

5 maja Anglicy zawiadamiają „Muła”, że odlot por. Maciąga na miejsce oczekiwania nastąpi 7 maja, ale w kilka dni później, z powodów technicznych, odlot jest odwołany i przełożony na początek czerwca.

20 maja Szef Sztabu Nacz. Wodza odprawia por. Maciąga, polecając mu, by zabrał adresy na terenie Węgier, Rumunii i Egiptu, na które w wypadku utraty innej łączności przekazywałby kodem zwykłą pocztą krótkie meldunki.

W kilka dni później po rozmowie z Szefem Sztabu Nacz. Wodza „Muł” przekazuje Centrali sugestię, by i na swoim terenie szukała zastępcy dla „Drawy”. Zastępca nie musi być koniecznie oficerem, ale może to być sprytny podchorąży, znający koniecznie język angielski. Z rozkazu Szefa Sztabu „Muł” ma przygotować radiotelegrafistę i dlatego prosi o szybkie przysłanie mu aparatu z własnym źródłem zasilania.

Nie otrzymawszy z Centrali wyjaśnienia odnośnie szyfru dla „Drawy”, „Muł” zawiadamia, że zrobił dla niego szyfr specjalny, którego por. Maciąg się nauczył. Milczenie Centrali „Muł” uważa za aprobatę tego.

Tego samego dnia Centrala odpowiada i poleca, by por. Maciąg nauczył się pamięciowo szyfru „K”.

3 czerwca por. Maciąg wyjeżdża wreszcie na miejsce startu.

8 czerwca „Bey” podaje dla „Drawy” adres w Bukareszcie: Kamila Łukasiewicz, Consulat de la Suisse, Bukareszt, Strada Pitarnosu 12, obok kina Ars. Hasło „Ferdynand”, odzew „Sarajewo”.

Po długich oczekiwaniach następuje wreszcie odlot por. Maciąga i w nocy z 15/16 czerwca zostaje zrzucony na teren Jugosławii, lądując w rejonie dowództwa gen. Michajłowicza, Obielskie Polje.

Wkrótce przychodzą pierwsze meldunki od kpt. Maciąga, które „Muł” przekazuje do Centrali 30 czerwca.

Maciąg widzi możliwość zorganizowania placówki na linii kolejowej Timisoara — Turnul Severin, oraz stwierdza możliwość pracy przez Rumunię.

Następnie donosi, że do kopalni cynku w Bor, leżącym w rejonie jego działania, przybyło 37 młodych chłopców ze Lwowa i 40 z Warszawy, z łapanek w tych miastach. Chcą uciekać i komendant obozu Serb jest gotów ich przyjąć, ale nie ma dla nich broni i ubrań. Na powyższe wiadomości „Muł” polecił „Drawie” badać możliwości budowy szlaku od północy i od południa, zachowując przy tym jak największą ostrożność, a w stosunku do Polaków ograniczyć się na razie do zbierania informacji gdzie

są i w jakiej liczbie, natomiast nie angażować się do niczego innego, gdyż w chwili obecnej nie ma możliwości ani umundurowania ich, ani uzbrojenia. Działać przy tym musi tak, by nie zaszkodzić ani im, ani sobie.

Ponieważ kpt. Maciąg sugerował przerwienie uwolnionych Polaków do Michajłowicza, „Muł” polecił mu tego nie robić, a powody tego zostaną mu wyjaśnione.

6. SZKOLENIE DALSZYCH LUDZI DLA „DRAWY”; RÓŻNORODNOŚĆ PRAC PLACÓWKI

2 lipca „Muł” podaje Centrali nazwiska dwóch nowych kandydatów dla „Drawy”, a mianowicie por. rez. art. Zbigniewa Piątkowskiego, lat 34, mówiącego dobrze po francusku, włosku, serbsku i słabo po angielsku i kpr. pchor. Stanisława Hołły, lat 29, mówiącego po angielsku i serbsku. Hołły był w Serbii i pracował w punktach przerzutowych z Kraju na Węgry i do Jugosławii.

17 lipca „Muł” rezerwuje dla wymienionych miejsca na kursie w Hajfie, a Centrala załatwia odkomenderowanie ich z APW¹.

2 sierpnia „Muł” przekazuje Centrali kondolencje od gen. Michajłowicza z powodu tragicznej śmierci gen. Sikorskiego, wysłane za pośrednictwem „Drawy”, która też podaje, że z tej okazji we wszystkich oddziałach gen. Michajłowicza odbyły się poganki na temat Polski.

7 lipca przylatuje do Egiptu Krzyżanowski, który dowiedziawszy się o trudnościach w uzyskaniu dla „Drawy” radiotelegrafisty z APW, już następnego dnia depezuje do Centrali, by wysłany został w tej sprawie rozkaz do gen. Kopańskiego, względnie by Centrala od siebie przysłała dwóch radiotów. Równocześnie podaje on, że Tamplin sprzeciwia się wysłaniu radioty do „Drawy” oraz wysyłaniu depez własnym szyfrem i zdaniem Krzyżanowskiego chce on wykorzystać „Drawę” do sabotażu na korzyść Anglików. W związku z tym należy spowodować wysłanie rozkazu przez Perkinsa, że sprawa radia jest przesądzona i że głównym zadaniem „Drawy” jest łączność z Warszawą.

Poruszona przez Krzyżanowskiego sprawa radiotów nie mogła być załatwiona z powodu katastrofy gibraltarskiej. Dopiero 23 sierpnia nowy Szef Sztabu Nacz. Wodza gen. Kopański wysłał

1. Armia Polska na Wschodzie.

depeszę do dowódcy Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie prosząc go o pomoc w wybraniu 2-4 radiotów dla pracy na terenie państw bałkańskich i odesłanie ich do płk Mercika² w Kairze.

Zadania jakie miał do wykonania kpt. Maciąg były tym trudniejsze, że brak mu było ludzi do pomocy. Centrala oczekiwała prawie natychmiastowych rezultatów jego działalności, jeżeli chodziło o budowę szlaków i przygotowanie melin, dlatego też odpowiadając na jedną z depesz „Muł” wyjaśnia trudności „Drawy”. Kpt. Maciąg w pracy swej nie mógł się oprzeć na pomocy Serbów, ponieważ nie potrafili oni zachować żadnej tajemnicy. Fakt ten potwierdza Tamplin, który informował „Muła”, że Anglicy wiedzą, że w najbliższym otoczeniu Michajłowicza są ludzie na usługach Gestapo, a równocześnie w policji i oddziałach quislingowskich są przyjaciele Michajłowicza. Dlatego „Drawa” potrzebuje pewnych ludzi do pomocy, a takimi mogą być tylko przysłani Polacy z wojska.

Ponieważ szkolenie Piątkowskiego i Hołłego dopiero się rozpoczęło, „Muł” zaproponował „Drawie” zaangażowanie chwilowo jakiegoś miejscowego Polaka-uchodźcy. Jeżeli kpt. Maciąg zdoła zorganizować punkt kontaktowy, to chwilowo będzie on mógł przyjąć najwyżej jednego kuriera, lub odebrać pocztę.

„Muł” podaje, że na południu Jugosławii „Drawa” z pomocą Anglików sięga tylko do Pristiny, zaś następne dwa punkty zaczepne są w Odessy w Grecji i w Berat w Albanii. W swoich przygotowaniach „Muł” przewiduje umieszczenie jednego z przeszkolonych w Prestinie, co może być zrobione najwcześniej w październiku.

8 sierpnia Centrala otrzymuje jednak następną depeszę od „Muła”, w której zapowiada on, że Piątkowski i Hołły gotowi będą już na 1 września, z tym, że nie przejdą kursu agencyjnego.

„Muł” przewiduje dołączenie Hołłego do Maciąga, zaś Piątkowski zrzucony będzie na południu z zadaniem pomagania „Drawie”.

Powiedziane zostało już wcześniej, że praca „Drawy” różniła się nieco od pracy „Sławy”. Przykładem tego jest wiadomość od „Muła”, którą Centrala otrzymała 9 sierpnia. Informuje on Centralę, że Maciąg począł formację polskiej kompanii w ramach oddziałów Michajłowicza, i że w związku z tym prosi o 157 orzełków na czapki.

„Muł” nie wie, czy fakt ten należy ogłosić, czy nie. Obawia się, że Niemcy, wiedząc, jacy Polacy tworzą te nowe oddziały,

2. Płk dypl. Walerian Mercik, komendant bazy „Muł”.

mogliby się mścić na ich rodzinach w Polsce, a z drugiej strony nie wiadomo, co na tworzenie polskich oddziałów przy gen. Michajłowiczu powiedzieliby bolszewicy. Decyzja w tej sprawie pozostaje więc w ręku Naczelnego Wodza.

Otrzymałszy z Centrali wiadomość o ewentualnym przybyciu do Jugosławii kuriera, „Muł” zawiadamia, by przewidzieć do tego celu Timisoare. Szczegóły poda później, ponieważ w chwili obecnej Maciąg jest w podróży, przypuszczalnie w sprawie budowy szlaku Turun - Severin - Timisoara i nie można się z nim porozumieć.

Otrzymałszy tę depezę Centrala 23 sierpnia zapytuje „Muła”, czy „Drawa” wie o likwidacji placówki w Rumunii, na co „Muł” odpowiada w kilka dni później, wyjaśniając, że Maciąg wiedział o istnieniu placówki rumuńskiej, natomiast nie dostał żadnych kontaktów i adresów i dlatego „Muł” nie zawiadomił go o sytuacji w Rumunii, ponieważ nie chciał, by wiadomość ta szła przez Anglików.

Jakkolwiek zagadnienie zajmowania się dezertkami z armii niemieckiej i robotnikami polskimi na terenie Bałkanów nie należało do zadań Oddziału Specjalnego Nacz. Wodza, to jednak z braku innych komórek stawało się ono problemem, nad którym nie można było obojętnie przejść do porządku dziennego i przestać się nim interesować. „Muł” uważał zaangażowanie się w organizowanie tych ludzi przez Oddział Specjalny za możliwe i wskazane. Mówi o tym w swej depeży do Centrali 22 sierpnia. Przewiduje, że w krótkim czasie będzie miał na terenie Jugosławii szereg placówek. Dla niektórych z nich, łącznie z „Drawą”, najważniejszym zadaniem będzie budowa szlaków, w tym samym czasie, wykonując inne swoje normalne zadania, miałyby dodatkowe związane z Polakami w wojsku niemieckim i na przymusowych robotach.

Placówki mogłyby mieć dodatkową pomoc od oficerów, którzy uniknęli niewoli, ale zostali później wywiezieni na przymusowe roboty. Jako przykład podaje meldunek kpt. Maciąga, w którym mówi on o ucieczce z kopalni w Bor 16 oficerów, z których dwóch dołączyło do „Drawy”, siedmiu zostało schwytanych przez Niemców, a reszta zniknęła.

W dalszej części swojej depeży „Muł” informuje, że Anglicy żądają od niego robienia propagandy z faktu masowych ucieczek Polaków z wojska niemieckiego i z robot. W odpowiedzi na to żądanie „Muł” postawił sprawę następująco:

a) w pierwszym rzędzie będzie się starał zorganizować w pierw naszych robotników wewnątrz oddziałów Todta,

b) do masowej dezercji z armii niemieckiej zacznie zachęcać z chwilą otrzymania zapewnienia Anglików, że ich przyjmą, uzbroją i zaopatrzą. Niedotrzymanie tych żądań byłoby zdaniem „Muła” ułatwieniem dla kontrpropagandy i rozczarowaniem dla uciekających,

c) jeżeli chodzi o robotników, to jest przeciwny namawianiu ich do ucieczki, ponieważ dużo więcej mogliby zrobić pozostając na miejscu pracy, prowadząc sabotaż, lub w razie potrzeby opanowując dany obiekt przemysłowy.

27 sierpnia „Muł” wraca ponownie do sprawy braku radiooperatorów, których APW nie chce dla „Drawy” przydzielić. Ze względu na przeładowanie pracą radiostacji Anglików, z której „Drawa” korzysta, wiadomości od niej przychodzą często z tygodniowym opóźnieniem.

Konieczne jest zainstalowanie własnej radiostacji i „Muł” prosi, by Centrala przysłała ewentualnie radiotelegrafistę od siebie.

Jednym z problemów jaki starał się komendant „Muła” płk dypl. Mercik rozwiązać była sprawa udziału Polaków w akcji dywersyjnej i sabotażowej w Jugosławii. Z jednej strony był stały nacisk Anglików, by Polacy w tej akcji współdziałali, z drugiej strony było negatywne stanowisko Centrali, która w jednej z depeesz stawia między innymi warunek, że bez własnego radia i własnych szyfrów Centrala zabrania angażowania się w akcję sabotażową.

Stanowisko płk. Mercika było inne. O ile chodzi o oficerów wysłanych do Jugosławii, to ci nie będą brać udziału w akcji organizowanej przez wojska Michajłowicza, natomiast nie mogą nie brać udziału w akcji, w której będą uczestniczyć oficerowie brytyjscy.

Poruszając sprawę łączności płk Mercik stwierdza, że nieposiadanie własnej radiostacji nie jest wielką tragedią, bo można by się bez niej wciąż jeszcze obchodzić, byle tylko Anglicy wysyłali nasze depeesze wcześniej, co stara się u nich załatwić.

Wreszcie w końcu swojej depeeszy nadanej 2 września informuje, że za cztery dni przewiduje wysłanie do Jugosławii dwóclki z przeszkolonych kandydatów, a mianowicie Morciszka³ i wspomnianego już kilkakrotnie Piątkowskiego.

W dwa dni po wysłaniu tej depeeszy płk Mercik podaje, że uzyskał zapewnienie Tamplina, że żadna akcja sabotażowa ani

3. Por. piech. Michał Morciszek.

bojowa z udziałem Polaków nie będzie wykonana bez zgody Centrali.

Tamplin stwierdził poza tym, że nie ma już obecnie w Jugosławii żadnej dzikiej akcji partyzanckiej, ale wszystko jest pod nadzorem Anglików.

7. DRUGA PLACÓWKA W JUGOSŁAWII POD KIEROWNICTWEM PPOR. PIĄTKOWSKIEGO

Po przybyciu do Kairu Morciszka płk Mercik stwierdził, że nie nadaje się on do użycia w Jugosławii ze względu na duże braki w wykształceniu ogólnym i słabe osiągnięcia na kursie. Rezygnuje więc z niego, natomiast zgodnie z zapowiedzią 6 września wyjeżdża na punkt wyczekiwania ppor. Piątkowski, jako brytyjski ppor. Alfred Link. Zrzucony ma być w rejonie Pristine.

W tym samym czasie w Hajfie rozpoczęli kurs dwaj nowi kandydaci, a mianowicie Trondowski¹ i ppor. Jerzy Waletko.

Płk Mercik czeka na decyzję Centrali odnośnie Sidorowicza i Tomasza Kurasiewicza², licząc się z tym, że będą to już ostatni ludzie potrzebni do przeszkolenia.

Dla lepszego zapoznania się z zadaniami kierownika nowej placówki w Jugosławii przytaczamy zachowany protokół odprawy ppor. Zbigniewa Piątkowskiego, kierownika placówki Nr 2 — spisany dnia 6 września 1943 roku:

- „1. Udaje się Pan na obszar okupowany przez państwa osi.
2. Otrzymuje Pan maskę porucznika armii brytyjskiej i kartę identyczności na nazwisko Alfred Link.
3. Po wylądowaniu wchodzi Pan w skład miejscowej Misji brytyjskiej. Wobec otoczenia tak brytyjskiego, jak i alianckiego przedstawia się Pan jako Polak w służbie brytyjskiej.

4. Zadania główne:

Przekazywanie poczty lub ludzi przybywających z Kraju do bazy T.O.K. w Kairze, względnie bazy T.O.K. 1 w Stambule — zależnie od możliwości komunikacyjnych.

Każdorazowo będzie Pan uprzedzany o przybliżonej dacie i kierunku, z którego poczta, względnie kurier ma nadejść. Toteż jedną z pierwszych Pańskich czynności będzie zorientować się, jak

1. Kpt. piech. Stanisław Trondowski.

2. Zenon Sidorowicz.

daleko może Pan sięgać swoimi stosunkami i środkami komunikacyjnymi w kierunku północnym oraz południowym z odchyleniami na zachód lub na wschód. Możliwości te należy natychmiast zameldować do bazy T.O.K. Rozkaz ostateczny, jaki kierunek należy wybrać, otrzyma Pan z bazy T.O.K. Do Pańskich obowiązków będzie należeć zapewnienie bezpieczeństwa tak w drodze jak i na postojach — dla ludzi, względnie poczty (dostarczenie dokumentów, pokrywek, elementów do legend, zaopatrzenie w ubiór, ekwipunek, broń, pieniądze, żywność itd.). Pakiety z pocztą należy w wypadku uszkodzenia przepakować.

Łączność utrzymuje Pan z placówką T.O.K. za pośrednictwem szefa misji brytyjskiej, oddając mu gotowe depesze do nadania. Depesze należy adresować: „for T.O.K.”. Depesze przeznaczone dla Pana będą przesyłane również przez szefa misji brytyjskiej z zaznaczeniem „for Link”.

Kontakt przybyłych z Kraju z Anglikami lub z aliantami należy ograniczyć do minimum i pouczyć ich, że mogą mówić jedynie o sytuacji ogólnej w Kraju, represjach w stosunku do ludności, warunkach bytowania itp. Nie wolno natomiast udzielać informacji o charakterze wywiadowczym, o stosunkach i nastrojach politycznych, ani pracy organizacyjnej. Odmowę wytłumaczyć mogą rozkazem oddania tych wiadomości wyłącznie właściwym władzom, co będzie wykorzystane dla wszystkich aliantów na szczeblu centralnym. Te same ostrożności powinni przybyszący z Kraju zachować stale, nawet po wydostaniu się z obszaru okupowanego.

5. Zadania dodatkowe:

Pomoc szefowi misji w przesłuchiwaniu jeńców, względnie dezertersów Polaków.

Zbieranie informacji, gdzie i w jakiej ilości znajdują się Polacy — tak w armii niemieckiej, jak i oddziałach roboczych Todta.

Roztoczenie opieki nad tymi rodakami, ewentualnie zorganizowanie ich dla wykonania zadań dywersyjnych lub sabotażowych w ramach oddziałów powstańczych. Udział w akcji bojowej dezertersów wymaga każdorazowej aprobaty kierownika bazy T.O.K. W wypadkach niemożliwości organizowania rodaków w ramach jednostek niemieckich należy prowadzić propagandę za dezercją do oddziałów powstańczych. (Sposoby prowadzenia propagandy zostały omówione ustnie).

Osobisty udział we wszelkich akcjach bojowo-dywersyjnych dopuszczalny tylko w wypadku, kiedy w niej bierze również udział szef misji.

6. *Sprawy materialne.*

Na prowadzenie pracy wynikającej z zadania głównego, otrzymuje Pan jako kapitał wyjściowy kwotę: Pieniądze te przeznaczone są wyłącznie na koszty takie jak opłaty melin, przewodników, wyżywienia, ubrania i wyposażenia wysyłanych ludzi w pieniądze potrzebne na drogę do następnej placówki, wydatki na rzeczywiste koszty własnych podróży służbowych itp.

Wszystkie ewentualne koszty związane z zadaniem dodatkowym pokrywa szef misji brytyjskiej.

Powinien Pan prowadzić podręczny dzienniczek kasowy, notując sztyfrem datę, określenie i kwotę przychodu, względnie rozchodu. Sam decyduje Pan o tym, czy dany wydatek wymaga kwitu i czy warunki bezpieczeństwa na to pozwalają. Treść ewentualnych kwitów powinna być ułożona w sposób nie kompromitujący, bez wymieniania nazwisk, adresów miejscowości. W wypadku absolutnej konieczności należy niszczyć zarówno kwity, jak i nawet dzienniczek kasowy.

Po dokładnym zorientowaniu się w możliwościach pracy i przypuszczalnych wydatków przedstawi Pan wniosek do kierownika bazy T.O.K. na ustalenie budżetu miesięcznego.

Kapitał wyjściowy będzie uzupełniany za pośrednictwem szefa misji brytyjskiej.

Wydatki osobiste pokrywa Pan ze swych poborów oficerskich (gaża ze wszystkimi dodatkami). Pańskie pobory będą pobierane przez kierownika placówki T.O.K. za pańskim upoważnieniem — przy czym sam Pan ustali, czy będzie je Pan pobierał w całości z kapitału wyjściowego, względnie kwot uzupełnianych, czy też zadysponuje Pan inaczej częścią swej należności.

7. Wskazówki postępowania w niektórych wypadkach.

Na wypadek konieczności ewakuacji z terenu dostosować się należy całkowicie do misji brytyjskiej.

Rozmów na tematy polityczne zasadniczo unikać, podkreślając swoje obowiązki i zainteresowanie czysto wojskowe, oraz lojalność w stosunku do sprzymierzeńców”.

W przytoczonym dokumencie odprawy rzuca się w oczy mocne podkreślenie zachowania ścisłej tajemnicy w sprawach wywiadowczych, stosunkach politycznych i pracy organizacyjnej w Kraju, oraz unikania rozmów na tematy polityczne. Przestrogi te kierowane są nie pod adresem niektórych tylko sprzymierzeńców, ale pod adresem wszystkich naszych aliantów, z Anglikami włącznie. Ta niezrozumiała zdawałoby się i krzywdząca nieufność w

stosunku do naszych przyjaciół miała swoje uzasadnienie. Cicha aprobata polityki Sowietów w stosunku do Polaków przez Anglię i Amerykę z pewnością nic dobrego nam nie wróżyła i dlatego wszelka przestroga przed naszymi przyjaciółmi była zrozumiała i konieczna, chociaż ogół Polaków w tym czasie nie zdawał sobie jeszcze sprawy z niebezpieczeństwa, jakie nad Polską zawisło z chwilą wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej i zawarcia sojuszu aliantów z Rosją.

8. AKCJA SABOTAŻOWA I DYWERSYJNA. ORGANIZOWANIE PIERWSZEJ POLSKIEJ KOMPANII WOJSKOWEJ W JUGOSŁAWII

7 września Centrala odpowiada na depeszę płk. Mercika w sprawie udziału Polaków w akcji sabotażowej i dywersyjnej w Jugosławii, polecając zachowanie treści depeszy w ścisłej tajemnicy.

Decyzje Centrali odnośnie oficerów idących na Bałkany są następujące:

a) zasadniczym ich działaniem jest montowanie łączności z Krajem,

b) mogą oni poza tym zajmować się wywiadem dla misji, przy której się znajdują, badać jeńców i dezertów oraz otaczać ich opieką.

c) Centrala podtrzymuje zakaz udziału w akcji sabotażowej, bo wywołuje ona represje Niemców na ludności, która następnie reaguje negatywnie w stosunku do Polaków. W tym miejscu Centrala wydaje płk. Mercikowi rozkaz, że „gdyby Anglicy akcję tę w dalszym ciągu wysuwali jako zadanie główne, wstrzymać szkolenie oficerów i odesłać ich do oddziałów”.

Centrala przewiduje ewakuację Polaków z Bałkanów i wcielenie ich do armii polskiej, ale nie zgadza się na użycie ich bezpośrednio na tym terenie. Udział ich w akcji mógłby mieć miejsce tylko w nadzwyczajnych wypadkach i tylko za aprobatą Naczelnego Wodza.

Centrala poleca też płk. Mercikowi wstrzymać dalszą rekrutację oficerów do akcji bałkańskiej.

Do sprawy tej powraca ponownie płk Mercik 11 września. Mówi o obecnej sytuacji Polaków dezertów i uciekinierów i o konieczności montowania własnych oddziałów, bo tylko wtedy będziemy mogli decydować o kwestii ich użycia.

W kilka dni później płk Mercik proponuje Centrali uświadomienie społeczeństwu w Polsce, by robotnicy Todta i żołnierze w armii niemieckiej kontaktowali się z organizacjami powstańczymi i z misjami angielskimi po przybyciu na Bałkany w celu uzgadniania dalszego ich działania.

Centrala odpowiada 15 września, polecając płk. Mercikowi zaprzestanie niepotrzebnych polemik i pozostawienie spraw do decyzji sztabu, zaś referaty jakie chce na ten temat pisać powinien wysłać pocztą.

13 września „Muł” ponownie prosi Centralę o interwencję u ppłk. Bąkiewicza w sprawie przydzielenia radiotów, których Anglicy przyrzekają przyjąć na kurs spadochronowy bez względu na to, czy będą oni później użyci na Bałkanach, czy nie.

Centrala odpowiada dopiero 28 września, że po długich targach ppłk Bąkiewicz obiecał dać dwóch ludzi, z tym, że wydzieli ich ze swojej brygady płk Matecki.

15 września „Muł” melduje, że w nocy z 8 na 9 września Piątkowski szczęśliwie wylądował w rejonie Pristine, zaś Hołły został zrzucony w Grecji, ale meldunku od niego jeszcze nie ma.

Wiadomość tę Centrala przekazuje do Warszawy i „Romkowi”.

Tymczasem sprawy u kpt. Maciąga nie wyglądały najlepiej.

Nie mógł ustalić punktu kontrolnego na północy, a melina jaką miał w Timisoara została nakryta, przy czym stracił trochę pieniędzy, ale nie został zdekonspirowany.

Płk Mercik uważa, że byłoby dla Maciąga dużym ułatwieniem, gdyby „Romek” mógł podać jak daleko on może podejść w kierunku „Drawy”. Płk Mercik stwierdza, że w obecnych warunkach trudno jest używać tylko jednego szlaku i trzeba się raczej liczyć z koniecznością opracowywania każdorazowo nowej marszruty. Proponuje on wypróbować obecnie opracowane szlaki i w odpowiedzi Centrala poleca gen. Roweckiemu wysłać jako próbną pocztę filmy: „Biblioteka Ziemi Zachodnich”, dodatek do miesięcznika *Rzeczpospolita* pt. „Ziemia zachodnie R.P.” oraz wydawnictwa tajnej prasy litewskiej, w której występuje ona proniemiecko lub prorosyjsko, a przeciw Polakom.

4 października płk Mercik przesyła do Centrali projekt Statutu Organizacyjnego Kompanii Polskiej w Jugosławii, zawierający następujące punkty:

„a) Oficer dowodzący powinien nosić polskie odznaki i mieć kartę identyczności wojsk alianckich.

b) Żołnierze różnych stopni winni nosić również polskie od-

znaki (POLAND) i orzełki i mieć książki żołdu (*Army pay book* 64) wskazujące na to, że należą do Armii Polskiej. Jako tacy pozostawać będą pod operacyjnym dowództwem Serbskiego Dowództwa Okręgu.

c) Polski oficer dowodzący odpowiadać będzie za dyscyplinę wewnętrzną, administrację i awanse”.

Płk Mercik dodaje, że Anglicy podejmują się zaopatrzenia oddziału, utrzymania go i dostarczenia kart identyczności i książeczek *in blanco*. Na podane propozycje Anglików wyraził swoją zgodę gen. Michajłowicz.

Płk Mercik prosi o aprobatę projektu i wyjaśnia, że dowódcą kompanii nie jest kpt. Maciąg, ale jeżeli nie znajdzie się inny oficer, to zostanie nim Waletko.

Uzupełnieniem powyższego jest następną depeza wysłana w dwa dni później.

Formowanie pierwszej jawnej kompanii wojskowej uzgodnione zostało z gen. Michajłowiczem i kompania ta zostanie w ciągu miesiąca kompletnie uzbrojona i wyekwipowana. Tym sposobem uregulowana została prawna i materialna strona polskiego oddziału.

Druga kompania formowana jest na zasadach konspiracyjnych wśród robotników i żołnierzy, którym wolno będzie dezertować tylko w wypadku, gdyby groziło im wywiezienie z tego terenu. Trudności będą w przygotowaniu broni i ekwipunku dla tej kompanii, ponieważ Michajłowicz z trudem zgodził się na specjalne potraktowanie pierwszej.

Płk Mercik podkreśla, że wszystko co robi gen. Michajłowicz jest uzgodnione wpierw z rządem jugosłowiańskim w Kairze i stąd idą nakazy.

Płk Mercik następnie zaznacza, że zastrzegł sobie u Anglików, że Polacy nie będą w żadnym wypadku użyci do samodzielnej akcji, która ściągnęłaby na nich niechęć ludności.

Poinformowany o istnieniu polskiego oddziału wojskowego w Jugosławii minister Spraw Zagranicznych pisze po porozumieniu się z premierem, że w obecnych warunkach międzynarodowych zaleca się w tej sprawie tajne działanie. Pozwolenie na użycie tego oddziału w akcji uzależnione jest od różnych warunków, które należałoby wpierw poznać, oraz od ustosunkowania się władz brytyjskich w ostatnich czasach do działań zbrojnych na terenie Jugosławii.

Powyższe uwagi wyraźnie mówią, że sytuacja Polski na terenie międzynarodowym jest nienajlepsza i wymaga dużej ostroż-

ności we wszelkich poczynaniach z naszej strony. Niemniej jednak Naczelny Wódz zmuszony był zająć jakieś stanowisko i 18 października wydaje on następujące decyzje w sprawie oddziałów polskich w Jugosławii:

„1. Formowanie oddziałów polskich w Jugosławii spośród Polaków dezertersów z armii niemieckiej i obozów pracy jest korzystne i potrzebne.

2. Zgadzam się na udział jednostek polskich w walkach powstańczych.

3. Zgodnie z projektem brytyjskim oddziały te należy ujawnić jako wojsko polskie na tych samych zasadach suwerenności, jakie ma całe wojsko polskie na obczyźnie.

4. Formowane oddziały polskie w Jugosławii należy czasowo podporządkować gen. Michajłowiczowi (lub jego podwładnym dowódcom), z tym zastrzeżeniem, że nie mogą one być użyte do walk wewnętrznych Jugosławii, a tylko przeciw Niemcom.

5. Gdy tylko okoliczności na to pozwolą, należy dążyć do połączenia tych oddziałów z regularnymi jednostkami polskimi, a przynajmniej z oddziałami brytyjsko-amerykańskimi. Ewentualność tę należy zawczasu umówić z władzami brytyjskimi i jugosłowiańskimi.

6. Oddziały te należy odseparować od zadań wywiadu. Mają to być oddziały ściśle bojowe.

7. Celem ułatwienia organizacji należy dostać potrzebną ilość oficerów.

8. Przyjąć statut organizacyjny proponowany przez Brytyjczyków”.

Otrzymawszy do wiadomości treść powyższej decyzji Naczelnego Wodza, płk Mercik melduje 26 października, że jego dotychczasowa działalność w sprawie oddziałów polskich w Jugosławii nie koliduje w niczym z rozkazem Naczelnego Wodza.

Zawiadamia też Centralę, że zaczęło się formowanie drugiej jawnej kompanii polskiej w rejonie Pristine i że po jej zorganizowaniu będzie dążył do połączenia obu kompanii przypuszczalnie na terenie Piątkowskiego.

Jak już wspomniano, organizowanie polskich oddziałów wymagało zgody gen. Michajłowicza i porozumienia z rządem jugosłowiańskim przebywającym w Kairze.

Polskim *attaché* wojskowym przy tym rządzie był płk Wasilewski, który w październiku 1943 roku wyjeżdża z Londynu do Kairu.

Zapowiadając płk. Mercikowi przyjazd płk. Wasilewskiego, Centrala poleca zorientować go szczegółowo we wszystkich sprawach dotyczących „Drawy” i placówki w Grecji.

9. WEWNĘTRZNE POLITYCZNE CHMURY NAD JUGOSŁAWIĄ

23 października Centrala przekazuje dla „Drawy” adres kontaktowy w Turnul-Severin. Mieści się on przy „Trada Balcescu Nr 1. Dojście od dworca kolejowego aż do dwupiętrowego budynku „Pinnari” (rodzaj magistratu) na północ od placu targowego. Dom Nr 1 jest na rogu, wchodzić przez pierwsze drzwi wychodzące na plac targowy. Drzwi podwójne, pierwsze z drzewa szarego, zawsze otwarte, drugie oszklone.

Pukać głośno w drugie drzwi.

Agentka Aleksandra Kurz. Lat 28, włosy ciemne, twarz trójkątna, szerokie czoło, szeroko rozstawione oczy, gruby nos, pełna dolna warga, krótka szyja.

Mieszka z matką, umysłowo nienormalną. Mówi po serbsku i niemiecku.

Hasło kmięcia (kuriera): (po pozdrowieniu) „Przychodzę od doktora Lebermana”.

Odzew agentki: „Czy od doktora Otto?”.

Na wypadek jakiegoś nieporozumienia kurier powinien powiedzieć, że przyniósł coś dla Katic.

W razie niezastania agentki lub niemożliwości wymiany hasła z uwagi na obecność kogoś obcego — pozorować przyście z zamiarem nabycia robót szydełkowych albo przyjść drugi raz, albo zaczekać na okazję wymienienia hasła”.

25 października „Romek” przekazuje przez Centralę wiadomość dla „Drawy”, że wysłał kuriera Szarudę Aleksandra (pseud.) do Zagrzebia i Belgradu w celu budowy szlaku do „Drawy”, ale już w tydzień później depeszuje, że Szaruda wrócił, ponieważ w Chorwacji nie kursują pociągi. Zapowiada jednak próbę dojazdu wprost do Belgradu.

Z nieznanych przyczyn wiadomość ta przychodzi z dużym opóźnieniem i dopiero 20 listopada „Muł” depeszuje do Centrali, by „Romek” nie rezygnował z wysyłania Szarudy.

W październiku przygotowany został rzut dla organizującej się w Jugosławii polskiej kompanii wojskowej. Operację przeprowadzono w nocy z 18 na 19 października, ale udała się ona

tylko częściowo z powodu fałszywych ognisk na ziemi. Samolot z przeznaczoną bronią i ekwipunkiem dla polskiej kompanii wrócił z pełnym ładunkiem. Drugi samolot zrzucił ładunek dla misji brytyjskiej, oraz *Army books* dla polskich żołnierzy, ale lecący tym samolotem por. Jerzy Waletko nie został zrzucony i musi czekać na następną okazję.

Nic z tego zrzutu nie wpadło w ręce niemieckie, ale z drugiej strony nie ma potwierdzenia, że wszystko zostało odebrane od Serbów.

11 listopada „Muł” informuje, że podany przez niego kontakt jest wciąż aktualny tak dla placówek bałkańskich, jak i dla Kraju.

Poczta odebrana przez „Drawę” będzie przesyłana w kierunku na Albanie lub Grecję, skąd specjalnie zorganizowanym transportem będzie odbierana.

Na początku listopada Anglicy oddają wreszcie radiostację ze swoją obsługą do dyspozycji „Drawy”. Meldując o tym Centrali płk Mercik stwierdza, że przyspieszy to jego łączność z placówką.

Równocześnie podaje, że kpt. Maciąg doniósł, że został okradziony przez warszawiaków i to na poważną sumę pieniędzy.

Po raz pierwszy jest też wzmianka o tym, że Tito rozszerza swoje wpływy i że przenika już na teren Serbii, znajdując zwolenników wśród robotników w miastach.

Ta ostatnia wiadomość z pewnością nie była dobrą nowiną dla Polaków, ale niestety była prawdziwa. W drugiej połowie listopada płk Mercik melduje bowiem Centrali, że został poinformowany przez płk. Wasilewskiego, że na skutek nacisków Moskwy Anglicy zaczęli ograniczać swoje poparcie dla gen. Michajłowicza i mogą nawet zupełnie je cofnąć. Płk Wasilewski uważa, że Polacy nie mogą Michajłowicza opuścić, bo przejście do czerwonej Albanii byłoby samobójstwem, a przyłączenie się do Tity jest po prostu rzeczą nie do pomyslenia.

Sytuacja w Jugosławii rzeczywiście zaczynała być dla Polaków coraz nieprzyjemniejsza.

Po przeprowadzonej w dniu 11 listopada rozmowie z gen. Gubbinsem gen. Sosnkowski informuje Szefa Sztabu Nacz. Wodza, że przewiduje komplikacje z oddziałami polskimi w Jugosławii, ponieważ Anglicy nie dowierzają Michajłowiczowi i oceniają, że pozycja jego jest coraz słabsza ze względu na odmowę walki z Niemcami. Równocześnie rosną siły Tity i należy przewidzieć, że on sam zlikwiduje Michajłowicza. Dlatego zdaniem Anglików formowanie polskich oddziałów przy Michajłowiczu

jest niebezpieczne i radzą, by je ściągnąć do Albanii. W tej sytuacji gen. Sosnkowski poleca Szefowi Sztabu zwrócić się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, by ono naświetliło tę sprawę ze strony politycznej.

Nie znając nawet oceny MSZ, nie ulega wątpliwości, że wnioski Anglików nie były po naszej myśli. Podczas gdy Brytyjczycy coraz bardziej przychylali się na stronę Tity, opinia polska była w dalszym ciągu po stronie gen. Michajłowicza. Było to rzeczą zrozumiałą, bowiem ustępstwa w Jugosławii mogły w przyszłości powtórzyć się na terenie Polski.

Kpt. Maciąg w tym czasie napotyka na nowe trudności i 13 listopada płk Mercik przekazuje od niego wiadomość, by nie wysłać nikogo na kontakt Turnul-Severin, dopóki nie powiadomi, że wszystko jest w porządku.

Kpt. Maciąg nie chce przyjąć usprawiedliwienia Anglików, że sprzęt dla niego nie został zrzucony z powodu złych warunków atmosferycznych, a płk Mercik sądzi, że ma on w tym trochę racji.

10. KPT. HOWARTH OCENIA MOŻLIWOŚCI UŻYCIA POLSKICH JEDNOSTEK W JUGOSŁAWII. SYTUACJA ZACZYNA SIĘ CORAZ BARDZIEJ GMATWAĆ. ŚMIERĆ KPT. MACIĄGA

25 listopada płk Mercik przekazuje Centrali kopię raportu złożoną gen. Gubbinsowi przez kpt. Howartha, oficera łącznikowego SOE¹ do spraw polskich.

W raporcie tym Howarth ocenia możliwości przyszłej akcji polskich jednostek wojskowych w Jugosławii.

Ponieważ raport ten mówił o angielskich planach w stosunku do oddziałów polskich, wskazane jest zapoznać się z nim w pełnej jego treści.

„Cel.

1. Jak najpełniejsze wykorzystanie jednostek polskich już istniejących, przy dostarczeniu im maksimum opieki w granicach naszych możliwości.

Czynniki wpływające na sytuację.

2. a) Poważne i bezpośrednie zagrożenie gen. Michajłowicza,

1. *Special Operation Executive.*

a tym samym wszystkich oddziałów formowanych na terytorium będącym dotychczas pod jego kontrolą.

b) Przedstawiony poniżej stosunek partyzantów do Polaków.

c) Rozmieszczenie pod względem geograficznym większości Polaków na terytorium gen. Michajłowicza.

d) Obecny brak u Polaków broni i ekwipunku, zwłaszcza butów i trudności dostarczenia.

e) Przepuszczalne stanowisko, jakie zajmą michajłowiczowscy dowódcy okręgów, w szczególności Piletic — w wypadku pełnej współpracy Michajłowicza z Niemcami.

f) Przyszłe plany SOE dla akcji na Węgrzech.

g) Polska droga kurierska.

Możliwości.

3. a) Ewakuowanie polskich oddziałów do najbliższych oddziałów, z którymi mogłyby współpracować.

b) Pozostawienie jednostek polskich nienaruszonych w rejonie względnie bezpiecznym i użycie ich w odpowiednim momencie do akcji dywersyjnej.

4. Ewakuacja jednostek polskich.

Korzyści osiągalne przez ewakuację polskich jednostek przez terytorium partyzantów:

a) Pewna ilość ludzi o dużej prawdopodobnie wartości bojowej zostałaby wydarta Niemcom i zasiliłaby wojska alianckie.

b) Wypełnimy nasze zobowiązania zarówno do oficerów polskich, którzy zostali tam wysłani pod naszym protektoratem, jak i w stosunku do ludzi przez nich zrekrutowanych.

5. Najważniejszą niekorzyścią będzie utrata ukrytej siły, której wartość przy właściwym użyciu mogłaby być nieproporcjonalnie wielka w stosunku do ilości.

6. W każdym razie ewakuacja nie będzie łatwa i prawdopodobnie staną na przeszkodzie następujące trudności:

a) Stanowisko partyzantów.

Oczekujemy obecnie informacji co do stanowiska, jakie zajmie Tito w stosunku do ewakuacji Polaków. Jeśli nie zgodzi się, Polacy mogliby być ewakuowani albo przez przebiecie się w całości siłą przez terytorium słabiej opanowane przez partyzantów, albo też przy pomocy pertraktacji przeprowadzonych ewentualnie przez poszczególne misje brytyjskie z poddowódcami partyzanckimi.

b) Trudności geograficzne.

Jednostka w okolicy Prestine nie będzie narażona na długi

marsz celem dotarcia do terytorium partyzantów, gdyż niedaleki jest moment, w którym siły partyzantów zetkną się z siłami Michajłowicza. Jednostki w rejonie Homolje są natomiast znacznie dalej od rejonu walk i w warunkach zimowych, przy braku obuwia i ubrań, marsz w kierunku sił partyzanckich byłby ciężkim przedsięwzięciem.

c) Stanowisko Michajłowicza i jego dowódców okręgów.

Niełatwo będzie wytłumaczyć Michajłowiczowi i jego dowódcom okręgów, dlaczego Polacy opuszczają swe obecne miejsca. Jest to jednak problem, który dotyczy także misji brytyjskich na terytorium Michajłowicza i stanowi część obszerniejszego planu.

7. Zatrzymanie jednostek na obecnych miejscach.

Celem zatrzymania jednostek w ich obecnych miejscach byłoby użycie ich do akcji dywersyjnej w późniejszym stadium i prawdopodobnie w innym miejscu. Taka ewentualność, która nie wymaga uzasadnienia, daje następującą możliwość:

8. Jednostki polskie pozostałyby w pobliżu granicy serbsko-rumuńskiej i zostałyby wyekwipowane przez co najmniej jedną przesyłkę.

W chwili gdy pozwoli na to zamieszanie w Europie centralnej, przedostałyby się w stronę granicy węgierskiej w okolicy Szegedu i tam wkroczyłyby na terytorium węgierskie.

Przybycie ich powinno zbiec się w czasie z szeroką akcją dywersyjną podjętą przez wielką ilość Polaków przebywających obecnie na Węgrzech.

9) Zasadnicze korzyści tej ewentualności są następujące:

a) Jednostki zostałyby użyte jako skuteczny środek wokół którego mogłyby się zgrupować czynniki rozkładowe w Europie centralnej.

Jedną z zasadniczych trudności ogólnego powstania w Polsce samej jest to, że byłaby ona do pewnego stopnia zjawiskiem izolowanym pod względem geograficznym. Natomiast powstanie uzyskałoby wielki impet przez obecność oddziałów skutecznie walczących w pobliżu granicy polskiej. Chociaż jednostki polskie obecnie formowane w Jugosławii nie mogą być jako takie uważane w tej sytuacji za poważną siłę zbrojną, to w łączności z ogólną akcją Polaków na Węgrzech, z możliwą zdradą znacznej części armii węgierskiej i rozpoczęciem partyzantki w Słowacji — które mogą wynikać z tej akcji — wartość powstania polskiego może się okazać niezmierną.

b) Pierwotne zadanie Nasha (Maciąga) budowania drogi ku-

rierskiej, co do którego zrobił znaczne postępy i które mogłyby dać wkrótce doskonałe rezultaty, gdyby nie obecne zamieszanie — będzie lepiej wykonane przez jego zatrzymanie na miejscu.

10) Użycie oddziałów polskich w proponowany sposób będzie wskazane (celowe) pod następującymi warunkami:

a) Stanowisko Piletica.

Jeżeli oddziały polskie nie będą miały względnego zabezpieczenia przed atakami przez okres 2-3 miesięcy — będą one faktycznie bezużyteczne. Chwilowo nie są one zagrożone bezpośrednio przez partyzantów lub Niemców. Jeżeliby Piletic wspólnie z Michajłowiczem zdecydował połączenie się z Niemcami, może łatwo zdradzić polskie oddziały. Z drugiej strony, jeżeli Piletic połączy się z Brytyjczykami — przynajmniej do pewnego czasu — zagrożenie oddziałów polskich nie będzie wielkie i ważne argumenty będą przemawiały za wysyłkami do rejonu Homolje. Zażądaliśmy dalszych informacji co do przypuszczalnego stanowiska Piletica.

b) Przyszła sytuacja w Banacie.

Nie jest wykluczone, że w przeciągu kilku miesięcy sytuacja w Europie centralnej będzie na tyle zagmatwana, że pozwoli zdecydowanemu oddziałowi przebić się z rejonu Turnul-Severin do Szegeđu na przestrzeni około 150 mil. Co do tego również zażądajmy dalszych informacji.

c) Przyszłe stanowisko rządu węgierskiego.

Na przestrzeni czterech lat, także w okresie największej potęgi Niemiec, rząd węgierski stał zawsze na stanowisku przychylnym dla Polaków, którzy mieli na Węgrzech więcej swobody, niż w jakimkolwiek innym kraju kontrolowanym przez oś. Po kampanii w Polsce często przechodziły granicę węgierską zwarte oddziały z bronią i uzyskiwały szczególną pomoc rządu węgierskiego. Jak długo rząd węgierski ma władzę na Węgrzech, można przypuszczać, że jego stanowisko nie ulegnie zmianie, zwłaszcza gdy siła Niemiec zacznie się zmniejszać. Jeżeliby natomiast w tym okresie została utworzona niemiecka okupacja Węgier, jednostka polska, która przedarłaby się do Węgier, znalazłaby się dopiero na progu kłopotów.

Decyzja.

11. Powyższe stanowi jedynie tymczasową ocenę, ponieważ przed powzięciem ostatecznej decyzji zażądano niektórych dalszych informacji. Odnosi się to przede wszystkim do:

— stanowiska Piletica,

— stopnia swobody poruszania się na Banacie,

— siły i organizacji Polaków na Węgrzech,

— prawdopodobieństwa niemieckiej okupacji Węgier.

12. Przy rozważaniu możliwości należy wziąć też pod uwagę:

a) Polskie jednostki w rejonie Pristine zostały ewakuowane przez terytorium partyzantów, gdy Tito się zgodzi. W braku tej zgody, musiałyby się skierować na północ celem połączenia się z innymi w rejonie Homolje.

b) Jednostki w rejonie Homolje zostałyby zatrzymane na miejscu z widokiem na późniejsze użycie ich na Węgrzech.

13. Oficer brytyjski doskonale znający polskie problemy oraz znający plany SOE dla centralnej Europy — powinien być wysłany, by całkowicie z nimi współpracować. Ja sam zgłaszam się do tej misji.

W razie gdy rozwój wypadków uniemożliwi faktycznie proponowany marsz na Węgry — można próbować ewakuacji później, gdyż prawdopodobnie będziemy dość wcześnie uprzedzeni o zbliżaniu się oddziałów partyzanckich do rejonu Homolje.

14. Jakakolwiek decyzja zostanie powzięta, należy pamiętać, że jesteśmy moralnie odpowiedzialni za te jednostki, które zostały utworzone za naszą namową i pod naszym protektoratem”.

Ządania

w stosunku do gen. Gubbinsa
(względnie jego ekspozytury)

1. Przekonanie Michajłowicza o celowości i korzyści wyodrębnienia Polaków w osobne oddziały.
2. Zaopatrzenie oddziałów polskich przy Michajłowiczu.
3. Ewentualne wycofanie w kierunku południowym (nie na Węgry, jak proponuje oficer łącznikowy).
4. Zgoda na własną sieć radiową i własny szyfr dla naszych placówek. Gdyby to było możliwe — zaopatrzenie przynajmniej „Drawy” na stałe w radiostację brytyjską.
5. Jeżeli się nie uda umieścić naszego oficera przy Tito — opiekę nad naszymi ludźmi winny objąć misje brytyjskie — my doślemy prasę.
Zbierać stale dane gdzie są Polacy i co robią.
6. Trzymać za słowo Titę, że pozwoli wyewakuować tych Polaków, którzy przejdą do niego od Michajłowicza.
7. Doprowadzić do ostatecznej umowy z Elas — na warunkach jak z Michajłowiczem. Jeśli się nie da ewakuować ich tak jak jeńców brytyjskich.

8. Zająć się Polakami we Włoszech (za frontem) za pośrednictwem własnych

Powyższe żądania były postawione przez płk. Mercika, który zgadzał się z projektem Howartha w punktach odnoszących się do działania na terenie Jugosławii, ale nie brał pod uwagę udziału oddziałów polskich na Węgrzech.

Nie znając nawet opinii naszego sztabu na wnioski Howartha, można z góry przewidzieć, że jedynym rozsądnym wnioskiem dla nas była jak najszybsza ewakuacja żołnierzy polskich z Jugosławii na teren Włoch, a nie przygotowywanie ich do akcji na terenie Jugosławii, czy też w fantastycznym planie użycia ich na terenie Węgier.

W teorii plan ten wyglądał porywająco, bo pojawienie się oddziałów polskich na Węgrzech spowodowałoby powszechny zryw do walki z Niemcami i uchronienia się w ten sposób przed „wyswobodzeniem” kraju przez Sowiety, a z drugiej strony byłoby doskonałą propagandą dla Polaków i wzmocnieniem ducha i wiary w walczącą Polskę. Ale do wykonania takiego zadania trzeba było mieć szereg dużych, dobrze uzbrojonych i przygotowanych do walki oddziałów, a to w tym okresie było tylko nieosiągalnym marzeniem.

Sytuacja Michajłowicza była coraz trudniejsza pod naciskiem partyzantów Tity. Należało się liczyć z tym, że tracąc poparcie u Anglików i nie mogąc liczyć na niczyją pomoc w walce z komunistami, pójdzie na współpracę z premierem Nedicem, albo nawet wprost z Niemcami.

8 grudnia Centrala informuje płk. Mercika, że na sugestię Howartha zwrócił się do Centrali mjr Pickles z propozycją, by w wypadku stwierdzenia współpracy Michajłowicza z Niemcami, oddziały polskie znajdujące się przy Michajłowiczu przeszły do Tity. Centrala nie ma jednak odpowiednich elementów, by sprawę przedstawić Naczelnemu Wodzowi i dlatego zwraca się do płk. Mercika o ich dostarczenie. Informuje go też, że Anglicy twierdzą, że oddziały polskie z rejonu Homolje przekroczyły granicę węgierską.

10 grudnia MSZ podaje swoje uwagi odnośnie sytuacji w Jugosławii.

Na podstawie wypowiedzi rządu brytyjskiego w parlamencie w dniu 7 grudnia MSZ stwierdza, że Anglia w chwili obecnej udziela więcej pomocy partyzantom Tity aniżeli Michajłowiczowi, a czynniki brytyjskie niejawnie wypowiadają się przeciw Michajłowiczowi i za Tito.

MSZ zaleca w tej sytuacji nie wiązać się z żadną ze stron i przychyliła się do sugestii Brytyjczyków dołączenia do Tity, co dałoby większe szanse połączenia oddziałów polskich z siłami Polskich Sił Zbrojnych we Włoszech.

Stosunki między Michajłowiczem a Anglikami były coraz gorsze i w depeszy z 17 grudnia płk Mercik określa je jako złe i wzajemnie nieufne. Sprawy Jugosławii będą dla Centrali dużo jaśniejsze po otrzymaniu uwag na ten temat pisanych przez płk. Mercika, które wysłał przez płk. Demela.

20 grudnia płk Mercik melduje, że od dwóch tygodni nie ma żadnych wiadomości od kpt. Maciąga, ani z misji brytyjskiej. Jedyną informacją, jaką udało mu się uzyskać, było podanie przez Jugosłowian, że jeden z Brytyjczyków, który był w „Drawie” dostał się do niewoli.

W dwa dni później płk Mercik ponownie melduje, że „Drawa” milczy i to napawa go obawą jakiejś tragedii.

Wobec likwidacji meliny w Gostivar, Gradowski szuka kontaktu z Piątkowskim i stara się do niego dołączyć.

Tito opanował cały teren między Albanią a obszarem Michajłowicza i zasadniczo zgadza się na ewakuację Polaków, „jeżeli będą tego chcieli”. Płk Mercik w związku z tym wysłał polecenie, by oddziały polskie tego żądały.

Przewiduje się przejście na stronę Tity Djurica, przez co Piątkowski znajdzie się w nowych warunkach. W tej nowej sytuacji trzeba będzie próbować budowę szlaku z pominięciem terenów Michajłowicza.

Wreszcie płk Mercik informuje, że ewakuacja z Albanii przez Adriatyk nie przedstawia żadnych trudności.

28 grudnia Centrala ponownie wysłała wyjaśnienie dla placówek na Bałkanach, że głównym ich zadaniem jest organizowanie łączności z Krajem, zaś zadaniem dodatkowym, znanym oficjalnie Michajłowiczowi i Ticie, jest ewakuacja dezertersów z armii niemieckiej do Włoch i Anglii. Centrala następnie podaje, że z chwilą zorganizowania szlaków ewakuacyjnych pójdą po nich kurierzy z Kraju.

Przewidywania tragedii w „Drawie” zaczynały się coraz bardziej sprawdzać. 28 grudnia Centrala otrzymuje meldunek od płk. Mercika, że według niepotwierdzonych wiadomości w dniu 11 grudnia m.p. misji brytyjskiej zostało opanowane przez Niemców. Kierownik misji dostał się do niewoli, kpt. Maciąg został zabity i tylko radiooperator uciekł.

11. TRUDNOŚCI POLSKIE WZRATAJĄ

Dopiero 6 stycznia 1944 roku płk Mercik wysłała do Centrali więcej danych o tym, co się stało z „Drawą”. Wiadomości te zostały podane przez angielskiego radiooperatora, który zdołał zbiec.

Kpt. Maciąg, angielski kpt. „Joe” i radiooperator przebywali w domu w miejscowości Luka Majdanek. Dom został zaatakowany przez Niemców. Od wrzuconego do pokoju granatu zginął kpt. Maciąg, a kpt. angielski został schwytany.

Ponieważ płk Mercik nie zdążył stwierdzić, gdzie był podoficer Anglik w czasie wrzucenia do pokoju granatu i na jakiej podstawie twierdzi, że kpt. Maciąg zginął, jest mała nadzieja, że kpt. Maciąg żyje.

W międzyczasie obie kompanie polskie zostały rozwiązane i wcielone w oddziały serbskie Michajłowicza, ponieważ nie było odpowiedniego oficera polskiego do ich dowodzenia. Zdaniem płk. Mercika zrobiono to celowo w związku z zastrzeżeniem, że Polaków nie wolno używać do walk bratobójczych. Płk Mercik nie ma żadnej wiadomości, co się stało z kompanią Piątkowskiego i powtarza poprzednio już podaną pogłoskę, że Djuric skłonny jest do połączenia się z Titą.

Dla nawiązania łączności z pominięciem „Drawy” płk Mercik polecił Piątkowskiemu meldować, gdzie najbliżej w kierunku na Belgrad mógłby zorganizować melinę, oraz Gradowskiemu, gdzie mógłby ustalić punkt kontaktowy z Piątkowskim.

Jeżeli chodzi o łączność Gradowskiego do Adriatyku, to nie ma tam żadnych trudności poza kwestią czasu.

Płk Mercik prosi, by „Romek” podał czy może wysłać kuriera do Salonik, skąd łatwo mógłby on być podjęty przez „A-force”, a jeżeli nie, to dokąd może dotrzeć na tej linii.

Jakkolwiek Howarth twierdzi, że Michajłowicz współpracuje z Niemcami i że Anglicy nie ujawniają tego, by nie kompromitować króla i jego rządu w Kairze, to jednak chciałby być zrzucony w Homolje i tylko brak następcy nie pozwala mu na tę akcję. W wypadku gdyby Howarth leciał, zabierze ze sobą Bytomskiego.

Po otrzymaniu tej depechy Centrala następnego dnia zapytuje „Romka” o możliwości dotarcia do Salonik, zaś płk. Mercikowi w dzień później poleca żądać od Anglików ewakuowania wszyst-

kich Polaków od Michajłowicza. Piątkowski i Gradowski mają pozostać na miejscu i być użyci do ewakuacji.

Następnie Centrala zapytuje, czy Piątkowski może przekazać adresy kontaktowe dla „Romka”. W wypadku gdyby misja brytyjska pozostawała nadal przy Michajłowiczu, Centrala poleca wysłać na miejsce kpt. Maciąga ppor. Waletkę.

W innej depeście z tego samego dnia Centrala zapytuje, czy Piątkowski i Gradowski mają szyfry, a jeżeli tak, to jakie.

Nie mamy z tego okresu raportów od Piątkowskiego, ale już kilkakrotnie słyszeliśmy, że działa i że między innymi organizuje polską kompanię wojska, toteż ze zdziwieniem dowiadujemy się o opinii o pracy na południowym terenie Jugosławii, którą Perkins określa jako bardzo słabą, twierdząc, że jest tam „brak inicjatywy, oglądanie się we wszystkim na Middle East”. Tak samo wyraził się on niepochlebnie o wysyłce Kossaka, którą określa jako wielką pomyłkę z szeregu powodów. Uwagę swoją o nim kończy słowami: „cała nadzieja w tym, że się dobrze *potłucze* i nie doleci”. Płk Mercik tłumaczy to wypowiedzenie się Perkinsa niedyplomatycznym wyrażeniem swoich uczuć w stosunku do Rosji przez Kossaka.

Wreszcie Perkins potwierdził poprzednio podaną informację Howartha, że ekspozytura Gubbinsa zostanie przeniesiona do Włoch. W związku z tym płk Mercik prosi Centralę o podanie mu w tej sytuacji swojej opinii co do „Muła” oraz o szybki powrót swego zastępcy, ponieważ przeprowadzka do Włoch może nastąpić niespodziewanie i szybko.

Na tę ostatnią wiadomość Centrala odpowiada następnego dnia informując, że baza pozostanie na miejscu, natomiast w lutym zorganizowana zostanie nowa baza we Włoszech.

Nie można w tym miejscu nie zwrócić uwagi na wyrażenie płk. Mercika, że Kossak po swoim szczerym wypowiedzeniu się wśród Anglików o swoich uczuciach do Rosji Sowieckiej stracił zaufanie Perkinsa. Opinia taka musiała mieć swoje uzasadnienie i nie ulega wątpliwości, że wyrażała ona prawdziwy stosunek w tym czasie Anglików do Rosji. Mieliśmy już tego rodzaju przykłady w Jugosławii, gdzie Anglicy z powodu nacisków i propagandy Rosji przeciw Michajłowiczowi zmienili swój stosunek do niego i zaczęli coraz jawniej popierać Titę, mieliśmy też przykłady w wielu innych wypadkach nie związanych z terenem naszych zainteresowań. Faktem jest, że od chwili przymusowego znalezienia się Rosji w wojnie po stronie aliantów, w Anglii rósł kult dla tego kraju i jego przywódców. Współpraca do której te dwa kraje zostały zmuszone walką przeciw wspólnemu

wrogowi, zamieniła się ze strony Anglików w jakąś nieprzytomną, bezmyślną przyjaźń, za którą szereg narodów do dziś gorzko pokutuje.

Odpowiadając na rozkaz Centrali żądania od Anglików ewakuowania wszystkich Polaków z Bałkanów, płk Mercik melduje 13 stycznia, że żądania te przedstawił Howarthrowi i ostatecznie zapadła decyzja gen. Wilsona idąca po myśli Polaków.

Odnosnie ewakuacji z terenu Grecji, to informacje o rozmieszczeniu tam Polaków zbiera „A-Force” oraz Hołły. Są tam jednak trudności z organizacją grecką Elas, która traktuje Polaków jako jeńców i nie chce ich wypuścić. W sprawie tej prowadzone są pertraktacje.

Jeszcze gorzej w obecnej chwili wygląda sprawa w Jugosławii, gdzie Michajłowicz został zupełnie odcięty przez titowców od wybrzeża i Albanii. Rozproszonych obecnie wśród jego oddziałów żołnierzy polskich kompanii nie chce wypuścić, tłumacząc niebezpieczeństwem wpadnięcia w ręce partyzantów.

Anglicy ze swej strony zażądali od płk. Mercika, by wydał rozkaz uciekania od Michajłowicza, ale on odmówił wykonania takiego zalecenia, ponieważ zdaniem jego byłaby to zdrada Michajłowicza, który jest ciągle naszym aliantem i ciągle ma u siebie wojskową misję angielską i polską. Poza tym gdyby nawet Michajłowicz zgodził się na wypuszczenie polskich oddziałów, a Tito pozwolił im się ewakuować, to i tak jest to niemożliwe do wykonania w porze zimowej, ponieważ żołnierze nasi nie mają butów, ubrania i wyżywienia, by mogli w tym okresie maszerować w kierunku morza. Dlatego płk Mercik uważa, że ze sprawą tą należy czekać do wiosny.

Wreszcie płk Mercik dodaje, że jeżeli doszłyby do skutku plany Howartha (chodzi mu przypuszczalnie o wejście oddziałów polskich na Węgry), to zabrałby on wtedy ze sobą Waletkę, który mówi doskonale po niemiecku i z dobrymi papierami może się wszędzie pojawić, natomiast nie nadaje się na stanowisko samodzielne, ponieważ nie mówi po angielsku.

Centrala odpowiadając na ten meldunek w dwa dni później, poleca by szlaki ewakuacyjne montować w pierwszej kolejności od Tity, a dopiero w drugiej od Michajłowicza i Elas. Równocześnie Anglików należy bez przerwy naciskać na przeprowadzenie ewakuacji.

14 stycznia Szef Oddziału Specjalnego Naczelnego Wodza ppłk dypl. Protasewicz pisze do płk. Mercika i podaje mu wytyczne odnośnie zamierzeń na Bałkanach, wydane przez Szefa Sztabu Nacz. Wodza po rozpatrzeniu wszystkich wniosków i pro-

pozycji płk. Mercika przysłanych do Centrali w ostatnich kilku tygodniach, a odnoszących się do Bałkanów.

W związku z zaistniałą sytuacją wojskowo-polityczną należy dążyć do ewakuacji polskich oddziałów z Jugosławii do Włoch oraz z Grecji do Północnej Afryki, względnie przez Jugosławię i Albanie do Włoch.

Należy uzyskać przez Anglików zapewnienie od Tity, że nie będzie przeszkadzał w ewakuacji Polaków.

Centrala ze swej strony załatwia na miejscu z Anglikami sprawę ich pomocy w ewakuacji Polaków z Bałkanów.

Centrala przewiduje użycie Tomasza Kurasiewicza jako oficera łącznikowego przy misji wojskowej brytyjskiej u Tity, z zadaniem budowy łączności z Krajem i zajmowania się ewakuacją Polaków.

Jeżeli śmierć kpt. Maciąga zostanie sprawdzona, a Anglicy w dalszym ciągu będą mieli swoją misję przy Michajłowiczu, to dla odbudowy „Drawy” należy wysłać Waletkę.

Głównym zadaniem placówek jest organizowanie melin w terenie i przerzut kurierów i poczty z Kraju i zadanie to nadal obowiązuje.

Przy ewakuacji należy liczyć wyłącznie na pomoc Anglików, oraz ewentualnie Amerykanów. Dla ułatwienia ewakuacji w lutym zostanie założona nowa placówka we Włoszech.

Planowana działalność na Bałkanach nie mogła być przeprowadzona przy ilości ludzi jakimi rozporządzał płk Mercik. Omawiając tę sprawę w depeszy z 24 stycznia, zwraca uwagę na to, że ma w tej chwili po jednej placówce w Jugosławii i Grecji, a tymczasem dla wykonania zadań powinno tam być kilka innych placówek, oraz jedna na Krecie. Ponieważ jest rzeczą prawie niemożliwą zwerbować nowych ludzi na terenie Środkowego Wschodu, dlatego sugeruje by ich szukać w 2-gim Korpusie we Włoszech i tam też na południu ich szkolić.

Centrala odpowiada 2 lutego, informując płk. Mercika, że nowa baza „Capri”, która powstanie we Włoszech pod kierownictwem kpt. Mitko, obejmie placówki w Jugosławii i Albanii, natomiast Grecja z Kretą pozostaną przy placówce w Kairze. W związku z tym płk Mercik ma przygotować formalności związane z przekazaniem placówek kpt. Mitce.

Do „Capri” zostaną też przekazani Waletko i Kurasiewicz, natomiast dwóch oficerów do pracy w Grecji płk Mercik musi znaleźć we własnym zakresie.

Odpowiadając w kilka dni później płk Mercik prosi, by Wa-

letko i Kurasiewicz pozostali przy nim, ponieważ „Capri” będzie dużo łatwiej zwerbować sobie ludzi na terenie Włoch.

Następnie informuje Centralę, że z powodu zerwania przez Brytyjczyków stosunków z Michajłowiczem, odbudowa „Drawy” jest nieaktualna, natomiast jeżeli zgodzi się na to Tito, to powstanie przy jego oddziałach misja brytyjska, do której należałoby z naszej strony wysłać starszego, doświadczonego, sprytnego oficera, którego Centrala powinna znaleźć u siebie.

Narastające trudności w ewakuacji Polaków od Michajłowicza zmuszają Centralę do interwencji w królewskim rządzie jugosłowiańskim, co też robi 31 stycznia, wysyłając odpowiedniej treści depezę do płk. Wasilewskiego w Kairze, wojskowego *chargé d'affaires* przy tym rządzie.

Płk Wasilewski wykonuje polecenie, żądając od Jugosłowian podania mu na piśmie, jak sprawy zostały załatwione. Osobiście przy tym sądzi, że mała jest nadzieja na pomyślne załatwienie polskich żądań, ze względu na ogólne przesilenie jakie przechodzą Jugosłowianie. Taką samą opinię podaje też Centrali płk Mercik i przypuszcza, że trzymana do tej pory w tajemnicy sprawa polskich oddziałów przy Michajłowiczu może nabrać w kołach jugosłowiańskich szkodliwego rozgłosu.

Na początku lutego płk Mercik melduje, że w marcu Anglicy oddadzą do naszej dyspozycji cztery samoloty „Lysander” o zasięgu 500 mil, które będą latały do misji brytyjskich na Bałkanach. Samoloty te będzie można użyć do przerzutu kurierów i przesyłek.

Ponieważ w tym czasie Centrala uprzedziła płk. Mercika o idącym z Kraju kurierze Dębca¹, któremu towarzyszy Amerykanin, melduje on, że uprzedził o tym misje brytyjskie na Węgrzech, ale do tego czasu żadnych wiadomości o kurierze nie ma.

15 lutego Centrala uzupełnia wiadomości o Dębca i dwóch Amerykanach, które otrzymała od „Romka”. Wymienieni wyruszyli 29 stycznia w kierunku wzgórz znajdujących się 50 km na południe od Barca, rejon Udrowica.

W tej samej depezy Centrala zapytuje, co płk Mercik wie o aresztowaniu przez Titę oficera z angielskiej misji, na co ten odpowiada 19 lutego wyjaśnieniem Howartha, że są to plotki rozpuszczane celowo przez Jugosłowian w Kairze.

17 lutego płk Mercik zawiadamia Centralę o zorganizowaniu w Salonikach pewnej meliny, a w Jugosławii kontaktu w Kur-

1. Rosiński Aleksander, por., pseudonim Dębiec, Duży Zygmunt.

sumlija w hotelu „Europa”, skąd kurier ma być przeprowadzony do Dobrido, gdzie odbierze go Piątkowski. Najlepszą maską dla kuriera — kupiec drzewny.

Piåtkowski poszukuje teå lądowiska dla samolotów.

24 lutego MSZ przekazuje Centrali informacje od ambasadora E. Raczyńskiego o sytuacji Polaków w Jugosławii, które uzyskał od płk. Perkinsa. Według Perkinsa w oddziałach niemieckich na Bałkanach znajduje się 10 % Polaków pobranych przymusowo do wojska, wśród których panuje duża dezercja.

Perkins określa Titę jako bojowego dowódcę „stosunkowo mało zainteresowanego polityką”, który przyjmuje do swoich oddziałów tylko tych Polaków, którzy są zdecydowani walczyć z Niemcami. Innych usuwa jako niepożądanych. Zapowiedział teå, że będzie rozstrzeliwał tych wszystkich, którzy walczą po stronie Michajłowicza.

Następnego dnia płk Mercik melduje Centrali, że zachowanie Michajłowicza staje się coraz bardziej nielojalne: nierozwiązaną kompanię zmusił do walki przeciw partyzantom, a na protest misji brytyjskiej, zmniejszył w pierw Polakom racje żywnościowe, a następnie polecił, dla odstraszenia innych, 170 Polakom opuścić jego szeregi. W sprawie tej interweniował bryg. Armstrong, żądając dotrzymania umowy w stosunku do Polaków, a z naszej strony protest wniosie płk Wasilewski.

Na swój protest płk Wasilewski otrzymał odpowiedź od króla, że wszystkie żądania będą spełnione i że w związku z tym 6 marca została wysłana depesza do Michajłowicza, by przeprowadził ankietę wśród Polaków z zapytaniem, czy chcą być ewakuowani. Zdaniem króla większość Polaków nie chce opuścić Michajłowicza, bo wciągnęli się w jego szeregi jako ochotnicy.

9 marca mjr Threlfall informuje Centralę o decyzji, jaką powziął rząd jugosłowiański.

Następnego dnia płk Mercik donosi, że płk Wasilewski ponownie protestuje w związku z użyciem w depeszy prem. Puricza słów odnośnie ewakuacji „jeśli tego pragną” i żadnej innej uwagi.

O proteście i akcji bryg. Armstronga informuje teå Centralę mjr Truszkowski w dniu 11 marca, dodając, że dowódca Michajłowicza w pobliżu m. Rudno kazał 16 Polakom opuścić oddział, przeciw czemu Armstrong mocno zaprotestował i zaproponował zabranie ich ze sobą z chwilą powrotu do swego m.p.

W kilka dni później mjr Truszkowski podaje Centrali, że Anglicy przedstawili sprawę ewakuacji Polaków rządowi jugosłowiańskiemu w Kairze i ostrzegli, że jeżeli jacykolwiek Polacy zostaną siłą zatrzymani, to rząd angielski będzie zmuszony roz-

ważąc konieczność opublikowania faktów i stwierdzenia winy Michajłowicza.

27 lutego płk Mercik zawiadamia, że w przeciągu dwóch tygodni kpt. Mitko z małym zespołem ludzi będzie gotowy do wyjazdu do Włoch. Płk Mercik sugeruje, by przed odjazdem kpt. Mitko przyjechał do Kairu w celu nawiązania osobistego kontaktu z szefem SOE, oraz dla wprowadzenia go przez płk. Mercika w stosunki, w jakich będzie pracował.

Ale nie tylko Polacy znajdujący się w Jugosławii starali się dołączyć do Armii Polskiej. 28 lutego płk Mercik melduje, że płk Simmonds poinformował go, że młodzi Polacy na Węgrzech starali się nawiązać kontakt z titowcami, by przy ich pomocy dostać się do polskiego wojska. Płk Mercik prosił płk. Simmondsa, by Anglicy nie organizowali żadnych ucieczek Polaków z Węgier i Rumunii, a tym którzy uciekli do Tity pomogli w ewakuacji. Płk Simmonds ma kontakty w Bukareszcie z Siemiątkowskim, pracującym w poselstwie szwajcarskim, i przypuszczalnie on namawia młodzież do uciezki.

27 marca Centrala informuje płk. Mercika, że wystąpiła o oficjalne stwierdzenie śmierci kpt. Maciąga.

13. SPRAWOZDANIE BRYG. BAILEY. DALSHA DZIAŁALNOŚĆ PLACÓWEK I SPRAWY EWAKUACJI

28 marca odbywa się w Londynie konferencja w sprawie możliwości ewakuowania Polaków z oddziałów gen. Michajłowicza.

Ze strony polskiej wzięli w niej udział: ppłk dypl. M. Protasewicz, mjr Fryzendorf, kpt. Bilski. Ze strony angielskiej: płk Bailey — oficer angielski z głównej misji wojskowej przy sztabie gen. Michajłowicza, mjr Truszkowski, mjr Pickles i mjr Threlfall.

Tematem do dyskusji jest obszerne sprawozdanie bryg. Baileya, który zapoznaje zebranych z sytuacją istniejącą na terenie Jugosławii.

Przy oddziałach Michajłowicza znajdują się dwie albo trzy grupy polskich oddziałów, a mianowicie:

1. licząca 85 ludzi w rejonie Homolijaska Planina, przy kwaterze głównej Michajłowicza,
2. licząca około 65 ludzi przy oddziałach Djurica w rejonie Pristine, oraz

3. w miejscowości Golija koło Raska. Bryg. Bailey nie jest jednak pewny, czy ta trzecia grupa nie jest grupą drugą, braną przez pomyłkę za trzecią. Pewną jednak rzeczą jest, że u Michajłowicza jest obecnie około 150 Polaków.

Wbrew informacjom jakie mieliśmy poprzednio, bryg. Bailey twierdzi, że Polacy w oddziałach Michajłowicza są traktowani na ogół poprawnie i że jest małym prawdopodobieństwem, by żołnierzy z polskich kompanii porozdzielał między swoje oddziały. Natomiast Michajłowicz stwierdza, że żołnierze polscy będący pod jego dowództwem muszą podlegać operacyjnie jego dowódcom, a nie uważać się za samodzielne oddziały, które mogą otrzymywać rozkazy z zewnątrz Kraju od Polaków czy Brytyjczyków. Z zupełnie też zrozumiałych względów oddziały te nie mogą być uzbrajane i mundurowane przed oddziałami jugosłowiańskimi.

Bryg. Bailey stwierdza też, że Michajłowicz w żadnym wypadku nie sprzeciwi się ewakuacji Polaków, jeżeli ewakuacja ta będzie możliwa do przeprowadzenia.

Bryg. Bailey podaje, że niektóre oddziały Michajłowicza współpracowały z Niemcami i rządem quislingowskim, co stworzyło pretekst do krzywdzącej i niesłusznej propagandy zarzucającej samemu Michajłowiczowi tę współpracę.

Zdaniem bryg. Bailey Michajłowicz nigdy na współpracę z Niemcami nie pójdzie i w odpowiedniej chwili z pewnością na nich uderzy, chociażby z tej prostej przyczyny, by uzupełnić w swoich oddziałach uzbrojenie i ekwipunek.

Bryg. Bailey podaje też szczegóły śmierci kpt. Maciąga, które uzyskał od brytyjskiego radiotelegrafisty i Polaków, którzy się uratowali.

Kpt. Maciąg ze swoimi ludźmi był przy misji brytyjskiej będącej pod komendą kpt. Joy. Na skutek nieporozumienia kpt. Joy z dowódcą jugosłowiańskim postanowił on opuścić oddział i dołączyć do innej misji. W drodze zatrzymano się w pewnej wsi. Ponieważ ludność nie była pewna lojalności przybyszów w stosunku do Michajłowicza, przekazała wiadomość o ich przybyciu Niemcom. Co się dalej stało, wiemy już z poprzednich meldunków.

Bryg. Bailey mówiąc o kpt. Maciągu powiedział, że sam gen. Michajłowicz i wszystkie misje brytyjskie wyrażały się o nim zawsze z wielkim uznaniem, podziwiając jego niespotykaną odwagę i aktywność.

W tym miejscu zabiera głos mjr Truszkowski i mówi, że wystąpi z wnioskiem do swoich władz o nadanie śp. kpt. Maciągowi wysokiego odznaczenia brytyjskiego.

Sprawozdanie bryg. Bailey'a musiało w dużej mierze uspokoić Centralę co do oceny właściwej sytuacji Polaków przy Michajłowiczu. Najważniejsze w tym wszystkim było stwierdzenie, że Michajłowicz nie ma żadnych zastrzeżeń odnośnie ewakuacji Polaków i że główną przeszkodą są trudności w przetransportowaniu ich z terenów Michajłowicza do brzegów Morza Adriatyckiego.

Sposoby przeprowadzenia akcji ewakuacyjnej były dalszym tematem dyskusji na konferencji.

W wyniku konferencji 28 marca Anglicy wysyłają telegram do Kairu, by wyjaśniono Polakom, że mają wejść w kontakt z oficerami łącznikowymi w Jugosławii, a ci zaopatrzą ich w pieniądze i ubranie. Sprawą tą zająć się ma osobiście będący przy Michajłowiczu płk Armstrong.

Po otrzymaniu wyciągu sprawozdania z powyższej konferencji, płk Mercik 8 kwietnia zapytuje Centralę, czy ma wysłać wnioski na V.M. dla kpt. Józefa Maciąga oraz prosi o przyznanie zabitemu odznaki spadochronowej.

W kilka dni później Centrala odpowiada, że sprawy te są w trakcie załatwiania.

5 kwietnia przybywa do Kairu na kilka dni kpt. Mitko, którego płk Mercik kontaktuje z szefami brytyjskich misji wojskowych w Jugosławii i Grecji. Kpt. Mitko ze swej strony podaje płk. Mercikowi, że znalazł trzech oficerów, których po powrocie do Włoch wysłał do Egiptu w celu wysłania ich do Grecji.

Tymczasem w Jugosławii misje angielskie przy Michajłowiczu zaczynają przygotowywać się do ewakuacji. Zgodnie z zapowiedzią razem z nimi mieli wyjechać też Polacy.

26 kwietnia mjr Pickles zawiadamia, że według otrzymanych informacji przy Michajłowiczu jest tylko 40-50 Polaków chcących wyjechać do wojska polskiego.

W kilka dni później Brytyjczycy zawiadamiają Centralę, że wydali polecenie Piątkowskiemu, by po wyjeździe ich misji podejmował pozostałych Polaków na terenie Michajłowicza w miejscowości Rudno.

W ciągu kwietnia przybywa do Kairu z Włoch por. Makowski, który ma być wysłany wraz z ppor. Lukaszem na Krete, z chwilą otrzymania przez ostatniego przeniesienia do dyspozycji płk. Mercika.

Meldując o tym Centrali w dniu 29 kwietnia płk Mercik wyjaśnia, że nie będzie mógł wysłać przez wracającego do Londynu płk Gano żadnej poczty, ponieważ obawia się, że będzie ją musiał oddać do cenzury Anglikom.

Jakkolwiek w styczniu Centrala zapowiadała, że w lutym

powstanie nowa baza we Włoszech, to dopiero 9 maja kpt. Mitko wysłał meldunek o jej zorganizowaniu.

Baza jest w kontakcie przez Howartha z sekcjami angielskimi, jugosłowiańską i albańską, znajdującymi się w Bari.

Anglicy pomagają bazie w sprawach gospodarczych, natomiast uniemożliwiają wykonania jej zadań z powodu stanowiska jakie zajmują odnośnie sytuacji w Jugosławii.

Brytyjczycy pomagają w Jugosławii każdemu, kto chce walczyć z Niemcami, ponieważ jednak tylko Tito walczy z nimi, on musi otrzymywać wszelką pomoc i z nim należy utrzymywać dobre stosunki.

Polacy odnoszą się do Tity nieufnie i mogą być powodem nieporozumień między nim a Brytyjczykami. Dlatego do czasu nawiązania stosunków z Tito Anglicy nie mogą dopuścić Polaków na jego teren. Tito jest gotów pomóc Polakom, ale pod warunkiem, że zwróci się do niego w tej sprawie rząd polski.

Kpt. Mitko mówi, że Howarth namawia go do utrzymania kontaktów z titowcami we Włoszech.

Anglicy poinformowali kpt. Mitkę, że przy misji angielskiej przygotowującej się do wyjazdu jest tylko sześciu Polaków. Kiedy kpt. Mitko postanowił wysłać telegram do Piątkowskiego, by ten przedstawił mu raport o sytuacji, Anglicy odmówili wysłania depechy twierdząc, że misja ich najlepiej wie, jak przeprowadzić sprawy ewakuacji i żadna pomoc z terenu Włoch nie jest im potrzebna.

Na trudności jakie w swoim raporcie przedstawił kpt. Mitko, Centrala zawiadamia go 16 maja, że otrzymała meldunek od płk. Ludwiga, w którym podaje on, że por. Łubieński przeprowadził rozmowę z bryg. MacLeon, szefem misji brytyjskiej przy Tito, który zatrzymał się we Włoszech w drodze do Londynu. MacLeon obiecał pomoc w sprawie przepuszczenia Polaków od Michajłowicza przez teren Tity, oraz oficerom polskim pracującym na jego terenie. Uzależnia to jednak od rozkazu w tej sprawie od swoich przełożonych w Londynie. Centrala ze swej strony będzie interweniować u bryg. Dudley-Clarka.

W nocy z 5 na 6 maja zrzucona zostaje w Grecji ekipa, w skład której wchodzi: Stanisław Hołły, Tomasz Kurasiewicz i Jerzy Waletko.

Łądują w okolicy Karpenizonu, w bardzo trudnych warunkach, tracąc cały bagaż.

Składając w tej sprawie meldunek płk Mercik stawia wniosek o awansowanie wymienionych do stopnia porucznika i nadanie im bojowej odznaki spadochronowej.

Polacy nie byli jedynymi żołnierzami w armii niemieckiej, którymi zainteresowani byli Brytyjczycy. W rzeczywistości interesowały ich wszystkie inne narodowości, słusznie uważając, że przymusowo wcieleni do wojska obywatele krajów podbitych byli elementem niepewnym, na którego lojalności w wypadku użycia ich w akcji nie można polegać. Dlatego SOE we Włoszech organizuje specjalny komitet pod kierownictwem płk. Harcourt, którego zadaniem miała być organizacja dywersji w wojsku niemieckim, tak by w odpowiednim czasie żołnierze różnych narodowości zaczęli masową dezercję, względnie byli użyci do celów jakie im sytuacja narzuci. Plany te miały być realizowane z chwilą uzyskania zgody u Tity.

W związku z tym kpt. Mitko prosi Centralę o przeprowadzenie rozmów z przebywającym w Londynie bryg. MacLeonem i przysłanie wytycznych dla działalności bazy.

14. POLACY GINĄ W SZEREGACH GENERAŁA MICHAJŁOWICZA. RAPORTY PLUT. GŁODKOWSKIEGO I POR. PIĄTKOWSKIEGO PO EWAKUACJI DO WŁOCH.

21 maja Z. Malewski i S. Gładkowski wysyłają wspólny meldunek, w którym donoszą, że według niesprawdzonych informacji, które otrzymali od oficerów i żołnierzy z korpusu Javorskiego wojsk gen. Michajłowicza, podczas walk z titowcami użyci byli Polacy i w czasie od 27 marca do 10 kwietnia 1944 roku siedmiu zginęło, a czterech zostało rozstrzelanych przez cetników z niewyjaśnionych powodów.

W meldunku podane są następujące nazwiska zabitych:

- | | |
|-------------------------|------------------------|
| 1. Kościelski Władysław | 5. Biernacki Kazimierz |
| 2. Kozak Stanisław | 6. Kozliński Stefan |
| 3. Mechlow Bolesław | 7. Kublewski Henryk |
| 4. Żelechowski Tadeusz | |

W kilka dni później płk Perkins przekazuje Centrali meldunek od bryg. Armstronga, w którym ten potwierdza użycie przez Michajłowicza Polaków w walce przeciw partyzantom Tity. W walkach miało zginąć 10 Polaków, a 7 zabito za odmówienie walki. Bryg. Armstrong złożył protest u Michajłowicza i uważa, że to samo powinien zrobić rząd polski. Proponuje on też opublikowanie sprawy, by Tito nie winił Polaków.

Po otrzymaniu tej wiadomości Centrala wysyła szereg depech, między innymi do kpt. Mitki, by przysłał zeznania świadków i dowody przedstawione przez Piątkowskiego.

W tym czasie następuje ewakuacja misji brytyjskiej od Michajłowicza i z nią 30 maja przylatuje do Włoch Piątkowski z 12 Polakami.

W tydzień później przybyli składają zeznania o sytuacji Polaków w oddziałach Michajłowicza. Zeznają: plut. Stefan Głodkowski, ur. 20. 7. 1905 w Pruszkowie pod Warszawą, szeregowi Jerzy Górzyński, ur. 30. 10. 1921 roku, zamieszkały w Warszawie, Małecki Konstanty, ur. 3. 12. 1919 w Płońsku, zamieszkały w Warszawie, Raczkowski Leon, ur. 6. 6. 1926 w Sochaczewie, Matuszewski Jerzy, ur. 22. 1. 1925 w Warszawie i Brzeszczak Seweryn, ur. 23. 3. 1912 w Pruszkowie.

Wszyscy wymienieni, z wyjątkiem Małeckiego, który był łącznikiem por. Piątkowskiego, brali udział w walkach przeciw partyzantom Tity, będąc do tego zmuszeni siłą, przeważnie pod groźbą rozstrzelania. Wszyscy byli w korpusie Javorskiego, rozdzieleni po różnych brygadach.

Plut. Głodkowski podaje ponadto następujący wykaz nazwisk znanych mu Polaków w tym korpusie:

Biernacki Kazimierz	Kurowski Józef
Borowski Bogdan	Łazowski Kazimierz
Dudziński Bolesław	Łojewski Michał
Czerwonka Jerzy	Łoś Władysław
Gniadek Zdzisław	Łuczak Marian
Górzyński Henryk	Mechlow Bolesław
Brzeszczak Seweryn	Matuszewski Jerzy
Galiński Stanisław	Michalak Stefan
Homeniuk Antoni	Michalak Zdzisław
Jakubowski Zygmunt	Nowakowski Piotr
Jankiewicz Franciszek	Raczkowski Leon
Kopa Henryk	Szeszka Paweł
Kozak Stanisław	Wacławek Klemens
Kozłowski Stefan	Sas Józef
Koźliński Stefan	Wacław Klemens
Kulik Czesław	Wyka Henryk
Kuklewski Henryk	Wieczorek Leopold
Kubicki Jerzy	Żelechowski Tadeusz
Kowalczyk Ryszard	Michalak Euzebiusz
Kościelski Władysław	

Małecki w swoich zeznaniach podaje, że w październiku 1943 roku w walkach z partyzantami został ranny Jakubowski Zygmunt, a w kwietniu 1944 roku zginęli: Kazimierz Szczepański i Leopold Wieczorek. Zaginęli: Kościelski Władysław, Kozak Stanisław, Mechlow Bolesław, Zalewski (?) Tadeusz, Biernacki Kazimierz, Koźliński Stefan, Kublewski Henryk. Czterech z wymienionych zostało rozstrzelanych z rozkazu Cvetica, ale Małecki nie pamięta ich nazwisk.

Brzeszczak w swoim zeznaniu dodaje, że zginął też Dudziński Bolesław.

Obszerny raport napisał też por. Piątkowski. Podaje on dane znane nam z wcześniejszych doniesień i zeznań przytoczonych wyżej, które uzupełnia niesprawdzoną informacją, że do partyzantów przeszli: Kozłowski Stefan, Kurowski Józef, Łoś Władysław, Michalak Stanisław, Szeszka Paweł i Homeniuk Antoni. W drugim korpusie jaworskim w I dezerwskiej brygadzie znajdują się: Kulik Czesław, Łazowski Kazimierz, Gniadek Zdzisław, Borowski Bogdan, Kowalczyk Ryszard, Łuczak Marian, Nowakowski Piotr i Wyka Henryk*.

15. SYTUACJA W BAZIE „CAPRI”. DALsze MELDUNKI O POSTĘPOWANIU MICHAJŁOWICZA I TITY W STOSUNKU DO POLAKÓW

Korzystając ze spotkania z płk. Rudnickim, przed jego odlotem do Londynu kpt. Mitko pisze raport o sytuacji w bazie „Capri”.

Mówiąc o współpracy z Anglikami stwierdza, że z ich strony ma bardzo mało pomocy w sprawach związanych z Jugosławią. Są oni wobec niego bardzo uprzejmi, ale równocześnie bardzo wstrzemięźliwi w udzielaniu informacji.

Ponieważ nie miał możliwości spotkania się z bryg. Armstrongiem, dla którego por. Piątkowski ma pełne uznanie za opiekę nad Polakami, uważa, że byłoby korzystne porozumieć się z nim w czasie jego pobytu w Londynie.

Zdaniem kpt. Mitki jest rzeczą zupełnie możliwą, że Anglicy chcąc się po wojnie porozumieć z Michajłowiczem szukać będą kontaktu przy pomocy Polaków.

Zapowiada obszerny raport por. Piątkowskiego, który jednak jest pod takim urokiem Anglików, że często podziela ich opinie i nie zawsze potrafi ocenić rzeczy z punktu widzenia polskiego.

* Różnice w nazwiskach (Kuklewski/Kublewski) i imionach utrzymujemy jak w oryginale.

Jego postępowanie w Jugosławii stworzyło trudności bazie, które teraz kpt. Mitko z trudem stara się naprawić.

Mitko podaje następnie, że mógłby z łatwością zorganizować stację podsłuchową z terenu Bałkanów, która codziennie dostarczałaby aktualnych wiadomości o tym, co się tam dzieje. Decyzję w tej sprawie pozostawia Centrali.

W tym samym dniu, 7 czerwca, Centrala depezuje do kpt. Mitki, że ppłk Hańcza wyznaczony został na dowódcę wszystkich komórek Oddziału Specjalnego we Włoszech i że mają one po jego przybyciu podporządkować mu się pod każdym względem. Wiadomość o tym poleca Centrala przekazać Wieleżyńskiemu¹, który też będzie ppłk. Hańczy podlegał.

Jakkolwiek w swoich oświadczeniach Tito twierdził, że do swoich oddziałów będzie przyjmować tylko ochotników, to w praktyce nie zawsze było to stosowane. Przykładem tego jest wiadomość przekazana przez Brytyjczyków, w której mówią oni, że czterech Polaków, byłych żołnierzy niemieckich, zwróciło się do nich z prośbą o wydostanie ich z oddziałów Tity, do których zostali wcieleni wbrew swoim życzeniom. Zawiadamiając o tym 21 czerwca MSZ, Szef Sztabu prosi o zajęcie się tą sprawą i o interwencję na drodze dyplomatycznej.

W tym samym dniu mjr Pickles informuje o interwencji brytyjskiej u ministra rezydenta w Algerze p. Filipa Broda w sprawie Polaków znajdujących się u gen. Michajłowicza.

W kilka dni później, nawiązując do treści depezy wysłanej przez kpt. Mitkę do Centrali w sprawie wysłania oficerów polskich do Grecji, oraz instrukcji co do ich tam działalności, mjr Pickles prosi Centralę o uprzedzenie kierowników placówek „Capri” i „Juno” (Kair), by wysyłając ludzi na Bałkany zabraniali im mieszać się do spraw wewnętrznych tych krajów i udziału wraz z uwolnionymi Polakami w walkach domowych tam prowadzonych.

Po otrzymaniu raportów od Polaków przybyłych z Jugosławii, oraz od płk. Threlfalla i mjr. Truszkowskiego, J. Śliwiński pisze notatkę dla Szefa Oddziału Specjalnego, w której po porównaniu wszystkich meldunków podaje, że obchodzenie się z Polakami u Michajłowicza jest czasem bardzo dobre, ale często też bardzo złe. I tak w rejonie Homolijskiej Planiny, gdzie znajduje się około 80 Polaków, głównie byłych robotników w organizacji Todta, Siniska i Towanovi, traktuje się Polaków dobrze, natomiast Piletic traktuje ich źle. Jednak według oświadczenia

1. Brak innych danych.

mjr. Greenwooda z misji brytyjskiej, nie było na tym terenie wypadków zabójstwa czy bicia Polaków.

Inaczej przedstawia się sprawa w rejonie Rudno, gdzie cetnicy mjr. Cvetica są bardzo źle ustosunkowani do Polaków za odmowę walki z partyzantami Tity i były z tego powodu różne szkany i wypadki pobicia.

W związku z przewidywanym opuszczeniem przez Niemców Jugosławii, Michajłowicz przygotowuje się do rozprawy z Tito. Odmowa Polaków brania udziału w tych walkach powoduje coraz dalsze pogarszanie się ich sytuacji.

W tych okolicznościach ewentualna misja oficera polskiego przy Michajłowiczu powinna się zdaniem Śliwińskiego ograniczać do opieki nad Polakami rozrzuconymi po Jugosławii. Oficer taki powinien być wysłany z Kraju.

1 lipca kpt. Mitko wysłała do Centrali meldunek sytuacyjny, w którym porusza szereg aktualnych spraw bazy.

Ponieważ został poinformowany przez Bilskiego, że mają mu być przekazane sprawy Grecji, stwierdza, że podejmie się tego pod warunkiem przydzielenia do „Capri” Julka i Dasi².

„Capri” zainstalowało radiostację do łączności z „Mewą”³, która obecnie będzie przekazywać tą drogą otrzymane wiadomości dla bazy z Centrali i od „Juno”⁴.

Według posiadanych przez kpt. Mitkę wiadomości, Tito po otrzymaniu pomocy od Amerykanów i Anglików wraca do sił. Rozpowszechnia on w wojsku niemieckim ulotki, w których namawia Polaków do dezercji i dołączenia do jego oddziałów. Kpt. Mitko prosi o interwencję naszych władz przez Anglików.

W odpowiedzi z dnia 11 lipca Centrala informuje kpt. Mitkę, że Julek i Dasia pozostają w Kairze.

7 lipca kpt. Mitko wysłała do Centrali obszernie sprawozdanie o Polakach na terenie Jugosławii.

W piśmie dołączonym do tego sprawozdania stwierdza, że sytuacja wymaga natychmiastowych decyzji, jeżeli mamy tym Polakom w czymkolwiek i w jakikolwiek sposób pomóc.

W raporcie swoim kpt. Mitko podaje, że w batalionach niemieckich stacjonowanych w Jugosławii jest przeciętnie 160-180 Polaków w wieku od 18 do 35 lat. Wszyscy przed wcieleniem do armii niemieckiej byli wpisani na listę Nr 3 Volksdeutschow. Ogółem jest około 10 tysięcy ludzi zdolnych do noszenia broni.

2. Julian Lepiankiewicz, ppor., i żona jego Danuta.

3. Druga placówka łączności na terenie Włoch.

4. Nowy kryptonim bazy „Muł” w Kairze.

W organizacji Todta rekrutują się młodzi Polacy przeważnie z okolic Warszawy i Lwowa. Prawie wszyscy szukają okazji do ucieczki i dołączenia do polskiego wojska.

Szereg Polaków znajduje się w partyzantce Tity. Ilość ich nie jest jednak znana.

W oddziałach Michajłowicza według posiadanych informacji jest około 300 Polaków.

W Jugosławii znajduje się około 470 uchodźców polskich, którzy opuścili Kraj w 1939 roku.

Następnie kpt. Mitko omawia propagandę niemiecką i warunki Polaków w oddziałach Tity i Michajłowicza, szeroko przedstawiając działalność obydwu przywódców. Wreszcie mówi o pomocy udzielanej Polakom przez Amerykanów i Brytyjczyków. Szeroko też omawia potrzeby i możliwości udzielenia różnego rodzaju pomocy Polakom, stawiając na pierwszym miejscu jak najszybszą i jak najliczniejszą ich ewakuację z tego terenu.

Inne obszernie sprawozdanie z terenu Jugosławii pisze też w tym czasie por. L. Wujek.

16. DZIAŁALNOŚĆ BAZY „CAPRI” PO PRZYBYCIU DO WŁOCH PPŁK. HAŃCZY. SZERSZE ZAINTERESOWANIE SIĘ SPRAWAMI BAŁKAŃSKIMI

Po przybyciu do Włoch ppłk Hańcza, zapoznawszy się z działalnością Piątkowskiego i Gradowskiego na terenie Bałkanów, wysłał z końcem lipca wniosek do Centrali o przeniesienie Piątkowskiego do 2-go Korpusu, ponieważ jego zdaniem praca Piątkowskiego na terenie Jugosławii była znikoma i dlatego do dalszego użycia go na tym terenie nie nadaje się. Bardzo dobrze natomiast ocenia pracę Gradowskiego i ponieważ pracował on tylko na terenie Albanii, która odpada w dalszej działalności, a zna bardzo dobrze Francję i język francuski, ppłk Hańcza proponuje, by po powrocie do Włoch użyć go do pracy na tamtym terenie.

Centrala odpowiada w kilka dni później, zgadzając się z wnioskami ppłk. Hańczy, równocześnie jednak stwierdza, że zdaniem Centrali obaj oficerowie zasłużyli sobie na awans.

Przy końcu lipca Piątkowski kończy pisać swoje sprawozdanie z Jugosławii, które ppłk Utnik wysłał 31 lipca do wiadomości Naczelnego Wodza i MSZ.

Sprawozdanie to jest szczegółowym omówieniem spraw jugo-

słowiańskich w czasie pobytu Piątkowskiego na tym terenie, które z grubsza są nam już znane i dlatego nie będziemy ich w tym miejscu ponownie omawiać.

Sprawami Jugosławii interesował się obecnie również 2-gi Korpus, do którego mieli być wcieleni żołnierze ewakuowani z Bałkanów. Dlatego w dniu 1 sierpnia ppłk Hańcza informuje Centralę, że dla uniknięcia dwutorowości należałoby opracować zasady współpracy i podaje w tej sprawie trzy różne warianty.

Centrala po kilku dniach poleca załatwić sprawę w ten sposób, że pracę będzie nadal prowadził Oddział Specjalny Nacz. Wodza, a Korpus będzie ze swej strony udzielał pomocy.

Następnego dnia kpt. Mitko za pośrednictwem ppłk. Hańczy wysłał do Centrali spis pewnych osób w Jugosławii dla kontaktów naszych kurierów, zaznaczając jednak przy tym, że nie jest pewny, czy adresy te są wciąż jeszcze aktualne. Adresy te są następujące:

1. W m. Krajowa mieszka profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Mole, który ma brata w Lublianie posiadającego duże kontakty w Jugosławii.

2. W Lublianie mieszka profesor historii sztuki na tamtejszym uniwersytecie, Franc Stele, Słoweniec. Jest on kustoszem muzeum sztuki i tam go można zastać. Lat ok. 60, wzrost 157 cm, twarz okrągła. Konsul honorowy R.P. w Lublianie.

3. Svetnik Haszłakiewicz Waldenar, radca dyrekcji kolejowej w Lublianie. Adres: Uh. Koreska 16. Kurier ma się przedstawić, że przychodzi od Kowalika, z którym w czasie ostatniego widzenia się pił on ziołówkę. Kryptonim — Stajej. Niski, krępy, twarz okrągła, nosi brodę. Lat ok. 55.

21 sierpnia MSZ dziękuje Centrali za raport Piątkowskiego i prosi o adresy Polaków w Jugosławii w celu udzielenia im pomocy, co też Centrala przekazuje do bazy „Capri” do załatwienia.

28 sierpnia kpt. Mitko melduje, że przybył do Włoch Piotr Mohort, który w marcu 1944 roku wysłany był przez kierownika placówki na Węgrzech do misji brytyjskiej przy Tito z zadaniem zbadania opinii Tity co do:

1. pomocy przy przejściu łączników polskich z Węgrów do Włoch, a w razie pozytywnego ustosunkowania się, omówienia szczegółów,
2. w razie negatywnego stanowiska — zorganizowania samodzielnych oddziałów polskich przy Tito,
3. ustalenie oficerów łącznikowych AK przy Tito.

Mohort twierdzi, że na Węgrzech nie orientowano się co do

politycznych orientacji Tity. Po przybyciu do Jugosławii został złapany przez partyzantów i przewieziony do Boru, gdzie uciekł z samochodu i zgłosił się do Polaków, którzy pomogli mu w przerzuceniu go do Włoch.

Ponieważ o misji jego mieli wiedzieć Anglicy i Centrala, dlatego kpt. Mitko prosi o wyjaśnienia. Informuje też Centralę, że Mohort nie chce wracać z powrotem na Węgry.

31 sierpnia kpt. Mitko zawiadamia Centralę, że Gradowski jest w Kairze i że po przyjeździe do Włoch zostanie wysłany do Londynu, będąc przewidzianym do działania we Francji.

Informuje następnie, że poprzedniego dnia wylecieli do Kairu Makowski i Skolimowski, skąd mają być przerzuceni na Kretę.

Za kilka dni ma też wylecieć do Kairu Buryń z trzema ludźmi, którzy mają być zrzućeni w Grecji.

Wreszcie kpt. Mitko podaje, że bez wiedzy Anglików stara się przerzucić swoich ludzi do Jugosławii przy pomocy Amerykanów. Powodem tego postępowania jest to, że Anglicy nie zgadzają się na wejście Polaków na teren Jugosławii, ani na budowę szlaku kurierskiego przez Bałkany. To wyjaśnienie podaje kpt. Mitko w innej depeszy z połowy września. Mówi też, że to stanowisko Anglików zmusza go do nieujawniania wobec nich swoich zamiarów. Starał się on przekonać Anglików o możliwościach pracy na terenie Jugosławii i o korzyściach, jakie z tego powodu odnieśliby alianci, ale nie znalazł u nich żadnego poparcia.

Kpt. Mitko twierdzi, że ma zapewnioną w Jugosławii wszelką pomoc w rozpoczęciu tam działalności, ale nie może tego zrobić z powodu trudności w przerzuceniu ludzi.

W kilka dni później Centrala odpowiada w sprawie Gradowskiego.

Zawiadamia kpt. Mitkę, że całkowicie rezygnuje z niego i poleca przekazać go 2-mu Korpusowi. Żądania Gradowskiego przedstawione kierownikowi placówki w Kairze są dla Centrali nie do przyjęcia.

13 października kpt. Mitko depeszuje do Centrali, że ppłk Borycki prosił o przekazanie Szefowi Sztabu Nacz. Wodza, że mjr Cyganowicz, szef jugosłowiańskiej misji królewskiej w Bari, nie chcąc walczyć pod rozkazami Tity, co musiałby zrobić po ostatnim przemówieniu króla, prosi o przyjęcie go wraz z innymi oficerami i szeregowymi do wojska polskiego.

Odpowiedź na tę depeszę wysłała Centrala dopiero 29 listopada po zasięgnięciu opinii MSZ i poleca, by nie przyjmować żadnych Jugosłowian do wojska.

Przewidując, że w krótkim czasie nastąpi załamanie się Niemców na terenie Bałkanów, SOE w Kairze zwraca się w dniu 30 sierpnia do placówki w Bari, by załatwić w GKQ Middle East przygotowanie do natychmiastowej ewakuacji wszystkich Polaków z Jugosławii z chwilą załamania się Niemców. W związku też z tym należałoby, by Polacy mieli przygotowanych oficerów, których przerzuciłoby się do Jugosławii w odpowiedniej chwili dla infiltracji.

W depeszy z 15 września kpt. Mitko prosi o przydzielenie mu ppor. Baranowskiego.

Podaje też, że wszystkie misje angielskie na terenie Grecji zmieniły swoje miejsce postoju, ale nowe adresy nie są mu jeszcze znane.

Centrala odpowiada w kilka dni później. Baranowskiego przydzielić nie może, ponieważ przeznaczony on jest na inną placówkę i ze swej strony proponuje ppor. Lipeckiego.

Centrala prosi o wysyłanie krótkich depesz, ze względu na przeładowanie pracą radiotów Centrali. Zapytuje też odnośnie wcześniej przekazanej wiadomości, jakie kpt. Mitko ma na to dowody, że Anglicy nie zgadzają się na wejście Polaków do Jugosławii i budowanie tam szlaków kurierskich.

25 września kpt. Mitko zawiadamia Centralę, że na propozycję Anglików wyraził zgodę na wysłanie Gradowskiego do m. Bulluno w północnych Włoszech, gdzie byłby przydzielony do misji brytyjskiej z zadaniem wyciągania Polaków z armii i organizacji niemieckich i opieki nad nimi. Sam kpt. Mitko uważa sprawę za bardzo ważną.

Między 26 a 30 września następuje wymiana depesz między przebywającym w Kairze i oczekującym na wyjazd do Grecji Buryńcem, bazą „Capri” i Centralą. Buryńca wyjaśnia, że zrzut jego do Grecji odwlekał się z powodu różnych trudności ze strony Anglików. Prowadząc z nimi rozmowy zwracał uwagę na konieczność szybkiego zorganizowania polskich placówek, które przygotowałyby znajdujących się na terenie Grecji Polaków do natychmiastowej ewakuacji z chwilą inwazji aliantów, lub załamania się Niemców. Anglicy tłumaczyli się między innymi brakiem odpowiednich rozkazów od swoich władz w Londynie.

Dla ułatwienia pracy związanej z ewakuacją Buryńca proponował utworzenie na terenie Grecji 8 placówek; w skład każdej z nich wchodziłoby 5 oficerów, radiota i tłumacz. Sprawa tak wielkiej ilości placówek nie była dla Centrali zrozumiała, dlatego potwierdzając interwencję ze swej strony u Anglików, żąda wyjaśnień odnośnie propozycji Buryńca.

Zadania Buryny nie były łatwe, bo we wszystkich swoich planach i poczynaniach musiał mieć zgodę Anglików. Jako przykład podaje projekt wprowadzenia koniecznych jego zdaniem zmian w instrukcjach dla oficerów, na co Brytyjczycy nie zgodzili się. Natomiast w swojej depeszy z 29 września przekazuje otrzymaną od Perkinsa wiadomość, że Foreign Office poparło sprawę pierwszeństwa w ewakuacji Polaków z Grecji i przekazuje tę sprawę do War Office z zaleceniem pozytywnego jej załatwienia.

13 października Buryn melduje kpt. Mitce, że Anglicy wyraźnie grają na zwłokę w zezwoleniu na wysłanie w teren Polaków. Jako przykład podaje, że kiedy poprzedniego dnia udał się do szefa misji greckiej, to powiedziano mu, że go nie ma, bo ma dzień wolny, a w dniu wysyłania depeszy nie mógł się znów zobaczyć z Robsonem, bo ten zachorował. I tak za każdą wizytą u Anglików następuje jakaś przeszkoda w załatwieniu sprawy.

Innym przykładem jest wysłanie przez Dolbeya depeszy do misji angielskich w Grecji z zapytaniem, czy są tam Polacy, podczas gdy wszyscy oficerowie polscy meldują o swoich kontaktach z Polakami.

W tydzień później Buryn melduje Centrali, że ciągle jeszcze przebywa w Kairze i że otrzymał poza tym polecenie nie opuszczania miasta bez zgody kpt. Mitki.

29 września Centrala poleca kpt. Mitce skontaktowanie się za wszelką cenę z placówką na Węgrzech. Centrala w międzyczasie będzie się starać uzyskać od przybyłego do Londynu z Węgier płk. Howie informacje, dlaczego przerwana została z Węgrami łączność radiowa.

Kpt. Mitko ze swej strony przekazuje w tym samym dniu wiadomość, że jugosłowiańska misja wojskowa we Włoszech została poinformowana przez pełnomocnika Michajłowicza w Rzymie, iż otrzymał on od czynników sprzymierzonych zapewnienie, że Jugosławia pozostanie pod kontrolą angielsko-amerykańską i że wkrótce nastąpi lądowanie wojsk sprzymierzonych w Jugosławii, po których wylądowaniu zmieni się też kurs sprzymierzonych w stosunku do polityki jugosłowiańskiej i jej spraw wewnętrznych.

7 października mjr Pickles przekazuje Centrali wiadomość, jaką otrzymał ze swojej placówki we Włoszech, że w rejonie Turynu znajduje się rzekomo 1.500 Polaków, którzy są uzbrajani przez Niemców. Sprawa ta została już omówiona z kpt. Mitką i uzgodniono, że wyśle on tam oficera, którego zadaniem będzie skontaktowanie się z tymi ludźmi i zorganizowanie ich.

17. KONTAKTY RADIOWE BAZY „CAPRI”
Z GEN. MICHAJŁOWICZEM.
SPRAWY POLAKÓW NA BAŁKANACH WSTRZYMUJĄ
WŁAŚCIWE ZADANIA BAZY.
POWIKŁANIA POLITYCZNE W JUGOSŁAWII

Z depeszy kpt. Mitki do Centrali po raz pierwszy dowiadujemy się o jego bezpośrednich kontaktach radiowych z gen. Michajłowiczem. Nawiązanie tej łączności nie było podane do wiadomości Brytyjczyków, ponieważ kpt. Mitko wiedział, że ich zgody na to nie otrzyma. Łączność ta została nawiązana w porozumieniu z Jugosłowianami, ale jedyną osobą, która z ich strony o tym wiedziała, był dr Krek.

„Capri” wysłała do Michajłowicza 21 depesz, a otrzymała 7. Treścią depesz była sprawa ogólnej sytuacji w Jugosławii, zapytania o znajdujących się tam Polaków i zapytanie, czy Michajłowicz przyjmie polskich kurierów.

Wszystko wskazywało na to, że w chwili wysyłania depeszy kpt. Mitki Anglicy nic nie wiedzieli o korespondencji bazy z Michajłowiczem. Czy rzeczywiście tak było, dowiemy się w kilka tygodni później.

Na początku października płk Threlfall wysłał do swoich władz meldunek z przeprowadzonej rozmowy z bryg. MacLeonem, kierownikiem angielskiej misji wojskowej przy Tito. Na wstępie podaje on następujące powody, dla których Polacy powinni być ewakuowani z Jugosławii:

- a) Tam gdzie są, nikomu się nie przydadzą.
- b) Armia Polska we Włoszech gwałtownie potrzebuje uzupełnień.
- c) Są potencjalnym źródłem politycznych powikłań, jako że nawet drobnostka może rozrósć się w międzynarodową aferę o politycznych konsekwencjach.

Według opinii panującej tak wśród Brytyjczyków, jak i Polaków, Tito osobiście jest nastawiony do Polaków wrogo. Bryg. MacLeon potwierdza, że opinia ta jest częściowo prawdziwa, a niechęć do Polaków została spowodowana tym, że część Polaków będąca w jego oddziałach z powrotem zdezerterowała do Niemców, co znów MacLeon tłumaczy tym, że Polacy ci byli przez partyzantów głodzeni pod naciskiem Sowiec. W zasadzie Tito jednak nie ma być przeciwny ewakuacji Polaków, jeżeli będą oni walczyli na innych frontach przeciwko Niemcom.

- a) Aby pojedynczy Polacy lub małe grupy porozprasane między jednostkami partyzanckimi mogły być ewakuowane czy to drogą powietrzną, czy też morską do Włoch.
- b) Aby rozważyć możliwość ewakuacji polskich jednostek, o których była mowa w jednym z punktów tego sprawozdania.
- c) Aby, ogólnie mówiąc, położyć kres złemu traktowaniu Polaków. Niejednokrotnie słyszeliśmy od jeńców wojennych narodowości polskiej, że pogłoski o złym traktowaniu Polaków u partyzantów są szeroko rozpowszechnione w armii niemieckiej i temu właśnie należy przypisać małą ilość Polaków dezercerujących do partyzantów.

Ppłk Threlfall podkreśla, że jedynym celem ewakuowanych Polaków jest wzmocnienie 2-go Polskiego Korpusu w walce z Niemcami.

Dla przeprowadzenia zadania ewakuacji proponuje wysłanie do misji brytyjskich polskich oficerów łącznikowych, którzy najlepiej będą mogli te sprawy przeprowadzić.

Do zagadnienia tego ponownie wraca mjr Pickles w swoim piśmie do Centrali z 24 października. Informuje on, że nic do tego czasu nie udało się uzyskać u Tity w sprawie ewakuacji Polaków, a próby pomocy ze strony Anglików Tito uważa za wtrącanie się w wewnętrzne sprawy jugosłowiańskie.

Ponieważ nie udało mu się nic uzyskać przez bryg. MacLeona, mjr Pickles sugeruje, by rząd polski zwrócił się w tej sprawie bezpośrednio do królewskiego rządu jugosłowiańskiego, by ten wydał Ticie oficjalne polecenie w tej sprawie.

Otrzymałszy wiadomość o korespondencji radiowej „Capri” z Michajłowiczem, Centrala w depeszy z 10 listopada wyraża zastrzeżenia co do oddania przez kpt. Mitkę radiostacji na użytek Jugosłowian i wyraża opinię, że o tej korespondencji wiedzą Anglicy, Gestapo i Sowiety. Poza tym zdaniem Centrali nie ma żadnej gwarancji, że treść szyfrowanych do Michajłowicza depesz jest zupełnie inna od tej, którą czyta kpt. Mitko.

W związku z politycznymi powikłaniami w Jugosławii Centrala wysłała w dniu 29 sierpnia i następnie 26 października pisma do MSZ z prośbą o naświetlenie sytuacji i o wskazówki odnośnie współpracy z poszczególnymi ugrupowaniami. MSZ odpowiada na te pisma dopiero 15 listopada. MSZ wyjaśnia, że wobec niepewnej sytuacji w jakiej znajduje się Jugosławia wszelki kontakt z jej działaczami politycznymi tak w kraju jak i za granicą może być nawiązany tylko indywidualnie, w pełnej dyskrekcji i wyłącznie ustnie.

Ministerstwo uważa, że polski oficer łącznikowy na terenie Jugosławii może działać jedynie będąc oficjalnie przydzielonym do wojskowej misji angielskiej, względnie amerykańskiej. Koncepcyjna działalność takiego oficera jest zdaniem ministerstwa w praktyce niewykonalna.

Ze względu na pertraktacje jakie prowadzi premier rządu jugosłowiańskiego z Tito, wysyłanie polskiego łącznika wojskowego do Michajłowicza nie jest wskazane.

Następnie Centrala podaje kilka danych o Jugosłowianach przebywających na terenie Włoch, z którymi łączność ma baza „Capri”.

Dr Miha Krek, Słoweniec, katolik, były wicepremier, były szef stronnictwa ludowego w Słowenii, dziennikarz, był z ramienia Jugosławii członkiem Komisji Śródziemnomorskiej alianckiej we Włoszech. Na skutek krytycznego stosunku do nowego rządu Subacica został z Komisji usunięty i na jego miejsce mianowany został dr Smodlak.

Dr Ziwko Topalovic, były szef partii socjalistycznej w Serbii, mający dobre stosunki w Labour Party w Anglii, prezydent jugosłowiańskiego Narodowego Komitetu Wyzwolenia, przybył do Włoch w 1944 roku jako wysłannik Michajłowicza.

MSZ nie posiada natomiast żadnych bliższych informacji o płk. V. Kotic, który był szefem jugosłowiańskiej bazy wojskowej w Bari, oraz o ks. Godi.

15 listopada Centrala odpowiada na niezachowane w aktach pismo kpt. Mitki z 12 października.

Po zapoznaniu się ze sprawami poruszonymi w tym liście Szef Oddziału Specjalnego płk Utnik stwierdza, że jakkolwiek rozumie i dobrze ocenia pracę kpt. Mitki, to niestety musi mu zwrócić uwagę na to, że szereg jego posunięć wychodzi poza dozwolone ramy działalności Oddziału Specjalnego i że zajmowanie się nimi wymaga uzgodnienia z innymi urzędami, oraz aprobaty Centrali, która musi w każdej materii posiadać dokładne dane. Niestety o szeregu pociągnięć bazy Centrala nie była należycie i w porę informowana i dlatego w przyszłości kpt. Mitko musi pamiętać, że obowiązkiem jego jest informowanie Centrali z góry o wszelkich swoich zamierzeniach.

Proponowany przyjazd kogoś z Centrali do Włoch, względnie kpt. Mitki do Centrali jest niewykonalny, szczególnie przyjazd jego, bo wymagałoby to opuszczenia placówki na kilka być może tygodni. Dlatego sprawy muszą być załatwiane listownie.

Centrala ocenia też należycie wysiłki kpt. Mitki w sprawie ewakuacji Polaków i wie, z jakiego źródła wychodzą wszelkie

trudności. Natomiast sprawa pomocy Polakom na Bałkanach nie należy wyłącznie do Oddziału Specjalnego i załatwiana jest w porozumieniu z innymi czynnikami.

Poruszając następnie sprawę placówki w Grecji, płk Utnik wyjaśnia, że zadaniem jej będzie budowa szlaków do Polski przez tereny okupowane przez Sowiety i jedynymi placówkami, które będzie można utrzymać na Bałkanach będą placówki w Atenach i Stambule.

Płk Utnik wyjaśnia, że nie jest tak, jak rzekomo miał Tito komuś powiedzieć, że chętnie pomoże Polakom. Sprawy te są skomplikowane i wymagają czasu na ich załatwienie. Centrala w tej sprawie podkreśla wyłącznie zasługę kpt. Mitki w określeniu przez Anglików stosunku Tity do Polaków i za próbę interwencji brytyjskiej u marszałka.

Sprawa łączności kpt. Mitki z gen. Michajłowiczem jest wyłączną jego odpowiedzialnością, ponieważ instrukcja dla kierowników baz mówi, że nie wolno nawiązywać łączności radiowej z nikim bez uprzedniego uzgodnienia tego z Centralą i uzyskania jej aprobaty. Jakikolwiek poślizgnięcie się w tej korespondencji może spowodować wsypanie się tak u Sowietów, jak i u Anglików.

Centrala poleca kpt. Mitce przysłać najbliższą specjalną pocztą treść wszystkich wysłanych i otrzymanych depech od Michajłowicza. Płk Utnik nie ma jeszcze sam wyrobionego zdania w tej sprawie, ale przewiduje zakaz korespondencji radiowej oraz zerwanie przez kpt. Mitkę wszelkich kontaktów z Jugosłowianami we Włoszech.

Płk Utnik przestrzega też kpt. Mitkę przed kontaktami ze Słoweńcami, których chrześcijańsko ludowa partia wypowiedziała się za Niemcami.

W swojej pracy powinien kpt. Mitko opierać się więcej na Amerykanach, którzy na Bałkanach prowadzą politykę inną niż Anglicy, idącą bardziej po naszej myśli.

W dalszej części swego pisma płk Utnik porusza sprawę awansów, odznaczeń bojowych, wysyłki gazet, zmianę Szefa Oddziału Specjalnego, zwolnienie płk. Mercika itp. Zaznacza też, że cała akcja prowadzona przez płk. Mercika na Jugosławię nie przyniosła żadnego efektu w zorganizowaniu łączności lądowej z Krajem i sugeruje kpt. Mitce, aby szukał innych sposobów rozwiązania tego zagadnienia.

Dotychczasowa działalność Oddziału Specjalnego na terenie Jugosławii, Grecji, Albanii i północnych Włoch, jak już wspomniano powyżej, nie zawsze zgadzała się z wytycznymi i zada-

niami placówek łączności. Przeciwnie, ludzie z Oddziału Specjalnego wplątywali się w problemy nie tylko do nich nie należące, ale często o charakterze politycznym, co zupełnie mijało się z zadaniami, do których oddział ten został powołany. Dlatego też w dniu 7 grudnia ppłk Utnik pisze do Szefa Sztabu Nacz. Wodza i po przedstawieniu mu swoich uwag proponuje powołanie przez Ministerstwo Obrony Narodowej specjalnego wydziału, który zająłby się sprawami Polaków na terenach Bałkanów, Węgier i Rumunii.

18. OSTATNIE TYGODNIE DZIAŁALNOŚCI BAZY

W dniu 7 grudnia wychodzą z Centrali dwa pisma do kierownika bazy „Capri”.

W pierwszym Centrala podaje, że w celu szybszego kierowania sprawami Grecji podporządkowuje sobie Grecję, z tym, że kpt. Mitko ma zorganizować tam placówkę w oparciu o poselstwo.

Zadaniem placówki będzie lądowa łączność z Węgrami i Rumunią, a przez nie szlak na Kraj.

Zdaniem Centrali najlepszym miejscem na m.p. placówki będą Saloniki, o ile zainstalowane będzie tam poselstwo, które dałoby pokrywkę dla radiostacji.

Na kierownika placówki Centrala przewiduje por. Wujka, na którego miejsce do „Capri” przyszedłby por. Lepiankiewicz z Kairu.

Radiooperator i radiotelegrafista plut. Stawicki Franciszek dojdą z bazy „Juno”.

W drugim piśmie Centrala informuje kpt. Mitkę o wniosku przekazania spraw Polaków na Bałkanach 2-mu Korpusowi, tak by „Capri” mogło się zająć wyłącznie zadaniami należącymi do bazy.

Centrala zaleca dużą ostrożność w rozmowach jakie kpt. Mitko prowadzi z Jugosłowianami na terenie włoskim i ponownie podkreśla, że robi on to na swoją odpowiedzialność.

Następnie Centrala mówi o niezadowolonej do tej pory pozycji Tity w rządzie królewskim oraz o wpływach sowieckich i niemieckich na poszczególne grupy polityczne w Jugosławii.

Ponieważ „Capri” podlegała Grecja wraz z jej wyspami, w dniach 29 i 30 listopada baza „Muł” przekazuje wiadomości

jakie uzyskała od przybyłych do Kairu Polaków dezertersów z armii niemieckiej.

W pierwszej grupie ewakuowanych przez Anglików do Egiptu przybyło 3 z wyspy Lemnos, którzy zdezerterowali na cztery dni przed zajęciem wyspy, oraz 5 z Kos.

Według ich informacji w 6-7 kompaniach z których uciekli, było około 80 Polaków. Na wyspie Piscori Polaków nie było.

O Polakach został uprzedzony kpt. Sojka, który ma wysłać tam swego oficera.

W drugiej depeszy jest mowa o 17 Polakach ewakuowanych z Krety.

Jeden z przybyłych, który zbiegł 9 listopada w rejonie Khanie, widział się z por. Lukaszem. Ocenia on, że w rejonie Khanie znajduje się około 12 tysięcy Niemców i Włochów, a w liczbie tej około 500 Polaków.

Siedmiu z przybyłych po ucieczce dostało się pod opiekę życzliwego dla Polaków amerykańskiego mjr. Billa.

Obawy Centrali, że o współpracy kpt. Mitki z Jugosłowianami wiedzą Anglicy okazały się słuszne, bo 10 grudnia depeszuje on do Centrali, że sprawa wyszła na jaw i że po pytaniach jakie mu Anglicy zadawali sądzi, że wyspał jeden z Jugosłowian.

Ponieważ łączność z Jugosłowianami kpt. Mitko nawiązał bez porozumienia się z Centralą, mówi, że całą sprawę bierze na swoją odpowiedzialność. Porozumiał się z ppłk. Hańczą i ustalono, że ten nic o tej łączności nie wiedział i dlatego wyciągnie konsekwencje w stosunku do kpt. Mitki.

Depesza ta, jakkolwiek nie będąca wielkim zaskoczeniem dla Centrali, wywołała zrozumiałą konsternację. Wykrycie przez Anglików działania Polaków na własną rękę bez ich wiadomości nie należało do przyjemnych spraw i należało ją jak najszybciej załatwić nie nadając jej większego rozgłosu. Natychmiast przygotowany też zostaje referat dla Szefa Sztabu Nacz. Wodza, w którym podane są szczegóły przebiegu sprawy według depesz kpt. Mitki, a następnie informacje od Anglików, którzy po rozmowie swego oficera z kpt. Mitko w dniu 11 grudnia stwierdzili, że:

- 1) Od Michajłowicza do Bari nadeszły 104 depesze, a do Michajłowicza wysłano 84 depesze w okresie od 17. 9. 1944 do 4. 12. 1944.
- 2) Niektóre z depesz wysłane przez radiostację Oddziału Specjalnego zawierały informacje dotyczące zamiarów strategicznych aliantów.

3) Używany w korespondencji szyfr był bardzo słaby i mógł być łatwo „rozłupany” przez Niemców.

W depeszy z dnia 16 grudnia ppłk Hańcza donosi Centrali, że przeprowadził rozmowę z Anglikami w sprawie kpt. Mitki i że obiecali oni dopilnować jej rozwiązania. Mają oni nadzieję załagodzenia całej historii i zbagatelizowania jej.

W depeszy wysłanej w trzy dni później ppłk Hańcza melduje, że po przeprowadzeniu rozmów z Threlfallem ten powiedział mu, że jego zdaniem cała sprawa zostanie przekazana do załatwienia władzom polskim, które same wyciągną odpowiednie konsekwencje w stosunku do kpt. Mitki.

Po pierwszej, bardzo ostrej reakcji Anglików, kiedy rozważali oni oddanie kpt. Mitki pod angielski sąd wojenny, sprawa zaczęła przycichać. Przez następnych szereg tygodni nie zaszły żadne zmiany. Dowodem tego jest ostatnia zachowana w aktach depesza od ppłk. Hańczy, który melduje Centrali w dniu 11 stycznia 1945 roku, że o łączności kpt. Mitki z Michajłowiczem powiadomił gen. Andersa szef akcji łączności przy dowództwie frontu śródziemnomorskiego, gen. Beamont-Nesbite i gen. Anders przyrzekł mu przekazanie sprawy gen. Kopańskiemu, Szefowi Sztabu Naczelnego Wodza.

Podając tę wiadomość ppłk Hańcza zapytuje, czy sprawę kpt. Mitki załatwi sam Szef Sztabu Nacz. Wodza, czy też przekazana zostanie ona do jego kompetencji.

Na tym się kończy działalność bazy „Capri” na podstawie archiwum bazy znajdującego się w Studium Polski Podziemnej w Londynie.

Sprawą dochodzeń w sprawie kpt. Mitki zajmować się nie będziemy, ponieważ nie leży to już w zakresie naszych zainteresowań.

Kpt. Mitko zmarł przed kilkunastu laty w Londynie.

Dr Leonidas A. B. KLISZEWICZ

Nottingham, 1982

DOKUMENTY

GŁOSY ZZA MURU

Część II*

Polska, wrzesień 1982 r.

FRAGMENT PIEŚNI ŚPIEWANEJ W WIELU OBOZACH

*Wyrwij murom zęby krat,
Zerwij kajdany, połam bat.
A mury runą, runą, runą
I pogrzebią stary świat.*



Redakcja SKRÓTU (pisma dla internowanych) oddaje Czytelnikowi drugi zeszyt „Głosów zza muru”. Zawiera on dokumenty i grypsy z ośrodków odosobnienia, uzupełnione jedynie niezbędną informacją, przede wszystkim z okresu trzeciego kwartału wojny; ale także wcześniejsze, które nie zdążyły dotrzeć do nas przed 13 czerwca 1982 roku, kiedy to zakończyliśmy redagowanie pierwszego zeszytu.

Od tego czasu na obozowej mapie Polski nastąpiły zasadnicze zmiany. Większość obozów uległa likwidacji, wypuszczono bowiem większość internowanych; coraz liczniejsze cele więzienne potrzebne są dla aresztowanych i skazanych.

I tak, w chwili obecnej (pierwsze dni września 1982) mamy

* Pierwsza część Głosów zza muru ukazała się w Zeszytach Historycznych nr 62.

w Polsce najprawdopodobniej 10 ośrodków odosobnienia dla internowanych, w których przebywa przypuszczalnie poniżej tysiąca osób. Z dwudziestu kilku istniejących jeszcze w czerwcu obozów pozostały: Białotęka, Dartówek, Grodków, Kwidzyn, Łupków, Strzebielinek, Uherce, Wierzchowo, Ząteże oraz zapewne Arłamów, w którym przebywają według stale powtarzających się wieści internowani oficerowie WP. Jedenastym byłby jednoosobowy ośrodek w Łańsku (olsztyńskie), gdzie od niedawna przebywa Lech Wałęsa.

Ale znów — jak przed trzema miesiącami — musimy się zastrzec: informacje, które dziś uznajemy za prawdziwe — już jutro mogą okazać się zupełnie nieaktualne; w obozach trwa bowiem szła przeprowadzek. I bynajmniej nie są to tylko przeprowadzki uzasadnione zmniejszeniem liczby internowanych. Niektóre ośrodki likwiduje się całkowicie jedynie po to, by już po kilku tygodniach otworzyć je ponownie, zwożąc tam dawnych bądź nowych lokatorów. Trójkąt południowo-wschodni (Ząteże k. Rzeszowa, Nowy Łupków, Uherce) stanowić może przykład wręcz humorystyczny, a płaczące się nieustannie po bieszczadzkich szosach sukki z internowanymi stały się już trwałym elementem tamtejszego krajobrazu... Jeśli w tym szaleństwie jest metoda, to służy ona maksymalnemu przemieszaniu internowanych i maksymalnemu oddaleniu ich od miejsc zamieszkania, a tym samym — pełniejszej izolacji. M.in. rozwiązano już wszystkie obozy znajdujące się w obrębie większych miast.

Ta izolacja z kolei ma służyć społecznemu zapomnieniu.

Redakcja SKRÓTU niniejszym zeszytem pragnie dołączyć swój głos do głosów tych wszystkich, którzy wołają nie tylko o codzienną pamięć, ale więcej: o codzienny kontakt, codzienną wymianę poglądów grup społecznych ze swoimi internowanymi działaczami. Nadal bowiem jesteśmy z tymi działaczami w jednym szeregu, wspólnie walcząc o wolną Polskę.



GŁODÓWKI

Głodówka to jedna z najczęściej stosowanych w obozach dla internowanych form walki lub protestu — zbiorowego bądź indywidualnego. Niejednokrotnie — stosowanych skutecznie. Znane są przypadki wywalczenia przy pomocy głodówki pewnego rozluźnienia rygorów obozowych, cofnięcia takich czy innych restrykcji stosowanych wobec całej społeczności danego obozu czy

też wobec poszczególnych internowanych, przewiezienia chorych do szpitala, a nawet uchylecia decyzji o internowaniu.

Głodówka jest jednak nie tylko argumentem stosowanym w obronie własnej. Jest także orężem w walce internowanych o cele społeczne. Nie trzeba chyba dodawać, jak wielkiego samozaparcia wymaga taka forma walki.

W zakończeniu pierwszego zeszytu „Głosów zza muru” przytoczyliśmy fragment grypsu z Łowicza z propozycją do wszystkich ośrodków odosobnienia, by w wypadku strajku powszechnego internowani przyłączyli się doń, podejmując strajk głodowy.

W niniejszym zeszycie przedstawiamy dokumenty dotyczące kilku głodówek, jakie miały miejsce w różnych obozach.

GŁODÓWKA SOLIDARNOŚCIOWA W ŁOWICZU

Łowicz, 25 maja 82 r.

Dnia 17 maja 82 r. rozpoczęliśmy w zakładzie karnym w Łowiczu głodówkę na znak wspólnoty z głodującymi w Białoleęce kolegami. Cele ich protestu uznaliśmy za własne. Zawarte są one w słowach oświadczenia białoleęckiego: „Głodówka ta jest protestem przeciwko stanowi wojennemu, demonstracją za ugodą społeczną zaproponowaną przez Episkopat na 183 Konferencji Plenarnej w dniu 27 lutego 1982 r.”.

Dziś, po 9 dniach, wobec zakończenia głodówki w Białoleęce, kończymy również nasz solidarnościowy protest. Nie wszyscy dotrwaliśmy do końca, lecz nie to jest ważne. Cierpienia nie mierzy się dniami. Każdy z nas wziął udział w proteście na miarę swoich możliwości. Nasza ofiara z głodu, bólu, a niekiedy zdrowia niech będzie apelem do władz o zejście z drogi przemocy na drogę poważnych rozmów ze społeczeństwem. Niech będzie apelem do społeczeństwa o rozumną i spokojną postawę przy kontynuowaniu walki o nasze podstawowe, niezbywalne prawa.

W czasie trwania naszej głodówki otrzymaliśmy liczne dowody solidarności zarówno ze strony współinternowanych kolegów, którzy z różnych względów nie mogli się do nas przyłączyć, jak i od osób z zewnątrz. Sądzymy, że cel, do którego dążymy służy wartościom powszechnym. Podporządkowane mu są wysiłki milionów obywateli. Im więcej serc i sumień poruszyliśmy, tym bardziej przyczyniliśmy się do jego osiągnięcia!

Marek Czekalski, Witold Sułkowski, Konrad W. Tatarowski, Józef Milecki, Mirosław Michalik, Mieczysław Mazurek, Paweł Spodenkiewicz, Paweł

Lipski, Marek Chwalewski, Aleksander Aniołczyk, Bogdan Stasiak, Włodzimir Bogucki, Zbigniew Mroziński, Paweł Wielechowski, Marek Goldman, Stanisław Knaś, Grzegorz Abramowski, Tadeusz Zakrzewski, Andrzej Tomaszewicz, Jan Lech, Antoni Chyliński, Adam Malinowski, Edward Małecki, Aleksander Staniak, Krzysztof Sokołowski, Grzegorz Nowak, Tomasz Dąbrowski, Alfred Michalak, Jerzy Markiewicz, Stefan Marian Erchard, Leszek Rusin, Stanisław Szczepaniak, Mirosław Czarnecki, Roman Jagodziński, Ryszard Iwański, Jan Sawicki, Jerzy Smoliński, Tadeusz Taworski, Ryszard Miezianka, Piotr Jabłoński, Jerzy Buczek, Stanisław Kowalski, Cezary Marczak, Janusz Tomaszewski, Aleksander Bielichowski. (Dwóch naszych kolegów nie mogło podpisać powyższego dokumentu: Zdzisław Szczepaniak, gdyż został przewieziony do szpitala i Piotr Radowski — z ważnych względów rodzinnych w momencie zakończenia głódówki był na przepustce).

LISTY Z NYSY

Oświadczenie.

Stan wojenny wprowadzony 13.12.81 nie rozwiązał problemów politycznych, społecznych i gospodarczych, występujących od lat w naszym państwie. Przeciwnie, przez pięć miesięcy jego trwania narosło wiele poważnych konfliktów, a społeczeństwo polskie coraz liczniejszymi wystąpieniami daje wyraz swemu niezadowoleniu. Od początku stanu wojennego Kościół stara się pełnić funkcję mediatora między władzą a społeczeństwem. 5 kwietnia przedstawił Tezy Prymasowskiej Rady Społecznej w sprawie ugody społecznej. Tezy te zyskały powszechną aprobatę, w tym również internowanych w Ośrodku Odosobnienia w Nysie. Brak pozytywnych reakcji ze strony rządu na propozycje Kościoła oraz zaostrożenie się konfliktów może doprowadzić do katastrofy narodowej. W tej sytuacji wzywamy do natychmiastowego rozpoczęcia rozmów z niezależnymi reprezentantami zorganizowanych grup społecznych, w tym zwłaszcza z NSZZ „Solidarność” z L. Wałęsą na czele. Uznając podjęcie takich rozmów za sprawę nadrzędną dla dobra narodu i jednocześnie popierając stanowisko zawarte w Tezach Prymasowskich, ja, Przemysław Koelner, rozpoczynam z dniem 24.05.82 dwutygodniową głódówkę, oczekując podjęcia negocjacji.

Przemysław Koelner

DO WSZYSTKICH

Ośrodek dla Internowanych, Nysa, 22 V 82

Kochani! Minęło pięć miesięcy od mojego uwięzienia. Nie jest to może wiele, jednak siedzenie w sytuacji, gdy nie postawili

żadnych konkretnych zarzutów oraz gdy nie wiesz czy wyjdiesz za dzień czy za kilka lat jest sprawą niełatwą. Urąga to elementarnym zasadom prawa oraz stanowi jawny gwałt w stosunku do ludzi objętych internowaniem. Nie siedzę zresztą jako osoba prywatna, lecz jako przedstawiciel licznej grupy ludzi, którzy byli za demokratyzacją życia w kraju oraz za usunięciem bezsensów społecznych, politycznych i gospodarczych pleniących się w Polsce od 37 lat.

Fakt mojego uwięzienia, trzeba to jasno powiedzieć, jest policzkiem wymierzonym przede wszystkim społeczności Politechniki Wrocławskiej (zresztą jest dużo więcej tych policzków, np. zwolnienie JM Rektora). Niech każdy rozważy we własnym sumieniu, jak długo można sobie dać pluć w twarz. Ja nie lubię tego. W tej sytuacji uznałem za konieczne przystąpić z grupą kolegów do dwutygodniowej głodówki bezwzględnej. Jest to sprawa poważna i mogąca mieć różne konsekwencje. Decyzja moja jest nieodwołalna. Głodówkę prowadzę w intencji wszystkich sił, które dążą do zawarcia realnego porozumienia i zniesienia panoszącego się zła i bezprawia. Niech nasza ofiara (gdyż jest to autentyczna i rzeczywista ofiara) będzie przykładem i wsparciem dla tych wszystkich, co ciągle sądzą, iż przewiozą bezpiecznie swój tyłek przez wiry historii, a garstka bezrozumnych idiotów wyciągnie z ognia kasztany, które zjedzą ochraniacze tyłków. Gra idzie o wysoką stawkę: albo uciążliwe wyciąganie Polski z tego bagna, co wymaga męstwa i ofiary, albo cofamy się wiele lat wstecz gospodarczo i politycznie i wtedy zbliżamy się chyba do Kambodży. Nikt wtedy nie uchroni swej dupy przed kopniakami.

Całuję gorąco — Wojtek

ODEZWA Z ZAŁĘŻA

W dniu 13 czerwca mija pół roku od wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. Wyrażając kategorię protest przeciwko zawieszeniu działalności postępowych organizacji społecznych, utworzonych po Sierpniu 1980 roku, aresztowaniu ich przywódców i działaczy, grupa działaczy w obozie odosobnienia w Załężu podejmuje w dniu 13 czerwca 10-dniowy strajk głodowy — strajk ten będzie kontynuacją głodówki przywódców NSZZ „Solidarność” internowanych w obozie w Białoleścu, domagających się podjęcia przez rządzących rozmów z Komisją Krajową naszego Związku, na bazie też ogłoszonych przez Społeczną Radę Pryma-

sowską. Internowani z Załęża przekazują proklamację głódówki do wszystkich obozów odosobnienia w Polsce. Apelujemy o nadanie strajkowi głodowemu charakteru ogólnopolskiego. Dni 13 do 22 czerwca 1982 roku winny stać się dniami prawdziwej solidarności społeczeństwa polskiego, manifestowanej w zbiorowych modlitwach zanoszonych w tym czasie w intencji wolnej i sprawiedliwej Ojczyzny. Niech na zawsze zniknie z umęczonej polskiej ziemi przemoc, terror i społeczna niesprawiedliwość.

Grupa internowanych w obozie odosobnienia w Załężu

KIELCE - PIASKI

DOKUMENTY OBOZOWE

przygotowane przez redakcję Tygodnika Internowanych *GRYPS*
wydawanego w więzieniu

POSŁANIE

Głódówka nasza jest protestem przeciw utrzymaniu w kraju stanu wojennego, więzieniu, internowaniu działaczy społecznych oraz unikaniu przez władzę konstruktywnego dialogu z Kościołem i NSZZ „Solidarność” na bazie też Rady Społecznej przy Prymasie Polski. Chcemy, by dekada 13-22 czerwca zespoliła wszystkich internowanych we wspólnym dobrowolnym akcie protestu. Wspólnota i dobrowolność stanowią też podstawowy sens akcji. Całej akcji towarzyszyć będzie atmosfera powagi i skupienia.

Jak Stoczniovcy w Sierpniu 80 roku, my w pół roku po ogłoszeniu stanu wojennego, wojny z Narodem, mamy dać świadectwo żywotności idei Sierpnia i jedności z przyjaciółmi walczącymi za murami. Niech nic nie zakłóca spokoju głodujących, a wspólna modlitwa — umacnia.

Dobrowolność naszego wystąpienia wymaga bezwzględnego szacunku dla decyzji każdego uczestnika. Przystąpienie czy odstąpienie od głódówki stanowi indywidualną sprawę każdego z nas i nikt nie ma prawa ingerować w powody podjęcia decyzji. Głódówka jest tą formą, w której mierzymy się z własną słabością. Nikt z zewnątrz nie potrafi i nie powinien jej oceniać. Sami przed sobą stawiamy to zadanie! Jedynie nasze sumienie może nas z tego rozliczyć. Dlatego też pomagajmy sobie w ciężkich chwilach, kierując najserdeczniejsze uczucia i modlitwy ku tym,

którym najciężej. Stajemy przed próbą naszej jedności i determinacji, w walce nie damy się!

Internowani w obozie odosobnienia Kielce-Piaski

EKSCELENCJO, KSIĘŻE BISKUPIE

Za kilka dni mija półrocze od chwili wprowadzenia w Polsce stanu wojennego, który przyniósł całemu Narodowi wiele trosk i cierpień. Nie tracimy jednak nadziei na przywrócenie w Ojczyźnie warunków normalnego życia i swobód obywatelskich. Ksiądz Prymas i Księża Biskupi w wielu godnych i stanowczych wypowiedziach wskazują drogę ratowania Ojczyzny. Miliony Polaków modlą się codziennie do Maryji, Królowej Polski o ocalenie Ojczyzny w chwili dramatycznej próby.

Nasze możliwości są bardzo ograniczone. Pragniemy jednak złożyć ofiarę w intencji Ojczyzny w chwili, gdy — jak powiedział Ksiądz Prymas w Piekarach — pozostała nam już tylko modlitwa. Postanowiliśmy przeprowadzić w dniach od 13 do 22 czerwca głódówkę, by zmanifestować nasze stanowisko i w ten sposób wzmocnić brzmienie apelu o zniesienie stanu wojennego, uwolnienie więzionych i internowanych oraz rozpoczęcie przez władze konstruktywnego dialogu z Kościołem i NSZZ „Solidarność”, reprezentowanym przez statutowe władze — Komisję Krajową.

Nasza akcja jest całkowicie dobrowolna i każdy indywidualnie podejmuje w tej sprawie decyzję. Pragniemy, aby akcja odbywająca się w atmosferze skupienia i modlitwy dała świadectwo żywotności idei SIERPNIĄ i jedności z Przyjaciółmi walczącymi za murami.

Prosimy Waszą Ekscelencję o modlitwę w naszej intencji.

Internowani w Obozie Odosobnienia Kielce-Piaski

Kielce-Piaski, 10. VI. 1982 r.

OD REDAKCJI:

Przekazujemy Wam, Koleżanki i Koledzy, którzy pozostajecie poza więzieniami i obozami, te dokumenty o proteście głodowym. Pragniemy, abyście byli przekonani i mieli wiarę, że pomimo już półrocznego uwięzienia, wyrwania nas z naszych środowisk,

oderwania od rodzin trwamy niezłomie przy ideach, które przynieśli całemu Narodowi bohaterscy robotnicy Stoczni Gdańskiej i cały SIERPIEŃ '80. Do tej naszej dramatycznej walki nie wykorzystujemy metod naszych przeciwników, nie używamy zatem przemocy, siły drzemiącej w szafach czołgów, a jedynie nasze bezgraniczne oddanie i siłę jedności. Swoim protestem nie zagrażamy przeciwnikowi. Protest nasz nie powoduje wśród nich fizycznego zniszczenia, a jest wyrazem naszej niezłomnej woli.

Pragniemy, abyście we właściwy sposób odebrali nasz protest. Oczekujemy od Was jedynie i wyłącznie duchowego wsparcia, wyrażającego się w modlitwie. Zorganizowanej lub indywidualnej. Jest rzeczą oczywistą, że największym sukcesem tego ogólnopolskiego protestu byłoby podjęcie przez rządzących rozmów z Episkopatem i z demokratycznie wybranymi władzami NSZZ „Solidarność”, nasz powrót do domów, do rodzin, do fabryk, instytutów i uczelni. Zdajemy sobie jednak sprawę, jak wiele jeszcze będziemy musieli wszyscy — my tutaj internowani i Wy tam na zewnątrz — podjąć działań mądrych, racjonalnych, aby wywalczyć prawdziwie demokratyczną, sprawiedliwą POLSKĘ.

Redakcja „GRYPŚ”

WYJĄTKI Z TYGODNIKA GRYPŚ
(redaguje zespół — adres redakcji:
obóz internowanych — Kielce-Piaski)

Gryps nr 18, 20. VI. 1982:

GŁODÓWKA NA PIASKACH

13 czerwca w niedzielę w obozie Kielce-Piaski rozpoczęło 10-ciodniową głodówkę 41 internowanych. Rozpoczęła się dla nich wielka, może dla niektórych dramatyczna próba z głodem, zdrowiem, własną wolą. W czasie tych 10 dni jedynym ich pożywieniem będzie woda i sól, a dla wielu innych, którzy narzucili sobie ścisły post — chleb i woda.

W sobotę 12-go robiono ostatnie przygotowania. Porządek „pod całą” (wyniesienie wszelkiego pożywienia), pisanie zawiadomienia o głodówce do komendanta, wreszcie moment wyniesienia na więzienny korytarz „zastawy stołowej” — a więc aluminiowej michy, takiegoż talerza i garnka.

Czy wytrzymają? Ci pijący wodę z solą, i ci spożywający chleb z wodą. Co będzie silniejsze? Potworny, potęgujący się głód, czy świadomość, że musimy trwać i przy okazji półrocza wojny wykazać iż jesteśmy przy naszej niezależnej „Solidarności”. Czy w tych dniach ciężkiej próby zwycięży wygoda byle jakiego przetrwania w państwie obłudy, niesprawiedliwości, wyzysku ludzkiej pracy — czy też przez tę jakże trudną formę walki ukaże się nasza nieugięta, nieujarzmiona wola wyrugowania z udręczonej polskiej ziemi pogardy dla człowieka, totalitarnej przemocy, dyktatu ciemnoty. My — bezprawnie więzieni — internowani, chcemy ukazać przez tę ogólnopolską głodówkę, że trwamy przy Stoczni Gdańskiej, Lechu Wałęsie, przy Sierpniu '80.

Minęły 4 dni głodówki. W całym obozie panuje atmosfera powagi i skupienia. W porze obiadowej głodujący spotykają się w oddzielnej sali, przy dużym stole ping-pongowym, na ten czas przykrytym prześcieradłem. Na stole krzyż, świeczka „Solidarności”, kwiaty i nasz obiad... słoik wody z solą. Jest też czas na modlitwę, serdeczną rozmowę i to również ważne — przebywanie z sobą. Podczas kolacji takie spotkania są ponawiane w więziennej kaplicy (na korytarzu). Po kolacji dołączają do głodujących inni — na wspólną wieczorną modlitwę. Powstaje wśród nas, dzięki modlitwie, kontemplacji i cierpieniu, szczególny stan duchowy, pozwalający wygrać tę walkę z głodem.

„Z KAŻDEGO CIERPIENIA JEST ZMARTWYCHWSTANIE”

**Tytuł ten, zaczerpnięty z listu, który do nas dotarł z za krat,
będzie mottem do wypowiedzi uczestników głodówki**

1. ...podjąłem głodówkę w pełnym przekonaniu, że cierpienie które sobie zadaję pomoże bezkruwawo urzeczywistnić nasz apel. Do swojego zakładu wysłałem apel i swoją deklarację uczestnictwa w głodówce, prosząc jednocześnie, by tam nie podejmowano żadnych akcji, które mogłyby wywołać represję. Prosiłem jedynie o zespolenie w modlitwie i o jedność duchową... Ja sprawdzam się tutaj — oni tam, niech to będą dla nas rekolacje przygotowujące nas do przyszłych działań. Uważam tę akcję za szlachetną, która dobitnie podkreśla półroczne trwanie stanu wojennego, który przyniósł tylko masę udręki i cierpień. Swoje obecne cierpienie chcę dorzucić na tę upiorną szalę, może ono przeważy i ruszy sumienie rządzących.

2. ...chęć zadośćuczynienia ludziom, tym ludziom, do których dane mi było wielokrotnie przemawiać. To były słowa. Oczywiście słowa prawdy, pełne patriotyzmu — niemniej słowa. Ci ludzie ponoszą obecnie większe represje ode mnie, otrzymują wyroki, dostają pałkami, więc muszę im wszystkim zadośćuczynić. Poza tym głódówka ta jest ekspiacją, bo nieraz nie sprawdziłem się do końca, choćby przez to, że podpisywałem petycję... i cóż? Teraz przysłała pora zadośćuczynienia.

3. ...okres od 13 grudnia jest okresem, w którym szczególnie należy dawać świadectwo prawdzie, żaden z nas nie powinien kluczyć, wybierać półśrodków, a w okolicznościach, w których się znajduje powinien zdecydowanie okazywać swoją postawę, zgodną z sumieniem... dawać świadectwo sobie... ten protest to przede wszystkim wyrzeczenie. Teraz jest czas walki; wszelkie postawy konformistyczne są nie do przyjęcia. Tym protestem chcę również zmanifestować obcość wobec wszystkich postaw „przetrwalińkowych”.

Gryps nr 19 — 27. VI. 82:

MODLITWA WIECZORNA GŁODUJĄCYCH

(wygłoszona w dniu 22.06.1982 r., na zakończenie głódówki
w Piaskach)

Wielki Boże, przynosimy Ci dzisiaj w ofierze do ołtarza ustawionego w korytarzu więziennym w Kielcach-Piaskach nasz 10-dniowy, pełen wyrzeczeń trud, w którym poddaliśmy próbie zwykłe ludzkie słabości. Oddaliśmy w czasie protestu głodowego część tego, co jest najcenniejsze dla człowieka, własnego zdrowia, po to, aby wykazać przed Tobą, przed braćmi, zamieszkującymi nasz kraj, jak drogie są nam ideały zrodzone przez Sierpień, przez „Solidarność”. Boże! Ty wiesz, ile w ciągu najnowszej historii ucierpiał nasz Naród. Ty wiesz, ile nieprawości, pogardy dla Człowieka, niesprawiedliwości zagnieżdżyło się na naszej ziemi. Dziękując Tobie, Ojczyźnie, wszystkim wspomagającym nas z zewnątrz w czasie głódówki i naszym kolegom, że potrafiliśmy wytrwać, wnosimy do Ciebie modły, abys dał nam wszystkim — internowanym, aresztowanym, ukrywającym się, wszystkim Polakom — moc, która doprowadzi do triumfu dobra nad złem, poszanowania człowieka nad jego pogardą, która doprowadzi udręczony kraj do wolności.

Słowami pieśni, która często była w dramatycznych dla Polaków chwilach natchnieniem, wielkim wołaniem do Ciebie, błagamy Cię dzisiaj, wielki Boże... „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!”.

GŁODÓWKA ZAKOŃCZONA

Dziesięciodniowy protest głodowy zakończył się we wtorek 22 czerwca. Szczególny charakter miało tego dnia wieczorne spotkanie na modlitwie. Przy krzyżu i namalowanej tu, na Piaskach, kopii obrazu Madonny Częstochowskiej stanął sztandar „Solidarności”. Stajemy przed Panem, aby podziękować za te dziesięć dni, które minęły. Kończymy pieśnią „Boże coś Polskę”. Właśnie te słowa oddają sens i intencję naszego działania. Później spotkanie w sali, gdzie uczestnicy głodówki spotykali się każdego dnia. Tym razem zebrali się razem i ci, którzy głodowali, i ci, którzy z różnych względów tego nie uczynili. Ta sprawa nie stworzyła pomiędzy nami podziałów. Znowu chwile uroczyste: „Rota”, „Jeszcze Polska”, ale także zwykła rozmowa i kubek mleka — pierwszy posiłek. Tematem niewątpliwie marginesowym, ale przecież interesującym była kondycja głodujących — z uwagą więc słuchano słów lekarza. Trzy osoby musiały wcześniej przerwać głodówkę ze względu na stan zdrowia, nie było jednak żadnego przypadku ostrego schorzenia. Wszyscy głodujący stracili po kilka kilogramów, typowe było wyraźne obniżenie ciśnienia, po kilku dniach głodówki zwolnienie akcji serca. Głodówkę ukończyło 36 osób.



PISMA, DOKUMENTY, LISTY OTWARTE STRZEBIELINEK DO MOP

(Uwaga autorów: „Czytelnika niniejszego tekstu prosi się usilnie o podjęcie próby przekazania go do Adresatów”).

Rada Centralna
Międzynarodowej Organizacji Pracy
Geneva

Dokument niniejszy jest próbą przedstawienia tragicznej sytuacji, w jakiej znalazł się niezależny ruch związkowy w Polsce

po wprowadzeniu stanu wojennego w dniu 13 grudnia 1981 roku. Został on przygotowany przez 25 członków Komisji Krajowej i Zarządów Regionalnych Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, internowanych w ośrodku odosobnienia w Strzebielinku — specjalnie na 67 Sesję Międzynarodowej Organizacji Pracy, w przekonaniu, że delegacje państw — członków MOP, a przede wszystkim wchodzący w skład tych delegacji przedstawiciele central związkowych z innych krajów uczynią wszystko, co leży w ich mocy, aby pomóc polskim związkowcom w walce o odzyskanie należnych im praw, aby uniemożliwić zniszczenie niezależnego ruchu związkowego w Polsce.

Autorzy niniejszego dokumentu potwierdzają własnym podpisem autentyczność wszystkich przedstawionych w nim faktów. Z powodu izolowania w obozie internowanych nie są w stanie opracować i przedstawić pełnej ich dokumentacji. Stwierdzają jednak, że na żądanie Międzynarodowej Organizacji Pracy NSZZ „Solidarność” jest w stanie dokumentację taką przygotować.

Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność”:

1. Jan Bartczak — przew. Zarz. Reg. Lublin
2. Stefan Korejwo — czł. Zarz. Reg. Słupsk
3. Mieczysław Kukuła — czł. Prez. Zarz. Reg. Toruń
4. Jacek Merkel — czł. Prez. Kom. Krajowej
5. Antoni Stawikowski — przew. Zarz. Reg. Toruń.

Region Bydgoski:

1. Andrzej Cierzniakowski — czł. Prez. Zarz. Reg.
2. Ryszard Helak — wiceprzew. Zarz. Reg.
3. Andrzej Musielak — czł. Zarz. Reg.
4. Jan Forejczuk — wiceprzew. Zarz. Reg.

Region Gdański:

1. Jacek Cegielski — czł. Zarz. Reg.
2. Jarosław Deska — czł. Zarz. Reg.
3. Lech Kaczyński — czł. Zarz. Reg.
4. Konrad Maruszyk — wiceprzew. Zarz. Reg.

Region Słupski:

1. Romuald Kulig — czł. Zarz. Reg.
2. Jerzy Sadka — czł. Prez. Zarz. Reg.
3. Krzysztof Szeglowski — wiceprzew. Zarz. Reg.

Region Toruński:

1. Jerzy Grzeszkiewicz — czł. Prez. Zarz. Reg.
2. Zbigniew Iwanów — wiceprzew. Zarz. Reg.
3. Wiesław Jankowski — wiceprzew. Zarz. Reg.
4. Jan Krezymon — czł. Zarz. Reg.
5. Andrzej Madrak — czł. Prez. Zarz. Reg.
6. Ryszard Musielak — czł. Zarz. Reg.
7. Jerzy Przybylski — wiceprzew. Zarz. Reg.
8. Antoni Szymkowski — czł. Zarz. Reg.
9. Stanisław Wajsberger — czł. Zarz. Reg.

Strzebielinek, dnia 9 czerwca 1982 r.

Jego Świątobliwość
Ojciec Święty Jan Paweł II
W a t y k a n

(f r a g m e n t)

... Wiedząc, że ukochany Ojciec Święty wybiera się na 67 Sesję MOP do Genewy, nie mogliśmy nie przesłać na Jego ręce egzemplarza niniejszego opracowania, załączając do niego nasze gorące wyrazy miłości, najwyższego szacunku i podziękę za słowa, które milionom ludzi pracy w Polsce pomagają trwać z podniesioną głową i z ufnością spoglądać w przyszłość.

Strzebielinek, 9. VI. 1982 r.

(Podpisy — jak wyżej)

WŁADZE POLSKIE DĄŻĄ DO LIKWIDACJI NIEZALEŻNEGO RUCHU ZWIĄZKOWEGO

I. Wprowadzenie stanu wojennego — wątpliwości prawne

W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku wprowadzono w Polsce dekretem Rady Państwa PRL stan wojenny. Wprowadzenia tego stanu dokonano w sposób wątpliwy z punktu widzenia legalności, bowiem Rada Państwa, posiadając konstytucyjne prawo do wprowadzenia stanu wojennego, nie mogła dokonać jego jednoczesnej regulacji prawnej w trybie dekretu ze względu na trwającą w tym czasie sesję Sejmu. Powyższe stwierdzenie opiera się na art. 31 p. 1 Konstytucji PRL, który brzmi: „W okresach między sesjami Sejmu Rada Państwa wydaje dekrety z mocą ustawy. Rada Państwa przedstawia dekrety Sejmowi na najbliższej sesji do zatwierdzenia”.

Należy ponadto podkreślić, że sam fakt konstytucyjnego przyznania Radzie Państwa prawa do ogłoszenia stanu wojennego nie może być uznawany za jednoznaczny z prawem do wydania dekretu w tej sprawie. Prawo Rady Państwa do wydawania dekretów

ma bowiem charakter nadzwyczajny i subsydialny, nie wolno go w żadnym wypadku domniemywać.

Wątpliwości związane z legalnością wprowadzenia stanu wojennego w Polsce powiększa także fakt, iż zgodnie z ogłoszonymi publicznie informacjami w dniach 15-16 grudnia 1982 roku miał się zebrać na sesji plenarnej Sejm PRL, który mógł w tym terminie uregulować prawnie zaistniały stan rzeczy. Sejm się jednak nie zebrał i stanu wojennego nie uregulował. Odpowiednią ustawę w tej sprawie Sejm uchwalił na sesji plenarnej dopiero w ostatnich dniach stycznia 1982 roku.

Należy jeszcze zwrócić uwagę na przekonanie wyrażane przez znaczną część ludzi pracy w Polsce, iż stan wojenny został wprowadzony na drodze przewrotu wojskowego. Uzasadnieniem powyższego jest ukonstytuowanie się i skupienie władzy przez pozakonstytucyjny organ, tzw. Wojskową Radę Ocalenia Narodowego (WRON), co nastąpiło właśnie w nocy z 12 na 13 grudnia.

II. Przeciw komu?

Nawet pobieżna analiza wydarzeń, które rozegrały się w Polsce w nocy z 12 na 13 grudnia i w następnych tygodniach, wskazuje, że celem podstawowym, dla którego wprowadzono stan wojenny, było uderzenie w niezależny od pracodawców i władz państwowych ruch związkowy.

Pierwszy atak siły policji i bezpieczeństwa przypuściły na lokale NSZZ „Solidarność” oraz organizacji studenckiej zbliżonej charakterem do związku zawodowego — Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Masowe aresztowania objęły przede wszystkim działaczy „Solidarności”, a także NZS oraz cieszących się w Polsce dużą autonomią związków twórczych — Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i Związku Literatów Polskich. Akcję sił policyjnych cechowała wyjątkowa brutalność. Demolowano lokale związkowe, niszczone sprzęt i maszyny, częste były przypadki bicia zatrzymywanych działaczy. Spośród tysięcy osób internowanych tej pamiętnej nocy zdecydowaną większość stanowili aktywni członkowie NSZZ „Solidarność”.

Za pretekst do tego o niespotykanej skali zamachu na wolności związkowe posłużyło oświadczenie WRON-y o rzekomym zamiarze przejęcia władzy politycznej w Polsce przez niezależny ruch związkowy.

Też, że wprowadzenie stanu wojennego było wymierzone w niezależny ruch związkowy potwierdziły następne miesiące. Otóż

z wielkiej liczby organizacji społecznych i kilku partii politycznych działających w Polsce — poza związkami zawodowymi i innymi, zbliżonymi do nich charakterem — większości w zasadzie nie zawieszono, bądź zawieszenie ich trwało stosunkowo krótko. Zaznaczyć ponadto trzeba, że Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich i Niezależne Zrzeszenie Studentów zostały już rozwiązane.

Ponadto ponownie należy przypomnieć, że w dn. 15-16 grudnia 1981 roku miał się zebrać na swej plenarnej sesji Sejm PRL. Jednym z punktów obrad miała być dyskusja nad projektem nowej ustawy o związkach zawodowych i ew. jej uchwalenie. Projekt wyżej wymienionej ustawy posiadał charakter kompromisowy. Został on wynegocjowany w toku wielomiesięcznych rokowań między rządem a niezależnym ruchem związkowym. Przyznawał związkom zawodowym znaczne uprawnienia, które gwarantowałyby możliwości skutecznej obrony interesów materialnych i socjalnych świata pracy — w tym prawo do strajku. Wprowadzenie stanu wojennego i odwołanie plenarnej sesji Sejmu uniemożliwiło dokonanie przez tenże prawnej regulacji statusu związków zawodowych w drodze ustawy. Wydaje się, że powyższe fakty w sposób dość przejrzysty tłumaczą termin wprowadzenia stanu wojennego.

III. Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”

Stwierdzając, że wprowadzenie stanu wojennego zostało przede wszystkim wymierzone w niezależny ruch związkowy, przez określenie to rozumie się głównie najpotężniejszą, zrzeszającą 3/4 ogółu zatrudnionych w gospodarce państwowej pracowników (*circa* 9-10 mln ludzi) organizację świata pracy w Polsce, a mianowicie NSZZ „Solidarność”.

Paragraf I statutu NSZZ „Solidarność” uchwalonego na Pierwszym Krajowym Zjeździe Delegatów w Gdańsku brzmi: „Tworzy się organizację zawodową pod nazwą Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”, zwany dalej Związkiem. Związek, stosownie do zasad wyrażonych w Konstytucji PRL, w ratyfikowanych przez Polską Rzeczpospolitą Ludową konwencjach nr 87 i nr 98 Międzynarodowej Organizacji Pracy oraz w części pierwszej pkt. 1-7 porozumienia zawartego przez Międzyzakładowy Komitet Strajkowy z Komisją Rządową w Gdańsku, rozwijać będzie działalność w zakresie interesów pracowników, realizacji ich potrzeb materialnych, społecznych i kulturalnych”. Na-

tomiast par. 4 wyżej wymienionego Statutu mówi jednoznacznie, że „Związek jest niezależny od organów administracji państwowej i organizacji politycznych”.

Wyeksponowanie tych dwóch §§ Statutu „Solidarności” służyć ma zaznaczeniu wyjątkowości tego wielomilionowego związku, wyrażającej się w dążeniu do zachowania niezależności w skomplikowanych uwarunkowaniach gospodarczych i politycznych. System społeczno-gospodarczy w Polsce zasadza się bowiem na upaństwowieniu środków produkcji. Niezwykle trudno jest zatem dokonać w nim precyzyjnego rozróżnienia między pracodawcą, władzą administracyjną i polityczną. Wystąpienia niezależnego związku zawodowego w obronie interesów materialnych i społecznych ludzi pracy, skierowane przeciwko błędnym posunięciom gospodarczym, są odbierane przez rządzących jako zamach na uprawnienia władzy, natomiast wszelkie ingerencje władz politycznych i administracyjnych w sprawy związku zawodowego są uważane przez ogół związkowców za bezprawne ingerencje pracodawców. Faktem bezspornym jest jednak to, że powstanie silnego niezależnego ruchu zawodowego w takich warunkach ustrojowych w sposób istotny limituje władzę w jej działaniach o charakterze ekonomicznym i socjalnym. Dlatego też władzy, która jest identyfikowana z pracodawcą, tak trudno jest pogodzić się z istnieniem i aktywną działalnością niezależnego ruchu związkowego.

W świetle Statutu NSZZ „Solidarność” należy jeszcze raz podkreślić (w tej kwestii nie może być żadnej wątpliwości), że związek ten jest pierwszą w powojennej Polsce organizacją związkową, utworzoną zgodnie z zasadami wyrażonymi w ratyfikowanych przez PRL Konwencjach nr 87 i 98 Międzynarodowej Organizacji Pracy, a w szczególności zgodnie z art. 2 Konwencji nr 87 i art. 2 Konwencji nr 98.

IV. Zawieszenie czy likwidacja?

Mimo że formalnie doszło w Polsce jedynie do zawieszenia, a nie do delegalizacji związków zawodowych, faktycznie rozpoczęto proces delegalizacji niezależnego ruchu zawodowego. Wydaje się, że władze nie wypracowały jak dotąd ostatecznej koncepcji, podjęte działania wskazują jednak na możliwe rozwiązanie w dwu kierunkach. Pierwszym rozwiązaniem, wydaje się, że bardziej prawdopodobnym ze względu na skalę podjętych dzia-

łań, byłaby delegalizacja NSZZ „Solidarność”. Rozwiązanie drugie zasadzać by się miało na takim przekształceniu tej organizacji, które uczyniłoby ją dyspozycyjną wobec władzy-pracodawcy, pozabawiłoby ją największego jej atrybutu, jakim jest niezależność.

O tym, że władza zmierza do fizycznej likwidacji „Solidarności” świadczyć już mogą wypadki, jakie miały miejsce w grudniu. Doszło wówczas do zniszczenia znacznej części majątku związkowego. Oddziały MO i SB wkraczające do lokali związkowych zastosowały taktykę spalonej ziemi. Niszczono pomieszczenia, maszyny poligraficzne, maszyny do pisania, telexy i inny sprzęt techniczny. Zachowanie sił policyjnych wskazywało, że podjęto już ostateczne decyzje co do dalszego losu „Solidarności”. Zwrócić przy tym trzeba uwagę, że zniszczony wtedy sprzęt był własnością Związku. Zakupiony został za pieniądze pochodzące ze składek członkowskich lub był darem central związków innych krajów.

O zamiarze delegalizacji Związku świadczą ponadto działania władz podejmowane już w okresie trwania stanu wojennego. Do najważniejszych należą: przekazywanie na inne cele lokali związkowych i ocalałego sprzętu technicznego, zwalnianie z pracy etatowych działaczy i pracowników Związku szczebla ponadzakładowego, (administracja państwowa przejęła funkcję pracodawcy, jakim jest w tym wypadku zawieszony Związek), a także zmuszanie członków Związku do występowania z niego pod groźbą wyrzucenia z pracy. Ten ostatni proceder przybrał masowe rozmiary w pewnych grupach zawodowych (pracownicy administracji państwowej).

Drugi możliwy kierunek rozwiązań, polegający na tzw. przebudowie czy też odbudowie związków w „nowym” kształcie, został przez władze zasugerowany poprzez zainicjowanie dyskusji na temat przyszłości ruchu związkowego w Polsce. Podstawę do tej dyskusji stanowiły Tezy Komitetu Rady Ministrów d/s związków zawodowych, opublikowane w lutym 82. Sam fakt podjęcia tego rodzaju przedsięwzięcia w realiach stanu wojennego, kiedy to działalność związkowa uznawana jest za nielegalną, a tysiące członków „Solidarności” jest internowanych i więzionych, jak i sama zawartość merytoryczna tych tez w sposób jednoznaczny obnażyły jego prawdziwy cel. W dokumencie tym stwierdzono bowiem, że związki zawodowe będą mogły się odrodzić jedynie w zmienionej strukturze organizacyjnej, bez pewnych grup społeczno-zawodowych, z innymi ludźmi we władzach, a także ze znacznie ograniczonymi możliwościami współpracy z niekomunistycznymi centralami związkowymi krajów Zachodu. Wydaje się,

że władze, zmierzając do podjęcia określonych decyzji, sprawdzających w istocie niezależność związkową do fikcji, chcą tym swoim ewentualnym decyzjom nadać pozory aprobaty polskiego świata pracy. Należy wyraźnie zaznaczyć, że sformułowanie przez władze takich warunków reaktywowania działalności związkowej jest jawnym pogwałceniem ratyfikowanych przez PRL Konwencji MOP, a w szczególności art. 3 Konwencji nr 87 i art. 2 Konwencji nr 98. Z satysfakcją wypada także stwierdzić (znajduje to wyraz również w oficjalnych wystąpieniach niektórych przedstawicieli władz), że polscy związkowcy w ogromnej większości zbojkotowali tę mistyfikację „wolnej, nieskrępowanej” dyskusji na temat przyszłości ruchu związkowego.

V. Prześladowania

Odrębną, a zarazem najbardziej tragiczną kwestią związaną z wprowadzeniem stanu wojennego są prześladowania, jakim codziennie podlegają tysiące polskich związkowców. Są one tylko zaprzeczeniem zasady wolności związkowej, ale także drastycznym gwałceniem zasad wyrażonych w Pakcie Praw Człowieka i Obywatela, pakcie, który podobnie jak Konwencje MOP został przez PRL ratyfikowany. Podkreślić trzeba, że prześladowania te mają w poważnym stopniu charakter pozaprawny, a zdarzają się wypadki, iż przybierają one postać bestialstwa.

Prawie codziennie odbywają się w Polsce procesy członków NSZZ „Solidarność”, którzy po wprowadzeniu stanu wojennego podjęli działalność w obronie swobód związkowych. W procesach tych zapadają wieloletnie wyroki więzienia.

Od 13 grudnia w obozach dla internowanych przebywają tysiące związkowców i liczba ich nie tylko nie maleje, ale wzrasta. Stało się już bowiem regułą, że jeżeli obwiniony związkowiec zostanie uniewinniony od stawianych mu zarzutów decyzją sądu lub tzw. kolegium do spraw wykroczeń, to na mocy decyzji policyjnej osadza się go na czas nieokreślony w obozie dla internowanych. Możliwość zwolnienia z takiego obozu władze policyjne warunkują wyrażeniem zgody na współpracę z policją polityczną (SB) bądź podpisaniem aktu lojalności niezgodnego z sumieniem i przekonaniami internowanego.

Częste są przypadki stosowania terroru psychicznego wobec internowanych działaczy związkowych, przejawiające się w szykanowaniu ich rodzin licznymi rewizjami i przesłuchaniami.

Na część internowanych związkowców wywiera się różnego rodzaju naciski, aby zmusić ich do wyjazdu za granicę.

Szczególnie trudna jest sytuacja przetrzymywanych w takich obozach kobiet. Są wśród nich matki, które oderwano od małych dzieci.

Trudne są warunki życia także i tych członków związku, którzy nie zostali skazani ani internowani. Jako represje wobec nich stosuje się masowe zwolnienia z pracy. Za noszenie znaczka „Solidarności” karze się wysokimi grzywnami bądź internuje w obozie.

Z drugiej jednak strony podkreślić trzeba fakt narastania w masach związkowych woli oporu. Dynamicznie rozwijają się podziemne struktury „Solidarności”. Coraz powszechniejsza staje się świadomość, że tylko opór może uchronić Związek przed delegalizacją.

VI. W sprawie polskiej delegacji

Zgodnie z postanowieniami Statutu MOP w skład delegacji każdego państwa uczestniczącego w obradach Rady Generalnej MOP powinno wchodzić: dwóch przedstawicieli władz, jeden związku pracodawców i jeden związku pracowników. Delegacja PRL, która udała się do Genewy, nie spełniła tego statutowego wymogu. Jest to tylko delegacja władzy, a zarazem głównego pracodawcy. Nie może być ona uznana za oficjalną reprezentację Polski w MOP!

(Podpisy — jak wyżej)

ZAŁĘŻE — DO PRYMASA POLSKI

Jego Eminencja
Ks. Arcybiskup Józef Glemp
Prymas Polski

Sytuacja społeczno-polityczna i gospodarcza panująca w naszym kraju jest przedmiotem głębokiego zainteresowania między innymi i ze strony internowanych w Ośrodku Odosobnienia w Załężu k/Rzeszowa. Junta gen. Jaruzelskiego po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego pogwałciła podstawowe prawa ludzkie i obywatelskie, a następnie wytworzyła sytuację prowadzącą

do biologicznej zagłady Narodu. Naród polski, poprzez zawieszenie działalności NSZZ „Solidarność” oraz internowanie jego przywódców i działaczy, pozbawiony został swojej reprezentacji mogącej wziąć go w obronę. Jediną siłą, która występuje w obronie zagrożonych praw Narodu Polskiego jest Kościół katolicki. Episkopat Polski od 13 grudnia 1981 roku występuje w charakterze mediatora, nawołuje do zniesienia stanu wojennego, zwolnienia wszystkich internowanych, aresztowanych i skazanych po w/w dacie w Polsce, reaktywowania działalności „Solidarności” oraz do spokoju ze strony ujarzmionego Narodu. Po spełnieniu proponowanych przez Kościół warunków powinno dojść do zawarcia ugody społecznej między władzą a Narodem, w imieniu którego wystąpią autentyczni jego reprezentanci.

Tymczasem reżym komunistyczny w Polsce odrzucił te propozycje: począł nasilać represje wobec umęczonemu społeczeństwu polskiemu, wykazującemu wiele cierpliwości i wyrzeczeń.

Nie chcąc znieść dalszych upokorzeń, Naród zmuszony został do zaprotestowania przeciwko popełnianiu na nim gwałtu. Protest ten mógłby wyrazić za pośrednictwem radia, telewizji czy prasy, ale do środków tych nie ma dostępu. Wobec tego został mu jedyny środek, tj. demonstracja uliczna i do tego Naród uciekł się wychodząc w dniach 1 i 3 maja 1982 roku na ulice wielu miast Polski i wysuwając wobec władz komunistycznych swoje żądania. Demonstracje te ze strony ich uczestników miały spokojny przebieg. Dopiero ataki ZOMO i grup prowokatorów doprowadziły do starć ulicznych, pociągających za sobą liczne ofiary. Naród, podejmując akcje demonstracyjne, występował w obronie słusznych i niezaprzeczalnych swoich praw do wolności i stanowienia o własnym losie. Obrona ta nie powinna być przez nikogo kwestionowana. W wydarzeniach tych najliczniej wzięła udział młodzież i ona ze strony tzw. sił porządkowych poniosła największe straty i ofiary.

W sprawie tych wydarzeń zabrał głos Episkopat Polski, i z bólem wysłuchaliśmy słów krytyki pod adresem młodzieży polskiej, że kamień użyty przez nią nie może być argumentem w rozsądzaniu sporów społecznych i że młodzież ta nie powinna być przedmiotem manipulacji. Krytyka ta była jednostronna, z pominięciem pałki milicyjnej, gazu i armatki wodnej jako argumentów władzy w rozsądzaniu sporów. Należy zaznaczyć, że najpierw zostały użyte pałki, gaz i armatki wodne, a dopiero później młodzież użyła kamieni, nie jako argumentu, lecz jako środka w obronie własnej. Młodzież polska biorąca udział w demonstracjach ulicznych w dniu 3 maja 1982 roku kierowała się uczuciem

patriotycznym. Młodzież nie powinna być pozbawiona prawa do obrony największych dóbr Narodu, jakimi są wolność i jego godność bez uciekania się do środków przemocy, powodujących śmierć lub okaleczenie człowieka.

Kierując się nadrzędnym dobrem Narodu, my, niżej podpisani internowani na oddziale III, pozwoliliśmy sobie na zgłoszenie powyższych uwag, zapewniając jednocześnie Jego Eminencję o głębokim dla Niego szacunku.

Załęże, 5. 06. 82 r.

61 podpisów

ZAŁĘŻE DO SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO

Apel internowanych w Ośrodku Odosobnienia w Załężu
k. Rzeszowa

W roku bieżącym obchodzimy 600-lecie obecności obrazu Matki Boskiej na Jasnej Górze. Matka Boska jako Królowa Polski prowadziła nasz Naród przez okresy jego triumfów i klęsk. Ojczyzna nasza znalazła się w wielkiej potrzebie; próba znalezienia wyjścia, podjęta solidarnie przez Naród, została brutalnie zahamowana, ale nie zaniechana. Naród dysponuje jeszcze mocami, które pozwolą, że „nie ukleknjemy przed mocarzy władzą”. Te moce to głęboka miłość do Ojczyzny i głęboka wiara. W roku jubileuszowym Jasnogórskiej Pani te moce wzrosną i cel osiągniemy, bo „my krwi nie wołamy, zdobyczy nie chcemy”, tylko „odzyskać Ojczyznę pragniemy, tylko być wolni”. Ufni w pomoc Najświętszej Marii Panny, my, internowani w więzieniu w Załężu k/Rzeszowa, zwracamy się do Was o wytrwanie w prawdzie, zachowanie hartu ducha, solidarności w postawach życia zbiorowego i o modlitwę w intencji naszej Ojczyzny.

ZAŁĘŻE DO DZIECI

Fragment listu internowanych do dzieci, napisany na Mszę Św.
1 czerwca 1982 r. w Kościele NMP w Bieńczycach

Nie chcemy, abyście wzrastali w kraju, gdzie panuje terror, a prawa człowieka zostały zlikwidowane. Chcemy, aby Wasza młodość była młodością szczęśliwą, dostatnią i spokojną. Chcemy, aby Wasi ojcowie i matki mogli spokojnie pracować dla

Waszego dobra, aby w Waszych domach nie gościła bieda i niedostatek, aby mundur nie budził przerażenia (...). Macie prawo do młodości przeżytej w pokoju, otoczonej miłością i pełnej nadziei. Popełnia zbrodnię, kto prawo to łamie.

IŁAWA DO PRYMASA POLSKI

Iława, dnia 13 czerwca 1982 r.

Jego Eminencja Ksiądz Prymas Polski
arcybiskup Józef Glemp

Czcigodny Księżu Prymasie —

— ośmielamy się prosić Waszą Eminencję o krótkie posłuchanie, bowiem wydarzenia, o których pragniemy pisać, zmąciły nastrój skupienia i chrześcijańskiej wspólnoty, towarzyszący uroczystościom Bożego Ciała. Podniosły dzień Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa, wspólne w nim uczestnictwo z osobą księdza Wojtkowskiego, celebrującego obozową Mszę świętą — otrzymał gorzki i nieoczekiwany przez nas finał. Po zakończonej Mszy św. i odejściu księży — nie zważając na trwającą w mieście procesję — grupy strażników rozpoczęły niszczenie przygotowanych naszymi rękami znaków kultu religijnego, rozpiętych na okiennych kratkach. Szczególnie boleśnie dotknęło nas zerwanie poświęconego krzyża (wykonanego w więzieniu) i wyrzucenie go przez okno. Nasza stanowcza postawa sprawiła, że po jakimś czasie krzyż został podniesiony z ziemi i zwrócony nam. W jednej z cel — po zakończonej „akcji” — znaleziony został wizerunek serca Jezusa ze śladami uderzeń (najprawdopodobniej kluczem od cel), w innej pomięto konterfekt Świętej Rodziny. Zrywane były flagi błękitne i biało-żółte oraz biało-czerwone z upiętymi na nich kwiatami i symbolami naszej wiary. Podczas tych wypadków poturbowano jednego z naszych kolegów, gdańszczanina Zbigniewa Trafalskiego. Wszelkie nasz prośby o uszanowanie powagi święta nie dały rezultatów. Zdumiewa gwałtowność i obcesowość zachowania funkcjonariuszy służby więziennej — ze swej strony nie daliśmy po temu powodów.

Eminencjo —

— od paru dni żyjemy oświadczeniem Episkopatu — zapowiedzią ponownej pielgrzymki Papieża do kraju. Nadzieja ujrzenia w

sierpniu Ojca Świętego, przeżycia razem z Nim uroczystości Jasnogórskich przydaje naszemu odosobnieniu szczególnego znaczenia. Wierzymy głęboko, że działania, podobne opisywanym przez nas, nadziei tej nie unicestwią.

Przekazujemy Waszej Eminencji wyrazy najgłębszego szacunku i synowskiego przywiązania

Internowani w Iławie

Do wiadomości: Jego Ekscelencja Ordynariusz Diecezji Warmińskiej ks. biskup Obłak.

OD REDAKCJI:

Powyższy list był ostatnim dokumentem, przekazany przez internowanych z więzienia w Iławie: 26 czerwca 1982 roku wywieziono stąd ostatnią grupę internowanych. „Iławianie” znaleźli się w dwóch Ośrodkach — w Kwidzynie i w Kielcach-Piaskach. I tak zakończyła się historia Iławy — pałowanej, pacyfikowanej wszelkimi sposobami, podtruwanej bromem i glikolem — ale zawsze walczącej.

Tu powstało wydawnictwo InterNowa, działające następnie w kilku obozach, tu narodził się sławny plakat z portretem Lecha Wałęsy i napisem „Uwolnić”, tu ukazała się pierwsza w więzieniu drukowana gazeta — Nasza Krata. Tu także po raz pierwszy rozległy się słowa audycji Radia InterNowa — kablowej rozgłośni internowanych.

Głośne, spektakularne akcje na 13-tego każdego miesiąca, ulotki i gazety wystrzeliwane z katapulty przez mur na ulicę wywarły znaczny wpływ na społeczeństwo Iławy. Miasto odpowiedziało internowanym pochodem pod murem, kwiatami przrzuconymi przez ten mur i wreszcie — na pożegnanie — akcją tłuczenia szyb w mieszkaniach klawiszy, którzy wzięli udział w głośnym marcowym pałowaniu.



(C.d.n.)

WSPOMNIENIA

Michał BUDNY

WSPOMNIENIA NIEFRASOBLIWE

(Fragmenty książki)

W WOJENNYM LONDYNIE

Londyn. — Pierwsze dni drugiej wojny światowej. — Ambasada i szyfry. — Komitet Transportowy. — Storpedowanie „Piłsudskiego”. — Nowi koledzy. — Minister Stańczyk. — Dymisja ze służby zagranicznej za „beckostwo”. — Sekcja Polska w Radio BBC.

Do Londynu przyjechałem wieczorem 3 września 1939 roku na dokumentnie zaciemniony dworzec Kings Cross. Tragarz wsadził mnie po omacku z walizkami do taksówki. Miałem ciągle jeszcze w oczach orgię świateł nowojorskiego Times Square, tu kontrast zupełny: dantejskie ciemności, cienie ludzkie, sylwetki samochodów z małymi świecącymi krzyżykami zamiast latarni, przechodnie noszą na sznurku przez ramię jakieś tekturowe pudełko — maski przeciwgazowe. Nastrój ponury, obawiają się nalotów Luftwaffe w każdej chwili.

Na pierwszą noc zatrzymałem się w jakimś hotelu przy Russell Square. Ledwo zasnąłem po ostatnich emocjach: wszystkich gości spędzono gwałtem do piwnicy — nalot lotniczy. Ładny początek!*

* Później okazało się że żadnego nalotu nie było.

W poniedziałek 4 września rano pojechałem do ambasady na Portland Place, gdzie powitał mnie kierownik kancelarii, Bolesław Korewa, całkiem odmienne wydanie waszyngtońskiego „Poradnika”. Za jego radą przenieśliśmy się do jakiejś wypłowiej garsoniery przy Hallam Street w pobliżu ambasady.

Ambasador Edward Raczyński przyjął mnie bardzo serdecznie, mówiąc że „z nieba mu spadłem”, gdyż pracy moc a personelu brak. Powierzył mi też niezwłoczne objęcie kierownictwa działu szyfrów, jako najbardziej przeciążonego. Tegoż dnia wysłał do MSZ depeusza szyfrowa z wnioskiem o zatwierdzenie mego przydziału. Tak zaczęły się dla mnie pierwsze dni drugiej wojny światowej.

Ten pierwszy okres pamiętam jak jakąś marę senną, pół na jawie, pół we śnie, jakiś okres otępiatego znieczulenia, wszystko odbywało się automatycznie, jak w letargu. Przecież tak jeszcze niedawno opuściłem różnobarwny, jazgotliwy Nowy Jork — teraz otacza mnie ciemny, skupiony, przyciszony Londyn. Jak długo mi tu bytować, co dalej? Przedzierać się do Warszawy? Wracać do Ameryki? Tysiące pytań tłoczą się do głowy. Tymczasem rzucam się w wir gorączkowej pracy.

W ambasadzie wrzało jak w mrowisku. W małym, zakratowanym pokoiku naprzeciw gabinetu ambasadora stopy szyfrów, napływających nieprzerwaną falą z wielu placówek, drugie stopy odpowiedzi do zaszyfrowania. Pracujemy we trzech, z szyfran-tem Ksawerym Burzyńskim i wypożyczonym z konsulatu generalnego Marianem Staniewiczem, po kilkanaście godzin aż do zupełnego wyczerpania. Po paru dniach zaprowadzam jakiś porządek: odtąd pracujemy po dwóch po osiem godzin na zmianę, 24 godziny na dobę, tak aby na każdego z nas trzech wypadało 16 godzin pracy i 8 godzin snu.

Ambasador Raczyński dniami i nocami interweniuje na najwyższych szczeblach u Anglików, domagając się wykonania aliansu wobec nie sprowokowanej napaści, czyli natychmiastowej akcji wojskowej na Zachodzie. U Stranga, Sargenta, Vansittarta, Cado-gana, Halifaxa, Chamberlaina, u przywódcy Partii Pracy Arthura Greenwooda, u przywódcy liberałów Sir Alexandra Sinclaira, jest obecny podczas szeregu gorących debat w Izbie Gmin, pozostaje stale w łączności telefonicznej z ambasadorem Juliuszem Łukasiewiczem w Paryżu.

Tymczasem prasa, radio, jak również nasze własne depe-sze szyfrowe przynoszą nieprawdopodobne, tragiczne, wstrząsające wieści z Kraju. Któręś dnia odbieram odpowiedź — już z

Brześcia — na wniosek o mój przydział do Londynu: „Zgoda. Drymmer”. Lunch u Ritza z radcą finansowym Józefem Rucińskim, którego w moim otępieniu biorę przez chwilę za Antoniego Balińskiego.

Wypadki pędzą jak w kalejdoskopie, trywialność przeplata się z patosem. Szofer ambasady, Lobb, przywozi mi z „Piłsudskiego” mego nowiuteńkiego Buicka, nie mam garażu, parkuję przez parę nocy „po amerykańsku” na ulicy na Hallam Street, wywołuje to interwencję sumiennego policjanta, żądającego nocą światła parkingowych, w rezultacie „nawala” mi bateria, wreszcie znajduję garaż, trochę za krótki, brama się nie domyka, przymocowuję ją sznurami. Wszystko takie nieważne, lecz życie idzie dalej.

W niedzielę 10 września specjalne nabożeństwo w skromniutkim kościele Polskiej Misji Katolickiej przy Devonian Road „za pomyślność oręża polskiego”. Celebryje ksiądz prałat Staniszewski przy udziale całego personelu ambasady, konsulatu generalnego i grona nielicznej podówczas Polonii londyńskiej. Moja ciemna garsoniera przy Hallam Street z kotarami o barwie zgniłego szpinaku, z buraczkowym dywanem i strupieszalym służącym, który co rano wnosi na tacy śniadanie i anonsuje uroczystie grobowym głosem: *good morning, Sir, and a nice morning, too*, rozsuwając kotary na dżdżyste, szaro-bure londyńskie niebo. Nie spodziewane spotkanie z przyjacielem, majorem Januszem Ilińskim, którego jeszcze w lipcu tak wesoło żegnałem w porcie nowojorskim, kiedy wyruszał do Warszawy, a teraz towarzyszy generałowi Norwid-Neugebauerowi jako członek naszej misji wojskowej przy sztabie brytyjskim.

Dużą część pracy w szyfrach dostarcza nam działający przy ambasadzie „Komitet Transportowy” pod kierunkiem Feliksa Kollata i jego zastępcy, Wacława Kossutha. Chodzi o bezpieczne ściągnięcie do portów brytyjskich wszystkich naszych jednostek floty handlowej, które schroniły się do różnych portów neutralnych. Zadanie nie było łatwe, ale dzięki niez mordowanej i pełnej poświęcenia pracy Komitetu Transportowego, po upływie kilku tygodni wszystkie wchodzące w rachubę nasze statki szczęśliwie dotarły do bezpiecznych zatok, aby następnie oddać tak cenne usługi dla wspólnego wysiłku wojennego aliantów i tak chlubnie zapisać się na kartach bohaterskiej historii polskiej marynarki handlowej podczas drugiej wojny światowej.

Od początku zabrakło tylko „Piłsudskiego”. Ten dumny *flagship*, chluba naszej marynarki handlowej, po wyładowaniu pasażerów i po tak demoralizującym dla załogi okresie bezczynności został przemieniony na transportowiec wojskowy i w tym

charakterze pod koniec listopada 1939 roku wyszedł w morze w drodze do Nowej Zelandii. W nocy z 23 na 24 listopada niedaleko brzegów Anglii, między Bridlington a Hull zatonał, trafiony dwiema torpedami nieprzyjacielskimi. Cała załoga, z wyjątkiem czwartego mechanika, uratowała się na szalupach. Kapitan Mamert Stankiewicz ratował się jako jeden z ostatnich, skacząc z dwoma chłopcami okrętowymi na tratwę ratunkową. Zdjęty z niej przez brytyjski okręt wojenny i przewieziony do Hartlepool, zmarł z wyczerpania, oddając życie w trosce o ratowanie załogi. Grób jego znajduje się na cmentarzu w Hartlepool*.

Pod koniec tego upiornego września przynoszą mi do zakratowanego pokoiku w ambasadzie kopertę. Wyjmuję z niej długi tekst *en clair* — to ostatnia odezwa bohaterskiego prezydenta Warszawy, Stefana Starzyńskiego, ostatni rozpaczliwy a tak pełen godności krzyk ginącej stolicy. Tekst przekazujemy do prasy.

Nadchodzi październik. Znieczulenie powoli ustępuje, zawrotne tempo pracy w szyfrach nieco słabnie. Nerwy, napięte do ostateczności przez ostatnie tygodnie, zaczynają się odprężać, zmęczony wzrok przekazuje do świadomości obrazy rzeczywistego otoczenia. Twarze, domy, ulice, dźwięki, smaki, zapachy, wszystko to stopniowo powraca na właściwe miejsce. Zostaje tylko dotkliwy, nieodłączny ból, beznadziejna, czarna rozpacz, że wszystko skończone, Kraj rozdarty i zdeptany przez dwóch bezlitosnych wrogów, piekący wstyd wobec obcych, że tak szybko, tak łatwo. Poczucie bezsilności i straszliwego pokrzywdzenia potęguje głęboka troska o losy rodziny i najbliższych.

W międzyczasie zjawia się pierwsza „jaskółka” z Warszawy, Adam Stahl, były wicekonsul tutejszy. Przygarniają go do siebie Karolostwo Poznańscy. Od niego mam pierwszą relację z podróży ewakuacyjnego pociągu z personelem Centrali MSZ z Warszawy do granicy rumuńskiej, opisy bombardowań, postojów w szczyrim polu, losów poszczególnych kolegów.

Życie wraca pomału do normy. Początkowo opustoszały Londyn zapełnia się, na ulicach coraz więcej przechodniów, czerwonych, dwupiętrowych autobusów, taksówek, nawiązują się kontakty towarzyskie, wizyty w domach polskich i angielskich, nowe znajomości. Przychodzi reakcja: częste teatry, kina, nocne lokale, dużo alkoholu, dużo papierosów, aby choć trochę ulżyć,

* Postaci tego bohaterskiego marynarza poświęcona jest piękna książka Karola Olgierda Borcharta *Znaczy Kapitan*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk, 1971, str. 347, ilustr., mapy i wykresy.

choć trochę odurzyć, choć na chwilę zapomnieć, pod modną, skoczną melodię: „*Run rabbit, run rabbit, run, run, run...*”.



Personel londyńskiej ambasady składał się na początku wojny z radcy Antoniego Jażdżewskiego, pierwszych sekretarzy Józefa Mościckiego, młodszego syna Prezydenta R.P. i Lesława Bodeńskiego, drugiego sekretarza Antoniego Balińskiego, radcy handlowego Zygmunta Merdingera i radcy finansowego Józefa Rucińskiego. Osobne biura przy New Cavendish Street zajmował *attaché* wojskowy i lotniczy, ppłk Bogdan Kwieciński, jego zastępca, major Stefan Dobrowolski i *attaché* morski, komandor Tadeusz Stoklasa. W biurze prasowym spotkałem Tadeusza Lutostawskiego i Franciszka Bauer-Czarnomskiego, kierownikiem kancelarii był Stanisław Korewa, sekretarką ambasadora — Maria Gryniewicz, z pozostałych koleżanek i kolegów pamiętam Marię Remiszewską, Wandę Jakubowską, Hannę Abłamowicz, Ewę Kamińską, Wandę Jurasz, Wacława Kossutha i szyfranta Ksawerego Burzyńskiego, a z attachatu wojskowego siostry Annę i Magdalenę Aleksandrowicz, Halinę Waberską i Arthura Wrighta. Telefonistą ambasady był Anglik Jack Hubbard, woźnym pan Tomaszek a szoferem Anglik Lobb.

Konsulem generalnym był dr Karol Poznański, dobroliwie panujący nad licznym personelem, wśród którego pamiętam tylko parę osób, mianowicie wicekonsula Adama Stahla, Mariana Staniewicza, Zbigniewa Derdzińskiego, Zbigniewa Janika, Andrzeja Kamienieckiego, Marię Skrzyńską i Zofię Zwolińską.

W miarę upływu czasu w ciągu wojennych lat 1939-1945 zarówno personel ambasady jak i konsulatu generalnego ulegał częstym i licznym zmianom.



Któregoś dnia zapanowało w ambasadzie duże poruszenie. Przybył do Londynu z pierwszą oficjalną wizytą generał Władysław Sikorski z Angers. Towarzyszył mu minister pracy i opieki społecznej, Jan Stańczyk i szef sztabu płk Aleksander Kędzior. Generał Sikorski i płk Kędzior występowali obaj w identycznych jasnych paltach angielskiego kroju wojskowego. Raz natknąłem się na korytarzu ambasady na ministra Stańczyka, barczystego, małego garbuska, którego od razu poznałem. Wywiązała się rozmowa, po czym obaj weszliśmy przez otwarte drzwi do pustego gabinetu Józefa Mościckiego. Karłowaty Stańczyk rozkraczył się

przed portretem prezydenta Mościckiego we fraku i z wielką wstęgą orderu „Polonia Restituta” i zaczął monologować: „Oto ten zbrodniarz, oto ten złoczyńca i winowajca, który zaprzepaścił Polskę, etc. etc...”. W tej chwili stanął w drzwiach Józef Mościcki. Nastąpiła cisza. Józef, blady jak papier, powiedział: „Proszę Pana, to mój ojciec”. Na to Stańczyk objął go oburącz za ramiona, wołając: „Drogi Panie, przecież ja nic złego nie powiedziałem!”. Wyszedłem szybko na korytarz.

9 listopada zgłosiliśmy się obaj z Józefem Mościckim przed nowo powstałą konsularną wojskową komisją poborową, jako „ochotnicy Nr 1 i Nr 2 z Wielkiej Brytanii”. Zostałem wówczas zaliczony do kategorii II „z odroczeniem aż do odwołania”.

W tym czasie byłem raz na śniadaniu u przyjaciółki Raczyńskich, Lady Clementine Waring, bardzo dystygowanej starszej damy, u której poznałem młodego komandora Royal Navy. W rozmowie złożyłem mu ubolewanie z powodu storpedowania poprzedniego dnia olbrzymiego pancernika „Royal Oak” i utonięcia około 800 marynarzy. Podziękował mi grzecznie, dodając, że to był *just a small skirmish*, ot, taka mała morska potyczka. Wprawilo mnie to w lekkie osłupienie, gdyż w całej ignorancji i naiwności szczonego lądowego skłonny byłem oceniać to wydarzenie jako bądź co bądź bolesną stratę floty brytyjskiej. Oto przykład typowego angielskiego *understatement*, przy użyciu równie typowego *stiff upper lip*. Wiele razy później miałem okazję jedno i drugie z podziwem obserwować.

Pod koniec grudnia 1939 roku zastałem rano na moim biurku w zakratowanym szyfrancim pokoiku w ambasadzie zaadresowaną do mnie kopertę. Wewnątrz był list od ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego, datowany z Angers, 12 grudnia 1939, treści następującej:

„Udzielam Panu z dniem 31 grudnia 1939 roku urlopu bezpłatnego i zawiadamiam, że sprawa nowego stosunku służbowego zostanie wyjaśniona dodatkowo”.

Jakoś nigdy nie doczekałem się zapowiedzianego „dodatkowego wyjaśnienia”. Natomiast „pocztą pantoflową” dowiedziałem się wkrótce, że zostałem zwolniony za „beckostwo” oraz że stało się to z inicjatywy czy na wniosek ówczesnego szefa personalnego MSZ w Angers, niejakiego majora Tadeusza Szumowskiego, którego nigdy na oczy nie widziałem. Ówczesna „czystka” podobno objęła kilkunastu czy kilkudziesięciu kolegów ze służby zagranicznej, obwinionych o takie samo „przestępstwo”.

Nieoficjalny zarzut „beckostwa” zabolął mnie znacznie dotkliwiej niż sam fakt zwolnienia. Poświęciwszy się zawodowo karierze w polskiej służbie zagranicznej, uważałem że prosta uczciwość i logika nakazują mi pracę dla całej Polski, bez względu na taką czy inną wewnątrzno-państwową konfigurację ugrupowań politycznych. Z pełną też świadomością nigdy nie zapisałem się do żadnego stronnictwa politycznego, uważając, że byłoby to sprzeczne z moim pojęciem reprezentowania za granicą całej Polski, a nie jednej partii politycznej. Skoro zaś moim ministrem od szeregu lat był Józef Beck, przeto uważałem że moim obowiązkiem było służyć pod jego naczelnym przewodnictwem z całkowitym oddaniem i lojalnością, nie tyle dla jego osoby, ile dla dobra całego Kraju i wszystkich obywateli. Okazało się jednak, że są tacy Polacy, i to w okresie naszej bezprzykładnej klęski, którzy uważają taką postawę za szkodliwą a nawet karygodną! W ówczesnej atmosferze Angers, zatrutej politycznymi rekryminacjami, jadowitymi personalnymi rozgrywkami, od których stałem daleko, nie było naturalnie mowy o jakiegokolwiek obronie. Byłem bezbronny, poddałem się bez walki.



Zaraz po Nowym Roku zgłosiłem się z pożegnalną wizytą do ambasadora Raczyńskiego, który na wstępie zapytał o moje plany. Powiedziałem, że przygotowuję podróż do Paryża i że po krótkim wypoczynku u kuzynów zamierzam zgłosić się jako ochotnik do nowopowstałej szkoły wojskowej w Coëtquidan. Raczyński zamyślił się chwilę, po czym powiedział: „Niech Pan się do tego wojska nie śpieszy, wojna Panu nie ucieknie, może się nawet do Pana przybliży. Natomiast chciałbym Panu zaproponować dołączenie do niedawno powstałej polskiej sekcji brytyjskiego radia BBC (*British Broadcasting Corporation*), którego dyrektorem jest kuzyn mojej pierwszej żony, Sir Stephen Tallents. Nie byłoby w tej sprawie trudności, a osobiście bardzo byłbym rad, gdyby tam ktoś z naszej służby zagranicznej pracował”.

Po krótkim namyśle zgodziłem się i już w kilka dni później, po zdaniu łatwego egzaminu pisemnego i próby głosu, przeobraziłem się w jednego z tzw. *translators-announcers* polskiej sekcji BBC.



Londyńska zima 1939/1940 dała mi się bardzo we znaki. Mimo uroczystych zapewnień „starego londyńczyka” Adama

Stahla, że „dzisiaj na pewno najzimniejszy dzień sezonu”, przejmujący ziąb i wichury stawały się coraz dotkliwsze. Moje łóżko w pokoiku na poddaszu przy Harley Street, gdzie się za radą Stahla przenieśliśmy, było przytulone do ściany na „słowo honoru”, stało bowiem tylko na dwóch nogach od zewnątrz. Pokoik był zupełnie nieogrzewany, ratowałem się często w ten sposób, że zziębnięty do szpiku kości wyruszałem możliwie najcieplej ubrany wśród głuchej nocy aby przebiec parę ulic dla rozgrzewki. Wreszcie przenieśliśmy się do własnego mieszkania na parterze przy 8 Welbeck Street.

Pierwsza ekipa polskiej sekcji BBC składała się z kilku wybitnych dziennikarzy, mianowicie dr. Zbigniewa Grabowskiego, Antoniego Sobańskiego, Wacława Alfreda Zbyszewskiego, Tadeusza Lutosławskiego, Konrada Syropa oraz malarza Marka Żuławskiego. Praca polegała na tłumaczeniu tekstów angielskich komunikatów na polski, które następnie jeden z nas odczytywał w studio przed mikrofonem. Obok czytającego siedział angielski cenzor, posiadający znajomość naszego języka, który kontrolował dokładność odczytywanego tekstu z angielskim oryginałem i w wypadku jakiegokolwiek odstępstwa mógł natychmiast wyłączyć mikrofon. Chodziło o uniemożliwienie przemycenia jakiegoś kodu czy niebezpiecznych informacji nieprzyjacielowi.

Zaprzyjaźniłem się wtedy bliżej z seniorem naszej Sekcji, Zbyszkiem Grabowskim, obdarzonym wybitną inteligencją, byłym korespondentem berlińskim naszego krakowskiego *Ilustrowanego Kurjera Codziennego*, a podczas wojny autorem kilku książek i wielu artykułów politycznych, pisanych pod pseudonimami „Politicus” lub „Axel Heyst”. Złośliwi utrzymywali, że dla dodania sobie autorytetu u czytelników Grabowski czasem dodawał w swych artykułach zdanie: „jak twierdzi Politicus...”, lub: „jak słusznie dowodzi Axel Heyst...”, ale były to zapewne docinki wyssane z palca. Natomiast przypominają mi się niektóre kalambusy Grabowskiego, jak np. powiedzonko o Stanisławie Strzelskim: „znakomity polski strzetelec”, lub o Oskarze Słoboszewiczu, który po niefortunnej eskapadzie w roku 1946 do Kraju i powrocie do Londynu podał na tablicy w naszej sekcji BBC swój nowy numer telefonu „FREMANTLE...”. Grabowski natychmiast dopisał obok: „FREE BUT MENTAL”.

Dyżury w BBC wypadały o różnych porach dnia lub nocy, zależnie od ogólnego programu komunikatów obcojęzycznych na za granicę. Pensje były skromne, pracy mało, przeważnie wypadało kilka czterogodzinnych dyżurów tygodniowo. Resztę czasu

spędzałem przeważnie ochotniczo w ambasadzie, przepisując — na prośbę ambasadora Raczyńskiego — teksty depesz szyfrowych za okres od września do końca grudnia 1939, przesiadując w „Café Royal” lub w kinie. Był to okres *phoney war*, którą Francuzi nazywali *drôle-de-guerre*, kiedy po naszej, zdawało się, piorunującej katastrofie wrześniowej obie strony wojujące zamarły na szereg miesięcy, jakby w letargu.

OSTATNI OKRES WOJNY I JEJ ZAKOŃCZENIE

Bomby latające. — Państwo Scott-Elliot. — Wizyta w Szkocji. — Mój przyjaciel Ben i „Dinner Club”. — Królowa Mary. — Major Dasher zdemaskowany. — Pogrzeb generała Sikorskiego. — Praktykanci. — Emeryk Czapski. — Urlop w Szkocji przerwany. — Koniec ambasady R.P. w Londynie. — Henryk Strasburger. — „Interim Treasury Committee for Polish Questions”. — Ślub. — Obiad ze Strasburgerem. — Piosenka o Ekscelencji.

Pod koniec wojny nastąpił okres bombardowań Londynu przez kierowane automatycznie pociski V-1 oraz jeszcze później przez pociski raketowe V-2. Początkowo te nowe rodzaje bomb były dla całej ludności Londynu wielkim zaskoczeniem. Któregoś dnia zjechał do Londynu odwołany z Ottawy poseł nasz i mój dobry znajomy, Wiktor Podoski wraz z młodą uroczą żoną, Kanadyjką. Musiała to być sobota lub niedziela, gdyż dostałem nagle w domu telefon z ambasady, że oboje Podoscy są bardzo zmęczeni podróżą, że od wielu godzin nic w drodze nie jedli itd. Zjawili się naturalnie na moje zaproszenie u mnie w domu na Paddington, gdzie ich wraz z przyjaciółmi podkarmiliśmy, aż tu nagle przy zmierzchu zaczęły po niebie krążyć jakieś tajemnicze czarne maszyny w formie krzyżyków z płomieniem ognia w ogonie, przy czym kilka z nich spadło jakby na ziemię. Wyszliśmy na ganek przed domem, oglądając to niezwykle widowisko, a na pytania Podoskiego próbowaliśmy nawet tłumaczyć, że to artyleria przeciwlotnicza tak sprawnie zestrzeliwuje hitlerowskie samoloty!



W tym okresie bywałem często u państwa Walter Scott-Elliot. Pan domu pochodził podobno w prostej linii od Sir Walter Scotta, posiadał dużą fortunę, co nie przeszkadzało mu być członkiem Izby Gmin z Labour Party, ale prawie wcale nie udzielał się towarzysko. Jego małżonka, Alice, wesola blondynka, pochodziła

z Triestu i często przyjmowała przyjaciół na doskonałych obiadach.

Byłem zaproszony na któryś z takich obiadów, kiedy rozeszła się wiadomość, że jeden z niemieckich pocisków typu V-1 spadł gdzieś w pobliżu naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w dzielnicy Kensington. Te tak zwane „bomby latające” sypały się od pewnego czasu na Londyn, a jedna z nich przypadkowo trafiła obok naszego MSZ. Na szczęście obyło się bez ofiar w ludziach, jedynie ówczesny nasz minister, Tadeusz Romer, był lekko ranny w głowę, a szereg biur ministerstwa uległo poważnym uszkodzeniom. Naturalnie podjechaliśmy tam zaraz z moim przyjacielem, Aleksandrem Mniszkiem, aby sprawdzić co się stało. Wizyta przeciągała się, Oleś marudził, dla mnie robiło się późno, wreszcie wydostałem go z gmachu i szybko ruszyliśmy do zaparkowanego o kilka ulic samochodu. Nagle spostrzegłem, że robotnicy pracujący po drugiej stronie ulicy przy innym, uszkodzonym poprzednio domu zaczęli nagle wymachiwać rękami i wołać: „*Here she comes, mates!*”. W tejże chwili charakterystyczny warkot, nagła cisza i świst spadającego pocisku. Druga bomba V-1! Krzyknąłem „padnij!” i obaj z Olesiem, przeskoczywszy żelazną balustradę koło Victoria and Albert Museum, runeliśmy plackiem na trawę. Ta druga bomba eksplodowała o kilkadziesiąt metrów w bok, podmuch zasypał nas pyłem i odłamkami szkła i gruzu, ale nam nic się nie stało. Oleś ruszył z powrotem do MSZ, a ja, otrzepawszy się nieco, dopadłem do auta, zjawiając się u Alice Scott-Elliot z kilkunastominutowym opóźnieniem. Goście byli jeszcze przy cocktailach w salonie, ale już mieli przejść do stołu. Na mój dość opłakany wygląd i wyjaśnienie, że wydostałem się niemal spod latającej bomby, Alice najspokojniej wskazała mi drzwi do łazienki: „*Clean-up and come in quickly*”. Naturalnie więcej ani słowem nie wspomniałem o całej przygodzie, byłaby to gafa nie do wybaczenia.

Na Wielkanoc Alice zaprosiła mnie na kilka dni do swojej wiejskiej rezydencji na południu Szkocji, niedaleko miasta Carlisle. Proponowała, abym się porozumiał z arcyksięciem Robertem Habsburgiem, jednym z grona zaproszonych gości, abyśmy razem mogli odbyć podróż koleją. Arcyksiążę Robert, młodszy syn eks-cesarza Karola i eks-cesarzowej Zyty, przebywał wówczas w Londynie, utrzymując się z okazjinych odczytów i skromnej zapomogi wypłacanej mu ze szkatuły królewskiej. Chciał jechać drugą klasą, zdołałem go jednak namówić na pierwszą, dla uniknięcia ścisku i tłoku, jaki panował wówczas na kolejach.

Podróż z Londynu do Carlisle pierwszą klasą okazała się

bardzo wygodna. W przedziale jechał oprócz nas tylko jeden starszawy jegomość. Był wyraźnie zaintrygowany osobą mego towarzysza podróży. Istotnie, ten chudy, wysoki, o wyrazistych oczach i podłużnej twarzy młodzieniec, jakby wyjęty z portretu El Greco, o nieco ascetycznej lecz dystyngowanej powierzchowności, mógł zwracać na siebie uwagę. W pewnej chwili niezajomy nawiązał rozmowę, usiłując widocznie odgadnąć, kim jest mój towarzysz. Wymieniał szereg krajów i stolic europejskich, a kiedy wreszcie doszedł do Wiednia, Robert powiedział ze smętnym uśmiechem: „*Oh yes, I know Vienna well*”. Na tym jednak rozmowa się urwała.

Przyjechaliśmy do Carlisle nieco po 6-tej po południu i zajęliśmy stolik w restauracji dworcowej na nieuniknione *cup-of-tea*. Robert poszedł do budki telefonicznej, aby poprosić o przysłanie po nas auta. Wrócił rozbawiony, mówiąc: „Wie pan, jesteście istotnie w Szkocji — telefonistka spytała czy to pilna rozmowa, powiedziałem że nie, na co poradziła abym poczekał do 7-mej, bo wtedy tańsza taryfa”. Naturalnie postanowiliśmy grzecznie poczekać. Dla zabicia czasu wyszliśmy na spacer po mieście, a na widok poczty Robert przypomniał sobie, że nazajutrz przypadają urodziny jego matki, przebywającej w Kanadzie. Poszedł na pocztę, aby wysłać telegram z życzeniami. Wrócił jeszcze bardziej rozbawiony. Na blankiecie *night-telegram* napisał tylko kilka słów, na co urzędniczka zwróciła mu uwagę, że za tę samą cenę ma prawo zamieścić 25 słów. Co Szkocja, to Szkocja!

Nasi gospodarze rezydowali w okazałym, starym zamczysku, bardzo dobrze zakonserwowanym, z fosą, zwodzonym mostem i basztami po rogach, wszystko jak należy. Rezydencja leżała wśród malowniczych, łagodnych wzgórz o różnych odcieniach zieleni, otoczona pięknym parkiem i mnóstwem drzew. Wbrew obawom, przez cały nasz pobyt dopisywała cudowna, wiosenna pogoda, ani kropli deszczu, życie sielskie-anielskie, tenis, różne rozrywki i gry towarzyskie, humory doskonałe, nawet zwyczajowe *early morning tea*, roznoszone po pokojach gościnnych każdego ranka, było bardzo przyjemne. Wśród gości zwracała uwagę wyjątkowo piękna, smukła, posągowa blondynka, nazwiskiem Countess Gurowska. Była to młoda Angielka, wdówka, czy może rozwódka, czego nie zdołałem ustalić. Podobno eks-mążonek tej pięknej damy miał być potomkiem znanego kiedyś polskiego emigranta z XIX wieku. Bawiłem się świetnie obserwując przeróżne mniej lub więcej zawołowane manewry naszej pani domu, aby jakoś skojarzyć tę angielską hrabinę o polskim nazwisku z młodym Habsburgiem. Wszystkie te manewry spełzyły na ni-

czym i odwozłem arcyksięcia z powrotem do Londynu w stanie nieposzlakowanego kawalerstwa.

Miałem w Londynie przyjaciela, który nazywał się Benjamin Harvey Bathurst. Był to młody oficer Gwardii Grenadierów, jasny blondyn olbrzymiego wzrostu. Przebąkiwano wówczas w niektórych kołach brytyjskich co by to było, gdyby po zwycięskiej wojnie księżę Kentu został królem polskim. Ben nieraz poruszał ze mną ten temat, usiłując wysondować, co o tym myślę. Może już widział siebie w roli wysokiego dygnitarza królewskiego w Warszawie!

Przez dłuższy czas spotykaliśmy się często przy różnych okazjach, zwłaszcza na obiadach tak zwanego „Dinner Club”. Był to klub nie-klub, raczej całkiem luźna grupa młodych alianckich dyplomatów i oficerów, która powstała spontanicznie podczas masowych bombardowań Londynu przez Luftwaffe. A zaczęło się tak: podczas jednego ciężkiego nalotu siedzieli w barze hotelu Carlton dwóch nieznanym panów. Po kilku kieliszkach zaprzyjaźnili się i postanowili spotkać się znowu, z tym że każdy przyprowadzi po jednym przyjaciołu. Eksperyment się udał, grupa czterech wzrosła do ośmiu, później do szesnastu, a przy trzydziestu dwóch byłem już jednym z biesiadników. Nie przekroczyliśmy jednak liczby sześćdziesięciu czterech.

Nie mieliśmy żadnego statutu, żadnych władz, żadnego stałego lokalu, spotykaliśmy się co miesiąc w innej restauracji. Jedyne ograniczenia polegały na tym, że członek mógł przyprowadzić tylko jednego „gościa” oraz że wszelkie przemówienia i stroje wieczorowe były kategorycznie zabronione.

Na taką kolejną biesiadę zaprosiłem raz Andrzeja Zamoyskiego, uprzedzając go naturalnie o obu tych zakazach. Niestety czekał na mnie w domu w smokingu, na przebieranie nie było czasu, musiałem go więc *nolens volens* przyprowadzić w tym stroju, sadzając go przezornie obok siebie. Przy kawie szereg razy zrywał się z miejsca, aby „palnąć krótką mówkę” i tylko z trudem udało mi się siłą te niecne zamiary unicestwić.

Czasem zapraszaliśmy jakoweś *celebrity* na gościa honorowego. Najprzyjemniejszym był nieodżałowany Jan Masaryk, ówczesny ambasador czechosłowacki w Londynie, który z wielkim humorem opowiadał nam doskonałe anegdoty.

Innym razem, już pod koniec wojny, gościem moim był Witold Wyszyński, znany mi jeszcze ze wspólnej pracy w konsulacie R.P. w Lyonie, jako doskonały alpinista z okresu studiów w Grenoble, a następnie pracownik naszej ambasady w Paryżu.

W Londynie pracował w naszym Min. Informacji. Wybór okazał się niefortunny, gdyż gość mój przez cały czas prowadził demonstracyjnie serdeczną rozmowę z dwoma siedzącymi naprzeciw dyplomatami sowieckimi, Sziborinem i Prigornym, którzy odwzajemniali się nam uprzejmościami i komplementami. W pewnej chwili, już po obiedzie, Sziborin oświadczył że odegra na moją cześć nokturn Szopena, co też uczynił na stojącym w rogu sali fortepianie. Przeżycie to było dla mnie wielce nieprzyjemne. Nie grając sam na fortepianie, nie byłem w stanie się odwzajemnić i czułem się upokorzony. Obaj sowieciarze porobili następne duże kariery, ale nigdy więcej już ich nie spotkałem.

Ben Bathurst zaproponował mi kiedyś spędzenie *weekend*'u w rezydencji swoich rodziców na wsi. Wczesnym rankiem ruszyliśmy moim autem z Londynu, zajeżdżając po drodze do koszar Grenadierów Gwardii w Aldershot. Ben zapowiadał, że „wyfasuje” tam zapas ściśle racjonowanej wówczas benzyny. Istotnie podjechaliśmy pod jakiś barak, Ben wymienił szereg tajemniczych znaków i mruknął z dyżurującym kapralem i — o dziwo — po chwili zbiornik mego Buicka został wypełniony po brzegi benzyną koloru różowego — wyłącznie do użytku wojskowego!

Po paru godzinach zajechaliśmy do Somborne Park w Hampshire, obszernego dworu w rozległym ale bardzo zapuszczonym starym parku. Czekająca na nas z herbatą Lady Bathurst, typowa sztywna, kanciasta dama z powieści Galsworthy'ego. Po herbacie poszliśmy we troje do parku na spacer, gdzie minął nas jakiś stary, chudy łachmaniarz w podartych portkach i z motyką na plecach. Wymienił z nami lakoniczne *hello* i zniknął. Pomyślałem, że to pewno ogrodnik.

W parę godzin później łachmaniarz z ogrodu okazał się ojcem mego przyjaciela. Był to Sir Frederic Bathurst, przedzierzgnięty w wytwornego salonowca w nieposzlakowanym smokingu, który przyrządzał mi sam *whisky-and-soda* przed obiadem.

Któregoś dnia dostaliśmy zaproszenie na ślub Bena. Powiedział mi, że żeni się z jedną z najbogatszych panien w Anglii. Po ceremonii kościelnej nastąpiło wspaniałe przyjęcie w jednym z londyńskich hoteli.

Już wstępując po wyścielanych dywanami schodach skonstatawałem, że zanoszą się na ceremoniał dworski, skoro dyskretnie zalecono mi zająć w kolejce miejsce przed żoną. Miałem rację. Po przekroczeniu drzwi do wielkiej sali balowej stanąłem nagle przed Królową-Matką Mary, która witała gości w asyście damy dworu i starego, zgrzybiałego Lorda Clarendona, pełniącego funkcje Lorda Szambelana. Królowa była *a symphony in grey*, od

kapelusza i rękawiczek do pantofelków i nieodłącznej parasolki, wszystko na perłowo. Nie miałem czasu uprzedzić Inki co ją czeka, zresztą niepotrzebnie, gdyż nie tracąc głowy złożyła królowej głęboki dyg najwyższej klasy, bodaj domowego jeszcze pochodzenia.

Sala powoli się zapełniała. Wygalowana służba roznosiła na tacach kieliszki szampana, whisky i papierosy wraz z płomykami do zapalania, rzadki luksus na owe wojenne czasy. W pewnej chwili królowa Mary opuściła miejsce przy drzwiach wejściowych i zajęła strategiczną pozycję między dwoma oleandrami w zielonych donicach, przy asyście Lorda Chamberlaina, który doprowadzał przed oblicze Jej Królewskiej Mości coraz to nowych gości na krótkie rozmówki.

Po wychyleniu kilku kielichów szampana zobaczyłem ze zdumieniem, że stary Lord Clarendon poczłapał sobie do baru, zostawiając królową pod oleandrami w zupełnej samotności, bo i dama dworu też gdzieś się zawieruszyła. Wydało mi się, że dzieje się rzecz straszna, prawie *lèse-Majesté*, i że trzeba temu jakoś zaradzić. Szepnąłem Ince do ucha, że nie mogę tolerować takiego lekceważenia królewskiego majestatu i że wobec tego walę prosto w te oleandry, „żeby starą Mańkę troszkę zabawić”. Miałem nawet na wszelki wypadek gotowy temat do rozmowy — o naszych polskich filmach propagandowych, które za pośrednictwem przydzielonego do jej dworu majora Wighama pożyczają ode mnie z ambasady i pokazywała żołnierzom w Budlington, swojej wiejskiej rezydencji.

Skończyło się na zamiarze. Inka tak silnie chwyciła mnie za rękę, że nawet jednego kroku do królowej zrobić nie mogłem. „Uspokój się, jesteś zalany, chcesz skompromitować mnie i siebie, przecież do niej nie wolno się zbliżyć bez wezwania, bez tego staruszka-szambelana!”.

A ja na to: „A właśnie jak ją biedulę ten paskudnik zostawił samiuteńką na perłowo, to moim obowiązkiem jest, jako lojalnego alianta, stanąć u jej boku w potrzebie!”.

Naturalnie skończyło się na zupełnym fiasko moich bohaterских porywów i po paru chwilach maszerowaliśmy oboje przez Old Bond Street. Mocno mi szumiało w głowie, a wśród alkoholowych oparów swiała pomysł dzikiej zemsty. Wiedziałem, że po drodze mamy zejść do krawcowej na przymiarkę jakichś zóninych sukienek. Zasiadłem tam na kanapce i z anielskim uśmiechem oświadczyłem krojczyni, żeby się broń Boże nie śpieszyła z wykończeniem tych sukienek, albowiem moja małżonka po-

siada ich tak wiele, że szafy się nie domykają. Było to, oczywiście, wierutnym kłamstwem. Inka zmierzyła mnie tylko spojrzaniem jak dwa śmiertelne promienie lasera, przysięgając, że już nigdy w życiu nie pójdzie ze mną do krawcowej. Ale zemsta moja była słodka.



W okresie poprzedzającym inwazję anglo-amerykańską na Normandię, kiedy na wyspach brytyjskich koczowały miliony żołnierzy amerykańskich*, koledzy z londyńskiego MSZ zaczęli mi opowiadać o pewnym oficerze amerykańskim polskiego pochodzenia, rzekomo należącym do wywiadu, lecz nastawionym bardzo przychylnie dla Polski, nazwiskiem major Dasher. Robiono różne projekty i plany, jak by tego oficera najskuteczniej wykorzystać propagandowo dla sprawy polskiej.

Kilka dni później wypadło mi reprezentować ambasadę podczas jakiegoś nabożeństwa w Brompton Oratory. O parę ławek za mną siedział w mundurze majora amerykańskiego Józef Daszewski, którego znałem jako pracownika kontraktowego konsulatu R.P. w Pittsburgu. Kłaniał mi się grzecznie z uśmiechem. Od razu domyśliłem się, że był to ten tajemniczy major Dasher, *éminence grise*, którą naturalnie rozszyfrowałem kolegom z naszego MSZ.



Kiedy wbiegałem rano do ambasady, już w drzwiach powitał mnie woźny Tomaszek, zwiastując tragiczną wiadomość o śmierci generała Sikorskiego. Pod wpływem szoku zaimprovizowaliśmy niezwłocznie całą procedurę żałobną, a Anglicy uruchomili w Foreign Office specjalny komitet pogrzebowy z udziałem płk. Zygmunta Borkowskiego i moim ze strony polskiej. Komitet ten odbył przy naszym udziale parę posiedzeń, których rezultatem były wspaniałe dwudniowe uroczystości żałobne, z pontyfikalnym nabożeństwem w katolickiej Katedrze Westminsterskiej i imponującym konduktem przez całe centrum Londynu. Wielka Brytania zęgnęła swego wiernego do końca sojusznika z całą pompą i okazałością.

Szefem naszego protokołu dyplomatycznego w MSZ był wówczas Antoni Jażdżewski, były radca ambasady w Londynie. Zwerbował mnie natychmiast do pomocy i stoi mi dotąd w pa-

* Dowcip angielski mówił, że owi amerykańscy wojacy mieli cztery cechy ujemne: *overfed, overdressed, overdecorated and... over here!*

mięci cała nieprzespana noc, podczas której na podłodze we dwóch układaliśmy kartki z nazwiskami setek dygnitarzy brytyjskich, alianckich i polskich do rozmieszczenia nazajutrz w nawie katedralnej. Zaczynało się od specjalnego reprezentanta króla Jerzego, po czym szli monarchowie i prezydenci alianccy, premierzy, ministrowie, generalicja, korpus dyplomatyczny przy naszym rządzie emigracyjnym, duchowieństwo, parlamenty, ciało profesorskie, a dygnitarzom nie było końca. Dotąd nie mogę zrozumieć, jak potrafiliśmy w tak krótkim czasie całą tę sprawę zorganizować, dość że nazajutrz odbyło się wszystko gładko i sprawnie.

A mało brakowało do katastrofy. Umówiliśmy się z Jądzewskim, że spotkamy się na parę godzin przed nabożeństwem dla rozmieszczenia imiennych kart w głównej nawie katedralnej, przy czym ja miałem przywieźć pudło z kartami własnym autem z domu na Hampstead do katedry. Wyruszyłem o dobrym czasie i po chwili pędziłem pełnym gazem przez długą Wellington Road w stronę centrum Londynu. W pewnej chwili wybiegło na środek jezdni dwóch policjantów, dając znaki, abym się zatrzymał. Z typowo angielską flegmą i spokojem zaczęli mnie indagować, dodając że znacznie przekroczyłem granicę szybkości. Choć krew zaczęła mi pulsować w skroniach, przedstawiłem obu pocziwym *bobbies* sytuację, którą na szczęście w lot zrozumieli i wtedy zaczęli mnie i siebie nawzajem przekonywać, że ten mój Buick to bardzo potężny amerykański wóz i że czasem trudno kierowcy ustalić szybkość jazdy. Potwierdzałem skwapliwie tę teorię i po chwili puścili mnie. Co by się stało, gdybym się z tej przygody nie wywikłał, wolę nawet nie myśleć.



W miarę upływu lat wojny przeszły przez moje ręce w ambasadzie dwa zespoły młodych praktykantów do przyszłej służby zagranicznej w odbudowanej, zwycięskiej i niepodległej Rzeczypospolitej. Nazywaliśmy ich wówczas „młody las”, a byli to przeważnie zdolniejsi młodzi ludzie wyreklamowani z wojska, posiadający odpowiednie kwalifikacje i wyższe studia naukowe. Była to inicjatywa naszego MSZ oraz konsula generalnego, dr. Karola Poznańskiego.

Oba te roczniki praktykanckie, po przejściu praktyki i egzaminu dyplomatyczno-konsularnego, były następnie przydzielane do odpowiednich biur MSZ w Londynie lub na niektóre placówki zagraniczne w miarę potrzeby. Ponieważ bezpośrednio opiekowałem się praktykantami podczas ich krótkiego stażu w amba-

sadzie, gdzie jednocześnie z biegiem lat stale wzrastała ilość pracy, liczyłem na to, że wcześniej czy później choć jeden z tych młodych adeptów dyplomacji otrzyma przydział do naszych biur, gdzie coraz bardziej potrzebowałem pomocy. Mimo że do konsulatu generalnego przydzielono ich aż kilku, o ambasadzie jakoś całkiem zapomniano.

Naszym ministrem spraw zagranicznych był wówczas Tadeusz Romer, jego głównym zastępcą, jako sekretarz generalny — Emeryk Czapski. Poradzono mi zgłosić się do Czapskiego o przydział choćby jednego młodego *attaché* do pomocy. Zostałem któregoś dnia wezwany i po chwili oczekiwania bardzo chłodno przyjęty. Czapski na samym początku zadał mi pytanie, całkiem osobiste, które wprowadziło mnie w stan osłupienia: „Czy pan sobie zdaje sprawę, że stanowisko pierwszego sekretarza ambasady to jest bardzo wysokie stanowisko?”. Odpowiedziałem, że zdaję sobie z tego sprawę w całej rozciągłości, ale że przecież nie w tej sprawie zgłaszam się do niego. Reszta rozmowy była krótka, atmosfera lodowata, nie miałem pojęcia z jakiego powodu. Po dłuższym jednak czasie do ambasady został przydzielony jako *attaché* do mojej pomocy Stanisław Kmiecik. Niestety, stało się to dopiero na kilka tygodni przed końcem naszego urzędowania.



Niebawem wojna z Niemcami się skończyła. Nastąpiła zrozumiała euforia Anglosasów i zachodnich aliantów, tylko my, Polacy, nie braliśmy w tych radosnych uciechach udziału, przetykając gorzkie łzy. Wyjechaliśmy nawet wtedy z Inką specjalnie z Londynu na parę dni gdzieś nad morze, żeby nie oglądać tych radosnych obchodów zwycięstwa.

Co do mnie, to podobnie jak inni koledzy byłem przepracowany, przemęczony, zniechęcony. Skorzystaliśmy wtedy z zaproszenia przemiłej naszej szkockiej przyjaciółki, Barbary („Basi”) Hutchison, i wybraliśmy się na urlop do jej majątności na wsi gdzieś koło Auchtermachty, w pobliżu Cupar. Nasza śliczna pani domu przyjęła nas niezwykle gościnnie w pięknej rezydencji. Wypoczynek zapowiadał się doskonale, zrobiliśmy nawet parę ciekawych wspólnych wycieczek samochodowych do St. Andrews, do jeziora Loch Ericht (Dalwhennie) i jeszcze paru innych malowniczych miejscowości. Po paru dniach nadeszła przepiękna, słoneczna, złocista niedziela. Śniadanie na olbrzymim trawniku przed domem, humory znakomite. Nagle wyszedł z domu w czarnej liberii stary służący ze srebrną tacą, a na niej niedzielne

gazety i depesza do mnie. Już przed jej otwarciem szepnąłem Ince: „To koniec — wracamy do Londynu”. Istotnie, depesza brzmiała: „*Expecting you back Monday — Raczyński*”.

Wróciliśmy nocnym ekspresem do Londynu, i w poniedziałek o 10-tej rano byłem już w ambasadzie. Cofnięcie uznania brytyjskiego dla naszego rządu emigracyjnego. Cały personel obecny z jednym wyjątkiem: radca ambasady, dr Władysław Kulski, przebywający na urlopie w Bournemouth o dwie godziny koleją od Londynu, oddepeszował Raczyńskiemu, że z powodu choroby żony wrócić nie może.

Oficjalne uznanie tzw. „Rządu Jedności Narodowej” w Warszawie przez rząd brytyjski nastąpiło w czwartek 5 lipca 1945 roku. Pożegnanie ambasadora Raczyńskiego z personelem ambasady, na które zdążyłem wrócić ze Szkocji, odbyło się w poniedziałek 9 lipca, po czym miało niezwłocznie nastąpić przekazanie gmachu i inwentarza ambasady Anglikom, jako że nie uznawaliśmy naszych nowych następców.

Wynikła tu jednak niespodziewana zwłoka, gdyż Anglicy nie chcieli brać na siebie odpowiedzialności za gmach, inwentarz i archiwa ambasady, odmówiłszy *agrément* wysuniętemu przez nowy reżym warszawski Łukasikowi, nowemu *chargé d'affaires*. Wobec tego na prośbę Raczyńskiego przez następne przeszło dwa tygodnie rezydowałem w opustoszałym gmachu ambasady w towarzystwie woźnego Tomaszka, telefonisty Jacka Hubbarda i małego kotka. Przyjmowałem od czasu do czasu zdemobilizowanych żołnierzy brytyjskich, byłych jeńców wojennych, trzymany przez Niemców w obozach jenieckich na ziemiach polskich, którzy barwnie opisywali swe przeżycia z tego okresu. Wszyscy nie mieli słów podziwu i uznania dla postawy ludności polskiej, a wielu z nich zawarło nawet prawdziwe lub fikcyjne małżeństwa z Polkami, te ostatnie w dowód wdzięczności za doznaną opiekę a często nawet uratowanie od śmierci. Były to głęboko wzruszające opowiadania, przeplatane niezamierzonym patosem i rubasznym humorem żołnierskim. Parę razy miałem też okazję odpisać na gryzmoły naszych niektórych wojaków ze Szkocji z pozdrowieniami dla „nowej radzieckiej polskiej ambasady”, że... jeszcze nie!

Któregoś dnia odwiedził mnie w tej opustoszałej ambasadzie Henryk Strasburger. Był on w okresie dwudziestolecia niepodległości (1918-1939) wybitnym przedstawicielem polskich sfer przemysłowych i wielkiego kapitału, członkiem grupy tzw. „Le-

wiatana”, a w latach 1924-1932 komisarzem generalnym R.P. w Wolnym Mieście Gdańsku. Poznałem go w pierwszych latach wojny w Londynie jako ministra przemysłu i handlu w gabinecie Sikorskiego a następnie Mikołajczyka, później zaś ministra stanu na Bliskim Wschodzie z siedzibą w Kairze. Pod koniec wojny po jego powrocie z Kairu spotykałem go często w Londynie na terenie prywatnym. Był to sympatyczny, uprzejmy starszy pan, rozmawiało się z nim łatwo i przyjemnie. Obecnie zwierzał mi się ze swych niepokojów, widział swą przyszłość w ciemnych kolorach, mówiąc że nic mu już innego nie pozostaje jak wrócić do Kraju i może uzyskać jakąś profesurę na politechnice w Gdańsku.

Pojechaliśmy potem na lunch do klubu „the Allied Circle”, przy pełnej sali jadalnej znajomych rodaków. Może w godzinę po rozstaniu się i moim powrocie do ambasady zadzwonił do mnie Strasburger, pilnie dopytując gdzie i jak może natychmiast odnaleźć mego kolegę Aleksandra Mniszka, który w tym czasie mieszkał razem ze mną w dzielnicy St. John’s Wood. Ponieważ nikt u nas w domu nie odpowiadał, powiedziałem że nie mam pojęcia gdzie się Mniszek w danej chwili znajduje, podając parę domysłów.

Ku mojemu zdumieniu dowiedziałem się na drugi dzień, że Strasburger z Mniszkiem razem wylecieli już do Polski. Widocznie zaraz po naszym lunchu Strasburger odebrał pilne wezwanie od Mikołajczyka już z Warszawy i — upolowawszy Mniszka — zabrał go ze sobą w tę nagłą podróż.

Dochodziły mnie potem słuchy o różnych złośliwych plotkach w ówczesnym rozpolitykowanym polskim Londynie, że i ja sam również byłem podejrzewany o jakieś powiązania z nowym „warszawskim” reżymem. Nic dziwnego: przecież w południe widziano mnie razem przy stoliku ze Strasburgerem, a już w parę godzin później rozeszła się lotem błyskawicy wiadomość o jego wyjeździe do Warszawy, i to w towarzystwie mojego kolegi i współlokatora.

Po krótkim pobycie w Warszawie Henryk Strasburger przybył do Londynu w charakterze pierwszego ambasadora reżymu „warszawskiego”, wraz z żoną i córką. Otrzymał od Anglików *agrément*, złożył listy uwierzytelniające i objął urządowanie w naszej ambasadzie przy Portland Place.

Zanim to się stało, nadszedł pamiętny dzień: czwartek 26 lipca 1945 roku. Przyjechał do pustych biur ambasador Raczyński,

a zaraz po nim, około godziny 11.30 rano, nadjechał przed boczne wejście do kancelarii mały, niepozorny, czarny samochódzik, z którego wysiadło dwóch panów w czarnych melonikach i paltach. Był to wyższy urzędnik Foreign Office Robert Dunbar wraz z towarzyszącym mu pomocnikiem. Powitaliśmy ich obaj z ambasadorem w jego wielkim gabinecie na pierwszym piętrze. Anglicy zachowali się z nienaganną dyskrecją, na nasze zapytania czy chcą sprawdzić księgi inwentarzowe i stan archiwów podziękowali uprzejmie, wobec czego Raczyński rzucił na swe puste biurko pęk kluczy, które Dunbar szybko włożył do teczki i obaj panowie, po pożegnaniu, odjechali. Cała wizyta trwała zaledwie kilka minut.



Następny okres, przeszło dwóch i pół lat czasu, aż do wyjazdu do Nowego Jorku, upłynął dość szybko i niepostrzeżenie. Zaraz po oddaniu ambasady pod kuratelę Foreign Office odbyło się w naszym Ministerstwie Spraw Zagranicznych gremialne pożegnanie z przemówieniem Adama Tarnowskiego, ministra spraw zagranicznych w gabinecie Tomasza Arciszewskiego, z całym personelem naszej służby zagranicznej przebywającym w Londynie. Użyto przy tej okazji formuły, że wszyscy zostaliśmy przeniesieni na urlop bezterminowy.

Rozpocząłem wtedy pracę w nowopowstałym Komitecie dla likwidacji spraw „byłego” Rządu R.P. na emigracji, pod nazwą *Interim Treasury Committee for Polish Questions*, pod kierownictwem Edwarda Raczyńskiego, jako *Chief Polish Representative* i H. H. Eggersa, reprezentującego brytyjskie Ministerstwo Skarbu. Wszelki kontakt nasz z Foreign Office został oczywiście zerwany. W Komitecie pracowałem jako Szef Wydziału Wizo-wo-Komunikacyjnego od 1 sierpnia 1945 do 31 marca 1947, daty likwidacji Komitetu, przechodząc na identyczne stanowisko do *Ministry of Labour and National Service* przy Russell Square, w tzw. *Central Polish Resettlement Office*. Zrezygnowałem z tego stanowiska z dniem 15 listopada w związku z naszym wyjazdem do Nowego Jorku.

Naturalnie zmieniły się radykalnie nowe warunki pracy. Przede wszystkim dość brutalnie cofnięto wszystkim członkom rządu emigracyjnego, od Prezydenta R.P. poczynając, licznym naszym wyższym urzędnikom i całemu personelowi ambasady wszelkie przywileje dyplomatyczne. Na moją — jedną z ostatnich — osobistą interwencję w tej sprawie w Foreign Office

wyjaśniono mi, że nawet te indywidualne paczki, które zostały już zwolnione z cła lecz jeszcze nie dostarczone adresatom, zostały już wstrzymane. Byłem w tej sprawie u Augusta Zaleskiego, ówczesnego szefa kancelarii cywilnej Prezydenta R.P., który był tą informacją ogromnie oburzony.

Moje obowiązki polegały na ułatwianiu cywilnym obywatelom polskim, którzy w ogromnej większości odmówili władzom brytyjskim powrotu do Kraju, emigrowania do krajów zamorskich, przeważnie do Stanów Zjednoczonych, Kanady lub Ameryki Południowej. W każdym indywidualnym wypadku chodziło o uzyskanie wizy imigracyjnej do kraju docelowego, ewentualnych wiz tranzytowych i transportu morskiego, a czasem również dodatkowo kolejowego. Mając z okresu pracy w ambasadzie dość rozległe kontakty osobiste w licznych placówkach dyplomatycznych i konsularnych na terenie Londynu, udawało mi się uzyskiwać potrzebne wize w formie kwot imigracyjnych lub indywidualnie, a dzięki podobnym znajomościom w brytyjskich urzędach i firmach okrętowych dostawałem również przydziały kabin na statkach, odpływających w odpowiednich kierunkach. W pracy tej nieocenioną pomoc okazywała mi Kazimiera Gimzicka, była sekretarka ambasadora Józefa Lipskiego w Berlinie i koleżanka z naszego MSZ w Londynie. Toteż udało nam się wyekspediować we wszystkie strony świata już nie setki, lecz tysiące rodaków, szukających lepszego kawałka chleba na obczyźnie.



W międzyczasie odbył się nasz cichy ślub. Mieszkałem już od kilku miesięcy w wygodnym i przyjemnym klubie, „The Allied Circle”, przy 46 Green Street przy samym Marble Arch, którego byłem jednym z założycieli na początku wojny. Ceremonia odbyła się w Caxton Hall, świadkiem Inki była Róża Wiszniowska, moim Edward Raczyński. Potem wydałem w klubie *wedding breakfast* na dwanaście osób, podczas którego „pękła” skrzynka szampana. Dzięki Bobowi Iżyckiemu śniadanie miało zabawne zakończenie. Kiedy ruszyliśmy wynajętym na tę okazję Rolls Roycem sprzed frontu klubu, dał się słyszeć z tyłu niesamowity hurgot i łomot. Domyśliłem się od razu, że to Bob przywiązał, jak nakazywał tradycyjny obyczaj angielski, jakiś hałaśliwy przedmiot do tyłu auta. Szofer musiał zatrzymać wóz na ruchliwym przystanku autobusowym Park Lane i odczepić ten hałaśliwy przedmiot na oczach rozbawionego nagle tłumu czekających. Dalej jechało się już spokojnie, aż do niedawno kupionego domku na

przedmieściu Wembley, do którego — ku zdumieniu szofera — własnoręcznie wniosłem żonę przez próg.



Któregoś dnia Strasburger zadzwonił do mnie do *Interim Treasury Committee* z prośbą o spotkanie. Umówiliśmy się w małej, dyskretnej ale doskonałej restauracji w dzielnicy Mayfair, nie uczęszczanej przez rodaków.

Bardzo byłem zaintrygowany, czego mógł chcieć ode mnie. Przez cały obiad gawędziliśmy o rzeczach obojętnych, dopiero przy kawie wyszło szydło z worka. Zaczął się skarżyć, jak bardzo czuje się nieszczęśliwy w nowej roli „reżymowego” ambasadora na Portland Place, że nie ma żadnego kontaktu z nowymi sekretarzami, Juliuszem Katzem-Suchym i Lapterem oraz resztą personelu, że w całej ambasadzie pozmieniali zamki, pozakładali aparaty podsłuchowe, że wydaje mu się jakby za każdą kotarą czał się jakiś ubek czy tajniak, że pozostaje pod ciągłą inwigilacją, że po prostu czuje się jak więzień we własnej ambasadzie.

„Otóż drogi panie Michale — ciągnął — bardzo bym chciał mieć około siebie chociaż jednego człowieka, do którego mógłbym mieć pełne zaufanie i zwracam się do Pana z propozycją, czy nie zgodziłby się Pan na współpracę ze mną, a w razie zgody uzyskałbym dla Pana stanowisko radcy ambasady z tytułem ministra. Daję Panu 24 godziny do namysłu”.

Siedziałem jak uderzony obuchem w głowę. Po chwili milczenia, przełykając z trudem resztkę kawy i patrząc mu prosto w oczy, odpowiedziałem cichym i spokojnym głosem: „Panie ministrze, 24 godziny to za długo, mnie jedna minuta wystarczy”. Na to on: „To znaczy że nie?”. Potwierdziłem milcząco głową. Strasburger wyraźnie poszarzał na twarzy, zrobiło mi się go szczerze żal. Zapłaciwszy osobno każdy za siebie, pożegnaliśmy się trochę niezgrabnie i każdy z nas poszedł w inną stronę w wilgotną, mglistą londyńską noc — a ja w dalszą nieprzeniknioną zasłoną emigranckich losów.



W tym samym czasie w swym satyrycznym teatrzyku londyńskim niezapomniany Marian Hemar osiągał szczyt powodzenia recytując — przy przepelnionej sali — swoją słynną „Piosenkę o Ekscelencji”.

Michał BUDNY

RECENZJE

Z. S. SIEMASZKO

KUROPIESKA W LONDYNIE

Przed wojną Józef Kuropieska był oficerem służby stałej piechoty. Wyższą Szkołę Wojenną ukończył w stopniu kapitana, promocja 1934-1936. We wrześniu 1939 dostał się do niewoli niemieckiej, w której przebywał do zakończenia wojny. Po wyjściu z niewoli wrócił do kraju i wstąpił do Ludowego Wojska Polskiego (LWP). Latem 1945 roku był zatrudniony w stopniu podpułkownika w Oddziale Operacyjnym Sztabu w Warszawie.

W październiku 1945 Kuropieska przybył do Londynu jako szef sztabu misji wojskowej PRL, której zadaniem było opanowanie Polskich Sił Zbrojnych (PSZ) na Zachodzie. Potem został mianowany *attaché* wojskowym. W marcu 1947 kazano mu przekazać obowiązki swemu zastępcy płk. Maksymilianowi Chojeckiemu i wracać do kraju, gdzie powierzono mu dowództwo dywizji. Wkrótce został mianowany generałem. Dnia 13 maja 1950 aresztowano go w związku ze sprawą Tataru i współtowarzyszy. Ale ponieważ w śledztwie stawiał opór i nie przyznawał się do winy, nie został włączony do procesu Tataru i towarzyszy, który miał miejsce na przełomie lipca i sierpnia 1951, a występował na nim jedynie w roli świadka. Śledztwo w jego sprawie trwało przez następny rok. Kuropieska nie przyznał się do winy. W 1952 roku został skazany na karę śmierci. W krótkim czasie po skazaniu zgłosił się 2 lipca 1952 do Wydziału Śledczego Informacji Wojskowej oświadczając, iż „będzie musiał zeznawać, aby ratować własną głowę, mimo, że to co będzie mówił będzie nieprawdą” (*Zeszyty Historyczne* nr 49, str. 124). Jednak przez

blisko dwa lata Najwyższy Sąd Wojskowy utrzymywał Kuropieskę w świadomości, że w każdej chwili może być wyprowadzony na stracenie. Wreszcie w 1954 roku wyrok śmierci zamieniono na dożywotnie więzienie.

Po październiku 1956 Kuropieska został zwolniony z więzienia, zrehabilitowany i przyjęty do LWP. W latach 1956-64 był dowódcą Okręgu Warszawskiego, a potem komendantem Akademii Szt. Gł. Po przejściu w stan spoczynku przystąpił do spisywania wspomnień. Między innymi ukazała się ostatnio jego praca o latach 1945-1947, kiedy to przebywał w Londynie (*Misja w Londynie*, Czytelnik, Warszawa 1981). Jak można wnioskować z tego opracowania, do zadań Kuropieski w Londynie należała inwigilacja nie tylko emigracji, ale również i personelu PRL w Londynie, a w szczególności ambasadora PRL Strasburgera: Kuropieska wysyłał o nim raporty do Warszawy (pisze o tym na str. 256). Ściśle mówiąc *Misja w Londynie* nie jest jedynie osobistą relacją, a w dużej mierze opracowaniem opartym w pierwszym rzędzie na publikacjach które ukazały się na Zachodzie, jak na przykład wojenne wspomnienia Andersa i Kopańskiego lub zbiorowe opracowanie „Likwidacja PSZ” (*Zeszyty Historyczne* nr 35), jak również na dokumentach brytyjskich dotyczących spraw PSZ i PKPR. Natomiast ilość dokumentów PRL, na które autor powołuje się, jest znikoma i jedynie fragmentaryczna. Do tego stanu rzeczy przyczyniło się z pewnością to, że w kraju dokumenty dotyczące wspomnianego okresu w dalszym ciągu podlegają daleko posuniętej kontroli cenzury. Zresztą ingerencja cenzury daje się tu i ówdzie zauważyć w tekście omawianej książki, tam gdzie wyczuwa się opuszczenia i braki w na ogół przejrzystym i logicznym wywodzie autora. Dotyczy to w pierwszym rzędzie rozmów przedstawicieli PRL w Londynie z Brytyjczykami na temat podziemnych organizacji w kraju i ich powiązań z niepodległościowymi ośrodkami polskimi w Londynie (str. 322). Zniekształcające sens skreślenia cenzury da się również wyczuć na str. 323-324, gdzie autor porusza powołanie komisji War Office (brytyjskie Ministerstwo Wojny) do badania sprawy żołnierzy PSZ, którzy uprzednio, służąc w armii niemieckiej, zbyt angażowali się po stronie niemieckiej. Kuropieska pisze o nich sporo, bowiem to on właśnie zajmował się repatriacją ludzi zgłaszających się na powrót do kraju, a właśnie ci żołnierze, którzy uprzednio służyli w armii niemieckiej, w pierwszej mierze po zakończeniu wojny zgłaszali się na powrót do kraju.

Sprawy młodych Polaków powołanych do armii niemieckiej na terenach przyłączonych do Rzeszy są mało znane, pomimo że należało do tej grupy kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy. W miarę trwania wojny ogromna większość oddziałów, szczególnie piechoty, która ponosiła największe straty, zarówno w 2-gim Kor-

pusie, jak i w I Dywizji Pancерnej, wchłaniała coraz więcej dawnych *Volksdeutsch*ów. W IV Dywizji Piechoty na dalekiej północy Szkocji (gotowej do akcji w chwili zakończenia wojny) i w 3-cim Korpusie znajdującym się w Egipcie, stanowili oni przeważającą większość. Wielu spośród nich poległo walcząc w polskich oddziałach, co na przykład można stwierdzić na liście poległych I Dywizji Pancерnej (*Wykaz poległych i zmarłych żołnierzy PSZ*, Instytut im. gen. Sikorskiego, Londyn 1952), gdzie żołnierze z niemieckiej armii mają podwójne nazwiska. Wynikało to stąd, że zgłaszającym się do Wojska Polskiego jeńcom armii niemieckiej zmieniano nazwiska i miejsca urodzenia (podając przeważnie miejscowości na Kresach Wschodnich), pozostawiając jedynie te same imiona. Robiono to z jednej strony po to, aby obejść przepisy międzynarodowe zabraniające angażowania jeńców wojennych do służby wojskowej po przeciwnej stronie, z drugiej zaś w celu zabezpieczenia poszczególnych żołnierzy przed zemstą niemiecką w wypadku, gdyby walcząc po stronie alianckiej dostali się do niemieckiej niewoli. (Procedura ta nie była w pełni stosowana w polskich oddziałach partyzanckich we Francji). Odmianą większość tych chłopców pochodzących ze Śląska, z Poznańskiego, Pomorza lub z Łodzi stanowili zwykli, porządni Polacy, czasem z poboru lub zapisani przymusowo na trzecią lub czwartą listę *volksdeutsch*owska. Ale byli również tacy, którzy figurowali na drugiej, lub nawet na pierwszej liście. Ci ostatni byli uważani przez władze hitlerowskie za całkowicie godnych zaufania i w większości wypadków, mieszając przed wojną w Polsce, brali aktywny udział w organizacjach nie tylko niemieckich, ale i hitlerowskich. Zdarzały się wypadki, choć nieliczne, że niektórzy dawni żołnierze armii niemieckiej, którzy znaleźli się w PSZ, mieli wytatuowane pod pachą numery SS i to właśnie przyczyniło się chyba do powołania komisji War Office, o której pisze Kuropieska. Na marginesie warto wspomnieć, iż dywizje Berlinga w ZSSR — które tak samo jak i PSZ na Zachodzie nie miały zaplecza rekruckiego — w podobny sposób korzystały przy uzupełnianiu i powiększaniu swych stanów z Polaków wziętych do niewoli na froncie sowieckim.

Trudno się dziwić, że na Zachodzie w pierwszym rządzie zgłaszali się na repatriację do kraju ci żołnierze z PSZ, którzy przeszli przez armię niemiecką. Ich domy i rodziny pozostały na miejscu nienaruszone, a poza tym opuścili oni kraj najpóźniej ze wszystkich żołnierzy PSZ, bo przeważnie dopiero w 1944, niekiedy w 1943, rzadziej w 1942, a jedynie wyjątkowo w 1941.

Ale wróćmy do książki Kuropieski. Jedną z ważnych spraw, którą bez mała całkowicie pomija, to współpraca pomiędzy misją wojskową PRL i tzw. Komitetem Trzech, składającym się z Tatara, Utnika i Nowickiego, którzy byli powiernikami oddziału Specjalnego Sztabu Naczelnego Wodza. To jest chyba najważ-

niejsza luka tematyczna w tej książce, gdyż działalność tych trzech oficerów doprowadziła do przekazania władzom PRL największych zasobów materialnych znajdujących się w rękach Polaków na Zachodzie i zrodziła najwięcej rozgoryczenia i rozdzwięków wśród hierarchii wojskowej w Londynie. Jednak widocznie działalność „Komitetu Trzech” jest w dalszym ciągu okryta tajemnicą i nie można jej w kraju w pełni ujawniać. Kuropieska wspomina jedynie w zakończeniu, iż „wrócił do kraju zastępca Szefa Sztabu gen. bryg. Stanisław Tatar” (str. 345). Jest to co najmniej poważnym niedomówieniem, gdyż Tatar był w kraju jesienią 1949 roku jedynie z wizytą. Samolot, którym wracał do Londynu został zmuszony do lądowania w celu aresztowania go. W konsekwencji doprowadziło to do szeregu tzw. „procesów tatarskich”, w których sądzono 93 oficerów (z Kuropieską włącznie) i 19 — zdecydowanie odmawiających składania fałszywych zeznań — rozstrzelano.

Kuropieska nie pisze również o sprawach, które z punktu widzenia przedwojennych pojęć o honorze oficerskim mogłyby wzbudzać zastrzeżenia. Między innymi chodzi tu o sprawę kontaktów Kuropieski z Chruścieniem, który w tym czasie pełnił funkcję zastępcy szefa Sztabu Głównego do spraw likwidacji PSZ. W dniu 7 września 1946 (*Zeszyty Historyczne* nr 42, str. 82) Chruściel należał do grupy 76 oficerów Sztabu Głównego, w tym 5 generałów (Kopański, Chruściel, Maczek, Malinowski i Masny), 14 pułkowników, 26 podpułkowników i 30 majorów, którzy pierwsi podpisali dwuletni kontrakt Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia (PKPR). Wkrótce, 26 września 1946, Rada Ministrów w Warszawie powzięła decyzję pozbawienia obywatelstwa tych 76 oficerów, z Chruścieniem włącznie. Decyzja została opublikowana przez *Życie Warszawy* 28 września 1946 (*Zeszyty Historyczne* nr 58, str. 229). Kuropieska podaje następujący komentarz:

„Czytając listę pozbawionych obywatelstwa, najbardziej żał mi było gen. Antoniego Chruściela, faktycznego dowódcy Powstania Warszawskiego. Z rozmów, jakie z nim przeprowadziłem na kilka dni przed tym postanowieniem wniosłem, że w gruncie rzeczy pragnie, aby w sprawie uzyskania najlepszych warunków do przyszłego urzędowania się w życiu cywilnym emigracja porozumiała się z rządem w Warszawie” (str. 305).

Raportu z tych rozmów z Chruścieniem Kuropieska w swej książce nie przytacza, ale został on opublikowany w *Życiu Literackim* z 4 sierpnia 1974 i spowodował następującą replikę Tantara:

„Trudno w to uwierzyć, a jednak... w Raporcie Józefa Kuropieski znajdujemy taki oto passus: 'Postanowitem (pisze o sobie autor Raportu) porozmawiać z Chruścieniem i wysłuchać jego opi-

nii o Tatarze i powstaniu. Do spotkania doprowadziłem w dniu 25 września [1946 — Z.S.S.] po najbardziej uroczystych zapewnieniach całkowitej dyskrecji etc. ... i zaraz po rozmowie z gen. Chruszczem — Józef Kuropieska wystąpił o tym meldunek do Warszawy [26 września 1946 — Z.S.S.]. Ocenie pańskiej [tzn. redaktora — Z.S.S.] i Czytelników ŻL pozostawiam tę wypowiedź autora Raportu” (Życie Literackie, 6 października 1974).

W tymże numerze Życia Literackiego Kuropieska odpowiada Tatarowi:

„W czasie pracy na stanowisku attaché wojskowego z każdej rozmowy sporządzałem natychmiast notatkę, której treść wykorzystywałem w pisaniu służbowych raportów... Z rozmów swych zawsze składałem odpowiednie meldunki. W mojej sytuacji służbowej nie pozwalałem sobie na prywatne rozmowy z ludźmi piastującymi poważne godności bądź posiadającymi znaczącą pozycję w środowisku emigracyjnym. Nie mogłem w każdym razie ukrywać przed swoimi przełożonymi [a do nich należał w pierwszym rzędzie płk Komar, szef Oddz. II w Warszawie — Z.S.S.] spotkań z tego rodzaju ludźmi...

Wszystkie ... rozmowy, oczywiście meldowane, zostały omówione w moich powojennych wspomnieniach, które oby się ukazały w druku [jednak zostały one usunięte przed wydrukowaniem — w omawianej książce dokumentów krajowych jest bardzo niewiele, a raportów Kuropieski z rozmów z Tatarzem i Chruszczem nie ma — Z.S.S.]...

Autor listu do Was [tzn. Tatar — Z.S.S.] zapewne nie dość uważnie przeczytał ustęp mego raportu w brzmieniu: 'Do spotkania doprowadziłem dopiero 25 września, po najbardziej uroczystych zapewnieniach całkowitej dyskrecji etc.'. Otóż owe zapewnienia z mej strony dotyczyły tajemnicy spotkania, którego przygotowanie wymagało przemyślenia warunków, miejsca i terminu. Zostały one przeze mnie ściśle dochowane... Nie mogły one dotyczyć treści rozmowy, bo jak się wyraził w czasie jej trwania gen. Chruszcz, nie zabiegałem o nią dla zaspokojenia swej prywatnej ciekawości”.

Oświadczenia Kuropieski stawiają Chruszczela w złym świetle. Oto 7 września 1946 wstępuje on do PKPR, a wkrótce potem, na skutek inicjatywy Kuropieski, spotyka się z nim 25 września 1946, żądając zachowania tego spotkania w tajemnicy przed środowiskiem emigracyjnym, a jednocześnie zdając sobie sprawę z tego, że zarówno fakt spotkania jak i jego przebieg będą znane władzom warszawskim. Świadczyłoby to o nielojalności Chruszczela w stosunku do swych przełożonych, a w szczególności do Bora-Komorowskiego, który wyznaczył go na zastępcę szefa

Sztabu Głównego do spraw likwidacji PSZ. Jednocześnie siebie przedstawia Kuropieska jako człowieka całkowicie wiernego nowym władzom warszawskim, nie mającego żadnych skrupułów w wykorzystywaniu przedwojennych kontaktów zawodowo-koleżeńskich w celu otrzymania informacji cennych z punktu widzenia Oddz. II w Warszawie (zresztą cała książka utrzymana jest w tym tonie).

Natomiast w interpretacji Tataru Chruściel wypada nieco naiwnie, gdyż darzy on zaufaniem przedwojennego kolegę-oficera (Kuropieskę), który przeszedł na stronę nowych władz warszawskich. A Kuropieska obiecał zachowanie tajemnicy w celu uzyskania informacji potrzebnych jego zwierzchnikom, bez zamiaru dotrzymania jej.

W braku innych danych trudno powiedzieć, która z tych interpretacji jest bliższa prawdy, ale trzeba stwierdzić, że okoliczności spotkania Kuropieska-Chruściel w dniu 25 września 1946 nie świadczą zbyt dobrze o obu rozmówcach.

Kuropieska pisze również o tych generałach, którzy zdecydowanie wracali do kraju i jednocześnie w lipcu 1945 wydali odezwy wzywające żołnierzy do repatriacji. Należeli do nich Prugar-Ketling, Paszkiewicz, Modelski i Boruta-Spiechowicz (str. 15). Kuropieska wyraża się negatywnie o Modelskim i o Paszkiewiczu (str. 54 i 21). O ile chodzi o ostatniego, to cytuje krytyczne o nim wypowiedzi Ksawerego Pruszyńskiego. Krytyka Modelskiego, który kilka lat potem „wybrał wolność” widocznie odpowiadała obecnej cenzurze PRL. Natomiast negatywne opinie o Paszkiewiczu starano się zrównoważyć dodaniem przypisu: „Po powrocie do kraju gen. Paszkiewicz walczył z bandami i odegrał pozytywną rolę w organizacji WP” (str. 21). Widocznie cenzura uważa, że przeciętny czytelnik krajowy jest już tak otumaniony, że powojenne zwalczanie „band”, które Paszkiewicz przeprowadzał jako przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Bezpieczeństwa w Białymstoku, przyjmie za dobrą monetę. Miejmy jednak nadzieję, że są jeszcze w kraju ludzie, którzy pamiętają, że do tych „band” należał kwiat ówczesnej patriotycznej młodzieży.

W tym czasie kiedy Paszkiewicz zwalczał organizacje wojskowe pozostałe po AK i NSZ w Białostockiem, Kuropieska nie miał żadnych trudności (jego zdaniem) w nawiązywaniu kontaktu w Londynie z generałami Kutrzebą i Sosabowskim oraz z pułkownikami Utnikiem, Bischofem, Bittnerem lub Bajanem (str. 87-89). I jedynie niekiedy miał trudności, jak na przykład z płk. dypl. Piątkowskim, który nie chciał z nim rozmawiać (str. 91). Jednak władze ludowe urwały niektóre z tych kontaktów, odbierając obywatelstwo Bischofowi, Bittnerowi i Chruścielowi 26 września 1946.

Kuropieska pisze również o swych kontaktach z przedstawicielami Stronnictwa Ludowego w Londynie:

„W kilkanaście dni po nocie naszego rządu z 14 lutego w mi-kołajczykowskim piśmie Jutro Polski znalazłem artykuł krytycznie omawiający zarówno samą notę, jak i możliwe następstwa jej oddziaływania. Dlatego też pozwoliłem sobie zaprosić redaktorów tego pisma, pp. Wilka i Młodożeńca, aby dać wyraz swemu zdziwieniu z powodu treści tego napastliwego artykułu (str. 197) ... prosiłem, aby na przyszłość zawsze się ze mną porozumiewano przed opublikowaniem tego rodzaju artykułu. Redaktorzy ci przyrzekli mi to, stwierdzając równocześnie, że obecnie widzą tę sprawę w nieco innym świetle” (str. 200).

Niewątpliwie z satysfakcją opisuje Kuropieska następujący incydent:

„Byłem tego dnia w Izbie Gmin wraz z naszym attaché prasowym, radcą ambasady — Krzysztofem Radziwiłłem. Przed wejściem do loży dyplomatycznej w parlamencie spotkaliśmy byłego ambasadora RP, pana Edwarda Raczyńskiego — dobrego znajomego Krzysztofa Radziwiłła, który okazał się bezcennym nabytkiem, świetnie znającym obyczaje parlamentu oraz wielu występujących w czasie dyskusji postów. Dzięki niemu nic nie urońiłem z tej niewątpliwie interesującej debaty” (str. 235).*

Kuropieska nie tylko chętni się łątwością nawiązywania kontaktów z przedstawicielami emigracji, której likwidowanie było przecie jego zadaniem, ale opisuje również skutecznie zorganizowaną przez siebie intrygę. Mianowicie zainicjował on zbiórkę na rzecz dzieci na Ziemiach Odzyskanych. W skład komitetu zbiórkowego weszli między innymi gen. Stanisław Tatar, ex-minister Marian Seyda, ex-wicepremier Stanisław Stroński i wdowa po generale Helena Sikorska. A pierwszym ofiarodawcą, ogło-

* Przytoczone fragmenty dotyczące opisanych przez Kuropieskę spotkań z Wilkiem i Raczyńskim należy uzupełnić następującymi uwagami: — zapytany przy osobistym spotkaniu 11 września 1982, prezes Franciszek Wilk stwierdził, że nigdy w Londynie Kuropieski nie spotkał i nigdy z nim nie rozmawiał. Natomiast prezydent Edward Raczyński na listowne pytanie odpowiedział pismem z 16 września 1982 w sposób następujący: „Ze spotkania w loży dyplomatycznej Izby Gmin pamiętam tylko tyle, że był tam Kuropieska i że z nim nie rozmawiałem. Natomiast musiałem rozmawiać z Krzysztofem Radziwiłłem. Jego matka, Maciejowa Radziwiłłowa, była bowiem moją siostrą cioteczną, a więc Krzysztof — siostrzeńcem. Miałem dla niego sympatię od kiedy jeszcze był dzieckiem i współczułem mu jako więźniowi Gestapo w obozie koncentracyjnym pod Lublinem. Prawdopodobnie więc dawałem mu objaśnienia, a J. Kuropieska się przysłuchiwał”.

szonym publicznie, został ex-minister Adam Romer (str. 332). Ta intryga, do której wykorzystano biedne dzieci na Ziemiach Odzyskanych, rzeczywiście dała przedstawicielom PRL w Londynie poważne plony. Ciekawe, ile te dzieci na tym skorzystały? Chyba niewiele.

Praca Kuropieski sugeruje, iż w okresie 1945-1946 w środowisku londyńskim było niewielu ludzi, którzy jak płk dypl. Piątkowski zdawali sobie sprawę z roli jaką spełniał Kuropieska.

Pomijając jednak kilka ciekawostek dotyczących kontaktowania się emigrantów z przedstawicielami PRL w Londynie, książka ta, której zasadniczym tematem jest likwidacja PSZ na Zachodzie, wnosi niezmiernie mało, o ile chodzi o czytelnika przebywającego poza krajem, który miał okazję zapoznać się z tymi problemami we wspomnieniach Andersa i Kopańskiego, jak również w opracowaniu „Likwidacja PSZ” (*Zeszyty Historyczne* nr 35), albo też w najnowszej pracy na ten temat Witolda Leitgebera *Zeszyty Historyczne* nr 42), opartej na udostępnionych ostatnio dokumentach brytyjskich, z których korzystał również Kuropieska. Natomiast o ile chodzi o czytelnika krajowego (a wydano około 20 tys. egzemplarzy), materiał zawarty w tej książce jest chyba ogromną sensacją, bo naświetla on nastawienie polskich czynników wojskowych (Anders, Kopański, Rudnicki, Maczek, Wiatr, Iżycki, Świrski), z którymi władze brytyjskie pertraktowały, a które w wyniku tych pertraktacji zgodziły się na likwidację PSZ i zaakceptowały PKPR jako organizację przejściową do życia cywilnego.

Autor przedstawia również nastawienie władz brytyjskich i ich metodę działania. Sprawy te są w kraju, poza wąskim gronem specjalistów-historyków, całkowicie nieznanne i miejmy nadzieję, że książka przyczyni się do spopularyzowania w kraju problemów PSZ na Zachodzie i zrozumienia, dlaczego przerodziły się w masową emigrację polityczną. Miejmy również nadzieję, że książka ta zachwieje panującym w kraju przekonaniem (nawet w środowiskach pozytywnie nastawionych do Wojska Polskiego na Zachodzie), że było to „wojsko tułacze”, coś w rodzaju „turystów Sikorskiego”, jak to określała propaganda hitlerowska. Może dzięki tej książce zacznie do kraju docierać zrozumienie, że było to w pierwszym rzędzie „wojsko dumne”, a nie „tułacze”.

Należy również mieć nadzieję, że czytelnicy krajowi będą czytać uważnie zachodnie dokumenty, przytoczone w książce, a opinie autora będą traktować z większą rezerwą. Gdyż w tej dziedzinie są niedociągnięcia.

Z. S. SIEMASZKO

24 sierpnia 1982

HISTORIA POLSKI

Przyczyny i klęska Powstania Listopadowego są od 150 lat tematem ostrych polemik. Niedawnym ich ogniwem była książka Tomasza Łubieńskiego pt. „Bić się czy nie bić?“, omawiana m.in. w *Kulturze* w trójgłosie: Jan Ciechanowski, Jan Nowak (Jeziorski) i Piotr Wandycz oraz w „Dzienniku pisanym nocą” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Uwagi ich i oceny skupiały się na sprzysiężeniach tajnych, tle politycznym i błędach dowódców. Książka Jerzego Łojka*, wydana już w okresie stanu wojennego omawia problem pozornie marginesowy a mianowicie rolę jaką w okresie poprzedzającym wybuch powstania odegrał narastający gniew ludu, na różne sposoby dochodzący do głosu w formie opinii publicznej. Autor oparł się w dużym stopniu na raportach szpiega carskiego Mackrotha, który za pośrednictwem gen. Dymitra Kutury dostarczał Wielkiemu Księciu Konstantemu niemal codziennie obszerne raporty policyjne o nastrojach Warszawy. Pamiętać przy tym należy, że Łojek jest także autorem książki o szansach Powstania i tomu „Studiów nad prasą i opinią publiczną w Królestwie Polskim” po Kongresie Wiedeńskim. Jest przy tym historykiem nie unikającym tematów kontrowersyjnych i nadal wywołujących porównania.

Punktem wyjścia rozważań Łojka jest Traktat Wiedeński z roku 1815, zapewniający Królestwu Polskiemu „nadanie i poszanowanie własnej konstytucji” w ramach unii personalnej z Imperium Rosyjskim. W traktatach bilateralnych zawartych między Rosją a Austrią oraz między Rosją a Prusami a datowanych znamienne *trzeciego* maja kryły się zapewnienia „oddzielnej administracji” — czyli autonomii — oraz zapowiedź „rozszerzenia wewnętrznego”, co opinia publiczna interpretowała jako możliwość przyłączenia do Królestwa prowincji wschodnich zagarniętych przez Rosję w wyniku rozbiorów. Jeśli dodać do tego złudzenia o propolskim nastawieniu Cara Aleksandra I i wpływach księcia Adama Czartoryskiego — to zrozumieć można genezę nastrojów w Królestwie. Ulegały one stopniowemu ochłodzeniu, gdy odślaniać się zaczęły rzeczywiste intencje Cara, dalekie od powiększania terytorium Królestwa i dorzucenia mu siedmiu milionów dawnych obywateli. Wyraźnym odchyleniem było powołanie na stanowisko namiestnika gen. Józefa Zajączka, którego Łojek określił jako „kalekę o skrajnie oportunistycznych poglądach”.

* Łojek, Jerzy: *Opinia publiczna a geneza powstania listopadowego*. Warszawa, Czytelnik, 1982, str. 242.

dach". Jeśli nawet przyjmujemy, że stanowisko kuratora okręgu szkolnego wileńskiego dawało Czartoryskiemu szerokie pole działania — formalnie było to znacznie mniej niż namiestnictwo, które go niesłusznie ominęło. Gdy wodzem naczelnym armii Królestwa został brat Cara, Wielki Książę Konstanty, tworzyć się zaczęła „czarna legenda” dyktatora-despoty, który, jak trafnie ujął Łojek, „był nieszczęściem Królestwa, ale i szczególną gwarancją jego autonomicznej egzystencji”, gdyż — jak długo pozostawał poza Petersburgiem i był „niemal samodzielnym monarchą w Królestwie Polskim i na sporym obszarze ziem dawnej Rzeczypospolitej” związanym na dodatek z Polską małżeństwem z Joanną Grudzińską — tracił a przynajmniej osłabiał szanse pretensji do następstwa tronu w Rosji.

Wkrótce po zainstalowaniu się w Warszawie Wielki Książę rozbudował policję tajną i nie jest przypadkiem, że wspomniane przed chwilą raporty Mackrotha rozpoczynają się w roku 1819. Dla opinii publicznej było to zaskoczeniem i wiązało się z wczesnymi objawami podejrzeń i obaw. Ciekawa jest i wymowna sprawa „korpusu litewskiego” utworzonego w roku 1817 na obszarze dawnych ziem wschodnich Rzplitej z żołnierzy i oficerów na ziemiach tych rekrutowanych. Zauważono, że stopniowo wycofywano z korpusu oficerów polskich, zastępując ich przybyłszymi z głębi Rosji. W Wilnie z każdym rokiem zaostrzał się wrogi stosunek do Polaków ze strony Nikołaja Nowosilcowa, który na zlecenie Cara „bez jakiegokolwiek konstytucyjnego i legalnego uzasadnienia” „prowadził działalność nadzorczą i śledczą”, a namacalnym jej przejawem były przesładowania patriotycznej młodzieży warszawskiej i wileńskiej.

Gdy Wielki Książę Konstanty dławić zaczął brutalnie wczesne poczynania konspiracyjne i stał się symbolem przemocy — gdy zachwiała się wiara w przychyłność Cara a z Rosji zaczęły dochodzić echa działalności tajnych związków, społeczeństwo polskie — jak pisze Łojek — „zaczęło się oswajać z ideą czynnej walki o pełną niepodległość narodową”. Proces Łukasieńskiego otworzył szeroko oczy a surowy wyrok skłonił do szukania kontaktów z podziemiem rosyjskim. W tej fazie, jak ocenia Łojek, trwano przy koncepcji wspólnego państwa rosyjsko-polskiego. Datą przełomową były lata 1825/26, na które przypada: zgon Aleksandra I, wątpliwości co do następstwa tronu, powstanie dekabrystów i „podanie do powszechnej wiadomości istnienia w Polsce narodowej konspiracji”. Opozycja antycarska w Królestwie w warstwie czytającej chciwie i uważnie pisma zagraniczne inteligencji karmiła się interpretacją wydarzeń światowych w ich ujęciu. Równocześnie w samym Królestwie rosła opozycja przeciw brutalnym praktykom Wielkiego Księcia Konstantego. Ostatnią kroplą było sprawa sądu nad uwięzionymi członkami Towarzystwa Patriotycznego rozpatrywana na zlece-

nie Cara — już wtedy Mikołaja I — przez specjalnie utworzony sąd sejmowy. Dalszym etapem była tragikomiczna koronacja Cara na „Króla polskiego”, celebrowana po wyroku Sądu Sejmowego i manifestacyjnym pogrzebie Piotra Bielińskiego, przew. Trybunału sądzącego członków Tow. Patriotycznego. Opinia publiczna podążała za biegiem wypadków; dobrze oddaje to Słowacki w „Kordianie”. Jawne pogwałcenie postanowień Kongresu Wiedeńskiego, wówczas świeżej daty, terror wyczuwalny na każdym kroku, złudzenia związane z sytuacją międzynarodową — oto etapy zjawiska, które określić można z dystansu lat jako narastanie nastrojów społeczeństwa, może nawet nieświadomie wspierającego poczynania konspiracji wojskowej i uzasadniającego jej decyzje.

Łojek nie dopowiada nasuwającego się przy lekturze książki wniosku, że wszystko to dziwnie przypomina okoliczności wybuchu dwu dalszych powstań: styczniowego i warszawskiego. W dzielących je okresach określonych przez Gustawa Herlinga-Grudzińskiego jako swoiste zawieszenia broni, według ustalonego wcześniej samorzutnie schematu narastał gniew ludu — sprzeciw wewnętrznej wolności nieujarzmionego ducha — wiecznego rewolucjonisty.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

3 grudnia 1982

Józef CZAPSKI

K A T Y Ń

Znowu książka o Katyniu*? Kiedy już ukazała się we Francji świetna książka Monforta, kiedy książki Andersa i Zawodnego wyszły również w tłumaczeniu francuskim, kiedy było już o Katyniu szereg dyskusji w radio i wiele artykułów w pismach historycznych?

Książka ta wydaje mi się jednak niezmiernie cenna i potrzebna.

* Aleksandra Kwiatkowska-Viatteau, 1940-1943. *Katyn. L'armée polonaise assassinée*. Wyd. Edition complexe, Bruksela.

Powstała ona z całej mozaiki tekstów, wypowiedzi świadków, współuczestników i pisarzy, z załączonymi starannymi odnośnikami, podającymi skąd autorka te teksty zaczerpnęła. Nie znam podobnego kompendium danych o sprawie katyńskiej. Sam, przez kilka lat zaangażowany w poszukiwanie zaginionych w Rosji Sowieckiej, byłem pewny, że nic tu nie znajdę, czego bym nie znał lub nawet sam nie opisał. Otóż pomyliłem się. A przy tym materiały te, konsekwentnie zgrupowane, działają inaczej, dotkliwiej.

Książka zaczyna się od opisu samej zbrodni w naświetleniu ze strony niemieckiej, sowieckiej i polskiej.

Chciałbym zwrócić uwagę na parę punktów, które zdały mi się najbardziej interesujące. Mamy w książce szereg wypowiedzi aliantów. Jeżeli chodzi o Anglików, tajny raport O'Malleya ambasadora angielskiego przy rządzie polskim wyjaśnia, że nikt w angielskich wyższych sferach rządzących nie mógł mieć co do autorów zbrodni wątpliwości. Ale raport ten stał się jawny dopiero w 1972 roku, gdy archiwa z tamtych lat zostały udostępnione publiczności.

Mamy tu wypowiedzi szeregu polityków angielskich, przytoczone w dosłownym brzmieniu.

Jeżeli zaś chodzi o Amerykę, znane jest stanowisko prezydenta Roosevelta, nie dopuszczającego nawet wątpliwości, że zbrodnia nie została dokonana przez Niemców. Tu prześledzić możemy na przykładach, jak surowo byli karani Amerykanie, którzy ośmielili się pisać czy nawet tylko mówić prawdę, przeciwstawiając się woli prezydenta.

Chodzi tu między innymi o pułkownika amerykańskiego Szymańskiego, który przybył do sztabu gen. Andersa w Iranie w drodze z Rosji do Waszyngtonu, by zawieźć do Roosevelta cały zebrany przez nas materiał dowodowy o Katyniu. Nie zapomnę tego wściekłego słonecznego dnia i długiej nocy, kiedy przygotowaliśmy cały materiał, by sympatyczny pułkownik mógł z nim jak najprędzej dotrzeć do Waszyngtonu. Szymański natychmiast po przyjeździe został surowo skarcony przez wyższą władzę, że uległ wpływom antysowieckich Polaków. Nasze raporty w ogóle do nikąd nie trafiły i... „zaginęły”.

Pułkownik Van Vliet, dowieziony przez Niemców z obozu na groby katyńskie, zredagował raport do Departamentu Wojny USA. Jego raport również „zaginął”, pułkownik zaś otrzymał rozkaz, by zachował o nim zupełne milczenie.

Inny Amerykanin, osobisty przyjaciel Roosevelta George Howard Earle (w randze ambasadora) zainteresował się w Europie sprawą katyńską. Gdy ją przestudiował, doszedł do przekonania, że jest to dzieło rąk sowieckich. Wyruszył wówczas do Ameryki, by osobiście sprawę przedstawić prezydentowi. Roosevelt powiadził mu, że widzi, jak bardzo ulega wpływom niemieckim, i zakazał mu powtarzania swojej opinii. Ale Amerykanin roz-

kazu nie usłuchał i zaczął pisać. Wówczas został natychmiast zesłany na wyspy Samoa i dopiero po śmierci Roosevelta mógł wrócić do Ameryki.

Kiedy pierwszy ambasador amerykański wysłany po wojnie do Polski zgłosił się w Foreign Office po materiały w sprawie katyńskiej, nie znalazł w archiwach *niczego* poza listem córki ambasadora w Moskwie, która odwiedziła Katyń i w tym liście pisała, że za zbrodnię odpowiedzialni są Niemcy. (Zresztą dobrych parę lat potem sama swoją opinię odwołała).

W książce znajdujemy również szczegóły z procesu norymberskiego, m.in. odpowiedź najwyższego prokuratora, której nie znam.

Wiemy wszyscy, że Truman ustosunkował się do sprawy Katynia całkowicie inaczej niż Roosevelt. Tym niemniej, kiedy w 1950 roku mówiłem w radio amerykańskim o Sowietach, z mojego przemówienia starannie wykreślono słowo Katyń.

Na dalszych stronach książki autorka stara się prześledzić, jak Katyń, mimo całkowitego zakazu pisania i mówienia o nim, staje się w Polsce symbolem krzywd doznaných od Sowieców. Dalej notuje powtórzoną w dwóch wersjach rozmowę Chruszczowa z Gomułką, w której Chruszczow miał zaproponować Gomułce, by ujawnił autorów Katynia, zwalając wszystko na Stalina, ale Gomułka tej propozycji nie przyjął, obawiając się zbytniego oburzenia opinii polskiej. Autorka cytuje również drugą wersję tej pogłoski, sprzeczną z poprzednią.

Dalej czytamy między innymi dokładne rozporządzenia cenzury w Polsce, w jaki sposób należy sprawę Katynia traktować: przede wszystkim samo słowo Katyń uznać za niebyłe.

Ku końcowi książki opowiedziana jest prawdziwa abrakadabra o wykradzeniu nagrobka ku czci poległych w Katyniu. 31 lipca 1980 roku ustawiono na Powązkach pomnik ku czci poległych. Pomnik składał się z krzyża wysokości 4,5 m z wyrytą nań datą 1940, u jego stóp leżał kamień z napisem Katyń. Ten kamień był powiązany łańcuchem z dwoma innymi kamieniami, na których napisano Ostaszków i Starobielsk.

1 sierpnia, w rocznicę Powstania Warszawskiego, tłumy ludzi wybrały się na Powązki. I tam — zamiast pomnika katyńskiego zobaczyły pusty teren, na którym widniały jedynie ślady kół potężnej ciężarówki. Pomnik został poprzedniej nocy „ukradziony”.

Pozwoliłem sobie wymienić zaledwie część tekstów, które w tej skromnej książce odnalazłem. Wydana w Brukseli w formie kieszonkowej i opatrzona dwudziestoma fotografiami, książka ta każdemu, kto zechce znać prawdę o Katyniu, mówi właściwie wszystko.

Józef CZAPSKI

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz WYRWA

PROROSYJSKOŚĆ „WOLNEJ FRANCJI” GEN. DE GAULLE’A

Wybór prezydenta Mitterranda w maju 1981 roku zamknął — na razie tylko pozornie — okres orientacji gaullistowskiej w polityce zagranicznej Francji. Jedną z głównych cech tej polityki było jak najściślejsze ułożenie stosunków z Rosją. Trudno dziś przewidzieć, w jakim stopniu polityka socjalistów różnić się będzie ostatecznie od polityki gaullistów. Paradoxem wydaje się fakt, że postawa wobec Moskwy lewicowego prezydenta Mitterranda jest bardziej stanowcza niż np. jego poprzednika, prawicowego Giscard d’Estainga. Podczas gdy jednak Mitterrand oświadcza, iż trzeba wreszcie skończyć z systemem ustalonym w Jałcie, rząd francuski i rząd niemiecki zawierają z ZSSR umowę o dostawie gazu syberyjskiego i budowie rurociągu, który przyniesie Rosji ogromne korzyści finansowe i polityczne. Nadto premier francuski, Pierre Mauroy, nie zawahał się oświadczyć dnia 25 stycznia 1982 roku, że „na nic się nie zda dorzucanie do dramatu polskiego dramatu Francuzów pozbawionych gazu”.

Jeśli chodzi o konkretne fakty, polityka lewicowego rządu Francji wobec Moskwy niczym się na razie nie różni od polityki konserwatywno-prawicowych sfer gaullistowskich. Jedni i drudzy, podobnie zresztą jak cała Europa zachodnia, zrobią wszystko, żeby zapewnić *détente* w stosunkach handlowo-politycznych ze

ZSSR. Nie sięgając dalej w przeszłość do zakorzenionej we Francji tradycji przymierza z Rosją i fascynacji, jaką kraj ten budził w wielu Francuzach, wystarczy zwrócić uwagę na tendencję polityki de Gaulle'a w czasie drugiej wojny światowej.

Artykuł niniejszy oparty jest częściowo na publikacjach związanych z tym zagadnieniem oraz na dokumentacji znajdującej się w archiwach „Wolnej Francji” we francuskim ministerstwie spraw zagranicznych. Nie wyczerpuje on w żadnym wypadku tematu i ogranicza się jedynie — w oparciu o kilka przykładów — do zasygnalizowania problematyki wymagającej obszernego opracowania.



Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej w czerwcu 1941 roku generał de Gaulle, uwikłany w permanentny konflikt z Rooseveltem i Churchillem, „chce widzieć w Związku Sowieckim jedynie — jak pisze francuski historyk — potężnego sprzymierzeńca, którego zsyła mu niebo. Przed czerwcem 1941 roku starannie wystrzegał się atakowania go, nawet za pakt niemiecko-rosyjski”¹. Nie uchroniło to jednak de Gaulle'a od ataków ze strony Związku Sowieckiego, o czym sam pisze w swoich „Pamiętnikach”: „Podczas gdy radio moskiewskie pomstowało bez przerwy przeciwko 'imperialistom angielskim' i 'ich gaullistowskiemu najemnikom' do chwili kiedy czołgi niemieckie przekraczały granicę rosyjską, dosłownie godzinę później na falach z Moskwy usłyszało się potok pochwał dla Churchilla i de Gaulle'a”². Jesienią 1941 roku, Bogomołow został akredytowany jako przedstawiciel Moskwy przy Komitecie „Wolnej Francji” w Londynie. „Bogomołow — pisze de Gaulle — przybył z Vichy, gdzie od roku był ambasadorem przy Pétainie. Przystosował się bez żadnej trudności do nowych warunków, w jakich przyszło mu służyć”³.

Dnia 20 stycznia 1942 roku de Gaulle w przemówieniu radiowym z Londynu oświadczył: „Na powszechne nieszczęście przymierze francusko-rosyjskie było od wieków zbyt często unie możliwiane lub krzyżowane przez intrygi lub brak zrozumienia. Niemniej jednak pozostało ono koniecznością, która pojawia się w każdym przełomowym momencie historii. Dlatego Francja walcząca złączy swój odradzający się wysiłek z wysiłkiem Zwią-

1. Henri Michel, *Histoire de la France Libre*, PUF, Paryż 1980, str. 88.

2. Charles de Gaulle, *Mémoires de guerre*, Plon, Paryż 1962, Tom 1, str. 215.

3. *Supra*, str. 217.

ku Sowieckiego... Francja walcząca dowiedzie, że mimo swego chwilowego nieszczęścia jest naturalnym sprzymierzeńcem (*l'alliée désignée*) Rosji Sowieckiej"⁴. Według jednego z czołowych historyków francuskich, który z kolei powołuje się na publikację rosyjską, dnia 6 czerwca 1942 roku, w pełni kryzysu z Rooseveltem i z Churchillem, „de Gaulle zapytał Bogomołowa, czy w wypadku zerwania z Anglikami ZSSR zgodzi się na przyjęcie jego i jego armii”⁵.

Powracając jeszcze na chwilę do cytowanego wyżej przemówienia de Gaulle'a z 20.1.1943 r., to po przemówieniu tym generał Sikorski zaproponował de Gaulle'owi spotkanie, w czasie którego, według sprawozdania jakie znajduje się w archiwach francuskich, „generał Sikorski był bardzo dotknięty przemówieniem radiowym z 20 stycznia skierowanym do Rosji... Sikorski zwrócił uwagę, że w swoim przemówieniu dotyczącym Rosji generał de Gaulle nie powiedział ani jednego słowa o Polsce... Generał de Gaulle odpowiedział, że nie mówił o żadnym kraju poza Rosją... Pragniemy gorąco, dodał on, żeby Polska porozumiała się z Rosjanami. Uważamy, że nie powinniśmy się mieszać i brać czyjejs strony w zatargu, jaki może powstać między Polską i Rosją co do granicy wschodniej. Jesteśmy natomiast gotowi popierać Polskę w każdej rewindykacji terytorialnej w stosunku do Niemców. Bardzo chętnie również widzimy ścisłą współpracę między Polską i Czechosłowacją i przywiązujemy największą wagę do projektu konfederacji w toku studium między dwoma rządami”⁶.



Po rozwiązaniu Kominternu w programie *Honneur et Patrie* (Honor i Ojczyzna), nadawanym regularnie przez BBC w Londynie, Maurice Schumann, rzecznik radiowy „Wolnej Francji”, w audycji z dnia 24 maja 1943 stwierdził: „... Istotnie, jeżeli decyzja Moskwy jest być może najważniejszym politycznym aktem wojny światowej, to dlatego że sprzyja, ponad wszelkie nasze nadzieje, zjednoczeniu między zwycięskimi krajami. Otóż brak

4. Charles de Gaulle, *Discours et messages...* Plon, Paryż 1970, Tom 1, str. 171.

5. Henri Michel, *op. cit.*, str. 90.

6. Wyrażona tutaj opinia generała de Gaulle'a na temat konfederacji polsko-czechosłowackiej jest diametralnie odmienna od tej, jakiej hołdowano w środowisku „Wolnej Francji” odnośnie polskiej idei federacji państw Europy środkowo-wschodniej. *Vide* mój artykuł w *Zeszytach Historycznych* Nr 56, str. 227 i nast.

właśnie tego podwójnego zjednoczenia był powodem, że po wygraniu ostatniej wojny przegraliśmy pokój... Rozwiązanie Kominternu oznacza, że Związek Sowiecki jest stanowczo zdecydowany usunąć punkty sporne i czynniki nieufności, które mogą unicestwić wspólne zwycięstwo i rozbić wspólnotę zwycięzców”⁷.

Tak myślał, czy też tylko mówił, rzecznik „Wolnej Francji”, dysponując w Londynie wszelkimi danymi, żeby orientować się w sytuacji. W okupowanej Polsce natomiast, odciętej od Zachodu, nie zatracono poczucia rzeczywistości, o czym świadczy chociażby artykuł w konspiracyjnym miesięczniku inteligencji ludowej *Orka*, gdzie w numerze z czerwca 1943 roku, w związku z rozwiązaniem Kominternu pisano: „Na ogół uważa się tę decyzję za niezgrabny trik propagandowy Moskwy, która tą drogą chce wytrącić państwowi Osi argument, że celem Rosji jest zbol-szewizowanie całego świata, a przynajmniej Europy. Likwidując pozornie główne narzędzie propagandy komunistycznej, chce Rosja przedstawić się społeczeństwom 'burżuazyjnym' w roli państwa kulturalnego, pokojowego, które nie chce się mieszać do spraw wewnętrznych innych państw. W istocie rzeczy jednak wszystko pozostanie po staremu... Naszym zdaniem istotny powód decyzji tkwi w ideowym i politycznym bankructwie III Międzynarodówki... Przedsiębiorstwo pod nazwą 'Komintern' było już dawno 'pod bilansem' i tylko zachowało pozory żywotności dzięki finansowym subsydiom Moskwy... Stalin rozumie, że w obecnych czasach należy stosować bardziej subtelne metody penetracji i dywersji... że należy agenturom moskiewskim w każdym kraju nadać oblicze bardziej 'narodowe'”.



Stosunki między rządem polskim a generałem de Gaullem były poprawne, ale nie więcej. Jest to odrębny temat, nie mieszczący się w ramach tego artykułu. Tutaj chciałbym tylko przytoczyć paragraf z tajnego protokołu, jaki podpisał de Gaulle w imieniu „Wolnej Francji” i Edward Raczyński w imieniu rządu polskiego: „Strony zawierające umowę są zgodne zapewnić sobie wzajemnie jak najskuteczniejszą pomoc i poparcie w dążeniu do przywrócenia wolności i wielkości Francji i Polski i zobowiązują się podtrzymywać nawzajem swe prawowite cele wojenne, stosownie do interpretacji Karty Atlantyckiej, jaką każda ze stron

7. Maurice Schumann, *Honneur et Patrie*. Przedmowa generała de Gaulle'a. Editions du Livre Français, Paryż 1946, str. 276-277.

przedłożyła na posiedzeniu Konferencji międzysojuszniczej, odbytej dnia 24 września 1941”.

Po zajęciu przez aliantów w listopadzie 1942 roku północnej Afryki francuskiej de Gaulle przeniósł się 30 maja 1943 roku z Londynu do Algieru. Dnia 3 czerwca został utworzony w Algierze „Francuski Komitet Wyzwolenia Narodowego” (*le Comité français de libération nationale*). Dosłownie rok później Komitet ten został przekształcony w „Tymczasowy rząd Republiki francuskiej”. Nadto od września 1943 funkcjonowało w Algierze „Zgromadzenie doradcze” (*L'Assemblée consultative*) — namiastka parlamentu.

W październiku 1943 roku Kajetan Morawski został akredytowany w randze ambasadora przy Komitecie „Wolnej Francji” w Algierze. Do tego czasu przedstawicielem rządu polskiego w Afryce północnej był Emeryk Czapski. Po zerwaniu przez Moskwę stosunków dyplomatycznych z rządem polskim w Londynie, w związku z wykryciem zbrodni katyńskiej, E. Czapski interweniował u Jacques Tarbé de Saint-Hardouin, sekretarza „Wolnej Francji” do spraw międzynarodowych w Algierze, „skarżąc się — cytuję za raportem z 4 maja 1943 roku, który znajduje się w archiwach francuskich — że prasa i radio w Algierze nie złożyły obiektywnego sprawozdania z zatargu polsko-sowieckiego” (chodzi o radio i prasę „Wolnej Francji”).

W tym samym czasie Ph. Grousset, delegat „Wolnej Francji” w Hawannie, w raporcie wysłanym 1 maja do René Massigli, komisarza „Wolnej Francji” do spraw międzynarodowych w Londynie, pisał: „Osobistości, z którymi rozmawiałem o trudnościach polsko-rosyjskich, osądzają przeważnie surowo postawę rządu polskiego w Londynie. Nie zapomina się, że w okresie poprzedzającym wojnę rząd Becka nie przestawał szukać ze strony Trzeciej Rzeszy asekuracji przeciwko ZSSR. Pamięta się również o roli, jaką Polska odegrała przy rozbiórce Czechosłowacji. Obecny gest rządu polskiego uważany jest za całkowicie nieodpowiedni (chodzi o zwrócenie się rządu polskiego do Czerwonego Krzyża w Genewie — T.W.). Dostarcza on propagandzie nazistowskiej doborowej pożywki, pozwalającej jej głoszenie kruchości koalicji przeciwnej Osi... Podkreśla się, że w tym świetle gest rządu polskiego okazuje się nie tylko agresją przeciwko sprzymierzeńcowi, który ponosi główny ciężar działań wojennych, lecz też aktem nieprzyjaznym i szkodliwym dla ogółu Narodów Zjednoczonych”.

Odnosnie działalności ambasadora Morawskiego w Algierze

archiwa francuskie zawierają kilka wzmianek z jego interwencji w związku z tendencyjnym naświetlaniem sprawy polskiej przez prasę „Wolnej Francji”. Dnia 17 stycznia 1944 roku Morawski wyraził wobec sprawującego wówczas urząd komisarza do spraw międzynarodowych w Algierze R. Massigliego życzenie, „żeby dzienniki zachowały pewną wierność zasadom, dla których Narody Zjednoczone prowadzą wojnę”. W odpowiedzi Massigli oświadczył: „Nasze organy robią co mogą, żeby nie rozjątrzać dysputy, którą chcielibyśmy widzieć uwieńczoną zadowalającym kompromisem, ale Morawski musi zrozumieć że w obecnej sytuacji nie jest możliwe podkreślanie w prasie aspektów moralnych postawionego problemu”.

Miesiąc później Morawski wystąpił do Massigliego z protestem przeciwko opublikowaniu 17 lutego w tygodniku *Liberté*, organie partii komunistycznej, oszczerczego oskarżenia na rząd polski w Londynie. „Morawski — jak zanotowano w sprawozdaniu — podkreślił dyskretnie rozgoryczenie, jakie mu sprawia postawa prasy francuskiej w Afryce północnej, która zawsze podaje wiadomości dotyczące konfliktu polsko-sowieckiego w sposób przychylny dla ZSSR”. Trzeba bowiem pamiętać, że cała prasa francuska w Afryce północnej podlegała cenzurze „Wolnej Francji”, bez której nic nie mogło być opublikowane.

W numerze z 16 marca 1944 roku ten sam tygodnik *Liberté* opublikował nowy paszkwil pt. „Fatalne skutki polityki Piłsudskiego i Becka”, podpisany przez niejakiego Ermacheva. Oto kilka zdań z tego artykułu: w części zatytułowanej „Oficjalny antysowietyzm” autor pisze: „Różne organizacje antysowieckie działały w Polsce do ostatniej chwili jej niepodległego bytu”. Ich działalność „doprowadziła do takich prowokacji, że jedynie cierpliwość i duch pokoju rządu sowieckiego pozwoliły uniknąć niebezpiecznych konfliktów wojskowych”. Następnie, w rozdziale zatytułowanym „W ramionach Hitlera”, czytelnicy mogli się dowiedzieć, że przez zawarcie paktu niemiecko-polskiego w 1934 „Hitler obiecał przywódcom polskim ekspansję na Wschód” i że emigracyjny rząd polski działa często, „jak na przykład w wypadku prowokacji z Katyniem, jako bezpośredni współnik Hitlera”. W końcu, żeby całość uaktualnić, w ostatniej części artykułu zatytułowanej „Na żołądź niemieckim”, autor tłumaczy: „Polskie podziemne siły zbrojne, działające według instrukcji Sosnkowskiego, odgrywają rolę katów, szpiegów i prowokatorów niemieckich w walce z patriotami polskimi i białoruskimi”.

Warto nadto podkreślić, że w roku 1944 — w którym opublikowany został m.in. powyższy paszkwil — propaganda sowiec-

ka na łamach prasy komunistów francuskich miała tym większe znaczenie, że komuniści francuscy wchodzili w skład „Narodowej Rady Ruchu Oporu” (*Conseil national de la Résistance*), „Zgromadzenia doradczego” i „Komitetu” (o których była mowa) „Wolnej Francji” w Algierze i następnie uczestniczyli w tymczasowym rządzie generała de Gaulle’a. Dlatego też prasa partii komunistycznej — której członkowie znajdowali się w najwyższych organach francuskiej władzy państwowej — miała duży wpływ na kształtowanie opinii publicznej.



Dnia 10 kwietnia 1944 roku w programie *Honneur et Patrie* Maurice Schumann oświadczył: „ZSSR rozpoczął w marcu ofensywę w kierunku Karpat. Czy wojska rosyjskie wkraczają do Czechosłowacji z portretami Lenina, broszurami Karola Marksa i wasalskim rządem, utworzonym wcześniej w Moskwie z komunistów? Odpowiedź dają następujące fakty: na mocy układu równy z równym, jaki przygotowały w tym samym brzmieniu przedstawiciele obydwu stron, organy rządu czeskiego będą jedyne, które wezmą w swoje ręce administrację na terenach oswobodzonych, stosownie do prawa czeskiego i żadnego innego. Czy jednak ten rząd jest komunistyczny? Wszystkie partie czechosłowackie są tam reprezentowane, z wyjątkiem właśnie partii komunistycznej. ... No dobrze, powiedzą nam, ale Polska?”⁸. Tutaj Schumann cytuje artykuł z *Sunday Times* z zaznaczeniem, że jest to dziennik nie komunistyczny lecz o charakterze konserwatywnym, co tym bardziej winno potwierdzać jego wiarygodność w danej sprawie.

Oto wyjątek z tego artykułu: „Naczelny dowódca wojsk rosyjskich na froncie ukraińskim wezwał szefa polskiej armii podziemnej na Wołyniu, proponując mu utworzenie polskiej dywizji podporządkowanej dowództwu sowieckiemu i zaznaczając wyraźnie, że będzie on podlegał naczelnemu dowództwu polskiemu i rządowi polskiemu w Londynie, z którym będzie mógł swobodnie się komunikować. Przedstawiciele tego rządu w Polsce i gabinet zwołany specjalnie w tym celu w Londynie zatwierdzili tę umowę bez zastrzeżeń”⁸. Schumann stwierdził następnie w konkluzji:

8. Chodzi o 27 dywizję piechoty AK, która — w myśl tej umowy — walczyła wspólnie z armią sowiecką przeciwko Niemcom i która następnie, po wykrwawieniu się, została rozbrojona: żołnierzy wcielono do armii Berlinga a oficerów deportowano. Część dywizji uratowała się dzięki przebicciu się do lasów parczewskich.

„Otóż wiecie, że stosunki dyplomatyczne są niestety zerwane między rządem sowieckim i rządem polskim w Londynie. Zamiast przeto skorzystać z tego, żeby zignorować rząd polski lub też powołać konkurencyjny, rząd sowiecki uznaje i gwarantuje uwolnionej ludności polskiej prawo do podporządkowania swojego wysiłku w walce przeciwko wspólnemu wrogowi władzom, które ucieleśniają niepodległość i suwerenność narodu”⁹.



Na początku 1944 roku Pierre Cot, deputowany i b. minister — m.in. w gabinecie Leona Bluma z okresu Frontu Ludowego 1936 roku — otrzymał misję udania się do Moskwy z ramienia „Wolnej Francji”. Cot wyjechał do Moskwy w marcu 1944 i był tam do lipca. Po powrocie napisał sprawozdanie liczące 121 stron maszynopisu. Na ostatniej stronie, przy podpisie, figuruje data: Moskwa, lipiec 1944 - Algier, sierpień 1944. Na temat tej misji, jak i wspomnianego sprawozdania, nie spotkałem nigdzie żadnej wzmianki. Sprawozdanie znajduje się w archiwach francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych.

Celem misji, określonej w ogólnych zarysach przez Massigliego, miało być w pierwszym rzędzie zbadanie ewolucji polityki przywódców sowieckich, zwłaszcza ich zamiarów po zakończeniu wojny, oraz zwrócenie specjalnej uwagi na skutki dokonanej wówczas reformy konstytucji. Nadto, jak podaje Cot w swoim sprawozdaniu, „w przeddzień mojego wyjazdu generał de Gaulle prosił mnie o szczególne przestudiowanie: 1) metody odbudowy jakie stosują władze sowieckie; 2) kwestii naszych możliwości otrzymania po wojnie w Związku Sowieckim materiałów, jakich będziemy potrzebowali do zaopatrzenia naszego kraju, przede wszystkim narzędzi przemysłowych, statków handlowych i samolotów transportowych”.

Sprawozdanie Pierre’a Cota nie wymaga komentarzy; wystarczy przytoczenie kilku fragmentów: „Władze sowieckie ogromnie ułatwiły mi spełnienie mojej misji... Żaden zagraniczny polityk, znajdujący się w Związku Sowieckim podczas wojny, nie był przyjęty z większym zaufaniem i nie miał aż tylu ułatwień... Moralność publiczna i prywatna jest wyższa w Związku Sowieckim niż gdziekolwiek indziej... To właśnie w moralności sowiec-

9. *Vide: Ici Londres 1940-1944. Les voix de la liberté. La Documentation Française, Paryż 1975, Tom IV, str. 232-233.*

kiej, w szeroko rozpowszechnionym poczuciu odpowiedzialności historycznej i społecznej trzeba szukać tajemnicy patriotyzmu sowieckiego. Ten patriotyzm jest bogatszy od naszego, gdyż do umiłowania własnej ziemi dodaje pojęcie stosunków społecznych rozciągających się na całą ludzkość. Ponadto Związek Sowiecki podjął idee Rewolucji Francuskiej i przedłużył ich byt... To humanizm leży u podstaw potęgi sowieckiej. Ten humanizm leży również u podstaw międzynarodowego promieniowania ZSSR... Państwo sowieckie jest obecnie bardziej demokratyczne od państwa typu burżuazyjnego... ZSSR nie ma zamiaru prowadzić polityki imperialistycznej i podboju; nie weźmie piędzi ziemi, która mu się nie należy (granice z 1941); nie życzy też sobie podporządkowania swoim prawom narodów niesowieckich”.

Następna część sprawozdania poświęcona jest stosunkom francusko-sowieckim. Cot pisze: „Związek Sowiecki pragnie, żeby Francja była silna i demokratyczna, ale śledzi z niepokojem krzywą naszej polityki”. Oto przykłady tej polityki, jakie przytacza Cot: „Ubiegłego roku wierzono, iż należy udekorować Krzyżem Wyzwolenia Narodowego (*Croix de la libération nationale*) generała Mihajlovica, którego rząd sowiecki uważa za... zdeklarowanego wroga ZSSR... Sprawa złota polskiego jest jeszcze ważniejsza. Złoto to należy do Polski, stanowiąc jedyne mienie, jakie ten nieszczęśliwy kraj będzie mógł dać w zastaw, ażeby otrzymać niezbędne do odbudowy kredyty. Komitet 'Wolnej Francji'¹⁰ oddał to złoto rządowi polskiemu w Londynie, który — jak wszyscy obecnie wiedzą — niewielkie będzie miał szanse na uznanie go przez naród polski i o którym najmniej co można powiedzieć to to, iż jest on tak antysowiecki jak i antyniemiecki. Z punktu widzenia prawnego złoto należy do spadkobierców państwa polskiego w granicach z 1939 roku, tzn. że będą się mogli o nie upominać Związek Sowiecki za terytorium położone na wschód od linii Curzona i Czechosłowacja za terytorium wcielone przez Polskę po Monachium. W rzeczywistości złoto to służyło do finansowania kampanii prowadzonej w Stanach Zjednoczonych przez Polaków z Londynu, skierowanej przeciwko Związkowi Sowieckiemu i prezydentowi Rooseveltowi”.

Do tego sprawozdania Pierre Cot dołączył tajny raport liczący 13 stron, gdzie, po powtórzeniu tego co już pisał o złocie polskim i co zostało wyżej przytoczone, dodał następujący paragraf: „Byłoby nam łatwo znaleźć pretekst lub jakiś środek proceduralny (na przykład opozycja grupy Polaków antyfaszystów)

10. Chodzi o *Comité français de libération nationale*.

umożliwiający zablokowanie funduszy polskich do końca wojny. Postępując w ten sposób, wywołalibyśmy niezadowolenie rządu polskiego w Londynie — co nie miałoby większego znaczenia — ale zadowolili Związek Sowiecki i wszystkich demokratów polskich i amerykańskich”.

W konkluzji swojego sprawozdania Cot pisze: „Dziękuję generałowi de Gaulle'owi i R. Massigliemu za danie mi okazji lepszego poznania Związku Sowieckiego... Pragnę, żeby doświadczenie a zwłaszcza znaczenie, jakie osiągnąłem w ciągu mojego pobytu w ZSSR mogły służyć odbudowie Francji silnej, wolnej i szczęśliwej”.

Nie wiadomo, dlaczego właśnie Pierre Cot został wyznaczony do tej misji, której rezultatem było propagowanie polityki sowieckiej w sposób jak najbardziej bezczelny. Można się tylko domyślać, że został wytypowany dzięki specjalnym kwalifikacjom, czego dowodem jest jego sprawozdanie i co nie wydaje się być jedynie dziełem przypadku. Dla ogólnej informacji warto dodać, że po upadku Francji w 1940 roku Cot schronił się w Stanach Zjednoczonych, gdzie — jak świadczą dokumenty w amerykańskich archiwach¹¹ — niezbyt pochlebnie wyrażał się o de Gaulle'u o czym jednak de Gaulle zapewne nie wiedział. Później znalazł się w Algierze jako członek „Zgromadzenia doradczego” przy „Wolnej Francji”. Po wojnie był przez wiele lat deputowanym w Izbie poselskiej.

Z misją Pierre Cota wiąże się jeszcze ubocznie incydent odwołania przez Moskwę zgody na przyjęcie Gastona Palewskiego, ambasadora tymczasowego rządu Francji w ZSSR. Pisze o tym Cot w swoim sprawozdaniu oraz Roger Garreau, przedstawiciel „Wolnej Francji” w Moskwie, który w telegramie wysłanym dnia 22 marca 1944 roku do generała de Gaulle'a — i zachowanym w archiwach — przytoczył słowa wypowiedziane przez jakiegoś urzędnika sowieckiego (skrót nazwiska nieczytelny): „Dlaczego przysyła się nam człowieka, który z powodu swojego pochodzenia naraża nas na sytuację drażliwą?”. Jak wiadomo, G. Palewski, jeden z najbliższych współpracowników de Gaulle'a, pochodził z rodziny polskiej. Rząd sowiecki odmówił mu *agrément* 22 marca 1944 roku, dokładnie w tym samym dniu, w którym przyjechał do Moskwy Pierre Cot, czyli jednego odrzucono a drugiego fetowano, z czego jednak de Gaulle ani

11. Vide: Nerin E. Gun, *Les secrets des archives américaines Pétain-Laval-De Gaulle*, Albin Michel, Paryż 1979, str. 390-391.

jego otoczenie nie wyciągnęli żadnych wniosków i w ogóle cały ten incydent został przemilczany.



Roger Garreau, o którym była już mowa, został wysłany przez de Gaulle'a w lutym 1942 roku do Moskwy, gdzie przez trzy lata — jak pisze de Gaulle — „pożytecznie i inteligentnie reprezentował Francję”¹². W rzeczywistości jednak, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy polsko-rosyjskie, Garreau nie miał rozeznania; wysyłał do „Wolnej Francji” niezliczoną ilość telegramów z przedrukami wrogich Polsce artykułów z prasy sowieckiej, lub też usłyszanyymi bzdurami propagandy moskiewskiej. Komentarze swoje ograniczał przeważnie do zalecania jak największej ostrożności ze strony „Wolnej Francji” w jej stosunkach z rządem polskim w Londynie, tak aby nie zrazić do siebie Związku Sowieckiego. Znamienny wydaje się również fakt, że Pierre Cot, w cytowanym wyżej tajnym raporcie, nie szczędzi pochwał pod adresem Garreau.

Po przeniesieniu siedziby władz „Wolnej Francji” do Algieru Maurice Dejean sprawował z jej ramienia funkcje delegata przy rządach sojuszniczych w Londynie. Jego stosunek do konfliktu polsko-rosyjskiego, mimo trochę lepszej wydaje się znajomości problemów, był zbliżony do tego, jaki reprezentował Garreau w Moskwie. Jako przykład posłużyć może telegram wysłany 13 stycznia 1944 przez Dejeana do Massigliego w Algierze, w związku z ogłoszoną przez Moskwę sugestią o możliwości ewentualnych poprawek granicy opartej na linii Curzona: „Postępy we wszystkich dziedzinach dokonane przez ZSSR podczas ostatnich lat i czyny armii czerwonej dały Rosji bez wątpienia zwiększony prestiż wśród ludności niepolskiej. Zwłaszcza wśród Białorusinów świadomość narodowa, do nie tak dawna prawie nieistniejąca, musiała się obudzić. Wreszcie autonomia republik sowieckich Ukrainy i Białorusi, nawet jeżeli jest tylko pozorna, może być pokusą dla ludności, która znosiła polski centralizm. Zważywszy duże zmiany, jakie zaszły od tamtej wojny, można się zastanowić czy konsultacja ludu, otoczona wszelkimi gwarancjami, nie dałaby dzisiaj znacznej większości na korzyść Rosji. Polacy, olśnieni dawną wielkością, nie chcą brać pod uwagę ewolucji, jaka się dokonała na ich niekorzyść. To jest właśnie

12. Charles de Gaulle, *Mémoires de guerre, op. cit.*, Tom I, str. 219.

to, co sprawia im dzisiaj wiele trudności przy akceptowaniu propozycji sowieckich”.

W telegramie z 12 kwietnia 1944 roku, wysłanym również z Londynu do Algieru, Dejean podaje streszczenie artykułu, jaki w przeddzień opublikował *Times*. Artykuł dotyczył armii Berlinga. Dejean kończy swój telegram następującym ustępem: „Charakterystyczne jest, że trzecia dywizja polska została nazwana imieniem Romualda Traugutta, patrioty polskiego straconego przez Rosjan w 1863 (w rzeczywistości Traugutt został stracony na stokach Cytadeli warszawskiej w 1864 r. — T.W.). Fakt ten jest nową oznaką intencji, z jaką marszałek Stalin podchodzi dzisiaj do problemu polskiego. Intencja ta przywodzi na pamięć uderzające podobieństwo do intencji Aleksandra I na Kongresie Wiedeńskim, kiedy to cesarz Rosji zapewniał o swojej dobrej woli naprawienia krzywd wyrządzonych Polsce przez Katarzynę II”.



W archiwach Instytutu generała Sikorskiego w Londynie znajduje się raport Bernarda — jeden z pseudonimów konsula Aleksandra Kawałkowskiego, szefa polskiego ruchu oporu we Francji — z dnia 15 listopada 1943 roku, wysłany do premiera rządu polskiego w Anglii, gdzie autor pisze: „... Z jednej strony jest to krystalizowanie się orientacji politycznej francuskiego ruchu wyzwolenczego, który przybiera coraz bardziej postawę prosowiecką. Osobistości kierownicze z łona centralnego komitetu krajowego (*Résistance*) przy pierwszej próbie nawiązania z nimi kontaktu zapytały o nasz stosunek do Rosji, dając do zrozumienia, że nie mają do nas całkowitego zaufania jako do zbyt związanych z obozem anglosaskim. Francuski obóz wyzwoleniczy poszukuje niewątpliwie oparcia w Rosji w sprawach związanych z polityką imperialną i w celu zabezpieczenia się przed oddaniem Francji pod administrację anglosaską w razie desantu. Z tego punktu widzenia włączenie się w sprawę Polską jest w tych kołach uważane za utrudnienie sobie stosunków z Rosją. Obawiam się, że ze strony francuskiej będziemy mieli poważne trudności w realizacji naszych planów nawet po uwolnieniu terytorium”.

Przeszło dwa miesiące później Kawałkowski napisał następny raport, datowany 22 stycznia 1944 roku, dotyczący stosunków polsko-sowieckich w oczach Francuzów z konspiracji. Kawałkowski podaje osobno opinię panującą w sferach związanych

z de Gaullem i osobno opinię sfer jego rywala, generała Henri Giraud.

Sfery wojskowe — obóz generała Giraud

W odłamie *Résistance*, wiążącym przyszłość Francji ze zwycięstwem prądów demokratycznych reprezentowanych przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone, panuje również głęboki pesymizm i obawa o to, czy polityka anglosaska czuje się dostatecznie silna na wywieranie wpływu na sprawy kontynentu europejskiego. W kołach tych panuje przekonanie, że zmuszenie Polski do ustępstw terytorialnych oraz możliwa wskutek tego sowietyzacja Polski pomniejszonej spowoduje we Francji ostateczne załamanie orientacji anglosaskiej na rzecz Rosji, gdyż rozpocznie się wyścig o przypodobanie się przeszłemu zwycięzcy.

Sfery gaullistowskie

Sfery gaullistowskie uważają sprawę Polski za przesądzoną na korzyść Rosji. W rozmowach doradzają nam jak najszybszą kapitulację wobec żądań sowieckich i uzupełnienie Rządu przez udział komunistów, co mogłoby, zdaniem tych kół, uratować względną niepodległość Polski pomniejszonej. Przyznać jednak należy, że w porównaniu z sytuacją odmalowaną w raporcie listopadowym zauważyć się daje w kołach gaullistowskich pewne zaniepokojenie zarówno rozmiarami pretensji sowieckich jak wzrostem nastrojów komunistycznych wewnątrz Francji.



W ostatniej dekadzie listopada 1944 roku de Gaulle wyjechał do Moskwy. Dnia 2 grudnia miał pierwszą rozmowę ze Stalinem. Celem wizyty de Gaulle'a było zawarcie paktu francusko-rosyjskiego. Jednak już we wstępnych rozmowach Stalin uzależnił zawarcie tego paktu od uznania komitetu lubelskiego. Generał de Gaulle odmówił¹³. Po burzliwych rozmowach, reżyserowanych w sposób typowy dla Kremla, układ francusko-rosyj-

13. *Vide*: Charles de Gaulle, *Mémoires de guerre*, op. cit. Tom III, str. 76 i nast. oraz Kajetan Morawski, *Polska w Pamiętnikach generała de Gaulle'a*, Księgarnia Polska w Paryżu, str. 11 i nast.

ski został podpisany 10 grudnia około godziny 4-tej nad ranem. De Gaulle nie ustąpił, komitetu lubelskiego nie uznał i odmówił wszelkiej wzmianki o porozumieniu z tym komitetem. Zostało jednak wówczas uzgodnione, że rząd francuski wyśle swojego delegata do Lublina i przyjmie delegata komitetu lubelskiego w Paryżu. Delegatem francuskim został major Christian Fouchet, a lubelskim Stefan Jędrzychowski.

W roku 1971 Fouchet opublikował swoje wspomnienia, w których sporo miejsca zajmuje jego pobyt w Polsce, dokąd wyjechał w grudniu 1944 roku. Fouchet informuje najpierw czytelnika o powodach, dla których de Gaulle nie mógł uznać komitetu lubelskiego: jednym z powodów był fakt, że „Francja miała już swojego reprezentanta dyplomatycznego przy uchodźczym Komitecie polskim w Londynie”. Następnie autor pisze: „W Lublinie zostałem przyjęty z wielkimi honorami... Faktem najbardziej uderzającym był ten, jaki miał miejsce w sejmie polskim dnia 31 grudnia 1944 roku¹⁴... W gruncie rzeczy sejm był dość podobny, jeśli chodzi o jego skład, do Zgromadzenia doradczego z Paryża, gdzie socjaliści i M.R.P. wywodzący się z ruchu oporu¹⁵ ocierali się o komunistów. Ale zasadnicza różnica polegała na tym, że w Paryżu był generał de Gaulle...”¹⁶.

Dnia 29 czerwca 1945 roku rząd generała de Gaulle'a uznał tymczasowy rząd w Warszawie, czyli wyprzedził o tydzień Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone, które zrobiły to 5 lipca. Zbyt często mówi się o nieustępliwości de Gaulle'a wobec Stalina w grudniu 1944, pomijając niejednokrotnie pośpiech, z jakim uznał następnie reżym warszawski oraz motywy, którymi się kierował i które szły całkowicie po jego linii politycznej, którą realizował z żelazną konsekwencją.



Podczas gdy z chwilą wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej — o czym była już mowa — de Gaulle widział w ZSSR jedynie sprzymierzeńca, którego zsyła mu Opatrzność, opinia publiczna we Francji była w tym samym czasie „bardzo nieufna wobec Rosji

14. To co Fouchet nazywa „sejmem” odnosi się do „Krajowej Rady Narodowej”, która — jak podaje encyklopedia w Warszawie — „była ośrodkiem politycznym przeciwstawnym obozowi związanemu z rządem londyńskim” — *Wielka Encyklopedia Powszechna*, Tom 6, str. 139.

15. Chodzi o *Mouvement Républicain Populaire*, partię polityczną powstałą w listopadzie 1944 roku, opartą na zasadach chrześcijańskiej demokracji.

16. *Vide*: Christian Fouchet, *Mémoires d'hier et de demain. Au service du Général de Gaulle*, Plon, Paryż 1971, str. 51-55.

tak z powodu paktu niemiecko-rosyjskiego, jak i wcielenia przez ZSSR ziem Polski oraz rozpętania wojny w ciągu zimy 1939 przeciwko Finlandii¹⁷. W okresie pokoju, zwłaszcza przy potężnym aparacie środków masowego przekazu, jakim dysponuje państwem, opinia publiczna wyraża często to, czego chcą różni przywódcy. Tak jednak nie było podczas wojny, kiedy ludzie siłą rzeczy musieli myśleć bardziej samodzielnie i stąd zapewne ta różnica w poglądach na Rosję generała de Gaulle'a w Londynie i Francuzów w okupowanym kraju.

Skutki propagandy sowieckiej po wojnie są zbyt dobrze znane, żeby trzeba je było przypominać. W roku 1978 jeden z Francuzów, wybitny znawca kultury rosyjskiej, pisał w odniesieniu do swojego kraju: „Od bardzo dawna istnieje tutaj dość skuteczny system cenzury nad wszystkim, co dotyczy ZSSR. Wystarczy zajrzeć do podręczników szkolnych, żeby zdać sobie sprawę, iż jeszcze dzisiaj przedstawiają one historię sowiecką tak, jak nawet sama *L'Humanité* (dziennik partii komunistycznej — T.W.) nie ośmiela się więcej tego robić”. Wykazując następnie tendencyjne zniekształcanie wszelkich danych, jakie dotyczą Związku Sowieckiego, cytowany autor stwierdza: „Wszystko to wydaje mi się bardzo niebezpieczne dla Francji. Nie ma w Europie kraju, w którym tak małe byłoby uświadomienie o problemach Wschodu i komunizmu”¹⁸.

Największym wstrząsem dla opinii publicznej we Francji był wybuch „Solidarności”, z którą — pod względem ideowym — identyfikowała się część społeczeństwa francuskiego. U podstaw niespodziewanie hojnej pomocy materialnej Francuzów dla Polski leżała atrakcyjność idei zbiorowej solidarności i możliwość wspólnej, bezpośredniej reakcji społeczeństwa, niezależnej od aparatu państwa, układów politycznych i oportunistycznej postawy różnych przywódców. Jak na razie jest to już dużo, chociażby tylko z uwagi na szok, jakiemu musiała ulec zakorzeniona we Francji orientacja w stosunkach ze Związkiem Sowieckim i z całym blokiem wschodnim, co jest skutkiem nie tyle zmiany rządów, ile samodzielnej reakcji społeczeństwa na powstanie i zduszenie „Solidarności” w Polsce.

Tadeusz WYRWA

17. Marcel Baudot, „L'opinion publique devant l'invasion de la Russie” w *Revue d'Histoire de la Deuxième Guerre Mondiale* Nr 64, Paryż, październik 1966, str. 68.

18. Alain Besançon, *Présent soviétique et passé russe*. Le Livre de Poche, Collection „Pluriel”, Paryż 1980, str. 390-400.

SPOTKAŁEM BIERUTA...*

W roku 1942 jako kurier AK jeździłem na trasie Wilno - Mińsk Litewski. Nocowałem w Mińsku na punkcie kontaktowym w na wpół zburzonym domu, dawnej siedzibie rodziny Wańkowiczów. Gnieździła się tam wtedy liczna polska biedota, starcy i dzieci... W latach tzw. wielkiej czystki (1936-1938) NKWD „oczyściło” republiki białoruską i ukraińską z ludności polskiej. Pod zmyślnym zarzutem szpiegostwa na rzecz Polski aresztowano przeszło milion Polaków, ludzi w sile wieku, żywicieli rodzin, młodzież. Na śledztwach, pod torturą zmuszano ich do podpisywania sfingowanych oskarżeń. W przyszłości prawie nikt z nich nie powrócił, poginęli w nieludzkich warunkach najcięższych rosyjskich obozów... Otóż w tym zrujnowanym domu w Mińsku zajmował jedną izdebkę staruszek Zienkiewicz, dawny stróż Wańkowiczów. Mieszkał tam z żoną i ośmiorgiem wnucząt w wieku 5-12 lat. Jego dwaj synowie z żonami i dwie córki z mężami zostali aresztowani w 1937 roku, a cały dziecięcy drobiazg, ich wychowanie i utrzymanie spadły na barki dziadków. Staruszkowie — może nie tak starzy na jakich wyglądali — wyniszczeni pracą, nędzą i ciągłymi szykanami i przykrościami ze strony władz, pogarbieni i zmęczeni, poruszali się z trudem. Dzieci, wychudzone i zagłodzone, spoglądały apatycznie, bez uśmiechu... Nie mogłem na to patrzeć i wbrew przepisom konspiracyjnym udałem się do głównego urzędu Białorusi, tzw. Białoruskiej Uprawy, aby od znanego mi z Wilna prof. W. Iwanowskiego, ówczesnego burmistrza w Mińsku, wyciągnąć jakiś zasiłek dla tej rodziny. Profesor skierował mnie do Bolesława Bieruta, który w Białoruskiej Uprawie pełnił wysoką funkcję szefa Oddziału Zaopatrzenia na całą Białoruś.

— To jest rodowity Polak, który udaje tu Białorusina. Antypatyczna sztuka. Niech pan będzie z nim ostrożny — ostrzegł mnie Iwanowski.

Po takim dictum postanowiłem nie powoływać się u Bieruta na profesora... Dwaj młodzi sekretarze Bieruta wprowadzili mnie do swego szefa. Znalazłem się w obszernym gabinecie o przyzwoitych, jak na zniszczony Mińsk, meblach: biurko, fotele, stół; ściany zdobił jeden tylko obraz — wielki portret... Hitlera. Zasugerowany tym portretem i słowami Iwanowskiego przypatrywałem się cały czas bacznie Bierutowi. Kiedy w gorących słowach w jego ojczystym języku opowiadałem mu o zbrodniach Moskwy popełnianych na tej ziemi i o nędzy polskich rodzin, mój słuchacz przybladł, a w jego oczach dostrzegłem niepokój. Zapewne uważa mnie za niemieckiego agenta — pomyślałem i

* Przedruk ze *Spotkań* nr 17/18 1981/1982.

kończąc szybko swoje wywody, poprosiłem o zlecenie wydania żywności rodzinom więzionych przez Rosję. Bierut bez jednego słowa wypisał drżącą ręką deputat na kilkadziesiąt kg białej mąki, cukru, słoniny, manny, podpisał papier i wręczył mi go, żegnając się bez słowa. Pracownicy magazynu, gdzie przy pomocy kilku Polaków odbierałem towar, wzięli mnie za Niemca, bo tylko Niemcom wydawało się takie luksusowe prowianty. Najuboższe rodziny, które obdarowałem żywnością, nie widziały od 25 lat ani manny, ani białej mąki... Pierwszy raz ujrzałem twarzyczki ósemki wnucząt starego stróża zarumienione i uśmiechnięte... Za następnej bytności zastałem Mińsk pogrucho-tany i zniszczony. Nocą lotnictwo radzieckie zalało bombami miasto; lotnicy z wysoka trafiali przede wszystkim w ubogie drewniane domki. Wśród ludności było dużo zabitych, rannych i pogorzalców. Bez namysłu znów poszedłem do Bieruta. Tym razem był mało uprzejmy, skrzywił się na moją prośbę:

— Tutaj nie Polska i nie wolno mówić po polsku — powiedział po rosyjsku.

— Tutaj nie Rosja i nie wolno mówić po rosyjsku! — odpa-liłem.

Zmitygował się. Milcząc napisał deputat i dał mi, nie patrząc na mnie. Deputat był duży ilościowo, ale gorszy: ciemna żytnia mąka, owies, melasa... Ale nikt nie grymasił i cieszone się wszystkim. Zgłaszających się później jeszcze do mnie o pomoc kierowa-łem prosto do Bieruta. Niestety, już bez skutku.

Więcej Bieruta nie spotkałem. Na początku 1943 roku dowie-działem się o aresztowaniu przez Gestapo jego sekretarzy. On sam miał uciec z Mińska z kasą swojego urzędu. Po wojnie w jednym z życiorysów Bolesława Bieruta, Prezydenta PRL, prze-czytałem o jego działalności w 1942 roku krótką wzmianką: „Ukrywał się przed Niemcami”.

Skrót red. według wspomnień J. Kosowicza

MELDUNKI PPŁK. RADOSŁAWA

Kopia mszps Arch. WIH, sygn. III/44/42.

(U dołu dopisano: „Za zgodność odpisu, Czernski kpt.”. Meldunek ten przyniesiony został przez łączniczkę Renę, wysłaną przez ppłk. Sław-bora kanałami dla nawiązania łączności z ppłk. Radosławem w nocy z dn. 15 na 16. IX. 1944).

D-CA ODCINKA ŚRÓDMIEŚCIE PŁD.

Od 14. IX przerwane połączenie z Mokotowem. Od Daniela otrzymałem

w sumie 1.500 sztuk amunicji. Kropla w morzu na natężenie walki, jakie tu mam. Oddziały czerniakowskie w 75 % prysnęły jak bańka mydlana — banda nie wojsko. U mnie wybici prawie wszyscy oficerowie — straty za ostatnie 3 dni wynoszą około 100 zabitych i 300 rannych. Ratuję się ostatnie 2 dni wypadami nocnymi, które dały w rezultacie kilka km, około 20 kb, około 20 jeńców — ale to wszystko nie ratuje sytuacji — żołnierz zmęczony — odcięty bez pomocy — traci ducha — mam przeciętnie 10 naboji do kb, 20 na pm, 50-100 na rkm, co daje możliwość trzymania się do rana — rano nastąpi tragedia — i *finita la comedia*.

Wszyscy wielcy pomocnicy od tzw. produkcji pouciekali, ludność wiejsza białe flagi. Dziś w nocy wysłałem patrol bojowy na stronę sowiecką, żądając ognia art. na Sejm, stadion — Frascati oraz przysłanie broni i amunicji. Do tej pory odpowiedzi nie mam.

Z dywizji Kościuszki patrol bojowy w sile 5 ludzi nawiązał ze mną kontakt, pytając o położenie — wysłałem 15. IX o godz. 22-ej ten sam patrol plus oficer sztabowy — z żądaniem broni, amunicji oraz lądowania na moim brzegu przynajmniej baonu.

Wzięci jeńcy zeznali, że należą do baonu Wehrmachtu, sprowadzonego z Niemiec. Nacisk jest szalony, zwłaszcza wczoraj i dziś. Wytrzymanie dnia dzisiejszego można określić jako cud — mam wszystkiego około 150 ludzi zmęczonych, częściowo zagazowanych, ale jeszcze mogących się bić, gdyby widzieli jakieś szanse.

Pozostawienie nas na pastwę losu bez amunicji, bez łączności — poderwało w dużym stopniu ducha — zresztą kolosalne straty mego zgrupowania musiały zrobić swoje. Czerniaków podobny już jest do Starówki — palą Niemcy — palę i ja, żeby się przesłonić i zyskać 3-4 godziny i taka zabawa wlecze się 3 dni — teraz już jest kres — tylko szybkie uderzenie albo odtworzenie [s] drogi do śródmieścia lub pomoc z Pragi mogą wyratować sytuację.

Niemcy powbijali mi się klinami głębokimi i starają się odciąć mnie zupełnie od Wisły, z drugiej strony naciskają od zachodu. Dziś miałem na jednym z odcinków 8 natarć, każde wsparte przynajmniej 4 do 5 czołgami i huraganowym ogniem granatników — lotnictwo Bogu dzięki słabsze.

W tej chwili grozi mi dalsze przecięcie odcinka i otoczenie resztek (3 do 4 drużyn) moich sił i mojego mp.

Prawdopodobnie zdecyduję o godz. 2-ej opuścić [ul.] Okrąg 2, gdzie jest moje mp i wyjdę w ruiny między Wilanowską a Zagórną i w dziurach tych będę czekał zmiłowania Bożego albo kolejnego wybijania przez czołgi resztek ludzi. Zostać nie mogę tutaj, gdyż jest to ostatni szpital i [...] ludności cywilnej, która już histeryzuje, więc musiałbym do niej strzelać. Zresztą Niemcy szybko zapalają mi budynki i z pułapki się nie wydostanę — takie jest położenie faktyczne — o ile noc nie przyniesie zmiany, niedobitki jutro będą do odszukania gdzieś na wybrzeżu Wisły między Wilanowską a Zagórną.

Kończąc życząc wszystkim moim przełożonym, żeby nie znaleźli się w podobnym położeniu jak ja — no a poza tym liczę jak zawsze przede wszystkim na to, co mam w garści, a że już nie mam prawie nic, to i liczenie niewiele pomoże.

Do jutra wszyscy nie zginą — jakiś żywy świadek tej tragedii się uratuje.

Żołnierskie pozdrowienie dla Pana i wszystkich moich znajomych.

(—) RADOSŁAW

MELDUNEK RADOSŁAWA DO MONTERA
Z DNIA 20/9 GODZ. 8.15, PO PRZYJŚCIU NA MOKOTÓW.
PISMO ODREĆZNE OŁÓWKOWE RADOSŁAWA

AK Okręg Warszawski
Grupa Południe

Ob. Monter, Komendant Okręgu Warszawa
(dr. służb. przez płk. Sławbora)

Melduję, że w dniu 19/9 o godz. 0.00 rozpocząłem ewakuację resztek mojej grupy walczącej na odcinku „Bliski Czerniaków”. Narastanie sytuacji w jej poszczególnych fazach przedstawia się następująco:

W dniu 13/9 została przerwana łączność z d-cą odcinka Południe Śródmieście na skutek opanowania przez npla części odcinka mojego sąsiada zachodniego — (zamknięcie Książęcej).

W dniu 14/9 została przerwana łączność moja z Mokotowem na skutek — jak później się wyjaśniło — trudności terenowych na drodze specjalnej. Sytuacja w tych dniach na odcinku bojowym była poważna — koncentryczny nacisk npla od południa — zachodu, północy zmierzający do rozbicia mego ugrupowania, względnie przecięcia mnie w pół od Górnośląskiej do Wisły.

Oddziały kpt. Kryski zaraz w pierwszym dniu walk nie wytrzymały nasilenia i w większości przysły — o czym świadczą meldunki Kryski pisane do mnie i skierowane do płk. Sławbora przeze mnie przy meldunku sytuacyjnym.

Musiałem zaangażować resztę odwodów dla utrzymania beznadziejnej już wtedy sytuacji terenowej.

Postanowiłem skracać front, zamykając mocno dostęp do Wisły przynajmniej na odcinku Wilanowska-Zagórna.

Zacząłem szukać możliwości ewakuacji na wschodni brzeg Wisły — względnie Mokotów. Wysłałem patrol bojowy na Saską Kępę do d-cy wojsk sowieckich — przedstawiając mu korzyść przedmościa, które tworzę, a które dla dalszej ofensywy ma poważne znaczenie. Patrol został przyjęty i skierowany do d-cy polskich sił — Berlinga — skąd w międzyczasie dotarł do mnie patrol łącznikowy z ogólnym zawiadomieniem, że poszukuje łączności z oddziałami partyzanckimi.

Wysłałem wówczas mego II-go zastępcę ppłk. Kmitę — który miał przedstawić stan faktyczny — i spowodować zluzowanie moich wyczerpanych oddziałów na tym odcinku.

Do 15/9 godz. 24 jeszcze odpowiedzi nie miałem. Korzystając z przypadkowej łączności ze Śródmieściem wysłałem raport, że terenu dłużej utrzymać nie mogę — proszę o przebicie się do mnie oddziałów Śródmieścia dla wyrwania mnie z tych opresji. Ponieważ pomocy nie dostałem — amunicji nie dostałem. Na ranem sytuacja zmieniła się o tyle, że zaczęły lądować na moim odcinku elementy 9 pułku piechoty (około 250-300 l.). Te weszły do akcji samodzielnie, usadawiając się na mojej pierwszej linii — częściowo dając wzmocnienie elementów strzeleckich do pierwszej linii.

W dniu 17/8 nastąpiło pierwsze rozczarowanie. Oddziały przybyłe okazały się zbieraniną różnego rodzaju typów, jakoby pochodzenia polskiego, mówiące łamanym językiem polsko-rosyjskim, bardzo często tylko po rosyjsku.

W walce element słaby, pryskający z pozycji za lada silniejszym ostrzałem czołgów czy słabego natarcia piechoty.

Tak np. barykada na Szarej, która zamykała mi wyjście npla na mój bok, barykada, której broniłem dotychczas 15-toma ludźmi skutecznie przez dwa tygodnie, została puszczona w przeciągu 6-ciu godzin, mimo że dałem tam pełny mocny pluton berlingowców + broń ppanc.

Na innych odcinkach żołnierz ten nie lepiej się spisywał, co mocno ostudziło wiarę moich żołnierzy w możliwość skutecznej pomocy ze strony takiego sprzymierzeńca.

Dzień 18/9 bardzo ciężki w krwawe starcia — wręcz kosztował mnie stratę wielu oficerów rannych i zabitych na skutek niewytrzymywania przez berlingowców sytuacji.

Między nimi też kolosalne straty od ognia npla, przed którym zupełnie nie umieją się kryć. Liczyłem, że po pierwszych elementach nastąpi nareszcie prawdziwa przeprawa, bo to co widziałem zakrawa na szopkę woj-skową, a nie na rzetelną pracę. Tak np. d-ca 9 p.p. do tej pory nie przy-był na tę stronę, mimo że gros jego oddziałów przepравиło się (około 2 baony + elementy art. + broń ppanc., łącznie i., w sumie około 600 ludzi). W oddziałach chaos, nikt nie dowodzi — żołnierz nie zna oficera, oficer żołnierza — w walce żołnierz jest pozostawiony w większości wypadków samemu sobie — stąd pęd do tyłu i do piwnic, skąd żadna siła ludzka nie jest w stanie go wyciągnąć, broń, którą ma w ręku bezmyślnie niszczy — lub rzuca przy pierwszej sposobności — w nocy na brzegu Wisły masy dezertersów, którzy wieją na barkach przywozących żywność i amunicję. — To denerwuje. — Miałem wskutek tego i u siebie tego rodzaju, na szczęście rzadkie, ale przykre wypadki.

Dnia 17/9 po całodziennych ciężkich walkach musiałem opuścić mój filar obronny Okręg 2 i wyjść prawie w ruiny nadwiślańskie na zachód od Solca, teren zupełnie pozbawiony wody i pod silnym ostrzałem moździerzy i granatników.

Naciskałem Szefa Sztabu 9 p.p., żeby przyspieszył wydatną pomoc w postaci szerokiej przeprawy — i zwróciłem uwagę, że jest zupełny brak żywności, wody i środków opatrunkowych (na baon jeden sanitariusz bez lekarzy). Ludzie giną na skutek wpływu krwi — i nikt nie może im pomóc — stąd upadek ducha — niewiara w dowództwo itd. Obiecał załatwić te rzeczy lecz do 19/9 godz. 24-ta nie dostałem od nich ani porcji jedzenia, ani jednego opatrunku, jednym słowem nic, poza ciągłymi żadaniami osłony i pomocy w postaci odwodów, bo ich żołnierz nie wytrzymuje w tych warunkach.

W tym koszmarnym położeniu bez kropli wody w dzień (w nocy z Wisły) przetrwałem jeszcze 18 i 19 odpierając wszystkie natarcia npla i kontratakując — gdyż to była jedyna metoda rozpaczliwej obrony. Nie mam już oficerów ani żołnierzy zdrowych — wszyscy ranni lub potłuczeni od zasypań — wykopywani z gruzów — po to, żeby za parę godzin znów pełnić służbę — tego żaden żołnierz wytrzymać dłużej nie mógł.

Pomoc sowiecka zapowiedziana jako przesunięcie poważniejszych sił w godzinach popołudniowych zawiodła — przeprawa została odrzucona na Wilanowską do Wisły (nie wiem dlaczego nie zrobiono jej na moim odcinku utrzymanym).

Wobec krańcowego wyczerpania żołnierzy — zdecydowałem w kategori-cznej formie zażądać przerwania części moich oddziałów na Saska Kępe dla odpoczynku, w przeciwnym razie będę zmuszony z resztą żołnierzy szukać wyjścia z tej matni na innych drogach jeszcze możliwych do wykorzystania.

Odpowiedzi nie dostałem, a jedynie zapewnienie, że będzie położony wokół

mojej pozycji „ogień okalający” — co mnie wcale nie ratuje od dalszych strat. — O żywności i amunicji ani słowa.

Wobec powyższego, wykonując swą decyzję, zostawiłem zorganizowaną obronę przesłaniającą dojsście do Wisły, częściowo z moich żołnierzy, częściowo z berlingowców — z resztą, drogą specjalną, udałem się na Mokotów widząc jedyną szansę ratowania resztek mojej grupy.

Stan, jaki wyprowadziłem do tej pory, wynosi 20 of., wszyscy ranni lub potłuczeni i około 130 szereg. i kobiet.

Reasumując nabrałem przekonania:

a) Kurczone trzymanie Czerniakowa przez moje oddziały przy kolosalnych stratach ludzkich byłoby bezcelowe, gdyż na drugiej stronie jest zupełna indolencja wojskowa lub zła wola wyższych czynników, zmierzających w perfidny sposób do wygubienia w ogóle oddziałów polskich, tak tej jak i tamtej strony.

b) Armia berlingowska — jeżeli ma takich oficerów i żołnierzy, jakich widziałem na tym odcinku — przedstawia sobą chłam żołnierski bez większej wartości, który nie jest zdolny dać Polsce zdrowej armii.

c) Moment agitacyjny w tej całej eskapadzie marszu na Warszawę gra pierwszą rolę, a nie rzeczywista chęć pomocy.

d) Wyższe stanowiska sztabowe obsadzone są przez Rosjan. Poziom żołnierskiej wiedzy na ogół bardzo niski.

e) Bez pomocy bagnatów rosyjskich armia Berlinga nie przedstawia żadnej groźnej siły dla przyszłego nowego ładu w POLSCE.

f) Być może, że pan Berling czy inny dowódca zechce swoje niepowodzenie w przeprowadzie spychać na to, że jeszcze dłużej nie ginęliśmy na tym odcinku — i szukać kozła ofiarnego w mojej osobie — jest mi to zupełnie obojętne.

Żołnierz mój dał z siebie w ciągu 7 ostatnich dni — nie mając właściwie żadnej pomocy — wszystko ponad wytrzymałość ludzką, wykrwawiając, a ja jako odpowiedzialny za jego krew nie widzę możliwości dalszego jej przelewania dla pokrycia nieudolności innych — zresztą utrzymałem go słabymi siłami tak długo, że wylądowały 2 baony + potrzebne uzbrojenie — więc zadanie moje z punktu widzenia wojskowego wykonałem 100 %. Będąc bez łączności z d-cą przełożonym, zdecydowałem sam, kierując się tak żołnierskim, jak i obywatelskim sumieniem w tej koszmarnej tragedii, jaka się rozgrywała na Czerniakowie.

(—) *RADOŚLAW*, ppłk

20/9 1944. Godz. 18.15.

LISTY DO REDAKCJI

Londyn, 19 lipca 1982.

Drogi Panie Redaktorze,

Przeczytałem w nr. 60 *Zeszytów Historycznych* (str. 228) artykuł Władysława Żeleńskiego pt. „Sprawa Witolda Hulanickiego”. Poprzednich wypowiedzi na temat jego osoby i działalności nie znałem. Hulanickiego znałem dobrze w czasie wojny na Bliskim Wschodzie. Posiadam istotne informacje rzucające światło na jego tragiczny zgon. Pragnę je w tym liście Panu przekazać.

Jak Panu wiadomo, byłem w czasie wojny kierownikiem placówki prasowej Jednostek Wojska Polskiego na Bliskim Wschodzie z siedzibą w Jerozolimie. Obejmowała ona także audycje radiowe nadawane rano i wieczorem do Polski Podziemnej. Placówka ta przetrwała do końca 1947 roku, kiedy to władze angielskie oświadczyły, że nie mogą gwarantować bezpieczeństwa naszemu personelowi. Praca nasza — o orientacji antysowieckiej — znalazła się w ostrym konflikcie z narastającym żydowskim podziemnym ruchem komunistycznym. Sowiety stały się wtedy głównym sojusznikiem idei niepodległości Izraela. Przyjaciele żydowski niejednokrotnie ostrzegali pracowników naszej placówki, że antysowiecka działalność nie będzie tolerowana przez żydowski ruch komunistyczny i że narażamy nasze osobiste bezpieczeństwo. W tych warunkach praca nasza dobiegła kresu i w listopadzie 1947 roku wyjechałem do obozu Quassasin w Egipcie.

Na kilka miesięcy — dwa lub trzy — przed moim wyjazdem z Jerozolimy zjawił się w moim biurze redakcyjnym mieszczącym się w bocznej uliczce niedaleko King David Hotel Witold Hulanicki. Poprosił mnie o rozmowę w ważnej osobistej sprawie, a że w biurze było gwarno, zaproponował żeby się przejść po uliczce, gdzie jest spokój. Zgodziłem się — widziałem, że chodzi mu o rzecz ważną.

Przechadzając się odbyliśmy rozmowę, której przebieg dobrze pamiętam, a da się streścić następująco:

Hulanicki rozpoczął od tego, że nasze przyjazne stosunki i zaufanie jakie ma do mnie skłaniają go do wyjawienia mi swojej trudnej i niebezpiecznej sytuacji życiowej i powierzenia mi pewnego rodzaju zlecenia czy prośby na wypadek, gdyby coś złego mu się przydarzyło, z czym on poważnie musi się liczyć. Powiedział że wie, iż ludzie mówią że on jest na

usługach angielskiej *Intelligence*, obawia się, by taka opinia nie powstała w jego najbliższej rodzinie i wśród przyjaciół w wypadku nagłej jego śmierci w okolicznościach im nieznanych. Z *Intelligence* angielskim nigdy nie współpracował, gdyż nie zgadzało się to z jego pojmowaniem służby dla sprawy polskiej w czasie wojny. Natomiast pragnie ażeby wiedział, że ostatnio zaangażował się we współpracę z wywiadem amerykańskim, antykomunistycznym. Zrobił to świadomie, po rozważeniu ryzyka z tym połączanego. Jako Polak chcący pozostać w Palestynie, który związał się z Palestyną już przed wojną, zna jej problemy i czuje że może być przydatny w uregulowaniu przyszłości Izraela przy pośrednictwie Organizacji Zjednoczonych Narodów, uważa że współpraca z wywiadem amerykańskim w duchu antysowieckim odpowiada interesom Polski i dlatego się na nią zgodził.

Zdaje sobie sprawę z wielkiego osobistego ryzyka, wpływy sowieckie wzrastają i bojowe organizacje żydowskie widzą w Sowietach głównego sprzymierzeńca w walce o przyszłość polityczną Izraela, ich podziemna działalność jest znaczna. Prosił mnie, ażeby w wypadku jego śmierci mógł świadczyć wobec rodziny i przyjaciół, że nigdy w wywiadzie angielskim nie pracował, że natomiast padł ofiarą współpracy z wywiadem amerykańskim, pracy antykomunistycznej i antysowieckiej, stanowiącej po wojnie ciąg dalszy działalności na rzecz Polski, której interesom pragnie nadal służyć. Zależy mi na tym — powiedział — by rodzina i przyjaciele znali prawdę i by pozostało po mnie dobre imię. Był wyraźnie przejęty i wzruszony, było widać, że powierza mi sprawę dla siebie niezmiernie ważną.

Rozmowa potoczyła się dalej na tematy bardziej ogólne. Mówił mi, jak widzi przyszłość. Przewidywał, że po całkowitym wycofaniu się Anglii nastąpi starcie żydowsko-arabskie, w którym konkurować będą wpływy sowieckie i amerykańskie, sądził że w końcowym etapie te ostatnie będą silniejsze i że przy pośrednictwie Organizacji Zjednoczonych Narodów da się rozgraniczyć autonomiczne strefy żydowską i arabską, przy czym Jerozolima pod egidą ONZ istniałaby jako miasto wyodrębnione. Widział, że może być przydatny w realizowaniu planów ONZ. W tym kierunku szły jego zainteresowania osobiste.

Witolda Hulanickiego poznałem w czasie wojny na Bliskim Wschodzie, kiedy po zwolnieniu go ze służby dyplomatyczno-konsularnej polskiej przyjął ofiarowane mu przez Anglików stanowisko cenzora prasowego w palestyńskiej mandatowej administracji. Był zawsze niezmiernie uczynny i pomocny w sprawach zarówno wojska jak i licznego uchodźstwa polskiego przybyłego z Rosji. Cieszył się pełnym zaufaniem ministra Zawadowskiego w Bejrucie i generała Wiatra, dowódcy Jednostek Wojska Polskiego na Bliskim Wschodzie, i gdzie mógł im pomagał. Rozmowa z końca 1947 roku była ostatnim naszym spotkaniem. Przeczucia i przewidywania Hulanickiego szybko się sprawdziły.

Równocześnie z Hulanickim, tego samego dnia i w podobnych okolicznościach, zginął w Jerozolimie drugi jeszcze Polak. Nazwiska jego sobie nie przypominam, znałem go tylko przelotnie jako dziennikarza w wydziale informacyjnym Rządu Polskiego przy konsulacie w Jerozolimie.

Proszę, niech Pan zrobi z mego listu użytek jaki Pan uzna za właściwy. Jest on okazją spełnienia prośby Hulanickiego, którego — tak jak i Pan — szanowałem jako szczerego Polaka, przyjaciela Żydów, człowieka dużych osobistych zalet. Zachowajmy jego dobre imię.

Jan SZUŁDRZYŃSKI

Paryż, 5 października 1982.

Drogi Panie Redaktorze,

Mój dawny kolega z Ministerstwa Sprawiedliwości, Jan Szudrzyński, przesłał mi uprzejmie kopię swego listu, wystosowanego do Pana po moim artykule w sprawie śmierci Witolda Hulanickiego w nr. 60 *Zeszytów Historycznych*. Poruszony tym ważnym świadectwem, podjąłem próbę znalezienia ze strony żydowskiej w Izraelu dodatkowych wyjaśnień dotyczących śmierci Hulanickiego, na których brak uskarżał się swego czasu b. min. Zygmunt Zawadowski. Dzięki wskazówkom i pośrednictwu dr. Stanisława Gombińskiego w Paryżu odwołałem się do pomocy nieznanego mi osobie dr. Meira (Marka) Kahana, wybitnego działacza Irgunu, b. adwokata w Warszawie, zamieszkałego dziś w Tel Avivie. Aby uniknąć wszelkich sugestii, nie streściłem mu świadectwa, przedstawionego przez Jana Szudrzyńskiego, a tylko zapytałem, „czy można wykluczyć możliwość, że oskarżenie rzucane na Hulanickiego, które posłużyło za powód zabicia go, zostało podsunięte przez kogoś działającego w ramach LEHI, ale związanego ideowo z komunistami bądź podlegającego bezwiednie ich inspiracji”. Poniżej przytaczam obszerną odpowiedź Kahana która jednocześnie przynosi wiele szczegółów związanych z historią stosunków syjonistów-rewizjonistów Włodzimierza Żabotyńskiego z władzami R.P. przed wojną 1939 roku.

Upoważniony przez autora do skrótów, zaznaczyłem je kropkami w nawiasach. Są nieznaczne. Pełny tekst zachowałem u siebie.

Łączę serdeczny uścisk dłoni

Władysław ŻELEŃSKI

Tel Aviv, 25 września 1982.

Szanowny Panie! (Jakbym pisał po hebrajsku, to by ten wstęp sympatycznej brzmiał: Panu Władysławowi Żeleńskiemu pokój (*szalom*) i pozdrowienie (*bracha*)).

Pański list z dn. 12 września 1982 otrzymałem. (...) Pozwalam sobie posłać moje zeznanie własnoręcznie napisane i podpisane do opublikowania. (...)

Urodziłem się w Warszawie w 1903 roku. Jestem wychowankiem gimn. Kreczmar w Warszawie i po dzień dzisiejszy zachowałem bardzo ciepłe wspomnienia z czasów szkolnych. (...) Moja działalność syjonistyczna zaczęła się jeszcze za czasów szkolnych. W czasie studiów akademickich byłem członkiem zarządu Żydowskiej Strzechy Akademickiej, w zarządzie Akademickiej Organizacji Syjonistycznej „Jardenia” i członkiem senioratu Akademickiej Korporacji Syjonistycznej „Aurora”.

Bp. Włodzimierza Żabotyńskiego poznałem w Warszawie w pierwszej połowie lat dwudziestych na zebraniu akademików Żydów, i od tego czasu jestem członkiem ruchu żabotyńczyków. W roku 1935, gdy kierownictwo Organizacji Syjonistycznej uchwaliło tzw. klauzulę dyscypliny partyjnej i zabroniło samodzielnej polityki, partia rewizjonistyczna wystąpiła z Organizacji Syjonistycznej i założyła Nową Organizację Syjonistyczną z prez. Żabotyńskim na czele. Byłem członkiem Centralnego Komitetu tej organizacji. Zajmowałem się praktyką adwokacką i mogłem sobie pozwolić na pracę polityczną.

Na pańskie pytanie (...) co wiem o zabójstwie Witolda Hulanickiego, b. Konsula Generalnego R.P. w Jerozolimie, odpowiadam co następuje:

O tragicznej śmierci W. Hulanickiego dowiedziałem się z prasy w Paryżu. Do Paryża zostałem wydelegowany przez M. Begina, Naczelnego Dowódcę Irgunu, w drugiej połowie 1947 roku w charakterze oficera sztabowego dla operacji Irgunu poza granicami Palestyny. (...) W związku z Pańskim zapytaniem pytałem kolegów z naszej służby bezpieczeństwa, co im jest wiadomo w tej sprawie, a oni jednogłośnie potwierdzili, że wersja opublikowana przez Natana Yelina Mora (przytoczona w nr. 60 *Zeszytów Historycznych* — przyp. W.Ż.), dziś już nieżyjącego, jest zgodna z prawdą. Wyrok na Hulanickiego był wydany przez LEHI. Była to tragiczna omyłka.

Zaznaczam, iż w tym czasie, w roku 1948, w zamieszaniu walki o prawa narodu żydowskiego do samodzielnego życia narodowego w Palestynie panowała bardzo podniecona atmosfera. Walka zbrojna przeciwko Anglikom zaczęła się jeszcze w roku 1944, a walka zbrojna Irgunu przeciwko terrorystom arabskim, działającym pod dowództwem wielkiego muftiego Jerozolimy Hadż Amin el Hiseini, który potem na początku drugiej wojny światowej uciekł z Jerozolimy i związał się z Hitlerem (...) zaczęła się jeszcze w roku 1936.

W tych latach Anglicy usiłowali zorganizować swój wywiad dla zbierania wiadomości o aktywności Żydów w Palestynie i w roku 1948 — tj. w czasie, gdy jawnie poparli Arabów przeciw Żydom, dając im broń i udzielając informacji o ruchach żydowskich jednostek bojowych — zagadnienie bezpieczeństwa i służby informacyjnej bardzo się skomplikowało. Myśmy w Irgunie pamiętali o pomocy Hulanickiego i jego pozytywnym stosunku do naszej sprawy. Osobiście bardzo mnie zmartwił jego tragiczny koniec.

Hulanickiego poznałem w gabinecie naczelnika wydziału emigracyjnego MSZ Apoloniusza Zarychty. Zarychta przedstawił mi Hulanickiego celem wspólnego omówienia spraw bieżących, związanych z funkcją Konsula Generalnego R.P. w Jerozolimie. Hulanicki jako b. członek POW był nam ideologicznie bardzo bliski (Irgun Zwaï Leumi tłumaczyliśmy na polski: Żydowska Organizacja Wojskowa) (...). Nominacja Hulanickiego miała na celu realizację polityki Becka (...). Ta polityka była rezultatem porozumienia osiągniętego między prezesem Nowej Organizacji Syjonistycznej Włodzimierzem Żabotyńskim i rządem polskim przy czynnym udziale hr. [Michała] Łubińskiego, szefa gabinetu Ministra, w wyniku inicjatywy „polityki sojuszków”, zainicjowanej przez Żabotyńskiego w roku 1937, po wybuchu rozruchów arabskich w Palestynie (w tej sprawie Anglicy nie byli bez grzechu i to głównego).

Polityka w stosunku do Polski opierała się na dwóch przesłankach: a) rząd sanacji jest zainteresowany w humanitarnym rozwiązaniu sprawy żydowskiej w Polsce przez wolną emigrację Żydów do Palestyny, gdyż ekscesy przeciwko Żydom są wykorzystywane przez Hitlera w związku z jego planami politycznymi i przez partie polskie dążące do zmiany rządu w Polsce; b) napięte stosunki socio-ekonomiczne w Polsce odnoszą się również do ludności nieżydowskiej, która została pozbawiona możliwości wymigrowania z Polski skutkiem ograniczeń emigracyjnych zaprowadzonych po pierwszej wojnie światowej. Zniesienie tych ograniczeń leży we wspólnym interesie.

W wyniku rozmów między prez. Żabotyńskim i czynnikami polskimi reprezentowanymi przez hr. Łubińskiego odbyła się w roku 1948 narada na obiedzie w Hotelu Europejskim, w której wzięli udział dyrektorzy departamentów różnych ministerstw i niektórzy naczelnicy wydziałów mających do czynienia ze sprawami ludności żydowskiej w Polsce. Na obiad został

(...) zaproszony prez. Żabotyński i dwaj obywatele polscy: Spektor, prze-mysłowiec z m. Łodzi, osobisty przyjaciel Żabotyńskiego, i ja w charakte-rze członka Nowej Organizacji Syjonistycznej, mający pełnomocnictwo do koordynowania kontaktów z czynnikami rządowymi w sprawach dotyczących „polityki sojuszków” i emigracji do Palestyny. Na odrębnej naradzie w MSZ zdecydowano skoncentrować wszystkie nasze sprawy w Wydziale Emigracyj-nym Zarychty. Tam koncentrowały się te sprawy u radcy [Jana] Wagnera a potem u A. Paprockiego.

Podczas mojej działalności w Irgunie, po wybuchu zbrojnego powstania przeciwko Anglikom w Palestynie (1944) i do czasu wydelegowania mnie z kraju do Europy (1947) utrzymywałem sporadyczne stosunki z Polakami, pomimo że byłem poszukiwany przez policję angielską. Unikałem spotkania z Hulanickim, bo nie chciałem go narazić na podejrzenia utrzymywania kontaktów z Irgunem.

Na pańskie pytanie, czy wyrok LEHI nie był rezultatem insynuacji wycзки komunistycznej w LEHI, która spowodowała wyrok na Hulanickie-go, myślę, że to zwykła fantazja. Komuniści działają w Palestynie jako legalna partia. Moskwa była w tym czasie bardzo zadowolona, że Żydzi wypędzają Anglików z ich bazy imperialistycznej. Francuzi też zacierali ręce, bo chcieli się odegrać na Anglikach za wypędzenie ich z Libanu. Hulanicki był urzędnikiem angielskim w administracji ekonomicznej kraju. Tak że nie widzę żadnego obcego politycznego powodu do podobnej insynuacji przeciwko żydowemu rozbitkowi, jakim okazał się Hulanicki po upadku Polski. Na tym kończę moje zeznanie i podpisuję je własnoręcznie.

Łączę wyrazy poważania

Marek (Meir) KAHAN
5 Smolenskin str. Tel Aviv
63415 Israel

◆
Paryż, 8 września 1982.

Drogi Panie Redaktorze!

Historyka, który opracuje zapewne kiedyś biografię gen. Michała Toka-rzewskiego-Karaszewicza — twórcy w jesieni 1939 roku organizacji wojskowej pod nazwą „Służba Zwycięstwu Polski”, pierwszej organizacji konspiracyj-nej o charakterze ogólnokrajowym — zainteresuje przypuszczalnie opinia wydana o nim przed wojną przez Francuzów. W archiwach Ministerstwa Spraw Zagranicznych (*Dossier Renseignements sur les personnalités poli-tiques*), znajduje się raport ambasadora Francji w Warszawie L. Noëla, wysłany dnia 12 stycznia 1938 do Paryża.

Oto najważniejsze ustępy tego raportu: „Od jakiegoś czasu nazwisko generała Tokarzewskiego-Karaszewicza jest często wymawiane w polskich kołach politycznych i wzmiankowane na łamach prasy jako osobistości pierwszoplanowej, mającej niebawem objąć ważne stanowisko... Generał To-karzewski-Karaszewicz jest Kawalerem Legii Honorowej od 1923 i uczęsz-czał we Francji na kursy informacyjne dla generałów i pułkowników. Jest on uważany przez wojskowych francuskich, którzy utrzymywali z nim stosunki, za oficera bardzo uzdolnionego, energicznego, pełnego werwy, oży-wionego jak najlepszym duchem i postępującego z dużym zdecydowaniem”.

Łączę najlepsze pozdrowienia

◆
Tadeusz WYRWA

Londyn, 28 grudnia 1982.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nawiązując do „Likwidacji Oddziału VI” Mariana Utnika w 62-gich *Zeszytach Historycznych*, pragnę zacząć od wspomnień osobistych.

Z miejsca po zakończeniu wojny złożyłem podanie o odkomenderowanie do Liceum im. J. Słowackiego w Glasgow w celu kontynuowania przerwanej w 1939 roku nauki i zdania matury. Ale następny rok szkolny rozpocząć się miał dopiero we wrześniu 1945, więc w dalszym ciągu przebywałem w 1-szej Kompanii Radiotelegraficznej, Bat. Łączn. Sztabu N.W., stacjonującej w Barnes Lodge, koło Kings Langley na północ od Londynu.

W tym czasie korespondencja radiowa zarówno z krajowymi „Wandami” jak i z legalnymi, czy też półlegalnymi radiostacjami Wojska Polskiego, rozrzuconymi w Europie i na Środkowym Wschodzie zanikała, więc telegrafisci nie mieli wiele do roboty. Dlatego stworzono spośród nas zespół, który w okolicach Cambridge (gdzie stała 2-ga Kompania Radiotelegraficzna) prowadził badania nad antenami, których promieniowanie byłoby trudne do wykrycia przez goniometrię nieprzyjacielską. Sądziłem wówczas, że wyniki tych badań będą zastosowane w kraju przez nieliczne już, ale jeszcze istniejące tam radiostacje.

Kiedy przyjeżdżaliśmy w *weekend’y* do Barnes Lodge, dochodziły do nas słuchy o wysyłaniu „anteniarzy”, którzy w cywilnych ubraniach wyjeżdżali na jakieś tajemnicze ekspedycje instalacyjne.

Po zakończeniu naszych badań pod Cambridge, gdzieś chyba na początku sierpnia 1945, zostałem niespodziewanie wezwany do kancelarii dowódcy kompanii (co nie zdarzało się zbyt często) kpt. inż. Sabina (a nie Adama, jak podaje Utnik, str. 203) Popkiewicza. Kiedy zameldowałem się, przemówił do mnie mniej więcej tymi słowami:

— Potrzebni są radiotelegrafisci, którzy byliby przygotowani do pracy tutaj, w Anglii, ale prowadzonej bez zgody władz brytyjskich. Prawdopodobnie trzeba będzie zdjąć mundur i zamienić się w cywila. Możliwe, iż pieniędzy nie będzie za dużo i trzeba będzie zarabiać na swoje utrzymanie (w świetle sum wymienionych przez Utnika, str. 204, brzmi to nieco paradoksalnie). W razie „wpadki” można będzie trafić do angielskiego więzienia. Kierownictwo organizacji będzie używało swych wpływów, żeby „spalnego” wydstać, ale jednak muszę Podchorążego uprzedzić, że z punktu widzenia brytyjskiego jest to praca nielegalna i może doprowadzić do aresztowania. O ile chodzi o samą korespondencję, będzie ona podobna do tej, jaką prowadziliśmy dotychczas. Co Podchorąży o tym sądzi?

Kiedy Popkiewicz mówił, posługując się typowym stylem oficera zawodowego, zdałem sobie sprawę z tego, że ta propozycja, nasze badania anten i ekspedycje instalatorów „w cywilu” łączą się w jedną całość, która ma zapewnić trwanie polskiej łączności radiowej, wbrew postanowieniom jałtańskim i uznaniu władz lubelskich przez Wielką Brytanię. Chociaż nie zostało to przez Popkiewicza powiedziane, ale w ówczesnej sytuacji nie ulegało żadnej wątpliwości, że chodzi tu o działanie niepodległościowe, a nie o poszukiwanie jakiegoś kompromisu z Sowietami. Zresztą wiedziałem już wówczas, że Popkiewicz był przeciwny polityce Mikołajczyka. Zacząłem odpowiadać:

— Jak trzeba, Panie Kapitanie, to zgłoszę się na tę robotę, ale szkoda, że będę musiał zrezygnować z nauki i ze zdania matury.

Popkiewicz z miejsca przerwał:

— Zupełnie zapomniałem, że Podchorąży zgłosił się do liceum i podanie poszło z naszym poparciem. To jest o wiele ważniejsze niż ta robota, bo

kandydatów na telegrafistów mamy wielu, a kandydatów na studia stanowczo za mało. Młodzi Polacy powinni na gwałt uczyć się, to będzie nam bardzo potrzebne. Więc niech Podchorąży jedzie do Szkocji. A zresztą, gdyby zaszła potrzeba, to do tych spraw korespondencji będziemy mogli powrócić w przyszłości. Więc jak tylko przyjdzie potwierdzenie odkomenderowania, dam z miejsca znać. A o tej rozmowie niech Podchorąży zapomni, tak jakby jej nie było, i z nikim tych spraw nie porusza.

Odmaszerowałem. ... I jestem wdzięczny Popkiewiczowi za to, że nie muszę teraz „pluć sobie w brodę” z powodu brania udziału w organizacji „Hel”, kierowanej przez Tatara, Nowickiego i Utnika, według którego organizacja ta miała:

„dodatkowe obciążenie — przygotowania pomocy dla Mikołajczyka. Pomoc dla niego była udzielana za wiedzą szefa Sztabu N.W. gen. Kopańskiego, by jednak nie wywoływać przeszkód ze strony przeciwników Mikołajczyka, polecono zachować ostrożność i poufność przygotowań” (str. 201).

Chociaż trudno mi coś definitywnego w tej sprawie powiedzieć, nie jestem przekonany, iż rzeczywiście Kopański wiedział o tym, że podległy mu Oddział Sztabu używał środków i ludzi (żołnierzy) w celu popierania polityki Mikołajczyka. Nie licuje to nieco z Kopańskim, który zwykł mówić, że nie dowodzi żołnierzami Andersa, Sikorskiego czy też Kopańskiego, a żołnierzami Rzeczypospolitej Polskiej. Natomiast nie ulega wątpliwości, że popieranie polityki Mikołajczyka przez kierownictwo Tatar-Nowicki-Utnik odbywało się bez wiedzy ich podkomendnych, którzy nie zostali poinformowani, że działają na korzyść Mikołajczyka i byli przekonani, że działają w imię Polski Niepodległej. Tego rodzaju konspiracyjna organizacja polega w pierwszym rzędzie na zaufaniu (np. Popkiewicz ufał Utnikowi a ja ufałem Popkiewiczowi) i ludziom zaangażowanym na średnim lub niższym szczeblu trudno jest nieraz zorientować się, jakiej sprawie w rzeczywistości służą. Toteż nic dziwnego, że niektórym oficerom zaangażowanym w organizację „Hel” zajęło sporo czasu, żeby zdać sobie sprawę z tego, że są używani do celu, któremu nie chcieliby służyć.

Spośród ośmiu oficerów wymienionych przez Utnika na str. 203 losy trzech (kpt. Żuralskiego, por. Rzezyckiego i ppor. Chciałkowskiego) nie są mi znane. Dwaj oficerowie (kpt. Jagiełło i por. Wiśniewski) pozostali wierni kierownictwu „Helu” z Tatarem na czele, pojechali do kraju, tam zostali aresztowani i przeszli przez więzienie. Szczególnie ciężkie badania przeszedł główny szyfrant Oddziału Specjalnego z okresu wojny — Jagiełło. Natomiast trzech spośród wymienionych przez Utnika oficerów (mjr dypl. Szanser, kpt. inż. Popkiewicz i kpt. Majeranowski) wycofali się z tej organizacji z chwilą, kiedy zdali sobie sprawę, jakim celem służą.

Szanser odszedł na studia. Sarkano wówczas, że marnuje się stypendia, dając je starszym dyplomowanym oficerom, zamiast młodym szeregowym lub podchorążym. Jednak przyszłość pokazała, że narzekania te nie były słuszne, gdyż po skończeniu studiów Szanser uzyskał doktorat i miał poważne osiągnięcia w dziedzinie automatycznego tłumaczenia z rosyjskiego na angielski przy pomocy komputerów. Jednocześnie stracił blichtr oficerski i stał się typowym roztrzepanym naukowcem. Zmarł w Sunbury pod Londynem w czerwcu 1978.

Popkiewicz zadał poważny cios łączności radiowej organizacji „Hel”, kiedy, doszedwszy do wniosku, że organizacja ta współpracuje z warszawskimi władzami, na własną rękę wycofał się sam i zabrał ze sobą telegrafistów obsługujących radiostacje „Helu” w Londynie. Potem inż. Popkiewicz zaj-

mował szereg kierowniczych stanowisk w brytyjskim przemyśle elektronicznym. Zmarł w Londynie na serce w sierpniu 1973.

Majeranowski, który został przeniesiony z Londynu do Paryża, odszedł z organizacji „Hel” w kwietniu 1948, kiedy zdał sobie sprawę, że organizacja ta współpracuje z PRL, co było sprzeczne z jego zapatrywaniami. Pozostał na Zachodzie.

Pisząc ten list chciałbym podkreślić, że kierownicy „Helu” nie postępowali lojalnie w stosunku do swych podwładnych, wykorzystując ich poczucie obowiązku do celów specyficznej polityki, prowadzonej przez nich samych, która zresztą okazała się całkowicie złą. O mały włos, a ja również znalazłbym się w gronie tych oszukanych ludzi.

Pozostaję z szacunkiem

Z. S. SIEMASZKO

LESŁAW JUREWICZ

ZBRODNIA CZY POCZĄTEK WOJNY DOMOWEJ

Głównym tematem książki jest próba odpowiedzi na pytanie, czy rozstrzelanie 26 żołnierzy PPR-owskiej Gwardii Ludowej przez oddział Narodowych Sił Zbrojnych w dniu 5 sierpnia 1943 roku było zbrodnią, czy początkiem obronnej wojny domowej z komunizmem w Polsce.

Walka prowadzona była na płaszczyźnie politycznej (jawnej i podziemnej) oraz zbrojnej. W latach 1944-1956 wzięło w niej udział ponad trzy miliony patriotów. Ponad milion aresztowano. Około miliona wysiedlono.

Po stronie zwącej się ludową padło ponad 22.000 ludzi. Patriotci stracili około 8.000 w zabitych.

PZPR-owska wojskowa dyktatura w kraju musi zrozumieć, że:

1. Pomimo ogromnej przewagi w ludziach, uzbrojeniu i sprzęcie PPR i interwencja sowiecka wojny z Podziemiem nie wygrały.
2. Odmowa kompromisu doprowadzi do wybuchu rozpacz w postaci nowego Podziemia i podjęcia zawieszony walki zbrojnej.

ZBRODNIA CZY POCZĄTEK WOJNY DOMOWEJ

jest do nabycia u autora pod adresem:

528 West 111-th Street, New York, N.Y. 10025, USA.

Cena egzemplarza wraz z przesyłką — 12 dolarów.

Książka zawiera bogatą dokumentację i oryginalne mapy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego z lat 1947 oraz 1948.

SPIS TREŚCI

Henryk Józewski: <i>Zamiast pamiętnika (Rosja)</i>	3
Juliusz Szygowski: <i>Konferencja państw bałtyckich w Bulduri (Ryga) w roku 1920</i>	76
Dr Leonidas A. B. Kliszewicz: <i>Placówka łączności w Jugosławii w czasie ostatniej wojny (kryptonimy „Sława”, „Drawa”)</i>	87

DOKUMENTY

<i>Głosy zza muru</i>	149
-----------------------------	-----

Część II: Polska, wrzesień 1982

<i>Fragment pieśni śpiewanej w wielu obozach</i>	149
GŁODÓWKI	150
<i>Głodówka solidarnościowa w Łowiczu</i>	151
<i>Listy z Nysy</i>	152
<i>Do wszystkich</i>	152
<i>Odezwa z Załęża</i>	153
KIELCE-PIASKI, DOKUMENTY OBOZOWE	154
<i>Posłanie</i>	154
<i>List do biskupa</i>	155
<i>Wyjątki z tygodnika Gryps</i>	156
PISMA, DOKUMENTY, LISTY OTWARTE	159
<i>Strzebielinek do MOP</i>	159
<i>Załęże do prymasa Polski</i>	167
<i>Załęże do społeczeństwa polskiego</i>	169
<i>Załęże do dzieci</i>	169
<i>Itawa do prymasa Polski</i>	170

WSPOMNIENIA

Michał Budny: <i>Wspomnienia niefrasobliwe</i> (fragmenty książki)	172
--	-----

RECENZJE

Z. S. Siemaszko: <i>Kuropieska w Londynie</i>	194
Maria Danilewicz Zielińska: <i>Historia Polski</i>	202
Józef Czapski: <i>K a t y Ń</i>	204

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz Wyrwa: <i>Prorosyjskość „Wolnej Francji” generała de Gaulle’a</i>	207
J. Kosowicz (skrót według wspomnień): <i>Spotkałem Bieruta</i> <i>Meldunki pptk. Radostawa</i>	222 223

LISTY DO REDAKCJI

J. Szułdrzyński: <i>Informacje dotyczące śmierci Witolda Hulanickiego</i> (w związku z artykułem Wł. Żeleńskiego w nr. 60 <i>Zeszytów Historycznych</i>)	228
Wł. Żeleński: <i>Uzupełnienia do artykułu dotyczącego śmierci Witolda Hulanickiego</i> (<i>Zeszyty Historyczne</i> nr 60) ..	230
M. Kahan: <i>Dalsze wyjaśnienia dotyczące działalności i śmierci Witolda Hulanickiego</i> (vide <i>Zeszyty Historyczne</i> nr 60)	230
T. Wyrwa: <i>Opinia francuskiego MSZ o gen. Tokarzewskim-Karaszewiczu</i>	232
Z. S. Siemaszko: <i>Uwagi na marginesie artykułu M. Utnika „Likwidacja Oddziału VI”</i> (<i>Zeszyty Historyczne</i> nr 62)	233

A C H E V E D' I M P R I M E R
L E 1 5 F E V R I E R 1 9 8 3
S U R L E S P R E S S E S D E
L' I M P R I M E R I E R I C H A R D
2 4 , R U E S T E P H E N S O N ,
P A R I S (X V I I I ^e).

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1983.

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

